

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

ZWIERZENIA SIĘ.

Klasytorii państwa de

ZWIERZENIA SIĘ,

ALBO

PAMIĘTNIKI

A. LAMARTINA.

TLÓMACZYŁ Z FRANCUSKIEGO

LEON ROGALSKI.

TOM I. - η

Leon Rogalski

WARSZAWA,

Nakładem GUST. LEONA GLÜCKSBERGA, księgarza,
przy ulicy Miodowej, pod filarami.

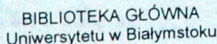
1849.

257241

Z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie, d. $\frac{3}{15}$ Stycznia 1849 roku.

Starszy Cenzor, *Tripplin.*



FUW0113790

w Drukarni J. Jaworskiego.

W-60/2001

ZWIERZENIA SIĘ.

LIST DO P. PROSPERA GUINARD Z BIEN-ASSIS.

(Służący za przedmowę).

16 Października 1845.

..... Przejdźmy do celu twego listu. Pytasz mnie: „Jakaż jest natura tych „Zwierzeń się,” „(Confidences), które ogłaszać ma gazeta nadzwyczaj „upowszechniona we Francyi i Europie?” Słusznie się dziwisz widząc domowe kartki nieznanego życia mojego, wystawione tym sposobem przezemnie za mego życia, przed obojętne oczy wielu tysięcy czytelników feljetonów...

„Taka jawność, powiadasz, kazi sprawy serca, a felj-
„tony są lichą monetą z dawkową książek. Czemu po-
„pełniasz podobny błąd?” — dodajesz z otwartością
niewielką szorstką, która jest stoicyzmem prawdziwej przy-

Tom I.

jaźni. „Czy żeby ich żywić własnymi twemi uczuciami? Mniej będą one twemi jeżeli do całego świata należeć będą. Czy dla sławy? Nie masz jój w kolebie; jest ona tylko nad grobem bardzo małej liczby ludzi. Słynność jest sławą jednodzienną; nie ma jutra. Czy dla pieniędzy? Zbyt drogo zapłacisz za nie i zbyt głęboko szukać ich będziesz we własnych żyłach! Wytłómacz mi wszystko, albo zatrzymaj się, kiedy jeszcze pora, bo dalibóg nic tego nie rozumiem.”

Niestety! przyjacielu, wytłumaczę się, ale z pokorą przyznaję z góry że masz słuszość we wszystkim. Tylko, jeżeli wysłuchasz uchem nieco stronném mojego tłumaczenia się, może nawzajem przyznasz smutnie że nie zawiniłem. Oto rzecz prosta, bez żadnych ogródek: jestto także zwierzenie się i może nie najmniej niedyskretne.

Przypominasz sobie czasy młodości naszej, owe dni jesienne, przepędzone z tobą w samotnym zamku matki twojej w Delinacie, na górze zwanój *Bien-Assis*, zaledwo wzdetój na płaszczyźnie Cremieux, jak fala opadająca co przynosi statek na piaski nadbrzeżne. Ztąd jeszcze widzę taras okryty arkadami winnych latorośli, źródło w ogrodzie, przy niem dwie wierzbki płaczące które matka twoja zasadziła, i których bezwątpienia jakaś odrośl zieleni się dzisiaj na jój grobie; las z tyłu gdzie zrana słyhać było granie twoich psów; salon ozdobiony portretem ojca twego w mundurze generalskim ze wstęgą czerwoną dawniejszego rządu; nareszcie wieżyczkę pełną książek, od której

matka twoja miała klucz i którą otwierano tylko w jój obecności; z obawy żeby ręce nasze nie chwyciły *cykuty* zamiast *pietruszki*, wśród tój gęstój i omylnój wegetacyi myślenia ludzkiego, gdzie lekarstwo rośnie tak blisko trucizny.

Pamiętasz także o twoich podróżach w czasie wakacji do Milly, gdzie poznałeś moją matkę, co cię kochała prawie jak syna? Miła jój twarz, oczy prześiające czułością duszy, wzruszony i wzruszający dźwięk głosu, spokojny jój uśmiech na którym zawsze dobroć się rozlewała, a nigdy najłżejsze szderstwo nie ścisnęło ust, czy pozostały w twojej pamięci?

— Jakiż związek w tém wszystkim, powiesz mi, między zamkiem *Bien-Assis*, wiejskim domkiem w Milly, matkami moją i twoją, i ogłoszeniem tych kartek z czasów twojej młodości?

— Zobaczysz.

Matka moja miała zwyczaj, powzięty wcześniej, w wychowaniu nieco rzymskim jakie odebrała w Saint-Cloud, poświęcać zastanowieniu się nad sobą kilka chwil pomiędzy dniem a spoczynkiem, jak mędracy starają się mieć je pomiędzy życiem a śmiercią. Kiedy wszyscy ukladli się już w domu, kiedy dzieci spały w łódeczkach około jój łóżka, kiedy słyhać było tylko regularny ich oddech w pokoju, loskot wiatru bijącego w okiennice, szczenie psa na podwórzu, otwierala pociechu drzwi gabinetu pełnego książek edukacyjnych, nabożnych, historycznych; siadała przy stoliku z różowego drzewa inkrustowanym kością sło-

niową i perłową konchą, wyobrażającymi bukiety kwiatów pomarańczowych; wyjmowała z szufladki zeszyty papieru oprawne w szarą tekturę jak księgi rachunkowe. Na tych kartkach pisała godzinę albo dwie godziny, ani razu nie podnosząc głowy i ani razu nie zatrzymując pióra, czekającego na wyraz mający spaść w swoim miejscu. Była to historia domowa upłynionego dnia, kronika godzin, znikome wspomnienie rzeczy i wrażeń, schwytnie w lot i wstrzymane wprzód nimby noc odlecieć mu pozwoliła; daty szczęśliwe albo smutne, wypadki wewnętrzne; spłynienie piasku w oznaczonej godzinie na klepsydrze, wynurzenia niespokojności i melancholii, uniesienia wdzięczności i radości, strzeliste modły wytryskujące z serca ku Bogu, wszelkie nóty dotykalne natury takiej co żyje, co kocha, co cieszy się, co cierpi, co błogosławi, co wzywa, co wielbi, słowem duszy wyrażonej przez pismo!...

Te notatki rzucone na papier o schyłku dnia, jak krople jęj istnienia, nagromadziły się z czasem i utworzyły po jęj śmierci ogromny i szacowny zbiór wspomnień dla jęj dzieci. Dwadzieścia dwa są tomy. Zawsze mam je pod ręką, i kiedy chcę wyszukać, oglądać, słyszeć duszę matki mojęj, otwieram jeden z tych tomów, i ona mi się pokazuje.

Wiesz, ile nałogi są dziedzicznymi. Niestety! czemuż cnoty niemi nie są?... Nałóg ten mojęj matki zawczasu stał się moim. Kiedy wyszedłem ze szkół, pokazała mi te papiery i rzekła:

„Tak rób jak ja: daj zwierciadło życiu swojemu. „Poświęć godzinę zapisaniu swych wrażeń, cichemu „badaniu sumienia. Dobrze jest pomyśleć codzień, nim „to lub owo zrobisz: „Zarumienilbym się dziś wie- „czorem sam przed sobą, pisząc o tém.” Młodo jest „także ustalić przyjemności uciekające lub lzy co spa- „dają z oczu naszych, żeby je wynaleźć, w kilka lat „później, na tych kartkach, i powiedzieć sobie: „Oto „dlaczego byłem szczęśliwy! Oto czemu płakałem.” To „naucza o niestalości uczuć i rzeczy; tym sposobem „oceniamy rozkosze i troski, nie według chwilowej ich „ceny co nas omyla, ale podług jedynęj ceny wie- „czności, która sama tylko nas nie omyli.”

Słuchałem tych słów i byłem posłuszny. Ale nie byłem posłuszny literalnie. Nie pisałem codzień, jak moja matka, po upłynionym dniu. Szybkość życia, gwałtowność namiętności, pęd unoszący miejsca, osoby, myśli, rzeczy, niesmak sumienia, często zakłóconego, nad którym zastanawiałbym się chyba z upokorzeniem i boleścią, przeszkadzały mi prowadzić ten rejestr wszelkich moich kroków w życiu z pobożną ścisłością tęg świętęg kobiety. Ale od czasu do czasu, w godzinach kiedy cisza ogarnie duszę, w epokach samotności kiedy serce przypomina sobie czułość i obrazy, w martwych chwilach istnienia kiedy ożywamy tylko przeszłością, opisywałem (niestaramie i nie myśląc żeby kiedy inne oko niżeli moje czytało te kartki), opisywałem, powiadam, nie wszystkie, ale główne wzruszenia mego życia wewnętrznego. Rozkopywałem końcem pióra popiół zimny albo gorący mojęj

przeszłości. Dmuchałem na zgasłe węgle mojego serca żeby nimi ożywić kilka dni więcej światła i ciepła w mojem łonie! Tak czyniłem siedmio lub ośmiokrotnym nawrotem w mojem życiu, w kształcie notatek, z których jedno nie mają innego związku z drugimi prócz tożsamości duszy co je zapisywała.

Gdym to powiedział, nie odstępuj mnie jeszcze przez chwilę i wybacz długości mego listu.

Pięć lub sześć lat temu, udałem się, letnią porą, żeby pracować spokojnie na ustroniu nad historią rewolucji francuskiej, na małą wyspę *Ischia*, pośród zatoki Gaety, oddzielonej od lądu pięknym morzem, bez którego żaden widok nie jest dla mnie zupełnym: widoma nieskończoność, co oku daje uczuć brzegi czasu i domyślać się bytu bez brzegów. *Ischia*, jak zobaczysz czytając te kartki, zawsze mi drogą była z innego względu. Jest to scena dwojga najczulszych wspomnień mego życia; jedno świeże i młodzieńcze jak wiek dziecinny, drugie poważne, silne i trwałe jak wiek człowieka dojrzałego. Kochamy miejsca gdzieśmy się kochali. Zdaje się, że przechowały serce nasze z owych czasów i wracają nam je nietkniętem żebyśmy jeszcze kochali.

Pewnego więc dnia, latem, 1843 roku, sam jeden pod cieniem drzewa cytrynowego, na terrasie domku rybaka gdzie mieszkalem, patrzyłem na morze, słuchałem jego fal przynoszących i odnoszących chrząszczące konchy pobraża, i oddychałem wietrzykiem jaki starcie się każdej fali podnosiło w powietrze, jako wachlarz wilgotny którym powiewają biedni murzyni chłodząc

swych panów w stronach zwrotnikowych. Skończyłem był dniem wprzód roztrząsać pamiętniki, rękopisma i dokumenta z sobą przywiezione do historii Żyryndystów. Zabrakło mi materiałów.

Otworzyłem te jakich nam nigdy nie braknie: nasze wspomnienia. Pisałem na kolanach historię *Grazielli*, smutne i miłe przecucie miłości, jakie spotkałem niegdyś na tejże samej zatoce, i pisałem naprzeciw wyspy *Proci-da*, patrząc na ruiny domku pośród winnicy i ogrodu na pobrażu, który cień jęj zdawało mi się że jeszcze palcem pokazuje. Ujrzałem na morzu zbliżający się statek z rozpuszczonemi żaglami, wśród kłębow piany, pod palącym słońcem. Młody mężczyzna i młoda kobieta starali się uchronić swoje czoło pod cieniem masztu.

Drzwi do terrassu otworzyły się. Chłopczyk z *Ischii*, przewodnik nowoprzybyłych na wyspę, wszedł i niespodziewanie oznajmił mi gościa.

Zbliżał się młody mężczyzna wysoki i szczupły, krokiem powolnym i wymierzonym jak ten co nosi w sobie myśl i lęka się jęj uronić; twarzy męskiej i łagodnej, obrzeżonej czarną brodą, profilu co się rysował na tle niebieskiem dwiema czystymi greckimi linijami, podobnie twarzom młodych uczniów Platona, jakie znajdujemy w piaskach Pyreum, na medalach lub wykutych na kamieniach białawoszarych. Poznałem chód, profil i głos dźwięczny Eugeniusza Pelletan, przyjaciela z drugiego peryodu mego wieku. Znasz to nazwisko jako jednego z pisarzy co posiadają najwięcej porannego światła przyszłej naszej sławy na pierwszych swoich kartkach, żyjące przecucie myśli jakie rozwinąć się mają; poprzedników wieku, w któ-

rym życzeniami tylko naszymi będziemy obecni. Kocham Pelletana taką skłonnością jaką mamy dla przyszłości. Witam go jako dobrą wiadomość i jako przyjaciela. Należy do tych ludzi co nigdy nie są natrętni, ale zawsze ci pomagają myśleć i czuć.

Zostawił młodą i powabną małżonkę w domu nadbrzeżnym. Pogadawszy chwilę o Frantyi i o tej wyspie, na której, że ja się znajduję, dowiedział się przypadkiem w Neapolu, spostrzegł papier na moich kolanach, i ołówek spisany do połowy w palcach. Zapytał co piszę. „Czy chcesz posłuchać, rzekłem, kiedy młoda twoja „żona zasypia dla wypoczynku po podróży, i kiedy sam „wypoczniesz przy tym pniu pomarańczowego drzewa? „Przeczytam ci.” I czytałem, kiedy słońce spuszczało się za *Epomeo* wysoką górę na wyspie, kilka stronnic z historyi *Grazielli*. Miejsce, czas, cień, niebo, morze, wonność drzew, rozlewały się na stronnicie bez koloru i bez woni, i przejęły słuchacza urokiem rzeczy niespodziewanej i dalekiej. Okazał się wzruszonym. Zamknęliśmy książkę. Wyszliśmy na brzeg; wieczorem zwiedziliśmy wyspę z jego żoną; udzieliłem mu gościnność na jedną noc, i odjechał.

Zostawałem na Ischii aż do pierwszych burz jesiennych, i sam wyjechałem do Saint-Point.

Nagłące interessa tam mnie powoływały; *res angusta domi*, jak powiada Horacyusz; smutne słowo: nowocześni tłumaczą je przez *niedostatek domowy*, *kłopoty majątkowe*, *trudność życia* według swego stanu. Zkądże je znasz, powiesz mi bezwątpienia? Nie mógłżebyś pozbyć się ich służąc chlubnie krajowi, który

nigdy nie zamykał przed tobą zawodu swych negocyacji szczerze uposażonych?—Prawda; ale wołałem od roku 1830 służyć o własnym koszcie w armii Boga, żołnierz bez żołdu w służbie wyobrażeń nie mających budżetu na ziemi. Cóżkolwiek bądź, zażądano odemnie znienacka zapłaty znacznej summy, którą pożyczylem by od rodziny okupić majątek i dom matki mojej, owe Milly, które znasz tak dobrze, i gdzieśmy tyle marzyli i tyle przechadzali się z sobą razem, kiedy ty miałeś szesnaście lat, a ja piętnaście. Po śmierci matki, te dobra, raczej serca niżeli ziemskie, sprzedane być miały żeby być podzielonemi na pięć części, z których nie posiadałem żadnej. Miały przejść w ręce obcych. Siostry moje i szwagrowie, równie zasmuceni jak ja, szlachetnie ofiarowali mi wszelkie środki do ocalenia spólnego składu pamiątek. Bogatszy byłem wtedy; wyteżyłem siły nadzwyczajnie: kupilem Milly. Spodziewałem się tam zakończyć dni moje. Ciężar tej ziemi, za którą zapłaciłem, aż do ostatniej latorośli, pożyczonemi pieniędzmi, przygniał mnie długo. Weszło wziąć na się ten ciężar żeby nie sprzedąć uczucia wraz z wsią. Nie żalowałem tego nigdy; nie żałuję i teraz. Ale wreszcie nadchodziła godzina, kiedy wypadało albo upaść albo sprzedać. Nadaremno opóźniałem się. Jeżeli czas ma skrzydła, procenta od kapitału mają szybkość i ciężar wagonu.

Serce mi się rozdzierało... Tarzałem się w swoim konaniu. Postanowiłem sobie; potem chciałem cofnąć postanowienie. Patrzyłem zdaleka w rozpacz na małą naszą dzwonnice na pochyłości góry, na dach

domu, na wierzchołki lip co je ty znasz i które widać z drogi przez dachówki wsi. Powiedziałem sobie: „Nie będę mógł jechać tą drogą; nie będę mógł pa-
 „trzyć z téj strony. Ta dzwonnica, ta góra, ten dach,
 „te mury, wyrzucać mi będą przez całe życie moje
 „żem je oddał za kilka worków talarów! A ci poczci-
 „wi mieszkańcy! a ci zacni i biedni winobranicy co
 „są memi braćmi mlecznemi i z którymi młodość
 „przepędziłem, pożywający ten sam chleb przy tymże
 „samym stole! cóż oni rzekną? w cóż się oni obró-
 „cą kiedy im powiedzą że sprzedałem ich łąki, win-
 „nice, strzechy, krowy, i że nowy właściciel, co ich
 „nie zna, co ich nie lubi, jutro może roztrącić ca-
 „ły ich los wkorzeniony podobnie jak mój w tę zie-
 „mię niewdzięczną ale rodzinną?”

I wracałem zawsze coraz więcej niespokojny i udrę-
 czony. Ale czas nagił. Zaprosiłem jednego z szano-
 wanych mężów miejscowych, co kupują majątki ogó-
 łem żeby je odprzedać częściowo, jednego z tych ro-
 zumnych młocarzy ziemi, i powiedziałem mu: „Sprze-
 daj mi z Milly tyle ile wypadnie za sto tysięcy fran-
 ków,” a raczej, jak mówi do żyda kupiec wenecki
 w Szekspirze: „Sprzedaj mi kawałek mojego ciała!”

Ten człowiek którego znasz, bo z twego kraju, pan
 M^{...}, rozrzewnił się. Widziałem łzy w jego oczach.
 Poświęciłby swoje zyski żeby oswobodzić mnie od tych
 kłopotów; ale nie było czasu do namysłu. Poszliśmy
 razem na miejsce, pod pozorem wybadania, jakaby
 część dóbr mogła być najdogodniej odłączona i po-
 dzielona na części przystępne dla nabywców z sąsiedz-

stwa. Ale teraz kłopot stawał się trudniejszym do za-
 łatwienia, i boleść więcej rozdzierająca pomiędzy
 nami.

— Panie, mówił mi, wyciągając rękę i gestem przeci-
 nając powietrze jak geometra przecina ziemię, oto kawałek
 co łatwo da się sprzedać razem i nie wielką zrobi szcer-
 bę w tém co ci zostanie. — Tak, odpowiedziałem —
 ale to winnica którą zaszczerpił mój ojciec w roku
 mojego urodzenia i którą polecał nam zawsze piele-
 gnować jako najlepszą częśćkę ziemi skropioną jego
 znojem na jego pamiątkę.

— Ha, rzekł oceniający, tu kawałek drugi co zwa-
 bilby wielu kupujących małe mająteczki, ponieważ bar-
 dzo przydatny na pastwisko dla bydła.

— Tak, odpowiedziałem, ale to być nie może; tu
 rzeczka, łąka i gaik gdzie matka bawiła nas i kąpa-
 ła w dzieciennych naszych latach, i gdzie tak troskliwie
 wypielegnowała te jablonie, te brzoskwinie i wiśnie
 dla nas. Szukajmy gdzieindziej. — Ten pagórek za
 domem? — Właśnie znajduje się na końcu ogro-
 du i naprzeciw okna salonu rodzinnego. Któżby mógł
 nań patrzeć bez łzy w oczach? — Te kilka do-
 mów odosobnionych z winnicą spuszczałą się na do-
 linę? — O! jest to dom męża mamki siostr moich i
 staruszki co mnie wychowała z taką miłością. To było-
 by toż samo co kupić dla nich dwa miejsca na emen-
 tarzu, gdyż umartwienie widzieć się wypędzonemi
 z pod własnej strzechy i ze swych winnic, niezwo-
 lczuieby ich tam zaprowadziło. — Ha! dom mieszkalny
 z zabudowaniami gospodarskimi, ogrodami i przyłe-

głościami dokola? — Ależ ja tutaj chcę umrzeć na łóżu ojca mego. Niepodobna; byłoby to samobójstwem wszelkich uczuć familijnych. — Cóż pan powiedzieć możesz przeciwko téj ukrytej dolinie, której nie widać z twoich okien? — Nic, tylko że tam jest stary cmentarz, gdzie byli pochowani w oczach moich, za czasów moich lat dziecinnych, mój braciszek i siostra; których tyle opłakiwałem. Idźmy gdzieindziej! tutaj wszędzie okaleczylibyśmy święte uczucie.”

Chodziliśmy napróżno, nie znaleźliśmy nic coby można było oderwać bez oderwania zarazem kawałka duszy mojej. Wróciłem smutny wieczorem do domu. Nie spałem.

Nazajutrz rano, bryfregier wiejski przyniósł mi paczkę listów. Był jeden z Paryża. Adres zapisany pismem wyraźnem, pociągłem, krótkiem, co znamięnowało szybkość, precyzyę i moc postanowienia umysłu w prędkości ręki. Rozpieczętowałem. Był to list pana de G.... „Pan Pelletan, pisał on do mnie, mówił „z zajęciem o wspomnieniach z lat dziecinnych, które słyszał na wyspie Ischia. Czy zechcesz je umieścić w piśmie *la Presse*? Redakcyja przeszle nawzajem „sumnę jakiej zażadasz.” Odpowiedziałem bez wahania się, podziękowaniem i odmową: „Cena ofiarowana przez „gazetę, pisałem do pana de G..., daleko wyższa od „kilku kartek niemających wartości; ale nie mogę zgodzić się na ogłoszenie zapyłonych szczątków moich „wspomnień, nie mających żadnego interesu dla nikogo „prócz mnie.”

List odszedł. Notaryusz przybył, w sześć dni później

dla ułożenia projektu sprzedaży dóbr Milly. Spekulant wykroił wreszcie z nich piękną część na pięćdziesiąt tysięcy franków, na którą mógł znaleźć się kupiec. Dokument leżał na stole. Jednym pociągiem pióra oderwać miałem nazawsze tę część po moich przodkach. Ręka mi drżała, śmiło się w oczach, serca mi zabrakło.

W téj chwili otworzyły się drzwi. Wszedł bryfregier. Położył na stół list z Paryża. Pan de G*** nalegał z uprzejmością noszącą ton i uczucie przyjaźni. Udzielał mi trzy lata dla oswojenia się z tą myślą. Odległość zerwała podpórki wszelkich trudności. Oslabił wszystko osłaniając wszystko. Nie tailem przed sobą goryczy jaka wypłynie dla mnie z obowiązania się które przyjąć miałem. Zważyłem z jednej strony smutek jaki mi sprawia obojętne oczy przebiegające fibry nagiego serca mego drgające pod wzrokiem bez litości; z drugiej, rozdarcie mego serca, którego kawałek miał oderwać dokument podpisany moją własną ręką. Trzeba było zrobić ofiarę z miłości własnej albo ofiarę z uczucia. Zakryłem oczy rękami; wybór zrobiłem sercem. Wziąłem projekt sprzedaży dóbr Milly z rąk notaryusza, podarłem i odpisałem panu de G***: „Zgoda.” Milly ocalone zostało, a ja się skrupowałem. Pomyśl o *Bien-Assis* i potępiaj mnie, jeżeli się odważysz. Na mojem miejscu, czy postąpiłbyś inaczej?

Uspokój się jednak. Sprzedając te proste kartki, siebie tylko sprzedałem. Nie masz tu ani jednego nazwiska, ani jednej wzmianki o osobach, któreby mogły ucierpieć lub doznać zmartwienia z powodu mojej niedyskrecyi. Niewielu złych ludzi spotykałem na mojej drodze. Żyłem w atmosferze dobroci, geniuszu, wspaniałości,

miłości i cnoty. O dobrych tylko pamiętam. Łatwo o długich zapominam. Dusza moja jest jak sito, którym przemywacze złota w Meksyku zbierają odrobiny czystego kruszcu w strumieniach Kordyljerów. Piasek wypada, złoto zostaje. Pocóż obciążać pamięć swą tém, co nie może karmić, rozweselać lub pocieszać serca?...

Teraz, kiedy żal z powodu takiej głośności zbyt boleśnie myśl moję przygniata; kiedy wyobrażam sobie politowanie jednych, uśmiech drugich, obojętność wszystkich przerzucających te kartki, które pozostać miały w cieniu, jako kradzież popełnioną na wstydlivosti życia lub poufalości familijnego ogniska, kazałem osiodłać konia; jadę powolnym krokiem skalistą ścieżką w Milly; patrzę na prawo i na lewo, na łąki i na winnice, na kmiotków co mię zdaleka witają uprzejmém schyleniem głowy, przyjacielskim gestem i uśmiechem stariej znajomości; siadam podczas słońca jesiennego, w najodleglejszym zakątku ogrodu, z kądem widać najlepiej ojczystą strzechę, winnicę, sad; poglądam wilgotném okiem na ów domek czworoboczny, którego kąty ogromny bluszcz posadzony przez matkę moją zaokrągla i rozzielenia, jak naturalne filary wychodzące z ziemi żeby przeszkodzić starym naszym murom runąć przedemną; słucham stukotu motyki winobrańców, przewracających ziemię na wzgórzu które zachowałem dla nich; widzę podnoszący się z ich dachów dym ognia z zapalonych wici, które kobiety rozniecają na starych ogniskach i co ich przywołuje z pola; widzę cień lip, który wieczór powiększa, przedłużający się powoli aż do mnie, jak widma co przychodzą lizać nogi moje żeby

mię błogosławić... Mówię wtedy do siebie: „Świat mię „gani, przyjaciele nie rozumieją; sprawiedliwie! Nie „mam prawa użalać się... Ale ten ogród, ten dom „pusty, te winnice, te drzewa, ci starcy, te kobiety „dziękują mi za trochę wstydu jaki znoszę żeby ich za- „chować nietykalnych lub szczęśliwych koło mnie aż do „jutra po ostatnim moim wieczorze! Przyjmijmy więc „dla nich to zmartwienie. Opowiem o niem kiedyś ojcemu „memu, matce, cieniowi siostr moich, skoro ich wynajdę „w domu wiekuiętego ojca familii; i nie obwiniaj mnie „oni! użalać się będą nademną i błogosławić mnie może „za to com uczynił!...”

Uczyn jak oni, ty mój stary przyjacielu! Bądź pobłażającym! I jeżeli pochwalić mnie nie możesz, wytłumacz mnie przynajmniej, pomyśliwszy o murach i drzewach, wśród których zestarzałeś się w atmosferze pierwszych swoich lat, ze wszech stron otoczony pamięcią ojców swoich!

Saint-Pont, 25 Grudnia 1847 roku.



A. DE LAMARTINE.

ZWIERZENIA SIĘ.

KSIĘGA PIERWSZA.

NOTATKA PIERWSZA.

Do ***.

Chcesz poznać pierwszą połowę mojego życia! Bo
mnie kochasz, ale kochasz mnie tylko w teraźniejszości
i w przyszłości; przeszłość moja wymyka się przed to-
bą; tę część mnie odebrano tobie, trzeba ci ją zwrócić.
I dla mnie także będzie niekiedy słodko, często przykro,
dla ciebie i z tobą tylko jedną wracać do owych źródeł
żywych i osłoniionych mojego bytu, moich uczuć, moich
myśli. Kiedy rzeka już wyschła i zmąciła się, i toczy tyl-
ko nurty burzliwe i już gorzkie, po piaskach jałowych,
wprzód nim je zatraci w spólnym oceanie, któż nie lu-
bilby iść od fali do fali, od doliny do doliny wzdłuż

rozciągniętych zakrętów jęj brzegu, żeby podziwiać okiem i czerpać dłońią pierwsze jęj wody wychodzące ze skały, ukryte pod liśmami, świeże jak śnieg z którego spływają, błękitne i głębokie jak niebo nad górą co się w nich odbija? Ach! to czego odemnie żadasz, będzie rozkoszną ochłodą dla duszy mojęj, a razem i zaspokoi czułą ciekawość twoję. Zbliżam się do tego niewyraźnego punktu życia ludzkiego, gdzie, stanąwszy śród lat jakie Bóg wymierza pospolicie ludziom najlepiej uposażonym, jesteśmy przez chwilę niby zawieszani pomiędzy dwiema połowami bytu swojego, nie wiedząc dobrze czy jeszcze w górę idziemy, czy też zaczynamy już w dół zstępować. O tęg godzinie zatrzymać się należy przez chwilę, jeżeli zaprzatamy się jeszcze trochę sami sobą, lub jeżeli kto inny nami się jeszcze zaprzata, rzucić spojrzenie wstecz i schwytać, śród cieśni jakie już rozpościerać się zaczynają i waleczyć o nie z tobą, miejsca, godziny, osoby, słodkie wspomnienia, które wieczór zaciera i które chcielibyśmy ożywić nazawsze w sercu drugiem, podobnie jak żyją nazawsze w twojem własnem sercu. Lecz w chwili gdy mam zacząć rozwijać dla ciebie tajniki głębokie i tak starannie zamknięte moich wspomnień, czuję potoki rozrzewnienia, melancholii i boleści podnoszące się płomieniem z głębi moich piersi i tłumiące mi prawie głos wszelkiemi łkaniami ubiegłego życia mojego. Były niby uśpione, ale nie umarłe; może źle czynię że je obudzam; może nie będę mógł dalej prowadzić. Milczenie jest całunem przeszłości: niekiedy bezbożnością jest, często niebezpieczeństwem podnosić go. Ale nawet podnosząc po-

bożnie i z miłością, pierwsza chwila jest okrutna. Czy przechodziłaś niekiedy przez jedną z najokropniejszych prób w życiu? Ja przeszedłem dwa razy, ja, i nigdy pomyśleć o tęg nie mogę bez dreszczu.

Śmierć porwała ci znienacka, i w twojęj nieobecności, jedną z istot w której sam żyłeś najwięcej, matkę, dziecię, kobietę najukochańszą. Przywołany fatalną wiadomością, przybywasz wprzód niżeli ziemia przyjęła święty skład tego ciała uśpionego nazawsze. Przestępujesz próg, wchodzisz na wschody, wstępujesz do pokoju, zostawiają cię tam samego z Bogiem i ze śmiercią. Padasz na kolana przy łóżku, całe godziny przepędzasz z rękami wyciągnionemi, z twarzą przyklejoną do firanek grobowej pościeli. Podnosisz się nareszcie. Tu i ówdzie uczynisz kilka kroków prędkich lub powolnych po pokoju. Zbliżasz się. Oddalasz się naprzemian od łoża gdzie białe przykrycie, zarzucone na ciało nieruchome, rysuje kształty istoty, której już nigdy nie zobaczysz. Okropna wątpliwość porywa ciebie: twarzy uwielbianej całun nie przykrył. Mogę ją podnieść, mogę widzieć ją raz jeszcze. Mamże ją oglądać taką jaką śmierć ją uczyniła? Mamże pocałować to czoło przez płótno? Czy też nie oglądać nigdy tęg twarzy znikłej inaczej tylko w pamięci swojęj, w kolorze, ze spojrzeniem i fizyognomią jakie życie jęj nadawało? Co lepszego będzie dla pociechy tego kto przeżył, dla uczczenia tego kto umarł? Zagadka nierozstrzygniona! Pojmuję bardzo że zadają ją sobie i rozwiązują odmiennie. Co do mnie, zadawałem także ją sobie, ale instynkt zawsze brał górę nad rozumowaniem. Chciałem widzieć raz jeszcze! i widziałem.

I czuła pobożność wspomnienia jaką chciałem utkwieć w sobie, bynajmniej się nie skrzywiła; ale pamięć ożywionego i żyjącego oblicza, zlewając się w myśli mojej z pamięcią twarzy nieruchomej i jakoby wykutej z marmuru przez śmierć, zostawiły dla mojej duszy na tych twarzach skamieniałych w miłości mojej coś drgającego jak życie i niewzruszonego jak wieczność!

Doświadczam podobnego niejako wahania się w tuczniach, otwierając dla ciebie zapieczętowaną księgę mojej pamięci. Pod tą zasloną zapomnienia, leży trup, to jest moja młodość! Ileż rokosznych obrazów, ale ileż krwawych żalów pospołu z nią ożyje! Mniejszać o to; chcesz tego: jestem posłuszny! W czyjeż ręce łagodniejsze i pobożniejsze mógłbym złożyć dla zachowania przez dni kilka, popioły ciepłe jeszcze tego co było moim sercem?

NOTATKA II.

Mój Boże! często żałowałem że się urodziłem! często pragnąłem cofnąć się aż do nicości, zamiast iść naprzód przez tyle kłamstw, tyle cierpień i tyle strat kolejnych, ku tej stracie nas samych, którą nazywamy śmiercią! Wszelako, nawet w chwilach strasznego upadku ducha, kiedy rozpacz bierze górę nad rozumem, i kiedy zapominamy że życie jest pracą nałożoną żebyśmy sami siebie wykończyli, zawsze mówiłem do siebie: Jest coś czegobym żałował że nie skosztowałem, to jest mleka matki, przywiązania ojca; pokrewieństwa dusz

i serc z braćmi; miłości, uciech i nawet smutków rodziny! Rodzina oczywiście jest drugim mną, większym odemnie, istniejącym przedemną i żyjącym po mnie z tém co jest we mnie najlepszego. Jestto obraz świętej i miłosnej jedności istot, objawionej przez szczupłą garstkę istot wiążących się jedne z drugimi i widocznej przez uczucie! Często pojmowałem że chcą rozszerzyć rodzinę. Ale ją zniszczyć!... Jestto bluźnierstwem przeciw naturze i bezbożnością przeciwko sercu ludzkiemu! Gdzieżby się podziały te wszystkie uczucia, jakie się tam zrodziły i które gniazdo swe mają pod rodzicielską strzechą? Życie nie miałoby źródła, nie wiedziałoby z kąd pochodzi i dokąd zmierza. Wszelkie owe czułości duszy, stałyby się oderwanemi wyobrażeniami umysłu. Ach! arcydziełem Boga jest to, że uczynił iż prawa jego najbardziej zachowawcze dla ludzkości, są zarazem najsłodsze mi uczuciami człowieka! Dopóki nie kochamy, nie rozumiemy!

Szczęśliwy komu Bóg dał urodzić się z dobrej i świętej familii! Jestto pierwsze z błogosławieństw przeznaczenia. A kiedy mówię dobra familija, nie rozumiem przez to familii szlachetnej tém szlachectwem, któremu ludzie cześć oddają i zapisują je na pergaminie. Jest szlachetność we wszystkich stanach. Znałem familije rolników, gdzie czystość uczuć, gdzie rycerski szacunek dla poczciwości, gdzie kwiat delikatności, gdzie owa prawość podań którą nazywają szlachectwem, równie były widzialne w czynach, w rysach twarzy, w mowie, w obejściu się, jakby w najwyższych domach monarchii. Jest szlachetność natury podobnie jak szlachetność spo-

leczeńska, i ta najlepsza. Mało znaczy na którym pięttrze przy ulicy lub jakiej obszerności na wsi będzie ognisko domowe, byleby było przytulkiem pobożności, pocziwości i miłości rodziny, która się tam nieustannie odradza! O przeznaczeniu dziecka stanowi dom gdzie się urodziło. Dom jego składa się nadewszystko z wrażeń, o których przypomina. Spojrzenie matki jest częścią duszy naszej, która przenika w nas własnymi naszymi oczyma. Któż jest z pomiędzy nas, który widząc znowu to spojrzenie, chociażby tylko we śnie albo w myśli, nie uczuje zstępującego w myśl swą coś takiego, co koi jęj wzburzenie i ją wypogadza?

Bóg udzielił mi łaskę że urodziłem się w jednej z owych familij wybranych, które są niby świątnią pobożności, gdzie oddychamy tylko dobrą wonią, którą kilka pokoleń tam rozszerzyło kolejno przechodząc przez życie; familija bez wielkiej świetności ale bez skazy, umieszczona przez Opatrzność na pośrednim stopniu społeczności, na którym stykamy się zarazem ze szlachectwem przez nazwisko, a z ludem przez szczupłość mienia, przez prostotę życia i przez pomieszkanie na wsi, pośród kmiotków, w tych samych nawyknieniach i niemal w tych samych pracach. Gdybym miał raz jeszcze urodzić się na tej ziemi, tambym chciał urodzić się. Aby widzieć i rozumieć stany rozmaite ludzkości, dobrze jest zajinować środek. Niezbyt wysoko żeby nam zazdrościli, niezbyt nisko żeby pogardzali nami; stanowisko trafne i dokładne gdzie spotykają się i zlewają w stanach ludzkich: wzniosłość pomysłów jaką

przynosi wzniosłość punktu widzenia, naturalność uczuć jaką zachowuje obcowanie z naturą.

NOTATKA III.

Na brzegach Saony, idąc w górę tej rzeki, o kilka mil od Lyonu, wznosi się pomiędzy wsiami i łąkami, na pochyłości wzgórza zaledwo wzdętego po nad równiną, małe ale ładne miasto Macon. Dwie dzwonnice gotyckie ścięte przez rewolucye i podkopane przez czas, wabią oko i myśl podróżnego, dążącego ku Prowancyi albo do Włoch na statkach parowych, jakie codziennie porą nurt tej rzeki. Poniżej tych ruin starodawnego katedralnego kościoła rozciągają się na długość pół mili szeregi domów białych i ulice nadbrzeżne, gdzie wyladowują i ładują towary Francyi południowej, i płody winnic makońskich. Górne miasto, którego nie widać z rzeki, pozostawione jest milczeniu i spoczynkowi. Można by rzec że miasto hiszpańskie. Trawa tam rośnie latem śród bruku. Wysokie mury dawnych klasztorów zacierają wąskie ulice. Szkoła, szpital, kościoły, jedne naprawione, drugie opuszczone i służące na skład dla bednarzy miejscowych, duży plac osadzony lipami po obu końcach, gdzie dzieci bawią się, gdzie starcy siadają na słońcu w dni pogodne; długie przedmieścia z niskimi domami, które wężykiem podnoszą się aż na wierzchołek wzgórza, ku wejściu na główne drogi; kilka ładnych domków, których jedna połowa patrzy na miasto, a druga pogrążona już jest we wsi i w zielono-

ści; a około placu pięć albo sześć hotelów czyli wielkich domów, zawsze prawie zamkniętych, które zimową porą przyjmują dawne familije z prowincyi: oto widok górnego miasta. Jestto cyrkuł tak nazwanych niegdyś szlachty i duchowieństwa; jest dzisiaj jeszcze cyrkułem sądownictwa i własności. Tak się dzieje wszędzie: ludność zniża się z wysokości żeby pracować, i podnosi się żeby odpoczywać. Oddala się od zgiełku skoro posiada dobry byt.

Na jednym rogu tego placu, co przed rewolucyą był wałem i zachował jego nazwisko, widać dom obszerny i wysoki z nielicznymi oknami, którego mury wyniosłe, grube, ale szerniałe od deszczu, popękane od słońca, od wieku niemal sprawne są w grube klamry żelazne. Wysokie i szerokie drzwi, poprzedzone gankiem o dwóch stopniach, prowadzą do długiego przysionka, w głębi którego ciężkie kamienne wschody błyszczą od słońca przez okno kolosalne i idą z piętra na piętro żeby posługiwać liczny i obszerny pokojom. W tym domu się urodziłem.

NOTATKA IV.

Mój dziadek żył jeszcze. Stary szlachcic długo służył w wojskach Ludwika XIV i Ludwika XV, i otrzymał order świętego Ludwika w bitwie pod Fontenoy. Powróciwszy do swój prowincyi ze stopniem kapitana jazdy, przyniósł tam nawyknięcia do elegancyi, okazałości i zabaw, jakie nabrał u dworu, albo po załogach. Właściciel

pięknego majątku w swojej krainie, poślubił bogatą dziedziczkę z Franche-Comté, która mu wniosła w posagu piękne dobra i ogromne lasy w okolicach Saint-Claude i w wąwozach Jura, niedaleko Genewy. Miał sześcioro dzieci; trzech synów i trzy córki. Według owoczesnych wyobrażeń, majątek familijny przeznaczony był całkowicie dla najstarszego syna. Drugi wstąpił mimo woli do stanu duchownego, do którego żadnego nie miał powołania. Ze trzech córek, dwie wepchnięto do klauzur, trzecia była kanoniczką i wykonała śluby. Ojciec mój był najmłodszym z tego liczego rodzeństwa. Gdy miał lat szesnaście, oddano go do tegoż samego półku w którym poprzednio służył ojciec. Nie powinien był nigdy żenić się: takie było prawo owych czasów. Miał się zestarzeć w skromnym stopniu kapitału jazdy, do którego wcześniej doszedł; przyjeżdżać od czasu do czasu na urlop do domu rodzicielskiego; zasłużyć powoli na order świętego Ludwika, jedyny kres ambicji prowincjonalnego szlachcica; później, w podszłym wieku, posiadając szczupłą pensyjkę od króla i szczuplejszą jeszcze część przypadającego z prawa majątku, wegetować w wysokiej izdebce jakiego dawnego zamku starszego brata, pilnować ogrodu, połować z proboszczem, tressować konie, bawić się z dziećmi, grać w szachy albo w tryktraka z sąsiadami; z urodzenia grzeczny dla każdego, niewolnik domowy, szczęśliwy że nim jest, kochany ale zaniedbany od wszystkich, i tak kończący swe życie, niepostrzeżony, bez majątku, bez żony, bez potomstwa, aż dopóki dolegliwości i choroba nie wyrugują go z salonu do izdebki nagięj, gdzie

wiszą na ścianie jego szyszak i stara szabla, i dopóki nie powiedzą któregoś dnia w zamku: „kawaler umarł.” Ojciec mój był kawaler de Lamartine i takie życie było dla niego przeznaczone. Skromny i pokorny, zgodziłby się na nie z żalem, ale bez szemrania. Jedna okoliczność zmieniła nagle te wszystkie układy losu. Starszy brat chorowitym bydź zaczął; lekarze odradzili mu małżeństwo. Powiedział ojcu: „Trzeba ożenić kawalera.” Sprawilo to powszechne wzburzenie wszystkich uczuć familijnych i wszelkich przesądów nalogowych w umyśle i w sercu starego szlachcica. Kawalerowie nie stworzeni do małżeństwa. Zostawiono ojca mego w pólku. Odkładano od roku do roku tę trudność, która nadewszystko oburzała moje babkę. — Ożenić kawalera! to rzecz niesłychana. Z drugiej strony, dopuścić wygasnąć skromnemu domowi i imieniu nieznanemu, było zbrodnią przeciwko krwi. Należało przecież zdecydować się. Nie decydowali się, a rewolucya się zbliżała.

NOTATKA V.

Była w owęj epoce we Francyi, i jest jeszcze w Niemczech, instytucya zarazem religijna i świecka, której trudno byłoby podać nam dzisiaj wyobrażenie, bez uśmiechu, tak bowiem świat i wiara były tam z sobą zbliżone i zmieszane kontrastem miłym i surowym zarazem. To była tak nazwana kapituła kanoniczek szlacheckich. Oto co znaczyły takie kapituły: Na prowincyi i w miejscu zazwyczaj dobrze wybra-

ném, niedaleko od wielkiego miasta, które ożywiało te w swoim rodzaju klasztory bez klauzury, domy bogate i szlacheckie królestwa wysyłały na mieszkanie, po złożeniu dowodów, te córki które nie czuły w sobie chęci do stanu zakonnicy klauzuralnych, a którym przecież familije nie mogły udzielić dostatecznego posagu dla wydania ich za mąż.

Każdej dawano mały posazek, budowano dla niej ładny domek z ogródkiem, podług jednostajnego planu, około kaplicy kapituły. Były to niby klasztory wolne, urządzone jedne obok drugich, ale których forta otwarta przez połowę dla świata; pewny rodzaj sekularyzacyi niezupełnej dawniejszych zgromadzeń zakonnych; wykwinne i łagodne przejście pomiędzy kościołem a światem. Młode osoby wchodziły tutaj w czternastym lub piętnastym roku życia. Zostawały w początkach pod nieuciążliwym dozorem kanoniczek starszych co wykonywały służby i którym były powierzone od familij; potem, kiedy doszły do lat dwudziestu, same obejmowały zarząd swego gospodarstwa, i w spółce z jedną lub dwiema przyjaciółkami żyły razem w małych gromadkach po dwie lub trzy.

W kapitule mieszkaly tylko podczas pięknej pory roku. Zimą zapraszano je do miast okolicznych na łono familij, dla przepędzenia półrocza na rozrywkach i dla ozdoby salonów swoich matek. W czasie pobytu w kapitule, nie były zobowiązane do niczego, chyba tylko do śpiewania dwa razy w dzień oficyum w kościele, i od tego najdrobniejszy pozór mógł je uwalniać. Wieczorem, zbierały się już u ksieni, już u jednej z pomię-

dzy siebie, grać, rozmawiać, czytać, bez żadnego innego prawidła prócz własnego upodobania, bez żadnego innego dozoru prócz obecności stariej kanoniczki, pobożającego stróża tej małej gromadki. Trzeba tylko było powracać na oznaczone godziny. Mężczyzn uważano za wyłączonych od tych towarzystw, ale był wyjątek co go dził wszystko. Młode kanoniczki przyjmować mogły każdą swojego brata przez pewną liczbę dni, i mogły ich przedstawiać przyjaciółkom w towarzystwach kapituły. Tu się zawiązywały naturalnie najczulsze związki serca pomiędzy młodymi oficerami, co przyjeżdżali przepędzić kilka dni urlopu u siostry i u młodych przyjaciółek tej siostry. Ztąd wynikały od czasu do czasu jakieś porwania lub jakieś szeptki w kapitule; ale w ogólności pobożna ostrożność, w niczem nienaganna przyzwoitość, przewodniczyły tym stosunkom poufłości tak delikatnej, i uczucia powzięte nawzajem, ożywiane corocznemi odwiedzinami w kapitule, pociągały za sobą później małżeństwa z miłości, tak rzadkie, w owiej epoce, w społeczeństwie francuzkiem.

NOTATKA VI.

Jedna z sióstr ojca mojego była kanoniczką takiej kapituły szlacheckiej w Beaujolais, na brzegach Saony, pomiędzy Lyonem a Macon. Wykonała tam śluby we 21-m roku życia. Miała dom zbudowany dla niej przez mego dziadka. Przy niej mieszkała ładna szesnastoletnia przyjaciółka, co niedawno wstąpiła do kapituły. Ojciec

mój odwiedzając siostrę w Salles (tak się nazywała wieś) uderzony był wdziękami, dowcipem i anielskimi przymiotami młodej osoby. Młoda pustelnica i przystojny oficer pokochali się. Siostra ojca mojego była naturalną powiernicą tej wzajemnej miłości. Sprzyjała jej, i po wielu latach wytrwałości, po wielu przeszkodach pokonanych, po przezwyciężeniu długiego oporu rodziny, los, którego najpotężniejszym ministrem zawsze jest miłość, spełnił się, i ojciec mój zaślubił przyjaciółkę swojej siostry.

NOTATKA VII.

Alina des Roys, tak się nazywała matka nasza, była córką pana des Roys, generalnego intendenta skarbu księcia Orleańskiego. Pani des Roys, jego żona, była podguwernantką dzieci tego księcia, ulubioną pięknej i cnotliwej księżnej Orleańskiej, którą rewolucya szanowała wypędzając ją z palacu i wiodąc synów jej na wygnanie, a męża na rusztowanie. Państwo des Roys mieli pomieszkowanie w Palais-Royal zimą, a w Saint-Cloud latem. Matka moja tu się urodziła; wychowywała się razem z królem Ludwikiem Filipem, w poufłości pełnej uszanowania, jaka zawsze się zawiązuje pomiędzy dziećmi prawie równego wieku, biorącemi udział w tych samych naukach i tych samych zabawach.

Ileż razy matka moja opowiadała nam o wychowaniu tego księcia, którego jedna rewolucya wyrzuciła zdaleko ojczyzny, a druga rewolucya wynieść go miała

na tron. Nie masz źródła, alei, trawnika w ogrodach Saint-Cloud, którychbyśmy nie znali ze wspomnień dzieciennego jój wieku, wprzód niżeli sami je widzieliśmy. Saint-Cloud było dla niej jój Milly, jój kolebka, miejsce gdzie wszystkie pierwsze jój myśli wyległy się, zakwitły, rosły i wybijały razem z krzewami tego ślicznego parku. Wszystkie dźwięczne imiona wieku XVIII. były pierwszymi imionami co się wyrwały w jój pamięci.

Pani des Roys, jój matka, była godną kobietą. Obowiązki w domu pierwszego księcia krwi, ściągaly i skupiały koło niej wiele sławnych w ową epokę osób. Wolter podczas krótkiej i ostatniej podróży do Paryża, co była tryumfem, odwiedził młodych książąt. Matka moja, mająca siedm lub ośm lat, obecną była przy odwiedzinach, i chociaż tak młodziuchna, rozumiała z wrażenia jakie objawiało się koło niej, że widzi coś większego nad króla. Postawa Woltera, jego ubiór, laska, gesta, słowa, wyrwały się w pamięci dziecka, jak odcisk stworzenia przedpotopowego na kamieniu naszych gór.

D'Alembert, Lacos, pani de Genlis, Buffon, Florian, angielski historyk Gibbon, Morellet, pan Necker, mężowie stanu, literaci, filozofowie owocześni, żyli w towarzystwie pani des Roys. Nadewszystko zostawała w stosunkach z najnieśmiertelniejszym z pomiędzy nich, Janem Jakóbem Rousseau. Matka moja, chociaż bardzo pobożna i bardzo przywiązana do nieugiętych dogmatów katolicyzmu, zachowała czule uwielbienie dla tego wielkiego męża, bez wątpienia, ponieważ on miał więcej niżeli geniusz, ponieważ miał duszę. Trzymała się nie religii jego geniuszu, ale religii jego serca.

NOTATKA VIII.

Książę Orleański, a razem hrabia Beaujoulais, miał prawo nominacyi pewnej liczby dam do kapituły w Salles, zależącej od jego księstwa. Tym sposobem i przez niego matka moja otrzymała nominacyę, w piętnastym lub szesnastym roku życia. Mam jeszcze jój portret malowany podówczas, oprócz portretu jaki wszystkie jój siostry i sam mój ojciec tak często nam kreślili z pamięci. Przedstawiona jest na nim w ubiorze kanoniczki. Młoda osoba wysoka, wysmukła, giętkiej kibici; piękne białe jój ręce wychodzą od łokcia z wązkich rękawów czarnej sukni. Na piersiach złoty krzyżyk kapitularny. Z ponad czarnych włosów spada i unosi się, po obu stronach głowy, zasłona koronkowa umiędz czarna niżeli jój włosy. Tylko twarz młodzieńca i szczera błyszczy wśród tych ciemnych kolorów.

Czas odjął nieco świeżości kolorytowi piętnastoletniemu. Ale rysy tak są czyste, jak gdyby pędzel malarza nie osedł na paletrze. Wybornie poznać tu można ów wewnętrzny uśmiech życia, tę niewyczerpaną czułość duszy, spojrzenia i słowa, a nadewszystko ów promień światłości wewnętrznej, zawsze tak pogodnego rozumu, tak przesiąkniętego czułością, która spływała jak pieśczęta wiekuista z jój oka nieco zagłębionego i nieco osłoniętego powieką, jak gdyby nie chciała z obawy olśnienia innych, dać wytrysnąć całej jasności i całej miłości, jakie miała w swoich pięknych oczach. Pojąć można, spojrzawszy tylko na portret, całą namiętność jaką taka

kobięta obudzić musiała w moim ojcu, i całą pobożność jaką później natchnąć miała w swe dzieci.

Ojciec mój także, w owęj epoce, godny był powierchownością i charakterem, przywiązać do siebie serce kobiety czulej i odważnej. Ale nie był już bardzo młody: liczył lat trzydzieści ośm. Lecz dla mężczyzny z silnego rodu, co miał umrzeć młody jeszcze umysłem i ciałem w dziewięćdziesiątym roku życia, mając wszystkie zęby, wszystkie włosy i całą surową i poważną piękność jaką przystoi starości, lat trzydzieści ośm było kwiatem życia. Wzrostu wysokiego, postawy wojskowej, rysów męskich z całym charakterem porządku i rozkazywania. Łagodną dumę i otwartość fizyonomija jego wyrażała w spojrzeniu. Nie chelpił się ani z lekkomyślnością, ani z wdziękiem, chociaż jego umysł wiele ostatniego posiadał. Przy nadzwyczajnie wrzącej krwi w głębi serca, wydawał się zimny i obojętny na powierzchnię, bo lękał się samego siebie i niby się wstydził czułości swojej.

Nigdy nie było w świecie człowieka, któryby mniej domyślał się cnoty swojej i któryby surową doskonałość natury bohatera więcej osłaniał wstydlivością kobiety. Ja sam się myliłem przez wiele lat. Miałem go za ostrego i twardego, a był tylko sprawiedliwy i ścisły. Co się tyczy skłonności, te były pierwotne jak jego dusza. Patriarcha i wojownik, oto cały człowiek. Polowanie i lasy kiedy był na urlopie na prowincyi. Przez resztę roku, półk, koń, broń, ścisłe wykonywanie przepisów i ich uszlachetnienie przez entuzjazm żołnierskiego życia; to były wszystkie jego czynności. Nie widział wyższego nad

swój stopień kapitana jazdy i szacunek swoich towarzyszy. Półk więcéj znaczył niżeli rodzina. Pragnął jego honoru równie jak własnego. Umiał na pamięć nazwiska wszystkich oficerów i kawalerzystów. Uwielbiany był od nich. Stan, był jego życiem. Bez żadnej ambicji ani o majątek, ani o stopień wyższy. Idealem jego było być tém czém jest, dobrym oficerem; honor mieć duszą, służbę królowi za religiję, przepędzać sześć miesięcy roku w mieście załogą, a drugie sześć miesięcy we własnym domku na wsi z żoną i dziećmi. Człowiek pierwotny wreszcie, nieco zmieniony przez żołnierza, oto mój ojciec.

Rewolucya, nieszczęścia, lata i wyobrażenia zmieniły i uzupełniły go w podeszłym wieku. Mogę powiedzieć, że ja sam widziałem wielką i łatwą naturę jego rozwijającą się po siedmdziesiątym roku życia. Był z pokolenia dębów co żyją i odnawiają się aż do dnia, kiedy siekiera przyłożona będzie do drzewa. W ośmdziesiątym roku jeszcze się doskonalił.

NOTATKA IX.

Powiedziałem już jakie przeszkody majątkowe i jakie przesady rodzinne sprzeciwiały się jego małżeństwu. Stałość jego i matki mojej przewyciężyła je. Połączyli się z sobą właśnie w chwili kiedy rewolucya wstrząsnąć miała wszystkie ustanowienia ludzkie i ziemię nawet na której je zakładano.

Już Zgromadzenie konstytuujące wzięło się do dzieła.

Podkopywało z siłą rozumu, iż tak rzekę nadludzkiego, przywileje i przesady, na których opierał się dawny porządek społeczny we Francyi. Owe wielkie wzburzenia ludu porywały, jak bałwany które wichler podnosić zaczyna, już Wersal, już Bastylję, już ratusz Paryżki. Ale entuzjazm nawet szlachty dla wielkiego odrodzenia politycznego i religijnego trwał jeszcze. Pomimo pierwszych trzęsień ziemi, mniemano że to wkrótce przemienie. Nie miano skali w przeszłości dla rozmierzenia zawczasu wyżyny do jakiejś dosięgnię to wezbranie nowych wyobrażeń. Ojciec mój nie porzucił służby żeniąc się; widział w tém wszystkiem, że powinien trzymać się swojej chorągwi, bronić króla, kilka miesięcy walki przeciw nieladowi, kilka kropli krwi własnej dla poświęcenia swojej powinności. Te pierwsze błyskawice burzy, która zatopić miała tron i wstrząsać Europą przynajmniej przez pół wieku, zaginęły dla matki mojej i dla niego w pierwszych rokoszach ich miłości i w pierwszych widokach ich szczęścia. Widziałem jednego dnia gałąź wierzby oderwaną od pnia przez burzę i pływającą zrana po wezbranej Saonie. Samica słowika siedziała tu jeszcze w gniazdeczku przechylając się do piany rzecznej, a samiec podlatywał około swęj miłości unoszonej na odlamku gałęzi.

KSIEGA II.

NOTATKA I.

Ledwie zakosztowali szczęścia tak długo oczekiwanego, należało przerwać je i rozstać się, może, niestety! żeby nie zobaczyć się z sobą więcej. Była to chwila emigracyi. W owęj epoce, emigracya nie była, czém stała się później, schronieniem przeciw prześladowaniu lub śmierci. Powszechny popęd opuszczenia ojczyzny ogarnął szlachtę francuską. Przykład dany przez książąt stał się zaraźliwym. Półki potraciły jedną noc swoich oficerów. Przez czas niejaki wstydem było pozostać tam gdzie się znajdowali król i Francya. Należało mieć wielką odwagę ducha i wielką wytrwałość charakteru żeby się oprzeć temu szalowi epidemicznemu, co przybierał na-

zwisko honoru. Ojciec miał tę odwagę; nie chciał emigrować. Tylko, kiedy zażądano od oficerów armii przysięgi, jaka nie zgadzała się z jego sumieniem królewskiego sługi, wziął dymisyę. Ale zbliżał się dzień 10 Sierpnia; czuć można było że nadchodzi. Zawczasu wie dziano, że zamek Tuileries będzie napadnięty, że życie króla będzie zagrożone; że konstytucya z roku 1791, chwilowy układ zgody pomiędzy reprezentacyjną władzą królewską a ludem wszechwładnym, będzie obalona lub tryumfująca wśród potoków krwi. Przyjaciele przywiązani do tego co pozostało z monarchii i ludzie osobiście i religijnie przychylni królowi, policzyli siebie i złączyli się aby wzmocnić straż konstytucyjną Ludwika XVI i w dniu niebezpieczeństwa stanąć około króla. Ojciec mój należał do tych ludzi szlachetnych.

Matka nie zatrzymywała go. Nawet pośród lez, nigdy nie pojmowała życia bez honoru, ani wahała się przez minutę pomiędzy cierpieniem a powinnością. Mnie naówczas nosiła w swym łonie.

Ojciec wyjechał bez nadziei, ale bez wahania się. Walczył razem ze strażą konstytucyjną i Szwajcarami w obronie zamku. Kiedy Ludwik XVI opuścił swoje mieszkanie, bitwa zamieniła się w rzeź. Ojciec, kulą raniony, został w ogrodzie Tuileries. Wymknął się, przytrzyma no go gdy przechodził przez rzekę naprzeciw domu Inwaldów, zaprowadzono do Vaugirard i więziono przez kilka godzin w piwnicy. Dopomniął się o niego i oswobodził ogrodnik jednego z jego krewnych, co był urzędnikiem municypalnym gminy, i co go poznał cudownym trafem. Uniknąwszy tym sposobem śmierci, wrócił do matki mo-

ję i żył w głębokiem odosobnieniu na wsi, aż do dni kiedy prześladowanie rewolucyjne nie zostawiło innego przytułku dla stronników dawnego porządku rzeczy, tylko więzienie lub rusztowanie.

NOTATKA II.

Familija dziadka mojego mało nastroczała powodów do prześladowania. Żaden z jej członków nie emigrował. Sam dziadek był starzec ośmdziesięcioletni. Starszy jego syn, tudzież drugi syn ksiądz de Lamartine, wychowani jeden i drugi w zasadach XVIII wieku, wyssali od dzieciństwa mleko owęj filozofii, co światu obiecywała porządek nowy. Należeli do młodej szlachty co odbierała z góry i rozkrzewiała z największym zapalem pomysły o przekształceniu polityczném. Grubo się mylą względem początków rewolucyi francuzkiej, ci, co wyobrażają sobie że ona wynika z dołu. Pomysły zawsze wypływają z góry. Nie lud zrobił rewolucyę, ale szlachta, duchowieństwo i myśląca część narodu. Przesady rodzą się niekiedy wśród ludu, filozofie rodzą się tylko w głowie społeczeństw.

Rewolucya zaś francuzka jest filozofiją. Cóżkolwiek bądź, dziadek mój i stryjowie nadewszystko mieli zasady rewolucyjne w głowie. Byli namiętni stronnicy rządu konstytucyjnego, reprezentacyi narodowej, złania się stanów krajowych w jeden naród, podległy tymże samym prawom i tym samym podatkom. Mirabeau, Lamethowie, Lafayette, Monnier, Virieu, Laroche foucauld, byli główny-

mi apostołami ich wiary politycznej. Pani de Monnier (Zofija pana Mirabeau) mieszkała czas niejaki u mojego dziadka. Lafayette wychowywał się z księdzem Lamar-tine. Spotkali się w Paryżu, prowadzili z sobą ciągłą korres-pondencję. Wiązała ich przyjaźń prawdziwa, przyjaźń, co przeżyła lat czterdzieści nieobecności, i o której do-stojny generał mówił mi jeszcze w przedostatnim roku swego życia.

Takie były odcienia opinij familijnych. Nic tu nie było an-typatycznego rewolucyj 1789 r.; mój ojciec i stryjowie od-strychnęli się od poruszenia odnawiającego dopiero wów-czas kiedy rewolucya, wymykając się z rąk demokraty-cznych, zamieniła się w demagogię, zwróciła się przeciw-ko tym właśnie co ją wypielegnowali i stała się gwałtem, lu-pieżstwem i katuszą. W tej chwili prześladowanie zawitało do nich i już ich nie opuściło aż po śmierci Robespierra.

NOTATKA III.

Lud jednej nocy z pomieszkania porwał dziadka mo-jego, bez względu na jego lat 84, babkę prawie tegoż wieku i chorą, dwóch stryjów, trzy ciotki, zakonnice już wypędzone z klasztorów. Wrzucili całą tę rodzinę razem na wóz pod eskortą żandarmów, i zaprowadzili, śród wrzasków i pogroźek śmierci ze strony pospólstwa, aż do Autun. Tu, ogromne więzienie przeznaczone było na przyjęcie wszystkich podejrzanych z prowincyi. Oj-ciec mój, przez wyjątek o którego przyczynie nie wie-dział, odłączony był od reszty rodziny i zamknięty

w więzieniu w Macon. Matkę, co mnie wówczas karmiła, zostawiono samą jedną w obszernym gmachu dziadka, pod strażą kilku żołnierzy z armii rewolucyjnej. I dzi-wię się że ludzie których życie zaczyna się w owych dniach fatalnych, przynieśli, rodząc się, skłonność do smutku i wyraz melancholii do ducha francuzkiego? *Virgiliusz, Cycero, Tybullus, Horacyusz* nawet, co nadali taki charakter duchowi rzymskiemu, czyliż się nie zrodzili podobnie jak my podczas wielkich wojen domo-wych w Rzymie, i śród odgłosu prześladowań Maryu-sza, Sylli, Cezara? Wspomnijcie na wrażenia prze-strachu lub politowania, jakie miotaly łonem niewiast rzymskich kiedy one nosiły w niem tych ludzi! Wspomnijcie na mleko zgorzkniałe od łez, które sam ssa-łem z piersi matki, wówczas kiedy cała rodzina jęczała w niewoli, otwierając się tylko dla śmierci! Kiedy mąż uwielbiany przez nią, stał na stopniach rusztowania, i kiedy sama była więźniem w swoim pustym domu, okrutni żołnierze szpiegowali jęj lzy, żeby czułość jęj nazywać zbrodnią i urągać się jęj cierpieniom!

NOTATKA IV.

Z tylnej strony pałacu mojego dziadka, co się rozciągał z jednej ulicy na drugą, był mały, niski i ciemny domek, łą-czący się z wielkim domem przez korytarz ciemny i wąz-kie a wilgotne jak studnie dziedzińce. W domku tym mie-szkali starzy domownicy co wyszli ze służby dziadka, ale byli jeszcze w związku z familiją przez szczupłe

pensyjki pobierane, i przez niejakię posługi z dobrego woli, które kiedy niekiedy okazywali dawnym panom; pewny rodzaj wyzwoleniców rzymskich, jak ich każda familija miała szczęście utrzymywać. Kiedy wielki dom zasekwestrowano, matka przeniosła się sama, z jedną lub dwiema kobietami, do tego domku. Inny jeszcze pociąg ją tu nęcił.

Właśnie naprzeciw okien, z drugiej strony uliczki ciemnej, milczącej i wąskiej jak ulica w Genui, wznosiły się i wznoszą dziś jeszcze wysokie i podziurawione rzadkimi oknami mury dawnego klasztoru Urszuliniek. Gmach ponury z wejrzenia, zamknięty w sobie jak jego przeznaczenie, z dość pięknym portykiem kościoła przytaczającym do jednego jego boku, a z tyłu dziedzińce ciemne i ogród opasany czarnymi murami, których wysokość odbierała wszelką nadzieję ich przebycia. Ponieważ zwyczajne miejskie więzienia były przepelnione, trybunał rewolucyjny w Macon kazał urządzić w tym klasztorze dodatkowe więzienie, żeby tu wtrącać przewyżkę uwięzionych.

Traf albo Opatrzność chcieli żeby tam osadzono mego ojca. Miał więc on pomiędzy sobą a szczęściem tylko mur i szerokość ulicy. Inny traf chciał także aby klasztor Urszuliniek tak dobrze był mu znany we wszystkich szczegółach wewnętrznych jak własny dom. Jedną z siostrz dzidka mego, nazwiskiem pani de Lusy, była księżną Urszuliniek w Macon. Dzieci jej brata, w niemowlęcym wieku przychodziły ustawicznie bawić się w klasztorze. Służyły one za rozrywkę dla biednych siostr. Nie było alei w ogrodzie, celi, wschodów ukrytych, podda-

sza, okna w dachu albo w piwnicy, coby nie były im znane, i którychby dziecinna ich pamięć nie zatrzymała aż do najdrobniejszych szczegółów.

Ojciec mój nagle wtrącony do tego więzienia, znalazł się tutaj w miejscu znajomym. Na domiar szczęścia, nadzorca więzienia, republikanin, bardzo przedajny, przed piętnastą laty był kirassyerem w szwadronie mego ojca. Nowy jego stopień serca mu nie odmienił. Nawykły do szanowania i kochania swego kapitana, rozrzewnił się ujrawszy go, i kiedy bramy Urszuliniek zamknęły się za więźniem, republikanin zapłakał.

Ojciec znalazł się tutaj w dobrem i liczem towarzystwie. W więzieniu mieściło się około dwóchset osób osadzonych bez żadnej winy, podejrzanych z departamentu. Natłoczeni byli po salach, po refektarzach, po korytarzach starego klasztoru. Ojciec prosił za całą łaskę u nadzorcy żeby go umieścił samego jednego w kątku poddasza. Wysokie okienko, wychodzące na ulicę, zostawi mu przynajmniej pociechę patrzenia niekiedy przez kraty na dach własnego mieszkania. Udzielono mu tę łaskę. Rozlokował się przeto pod dachówkami, przy pomocy kilku desek i nędznego łóżka. We dnie przychodził do towarzyszków niewoli, jeść, grać, rozmawiać o tem co słyhać, a względem czego więźniowie ograniczać się musieli domysłami, gdyż nie pozwalano im żadnej komunikacji piśmiennej na zewnątrz. Ale takie odosobnienie niedługo trwało dla mego ojca.

Toż samo uczucie co go pobudziło do proszenia nadzorcy o celkę wychodzącą na ulicę i w której całe godziny trawił na przypatrywaniu się dachowi domku leżące-

go naprzeciw, natchnęło matkę moję myślą chodzenia często na poddasze swego mieszkania, siadania blisko okienka nieco w tyle, żeby widzieć mogła, nie będąc widzianą. Przypatrywała się ztąd, przez lzy, dachowi więzienia, gdzie wyrwany był jój miłości i ukryty przed jój oczyma, ten kogo kochała. Dwa spojrzenia, dwie myśli, co się szukają przez świat cały, zawsze się nakoniec spotkają z sobą, a tym bardziej przez dwa mury i wąską ulicę. Spotkały się ich oczy, wzruszyły się ich myśli, znaki zastąpiły dla nich słowa, z bojaźni żeby głos nie wydał wartom na ulicy ich stosunków. Tym sposobem regularnie przepędzali kilka godzin dziennie siedząc jeden naprzeciw drugiego. Cała ich dusza przeniosła się w oczy. Matka, zachowawszy sobie papier i pióra, zaczęła pisać dużemi literami słowa wyrażające w krótkości to co chciała żeby wiedział więzień. On odpowiadał znakami. Odtąd zawiązały się stosunki. Niedługo uzupełniły się one jeszcze więcej. Ojciec, jako kawaler arkebuzów, miał u siebie łuk i strzały z którymi ja często bawiłem się w latach dziecińczych. Matce przyszło do głowy użyć ich do tym lepszego znoszenia się z więźniem. Uczyla się przez kilka dni w swym pokoju napinać łuk, i kiedy nabyła dosyć zręczności żeby mieć pewność iż nie chybi swego celu o kilka stóp odległości, przywiązała sznurek do strzały, i puściła strzałę ze sznurkiem w okno więzienia. Ojciec schował strzałę, i pociągnawszy sznurek do siebie odebrał list. Tym sposobem w nocy przesyłała mu papier, pióra, atrament. Odpowiadał jój w wolnych godzinach. Matka przed świtem odbierała długie listy, w których

więzień wynurzał swoją miłość i smutek, wypyttywał się, radził, cieszył żonę i mówił o swém dziecięciu. Biedna matka nosiła mnie codzień na poddasze, pokazywała ojcu, karmiła przed nim, kazała mi wyciągać drobne rączki ku kratom więzienia, potem, przyciskając głowę mą do swych piersi, pożerała mnie pocałunkami w obecności więźnia, i tym sposobem przesyłała mu w duszy swojej wszelkie pieszczoty, jakimi mnie szafowała na jego intencję.

NOTATKA V.

Tak upływały miesiące, a miesiące kłócone trwogą, wstrząsane nadzieją, oświecone i pocieszane niekiedy blaskiem, jaki dwoje oczu kochających się zawsze sobie przesyłają, nawet śród nocy smutku i przeciwności. Miłość natchnęła ojca mego szczęśliwszą jeszcze odwagą, której pomyślny skutek uczynił nawet więzienie rozkosznem i odjął mu bojaźń rusztowania.

Powiedziałem już że ulica przedzielająca klasztor Urszuliniek od rodzicielskiego domu była bardzo wązka. Nie poprzestając na tém że widział matkę moję, że pisywał do niej i rozmawiał z nią, ojciec powziął myśl połączenia się z nią przeskakując odległość co ich przegradzała. Matka lękała się, on nalegał; kilka godzin szczęścia wydartych prześladowaniu i śmierci warte może były minuty niebezpieczeństwa. Kto wie czy taka sposobność zdarzy się kiedykolwiek? Czy jutro nie rozkażą przeprowadzić więźnia do Lyonu, do Paryża, na ruszto-

wanie? Matka uległa. Za pomocą strzały i sznurka przesłała pilnik. Ojciec jedną kratę żelazną małego okienka w więzieniu cicho przepiłował i znowu postawił na miejscu. Potem, jednego wieczora, kiedy księżyc nie świecił, gruba lina przywiązana do sznurka przesliznęła się z dachu mojej matki w ręce więźnia. Mocno przywiązaną z jednej strony u belki naszego domu, ojciec przywiązał z drugiej do sztaby żelaza w okienku zakratowanym, zawiesił się na linie rękami i nogami, i przeslizgając się od węzła do węzła, po nad głową sztyldwachów przebył ulicę i znalazł się w objęciach żony i przy kolebce swojego dziecka.

Tak wyniknąwszy się z więzienia mógł nie powracać do niego; ale byłby wówczas osądzony zaocznie lub jako emigrant, zrujnowałby żonę i zgubił swoją rodzinę, nie myślał więc o tem. Zachował przeto jako ostatni środek ratunku, możność takiej ucieczki na wiliją dnia kiedy zawołają go do trybunału rewolucyjnego albo na śmierć. Pewny był że uprzedzi go o tem nadzorca więzienia. O tę tylko przysługę go prosił.

NOTATKA VI.

Cóż to za nocy, te nocy ukradkowe, spędzone na zatrzymywaniu godzin na łonie wszystkiego co się kocha! O kilka kroków od wart, krat więzienia i śmierci! Nie liczyli oni, jak Romeo i Julia, wschodu gwiazd w nocy śpiewem słowika albo skowronka, ale łoskotem rondów przechodzących pod oknem i liczbą zmienianych sztyld-

wachów. Wprzód nim niebo zabielało, trzeba było przejść znowu ulicę i wrócić w milczeniu do zakratowanej celi. Linę odwiązaną matka wciągała powoli i chowała na inne podobne noce, w kącie poddasza. Dwaj kochankowie mieli z sobą kiedy niekiedy podobne schadzki, ale należało używać ich ostrożnie i przygotowywać starannie, gdyż oprócz niebezpieczeństwa spadnięcia na ulicę albo dostrzeżenia przez dozorców, matka nie była pewna wierności jednej z kobiet posługujących, której jedno słowo wyprowadziłoby ojca mego na śmierć.

Był to czas kiedy prokonsulowie Konwencji dzielili się prowincjami Francyi, i w imieniu komitetu ocalenia publicznego wykonywali tam władzę absolutną, a często krwawą. Majątek, życie lub śmierć familij zależały od jednego słowa z ust tych reprezentantów, od rozrządzenia ich duszy, od podpisu ich ręki. Matka, czując topór zawieszony nad głową uwielbianego męża, po kilkakroć miała chęć pójść rzucić się do nóg tych wysłańców Konwencji, błagać o uwolnienie mego ojca. Jęł młodość, piękność, osamotnienie, dziecię które nosiła przy piersiach, rady nawet ojca mego, wstrzymywały ją dotąd. Ale nalegania reszty familii zamkniętej w więzieniu w Autun wymagały od niej koniecznie starań suplikantki, które niemniej kosztowały jęł dumę jak jęł opinię. Otrzymała od władz rewolucyjnych w Macon pasport do Lyonu i do Dijon. Ileż razy nie opowiadała mi swego wstępu, osłabienia, strachu, kiedy po staraniach bez liczby i prośbach odpychanych z cierpkością, trzeba było stanąć nareszcie drżąc przed reprezentantem ludu wysłanym na prowincję! Niekiedy

był to człowiek prosty i grubijanin, co słuchać nawet nie chciał kobiety Izami zalewającej się, i odprawiał ją pogroźkami, jako występłą że chciała rozczulić sprawiedliwość narodu. Niekiedy był to człowiek czuły, którego widok przywiązania tak głębokiego i rozpacz tak rozrzewniającej skłaniały mimowolnie do litości, ale obecność kolegów czyniła go zatwardziałym na pozór i odmawiał tego ustami co udzielał sercem. Reprezentant Javogues, ze wszystkich tych prokonsulów, zostawił matce mojej najlepsze o swym charakterze wrażenie. Gdy ją przyprowadzono do niego w Dijon, na posłuchanie, rozmawiał z nią z dobrocią i uszanowaniem. Przywodził mi na rękę aż do salonu reprezentantów, żeby politowanie dwie miało twarze do rozrzewnienia go, to jest młodej matki i dziecięcia niewinnego. Javogues prosił ją siedzieć, użalał się nad surowem posłannictwem, jakie obowiązki jego i ocalenie rzeczypospolitej mu nakazywały. Wziął mnie na kolana, i kiedy matka moja zrobiła gest przestachu z obawy żeby mnie nie upuścić: „Niczego się nie lękaj, obywatelko, rzekł, republikanie także mają synów.” A kiedy ja uśmiechając się bawilem się końcami trójkolorowej jego szarfy, dodał: „Twoje dziecko zanadto piękne na syna arystokraty, wychowaj go dla ojczyzny i zrób z niego obywatela.” Powiedział kilka słów spółczucia o moim ojcu i dał niejaką nadzieję bliskiego uwolnienia. Jemu może winien był że został zapomniany w więzieniu, bo w ową epokę rozkaz oddania pod sąd był wyrokiem śmierci.

Powróciwszy do Macon, do domu swojego, matka sama była uwięziona w ciasnym pomieszkaniu, naprzeciw

Urszulinek. Od czasu do czasu, kiedy noc była bardzo ciemna, księżyc nie świecił i latarnie zimowy wiatr po-gasił, lina z węzłami prześlizgała się z jednego okna do drugiego, i ojciec mój przychodził przepędzać niespokojne i rokoszne godziny obok wszystkiego co kochał.

Tak upłynęło ośmnaście długich miesięcy. Dzień 9 Termidora otworzył więzienia; ojciec mój wolność odzyskał. Matka pojechała do Autun zabrać starych rodziców chorych, i odwiozła ich do zamkniętego przez długi czas domu. Niedługo po powrocie, mój dziadek i babka poumierali w pokoju i pełni dni na swoim łożu. Przebyli wielką burzę co wstrząsnęła nimi, ale nie obalili. Nie stracili żadnego z dzieci, i spodziewać się mogli, zamykając oczy, że niebo na długi czas wyczerpało burzę, i że życie łagodniejszym będzie dla tych, którym je zostawiali opuszczając ziemię.

KSIĘGA III.

NOTATKA I.

Majątek mojego dziadka, podług życzenia, równie jak według zwyczajów ówczesnych, w całości miał przejść na najstarszego syna. Ale ponieważ nowe prawa uchylały substytucję i zniosły prawo pierworodztwa, i gdy śluby ubóstwa wykonane przez ciotki moje, siostry mojego ojca, uważane były za żadne w obliczu prawa, familija winna była przystąpić do działu dóbr. Znaczne były te dobra, tak we Franche-Comté jak w Burgundyi. Ojciec mój, żądając swojej części jak bracia i siostry, jedném słowem zmienić mógł swój los i otrzymać jedną z pięknych posiadłości ziemskich, któremi familija dzielić się miała. Skrupulatne jego poszanowanie dla życzeń ojca

nie pozwoliło mu nawet pomyśleć o gwałceniu ich po jego śmierci. Ustawy rewolucyjne znoszące prawo pierworodztwa były zupełnie świeże; miały jeszcze w oczach jego, chociaż uważał je za bardzo sprawiedliwe, pozór przymusu i gwałtu wyrządzonego władzy ojcowskiej. Żądać zastosowania ich na własną korzyść przeciwko bratu starszemu wydawało mu się nadużyciem swego położenia. Postanowił zatem niechwaląc się rzec się sukcesyi po ojcu i matce, i poprzestać na bardzo szczupłej legitymie, jaką mu umowa ślubna zapewniła. Został ubogim, gdy wyrzekłszy jedno tylko słowo byłby bogatym. Dobra familijne rozdzielono, każdy z braci i siostr znakomitą wziął ich część. On niczego nie chciał, całym jego funduszem był szczupły mająteczek Milly, jaki mu wydzielono gdy się żenił, przynoszący podówczas tylko dwa lub trzy tysiące liwrów dochodu. Posag matki mojej był niewielki. Płaca jaką ojciec i bracia jęj pobierali w domu księcia Orleańskiego ustała wraz z rewolucją. Księżniczki tego domu poszły na wygnanie. Pisywały niekiedy do mojej matki. Przypominały sobie dziecinną przyjaźń z córkami podguwernantki. Nie przestały zaszczycać ich swoją pamięcią na wygnaniu, a dobrodziejstwami w pomyślnym bycie.

NOTATKA II.

Mój ojciec nie uważał siebie za uwolnionego przez rewolucję od honorowej wierności dla swojej chorągwi. To uczucie zamykało przed nim wszelką nadzieję polepsze-

nia losu. Trzy tysiące liwrow dochodu i szczupły domek na wsi, opuszczony i zrujnowany dla niego, żony i licznej dziatwy co zaczynała już siadać u rodzinnego stołu, było to coś bardzo nieokreślonego pomiędzy skromnym dostatkiem a ubóstwem cierpiącym. Ale miał on spokojne sumienie, miłość dla żony, wiejską prostotę w upodobaniach, ścisłą ale szlachetną oszczędność, zupełną zgodność żądań z położeniem, nareszcie religijną ufność w Boga. Z tém śmiało stawiał czoło ciążącym trudnościom bytu swojego. Matka moja młoda, piękna, wychowana wśród całej wytworności okazałego dworu, przenosiła się z równie uśmiechającą się rezygnacją i tym samym szczęściem wewnętrznym, z pokojów i ogrodów książęcego domu do szczupłego pokoiku bez mebli w pustym od stu lat domu, i do ogródka czwórnym obszerności ogrodzonego kamieniami, gdzie miały się zamknąć wszystkie wielkie marzenia jej młodości. Słyszałem często mówiących później oboje że pomimo szczupłości mienia, te pierwsze lata ciszy po wstrząśnieniu rewolucyj, skupienia się we własnej miłości i cieszenia się samymi sobą w samotności, były, koniec końcem, najszczęśliwszymi latami w ich życiu. Matka moja, cierpiąc wiele z powodu ubóstwa, zawsze jednak gardziła bogactwami. Ilekroć mówiła mi później, palcem pokazując tak bliskie kopce granic ogrodu i pół naszych w Milly: „To bardzo małe, ale dość wielkie jeżeli umiemy zastosować do tego nasze żądze i nawyknięcia; szczęście jest w nas samych; nie mielibyśmy go więcej rozszerzyszy granic naszych łąk albo winnic. Szczęście nie mierzy się morgami jak ziemia; mierzy się

rezygnacją serca, gdyż Bóg chciał żeby ubogi tyleż posiadał co bogaty, a żeby jeden i drugi nie myśleli prosić o to *kogo innego niżeli on.*”

NOTATKA III.

Nie będę naśladował Jana Jakóba Rousseau w jego *Wyznaniach (Confessions)*. Nie będę opowiadał drobnych niemowlęcego mego wieku. Człowiek zaczyna się dopiero z uczuciem i myślą. Do tego czasu człowiek, jest tylko istotą żyjącą, lecz nawet nie jest dziećciem. Drzewo bez wątplenia zaczyna się od korzeni, ale korzenie te, jak nasze instynkty, nie są nigdy przeznaczone żeby je odsłaniać na światło. Natura umyślnie je ukrywa, bo w tém jej tajemnica. Drzewo zaczyna się dla nas od tej chwili kiedy się wydoszaje z ziemi i pokazuje się z pniem, korą, gałęziami, liśćmi, na las, na cień, lub na owoc jaki z czasem ma nosić. Toż samo z człowiekiem. Zostawmy przeto kolebkę piastunkom, i pierwsze nasze uśmiechy i pierwsze nasze lzy i pierwsze nasze belkotanie zachwyceniu matek naszych. Dla ciebie zajmę się sobą tylko od pierwszych moich wspomnień już rozmawianych.

Dwie pierwsze sceny życia co często mi się przedstawiają, w zwrocie człowieka ku przeszłości najodleglejszej, jaki on czyni żeby mógł znaleźć sam siebie, są następujące:

NOTATKA IV.

Noc. Drzwi domku Milly zamknięte. Wierny pies kiedy niekiedy szczeka na dziedzińcu. Deszcz jesienny obija się o szyby dwóch niskich okien, a wiatr, dmący od brzegów morskich, wydaje, roztrącając się o gałęzie dwóch lub trzech jaworów i przeciskając się przez szpary okiennic, gwizdanie przerywane i melancholiczne, jakie tylko słyszeć można na krawędzi wielkich lasów sosnowych, kiedy usiądziemy pod drzewami żeby je słyszeć. Pokój gdzie widzę siebie w taki sposób, obszerny, ale prawie pusty. W głębi alkowa ciemna i łóżko. Firanki u łóżka z materji wełnianej białej w błękitne kraty. To łóżko matki mojej: dwie kolebki stoją na drewnianych stolkach przy łóżku; jedna duża, druga mała. To kolebki dwóch najmłodszych siostr moich, śpiących już dawno. Wielki ogień rozniecony z winnych latorośli pali się w głębi kominka z białego kamienia, gdzie młot rewolucyj pokruszył w wielu miejscach murek, tłukąc herby albo kwiaty lilij służące ku jego ozdobie. Błacha w kominie także przewrócona, ponieważ bezwątpienia wyobrażała na drugiej stronie herby królewskie; grube belki szczerznięte od dymu, równie jak przytwierdzone do nich deski, składają sufit. Pod nogami ani posadzki, ani kobierca; prosta cegła niepolerowana, ale koloru ziemi i potłuczona w tysiączne kawałki podkutymi trzewikami i sandałami drewnianymi chłopów, którzy pokój ten zamienili na salę tańca w czasie uwięzienia ojca mojego. Żadnego obicia na ścianach; nic oprócz wybielenia wa-

pnem, co popękawszy w wielu miejscach dawało widzieć goły kamień muru, podobnie jak widziimy członki i kości przez odzież podartą. W kącie, mały otwarty klawikord, z notami z opery Jana Jakóba Rousseau: Wieszczek wiejski (*Devin de village*) rozrzuconemi na instrumencie; bliżej ognia, wśród pokoju, stolik do gry, z zielonem sukniem, nacętkowany plamami atramentu, dziurami; na stoliku dwie świece lojowe palące się w dwóch lichtarzach miedzianych posrebrzanych, rzucają trochę światła i duże cienie poruszane powietrzem na wybielonych ścianach pokoju.

Naprzeciw kominka, oparłszy łokieć o stół, siedzi mężczyzna i trzyma książkę. Wzrostu wysokiego, budowy silnej. Posiada jeszcze całą jędrność młodości. Czoło jego otwarte, oko błękitne; uśmiech poważny i przyjemny odkrywa zęby świetnej białości. Kilka szczątków ubioru, nadewszystko włosy i pewna sztywność wojskowa świadczą, że to oficer co wyszedł ze służby. Gdyby o tém kto wątpił, dość było spojrzeć na jego szablę, pistolety, szyszak, i pozłacane blachy u cugli konia świecące się na goździku w murze, w głębi gabinetu otwartego z pokoju. Mężczyzna ten, nasz ojciec.

Na kanapie wyplatanej słomą siedzi w rogu, jaki tworzą kominek i ściana alkowy, kobieta wydająca się jeszcze bardzo młodą, chociaż liczy już rok trzydziesty piąty. Także wysoka, ale szczupła i kształtna jak młoda panienka. Rysy jej tak są delikatne, oczy czarne rzucają spojrzenie tak szczere i przenikające; przezroczysta skóra pozwala widzieć pod nieco bladą swą

tkanką błękit żylek i zmienną różowość najłżejszych jej wzruszeń; włosy bardzo czarne, ale bardzo miękkie, spadają tak falisto i w tak jedwabnych kędziorach wzdłuż twarzy aż na ramiona, że niepodobna powiedzieć czy ma lat ośmnaście czy też trzydzieści. Nikt nie mógłby chcieć z jej wieku zetrzeć lat co służą tylko do nadania dojrzałości fizyognomii i uzupełnienia jej piękności.

Ta piękność, chociaż czysta w każdym rysie jeżeli rozważać je będziemy po szczególe, widoczna nade wszystko w ogóle przez harmoniję, wdzięk, a nade wszystko przez odbicie się promieni miłości wewnętrznej, co jest prawdziwą pięknoscią duszy, która oświeca ciało z wewnątrz, światło którego najpiękniejsza twarz jest tylko przezroczem, zewnątrz. Młoda kobieta, na pół przechylona na poduszce, trzyma dziewczynkę śpiącą, z głową opartą na jej ramieniu. Dziecię trzyma jeszcze w palcach długie czarne kędziory włosów matki, z którymi tylko co się bawiło wprzód nim usnęło. Druga dziewczynka, starsza, siedzi na taboreciku przy kanapie; kładzie jasnowłosą główkę na kolanach matki. Ta młoda kobieta moja matka; te dwoje dzieci, dwie starsze siostry moje, dwie drugie leżą w dwóch kolebkach.

Ojciec, jakem powiedział, trzyma książkę w ręku. Czyta głośno. Słyszę teraz jeszcze jego głos męzki, pełny, jedyny, a przytém giętki, głos co się toczy w szerokich i dźwięcznych peryodach, niekiedy przerywanych biciem wiatru o okna. Matka, z głową nieco zwieszoną, słucha dumając. Ja, twarzą obrócony ku ojcu i opierając się ręką o jego kolano, piję każde słowo, wyprze-

dzam każdą powieść, pożeram książkę, której karty przesuwają się zbyt powolnie dla niecierpliwiej mojej wyobraźni. Jakaż to więc książka? ta pierwsza książka której czytanie, słuchane tym sposobem u wnijścia w życie, uczy mnie rzeczywiście czém jest książka, i otwiera przedemną, iż tak rzekę, świat wzruszeń, miłości i dumania?

Ta książka była *Jerozolima wyzwolona*; Jerozolima wyzwolona, tłumaczona przez Lebruna, z całym harmonijnym majestatem strof włoskich, ale oczyszczonym przez smak wytworny tłumacza z uderzających skaz przesady i fałszywego blasku, co plamią niekiedy męzką prostotę powieści Tassa, jak proszek złoty coby przyciemniał brylant, ale któryby zdmuchnięto. Tak więc Tass, czytany przez ojca, słuchany od matki ze łzami w oczach, pierwszy poeta co wstrząsnął fibry mojej wyobraźni i mego serca. Dlatego też należy on dla mnie do powszechniej i nieśmiertelnej rodziny, jaką każdy z nas sobie wybiera we wszystkich krajach i we wszystkich wiekach, żeby się spokrewnić z nią duszą i uczynić ją towarzyszką swych myśli.

Troskliwie zachowałem te dwa tomy; uratowałem je od wszelkich przygód na jakie zmiana pomieszkania, śmierć, sukcesy, działy, narażają biblioteki familijne. Od czasu do czasu, w Milly, w tym samym pokoju, kiedy tam przyjeżdżam sam jeden, otwieram je pobożnie; odczytuję niektóre z tych strof półgłosem, próbując udawać przed sobą głos ojca, i wyobrażając sobie że matka jest tu jeszcze z siostrami memi, słuchając czy zamyka. Doświadczam tegoż samego wzruszenia

w rymach Tassa, słyszę ten sam powiew wiatru pomiędzy drzewami, ten sam trzask gałęzi palących się na kominie; ale nie słyhać już głosu ojca mojego, ale matka zostawiła kanapę próżną; ale dwie kolebki zamieniły się w dwie mogiły co się zielenią na obcych wzgórzach! I to wszystko zawsze kończy się dla mnie kilką łzami, któremi skrapiam książkę zamykając.

KSIEGA IV.

NOTATKA I.

Wspomniałem o drugiej scenie z lat moich dziecinnych, która żywo mi utkwiła w pamięci w początkach moich uczuć. Ponieważ ci odmaluję zarazem naturę pierwotkowego wychowania, jakie odebrałem od matki, także ci ją opiszę.

Był dzień jesienny, przy końcu września, albo w początkach października. Mgła nieco złagodzona ciepłem jeszcze słońcem, unosi się nad wierchołkami gór. Już się spuszcza w leniwych falach na doliny, które zapelnia jakby rzeka co nagle pokazała się w nocy; już pływa nad łąkami o kilka stóp od ziemi, biała i nieruchoma jak płótno, co kobiety wiejskie rozścielają na trawie

żeby się bielilo na rosie; już lekki powiew wiatru rozdziera ją, popycha, łamie na dwie strony wzdłuż pagórków, i daje widziéć chwilami pomiędzy nią, wielkie widoki fantastyczne, oświecone smugami światła ponurego, spływającymi z wschodzącej zaledwo kuli słonecznej. Jeszcze ciemno we wsi. Wstaje. Moja odzież równie gruba jak dzieci kmiotków sąsiednich; ani pończochi, ani trzewików, ani kapelusza; pantalony z grubego surowego płótna, kaftan z granatowego grubego sukna; czapka wełniana farbowana ciemno, jaką dziś jeszcze noszą dzieci w górach Owernii; oto mój ubior. Zarzucam na siebie torbę cwilichową, która otwiera się z boku nakształt sakwy; w torbie, podobnie jak u moich towarzyszy jest duży kawał chleba czarnego pomieszanego z żytem, sér kozi, gruby i twardy jak kamień, i nożyk za parę groszy, w którego drewnianej ręczce niegładko ostruganej znajduje się także widelec żelazny o dwóch długich ramionach; widelec ten, w moim kraju, służy kmiotkom do brania chleba, słoniny, albo kapusty z misy, z której jedzą zupe. Tak opatrzony wychodzę i idę na plac we wsi, blisko kościoła, pod dwa duże orzechowe drzewa. Tutaj każdego ranka zbierają się koło swoich baranów, kóz i kilku krów chudych, ośmiu lub dziesięciu małych pasterzy z Milly, prawie takiego wieku co ja, wprzód nim pójdą w góry.

NOTATKA II.

Idziemy, pędzim przed sobą trzodę spólną, której długi szereg postępuje nierównym krokiem po ścieżkach

krętych i suchych pierwszych gór. Każdy z nas kolejno zagania kozy kamieniem ciśniętym z procy, kiedy się zbłąkają lub przeskoczą ploty. Wdrapawszy się na pierwsze wyniosłości nagie górujące nad wsią i gdzie idąc krokiem trzody przed godziną dostać się nie można, wchodzimy w głęboki wąwóz bardzo obszerny; ztąd nie widać ani domu, ani dymu, ani roli uprawnej. Oba boki tego samotnego łożyska okryte są krzewami z drobnym kwiatem fioletowym, długim żółtym jałowcem; tu i ówdzie kilka olbrzymich kasztanów rozciąga długie na pół nagie gałęzie. Liście zbrunatnione od pierwszego przymrozku spadają jak deszcz około drzew za najbliższym powiewem wiatru. Kilka czarnych wron uwiesza się na gałęziach najsuchszych i najbardziej martwych tych starych drzew, kracząc odlatują za naszym zbliżeniem się; duże orły lub jastrzębie, bardzo wysoko na firmamencie, kręcą się wkoło całe godziny nad głowami naszymi, czatując na skowronki wśród janowca lub na koźleta zbliżające się do matek; ogromne massy kamienia szarego, nakrapianego i nieco pożółkłego od mchu, wychodzą z ziemi gruppami po obu stromych pochyłościach wąwozu.

Trzody nasze puszczane na wolność, rozbiegają się podług woli wśród krzaków janowca. Co do nas, wybieramy jedną z grubych skał, których szczyt nieco zakrzywiony tworzy pół sklepienia i broni od deszczu kilka stóp drobnego piasku u swego podnóża. Tutaj się sadowimy. Idziemy po zeschle krzewy i gałęzie martwe co latem pospadały z kasztanów. Bierzymy krzesiwo, rozpalamy ogień pasterski, tak malowniczy gdy go widać

zdaleka, z pod góry, albo z pokładu okrętowego, zeglując niedaleko brzegu.

Mały płomień jasny i falisty wytryska przez kłęby czarne, szare i błękitne dymu z mokrych gałęzi, któremi wiatr wstrząsa jak grzywą konia uciekającego. Otwieramy nasze torby, wydobywamy chleb, sér, niekiedy jaja twardo gotowane, posypane dużymi ziarnami szarej soli. Zajadamy powoli, jak trzoda przeżuwająca. Niekiedy, jeden z nas wypatruje na końcu gałęzi kasztanów zapomnianych na drzewie po zebraniu. Wszyscy uzbrajamy się w proce, ciskamy z ręcznie chmurę kamieni, co odrywają owoc z na pół otwartą lupiny i zrzucają pod nogi nasze.

Pieczemy kasztany w popiele naszego ogniska, a jeżeli który wykopał jeszcze kilka kartosli zapomnianych w polu, przynosi, okrywamy je popiołem i węglami iżywamy dymiące się, a dodaje im smaku pycha z odkrycia i powab rzeczy zakazanej.

O południu znowu zgromadzamy krowy i kozy już dawno leżące na słońcu na grubym posłaniu zeschniętych liści i janowca. Kiedy słońce podnosząc się rozproszyło zupełnie mgłę na tych wierzchołkach błyszczących i ciepłych od światła, skupiła się ona w dolinie i na płaszczynach. Widzimy tylko pokazujące się szczyty gór, dzwonnice we wsiach położonych na wzgórzu, i na krańcu horyzontu śniegi różowe i cieniowane góry Mont-Blanc, której rozróżnić można kości olbrzymie, rogi i kąty wydatne lub wklęsłe, jak gdybyśmy znajdowali się na odległości rzutu oka.

Po zebraniu trzody, idziemy ku prawdziwej górze. Porzucamy daleko za sobą ten pierwszy wąwóz alpejski, gdzie przepędziliśmy ranek. Kasztany znikają; następują po nich drobne krzewy; pochyłości stają się bardziej spadziste; wysokie paprocie je wyścielają; tu i ówdzie duże błękitne dzwoneczki i naparstnik purpurowy zdobią je swymi kwiatami. Wkrótce to wszystko także znikną. Już tylko mech i kamienie toczące się po bokach gór.

Trzoda zatrzymuje się tutaj z jednym lub dwoma pasterszami. Inni, i ja z nimi, na ostatnim szczyście najwyższego z tych wierzchołków, obok warstwy śniegu, co tworzy białą plamę od północy i topnieje bardzo późno wśród lata chłodnego, wypatrzyliśmy od kilku dni otwór w skale co prowadzić musi do jakiegoś lochu. Widzieliśmy orły często zlatujące ku tej skale; najśmielsi z pomiędzy nas postanowili wybrać pisklęta. Uzbrojeni w kije i proce idziemy tam dzisiaj. Wszystkośmy przewidzieli, nawet ciemność jaskini. Każdy z nas przygotował od kilku dni pochodnię. Wycięliśmy w okolicznych lasach sosnowe drzewka ośmioletnie lub dziesięcioletnie. Polupaliśmy przez długość na dwadzieścia lub trzydzieści drobnych łuczyw, grubości linii albo dwóch. Zostawiliśmy tylko nietknięty dolny koniec tak polupanego drzewa, żeby łuczywo nie rozpadło się i żebyśmy mieli mocną rękę do trzymania. Powiązaliśmy nadto w pewnych odstępach drutem, ścisłującym cały pęk w jedno. Przez kilka tygodni suszyliśmy je w piecu wiejskim po wyjęciu chleba. Tak przygotowane drzewka, stwardniałe w piecu i przesiąknięte żywicą właściwą sosnom, są pochodniami które palą się powoli,

niczém zagasić się nie dają, i rzucają płomień jasno czerwony za najmniejszym powiewem wiatru. Każdy z nas dźwiga z ciężkością na ramionach taką sosnę. Stanąwszy u podnóża skały, obchodzimy ją do koła żeby znaleźć przystęp do zakrzywionego otworu po nad głowami naszymi. Dostajemy się tam czepiając się ze skały na skałę i kalecząc sobie ręce i kolana. Wejście okryte naturalném sklepieniem ogromnych skał spojonych między sobą, wszystkich nas przyjąć może. Wkrótce się zwęża, zawalonę kupami kamieni które przebyć trzeba, potem zakręcając się nagle i spuszczać się po spadzistości wschodów bez stopni, zagłębia się w górę i ciemność.

Tu nam trochę serca zabrakło. Puszczamy kamienie: łoskot ich powolnego spadania dochodzi uszu naszych przez echa podziemne. Nietoperze strwożone łoskotem wylażą ze swoich nor, i uderzają nas po twarzy lepkimi błonami. Zapalamy dwie czy trzy pochodnie. Najodważniejszy i największy idzie naprzód. My wszyscy za nim czolgamy się przez chwilę jak lis do nory. Dym pochodni dusi nas, ale nic nas nie zraża, i gdy sklepienie rozszerza się i podwyższa nagle, znajdujemy się w obszernej sali podziemnej, jakich jaskini w górach zawsze są oznaką i które służą dla nich iż tak rzekę do oddychania powietrzem zewnętrznem. Mały strumień wody przezroczystej powtarza w głębi blask naszych pochodni. Krople błyszczące jak brylanty sączą się ze sklepienia i spadając w przerwach regularnych w strumień, wydają dźwięk donośny, harmonijny i żałośliwy, który tak w małych źródłach jak w wielkich morzach zawsze jest głosem wody. Woda żywioł smutny. *Super flu-*

mina Babylonis sedimus et flevimus. Dlaczego? Bo woda płacze z całym światem. Jakkolwiek dziećmi jesteśmy, nie możemy wstrzymać się tu od rozrzewnienia.

Usiadłszy nad brzegiem szemrzącego strumyka, triumfujemy długo z odkrycia naszego, chociaż nie znaleźliśmy ani lwów, ani orłów, i dym od wielu ogniów zaczętniwszy skałę w wielu miejscach powinien był nas przekonać że nie pierwsi przypuszczeni zostaliśmy do tajemnic góry. Wykopaliliśmy się w zimnej wodzie strumyka; zmoczyliśmy w niej nasz chleb; długo szukaliśmy innej jakiej odnogi jaskini, tak dalece że kiedyśmy wyszli, już dzień skończył się i noc pokazywała pierwszê swoje gwiazdy na niebie.

Czekaliśmy aż więcej jeszcze ściemnieje. Wtedy zapaliliśmy wszyscy razem nasze pochodnie sosnowe. Trzymaliśmy je wysoko. Tak przebiegaliśmy prędko z góry na górę jak gwiazdy spadające. Wyrabiamy świetlne obroty na wydatnych pagórkach, z kąd dalekie wioski na równinie widzieć nas mogły. Stać się aż do naszych trzód jak potok ognisty. Pędzimy je przed sobą krzycząc i śpiewając. Przybywszy wreszcie na ostatnie wzgórze panujące nad wsią Milly, zatrzymujemy się, pewni że nas spostrzegą na pochyłym murawie; stajemy w koło, tańczymy, krzyżujemy kroki nasze podnosząc nad głowę zapalone drzewka; potem na wpół spalone rzucaamy w trawę. Składamy z nich jeden ogień pocieszny, gorejący powoli, i patrząc nań spuszczaamy się ku domowi matek naszych.

Tak upływały, z niektórymi zmianami stosownie do

pory roku, moje dni pasterskie. Już była to góra ze skałami, już łąka ze strumieniem pod wierzbami; tamy przy młynach, gdzie uczyliśmy się pływać; młode konie których dosiadaliśmy oklep i nużyliśmy jazdą; już winobranie z wozami pełnymi winogron, których woly poganiałem ostrzem do tego używanym, i kadzie zapienione, które deptałem nagi wraz z towarzyszami; już żniwo, i tok z gliny ubity, na którym młóciłem w takt zboże cepem zastosowanym do moich rąk dzieciennych. Nigdy człowiek nie był wychowany bliżej natury i młodszemu nie wyszał zamilowania rzeczy wiejskich, zwyczajów szczęśliwego ludu co je wykonywa, i smaku do tych prostychale rozmaitych robót koło uprawy roli, położenia miejscowego, pór roku, które to roboty nie czynią z człowieka maszyny o dziesięciu palcach bez duszy, jak jednostajne prace innych rodzajów przemysłu, ale istotę czującą, myślącą i kochającą, w bezustannych stosunkach z naturą, którą oddycha wszelkimi porami, i z Bogiem, którego czuje przez wszystkie jego dobrodziejstwa.

NOTATKA III.

Skromne, poważne i mile były pierwsze wrażenia mego życia. Pierwsze widoki jakie oczy moje oglądały nie były tego rodzaju iżby bardzo rozszerzyły lub ubarwiły skrzydła młodej wyobraźni. Później dopiero i powoli wspaniałe sceny stworzenia, morze, okazałe góry, świetne jeziora w Alpach i pomniki ludzkie w wielkich miastach, uderzyły me oczy. W początkach widziałem

to tylko co widzą dzieci najdzikszej wioski w kraju bez fizyognomii wspaniałej. Może to najlepszy warunek dobrego używania natury i dzieł człowieka, zacząć od tego co jest najskromniejszym i najpospolitszym, wtajemniczyć się, iż tak rzekę, powoli i w miarę rozwijania się duszy, do widowisk tego świata. Sam orzeł, przeznaczony wzbijać się tak wysoko i widzieć z tak daleka, zaczyna życie w rozpadlinach skały, i w młodości widzi tylko brzegi nagie i częstokroć cuchnące swojego gniazda.

Wioska nieznaną, gdzie z woli nieba urodziłem się i gdzie rewolucya i ubóstwo zagnały mego ojca i matkę, nie miała takiego coby mogło odznaczyć lub upiększyć miejsce skromnej kolebki malarza albo badacza dzieł Boskich.

NOTATKA IV.

Opuściwszy łóżysko Saony wyrte wśród łąk zielonych i pod urodzajnymi wzgórzami Macon, i dążąc ku miasteczku i ku zwaliskom starożytnego opactwa Cluny, gdzie umarł Abailard, idziemy drogą górzystą przez wyniosłości ziemi, która wzdymać się zaczyna widocznie, jak pierwsze fale podnoszącego się morza. Na prawo i na lewo bieleją wioski pośród winnic. Po nad temi wsiami, góry nagie i nieuprawne rozciągają na spadzistych i kamienistych pochyłościach szarą trawę, gdzie jak punkiki białe widzieć się dają rzadkie trzody. Wszystkie te góry wieńczy kilka mass skał wychodzących z ziemi,

których zęby, spożyte przez czas i wiatry, przedstawiają oku kształty i szczyby starych zamków rozwalonych. Idąc drogą co krąży około podstawy tych wzgórz, blisko dwie godziny drogi od miasta, znajdujemy na lewo wąską ocienioną wierzbami drożynę, która spuszcza się na łąki ku strumieniowi, gdzie słychać wiecznie bicie koła młyńskiego.

Droga ta idzie krótko wężykiem pod olszyną co ją zakrywa, obok strumienia, którego wody biegnące, kiedy nieco wzbiorą, innego nie mają łożyska; potem przechodzimy wodę mostkiem, i idziemy krętą ale stromą pochyłością w górę ku ruderom pokrytym czerwona dachówką, jakie kupią się na nad nami na szczupłej płaszczyźnie. To nasza wieś. Dzwonnica z szarego kamienia w kształcie piramidy wznosi się tam nad siedmią lub ośmią domami knieci. Kamienista droga prześlizga się od chalupy do chalupy. Przeszedłszy całą drogę, stajemy u bramy podwórza nieco wyższej i nieco szerszej od innych. To brama od dziedzińca, w głębi którego ukrywa się dom mego ojca.

Dom w rzeczy samej ukrywa się; bo nie widać go z żadnej strony, ani ze wsi, ani z głównej drogi. Zbudowany w głębi szerokiego zagłębienia doliny, niski; ze wszech stron górują nad nim dzwonnica, zabudowania wiejskie albo drzewa; przypiera do dość wysokiej góry; wszedłszy dopiero na tę górę, i obróciwszy się, widzimy na dole dom niski ale miększy, co się pokazuje jak gruby słup z kamienia czarniawego, na krawędzi wąskiego ogrodu. Czworoboczny, o jednem piętrze i trzech szerokich oknach z każdej strony. Mury nie tynko-

wane; deszcz i mech nadały kamieniom barwę ponurą i odwieczną starych klasztorów. Z dziedzińca wchodzi się do domu przez wysokie drzwi ozdobione rzeźbą. Drzwi te opierają się na szerokim ganku o pięciu stopniach z kamienia ciosanego. Ale kamienie, chociaż obtrzymane rozmiarów, tak dalece wyszczerbione, zużywane, połamane przez czas i ciężary jakie tam składano, że się zupełnie porozchodziły, że chwieją się z głuchym szelestem pod nogami, że pokrzywa, pomurnik wilgotny rosną tu i owdzie w szczelinach, a małe żabki letnie, głosem cichym i melancholicznym śpiewają tam wieczorem jakby pośród bagna.

Wchodzimy naprzód w korytarz szeroki i światły, ale szerokość jego zmniejszają obszerne szafy z drzewa orzechowego z rzeźbami, gdzie włościanie składają bieliznę, tudzież wory ze zbożem lub z mąką na codzienne potrzeby domu. Na lewo kuchnia, której drzwi, zawsze otwarte, widzieć dają długi stół dębowy otoczony ławami. Rzadko się zdarza żeby tam nie było chłopów siedzących u stołu o każdej godzinie dnia, gdyż obrus zawsze nakryty, bądź dla robotników, bądź dla nieprzeliczonych przybyszów, którym zwykłe dają chleb, wino i sэр, we wsiach oddalonych od miast, gdzie nie ma ani oberży, ani szynkowni. Na prawo wchodzi się do sali jadalnej. Całą jej ozdoba stół sosnowy, kilka krzeseł i stary kredens z przegródkami, z licznymi szufladkami i półkami, sprzęt dziedzienny we wszystkich starych pomieszkaniach, i odmłodzony przez smak dzisiejszy co go troskliwie wyszukuje. Z sali jadalnej przechodzi się do sali o dwóch oknach, jednem wy-

chodzącem na dziedziniec, drugiem od północy na ogród. Wschody, wówczas drewniane, które ojciec przerobił na kamienne grubo wyciosane, prowadzą na jedyne i niskie piętro, gdzie dziesiątek pokoi prawie bez mebli wychodzi na ciemne korytarze. Przeznaczone były wtedy dla rodziny, gości i domowników. Oto jest wnętrze domu co nas tak długo hodował w swoich murach posepnych i ciepłych; oto strzecha którą matka moja nazywała z taką miłością swoją Jerozolimą, swoim domem pokoju! Oto gniazdo co nas chroniło tyle lat od deszczu, zimna, głodu, powiewu świata; gniazdo gdzie śmierć przyszła z kolei zabrać ojca i matkę, i z kądem dzieci jedno po drugim odleciały, to w jedno miejsce, to w inne, niektóre do wieczności!... Ja troskliwie zachowuję jego resztki, słomę, mech, pierze, i chociaż dzisiaj jest puste, samotne i ostygłe po tych wszystkich rozkosznych czułościach jakie je ożywiały, lubię je widzieć i spocząć tam niekiedy, jak gdyby miejsca zachowywały obecne wrażenie rzeczy, i jak gdybym miał tam usłyszeć przebudziwszy się głos matki mojej, chód ojca, wesoly krzyk siostr, i całą tę wrzawę młodości, życia i miłości, jaka brzmi dla mnie jednego pod staremi belkami, i ja jeden tylko ją słyszę, i przedłużam ją jeszcze czas niejaki.

NOTATKA V.

Zewnętrzna postać pomieszkania odpowiada wewnętrznej. Od strony dziedzińca, widok rozciąga się tylko na tlokarnię wina, szychty drzewa i obory.

Przez bramę zawsze otwartą od ulicy wiejskiej widać codziennie idących w pole lub wracających kmiotków. Niosą narzędzia rolnicze na jednym ramieniu, a na drugim długą kolebkę, gdzie śpi ich dziecko. Żona idzie za nimi do winnicy, niosąc częstokroć drugie dziecko u piersi. Koza z kozłkiem idzie potem, zatrzymuje się chwilę żeby poigrać z psami przy bramie, później skacze żeby ich dognać.

Z drugiej strony ulicy jest piec ogólny, z którego dymini się ustawicznie, zwykle miejsce schadzki starców, ubogich kobiet sprzedających i dzieci co się ogrzewają przy popiele wiecznego ogniska. Owoż wszystko co widać z jednego okna salonu.

Przez drugie okno wychodzące na północ, wzrok zapuszcza się po nad mury ogrodu i dachówki kilku domów niskich na horyzont gór posepnych i prawie zawsze zamglonych, z kądem pokazuje się, już oświecony promieniem słońca pomarańczowego, już z pośrodku mgły, stary zamek w zwaliskach, opasany wieżyczkami i wieżami. Jest to rys charakterystyczny obrazu. Odbieramy te zwaliska, a świetne odbłaski wieczoru o jego mury, fantastyczne kłęby mgły około jego wieżyc wijące się, zniknęłyby nazawsze wraz z nimi. Pozostałaby tylko czarna góra i wąwóz żółtawy. Żagiel na morzu, zwaliska na górze, stanowią całkowity krajobraz. Ziemia jest tylko sceną; myśl, dramat i życie dla oka mieszczą się w śladach człowieka. Tam gdzie życie, tam jest interes.

Tył domu wychodzi na ogród, szczupły plac na ciewieré morga, opasany czarnym kamieniem. W końcu

ogrodu góra zaczyna podnosić się nieznacznie, naprzód uprawna i zieleniąca się winnicą, potem wytarta, szara i naga jak mchy bez ziemi roślinnej co rosną na kamieniu i których prawie rozróżnić niepodobna. Dwie albo trzy skały bez blasku lekko wyzębają jej wierzchołek. Ani jedno drzewo, ani jeden krzew nie przechodzi wysokości wyścielających ją zarośli. Ani jedna chatka, ani jeden dym jej nie ożywia. To też może nadaje wdzięk tajemny temu ogrodowi. Podobny do kolebki dziecięcia, którą żona rolnika ukryła w bródzie pola, wtenczas gdy on pracuje. Dwa boki brzozy ukrywają brzeg strumyka, i kiedy firanka się podniesie, dziecię widzi tylko cząstkę nieba pomiędzy dwiema nierównościami ziemi.

Co się tyczy ogrodu w sobie samym, nosi tylko jego nazwisko. Mógł być uważany za ogród tylko w pierwotnych dniach, kiedy Homer opisuje skromne ogrodzenie i siedm łąk starego Laertes. Ośm kwater jarzyn, powycinane pod kątem prostym, osadzone drzewami owocowymi, i przegrodzone ścieżkami okrytymi trawą i piaskiem żółtym; w końcu tych ścieżek, na północ, ośm sękowatych pni starego grabu, co tworzą ciemną altanę nad drewnianą ławką; druga mniejsza jeszcze altanka w głębi ogrodu, z wijących się latorośli winnych z Judei pod dwiema wiśniami; otóż wszystko. Zapomniałem powiedzieć że nie tylko szemrzącego strumyka, nie tylko studni o zielonawych i wilgotnych kamieniach, lecz nie masz kropli wody na całej tej ziemi; ale zapomniałem o małym rezerwoarze jaki ojciec wykuł w skałę na zbieranie wody deszczowej; koło tej wody zielonej i stojącej, dwanaście sykomor i kilka jaworów, udzielają trochę cienia

kątkowi ogrodu z po za murów, i zasiewają szerokimi liśćmi żółtklemi przez upały letnie gęstą warstwą zbieranej wody.

Owoż wszystko. A przecież to wystarczało przez tyle lat dla uciech, dla radości, dla dumań, dla słodkiego odpoczynku i pracy ojca, matki i ośmiorga dzieci! Owoż co dzisiaj jeszcze wystarcza na pielęgnowanie ich wspomnień. Oto Eden dzieciennego wieku, gdzie się chronią najpogodniejsze ich myśli, kiedy chcą wyszukać trochę owęj rosy poranku życia, i trochę światła ubarwionego pierwszej godziny, które czyste i promieniste jaśnieje dla człowieka tylko nad temi pierwszymi miejscami jego kolebki. Nie masz drzewka, goździka, mchu w tym ogrodzie, któryby nie wrósł w duszę naszą, jak gdyby część jej składał! Ten kątek ziemi wydaje się nam ogromnym, tyle bowiem obejmuje dla nas rzeczy i wspomnień na tak ciasnej przestrzeni. Ubogie sztachety drewniane, zawsze polamane, prowadzące tutaj, przez które wpadaliśmy śród radośnych okrzyków; grządy z salatą, podzielone dla nas na tyleż ogródków i które uprawialiśmy sami; wzgórek u podnóża którego ojciec mój wróciwszy z polowania siadał, a psy u nóg jego leżały; ścieżka po której matka przechadzała się o zachodzie słońca, odmawiając poeichu monotony różaniec, co myśl jej zwracał ku Bogu, kiedy serce i oczy pielęgnowały nas przy niej; kawałek murawy w cieniu, od północy, na dni gorące; mały mur ciepły od południa, gdzie stawaliśmy z książkami w ręku, na słońcu, jak szpaler w jesieni; trzy bzy, dwa drzewa orzechowe, poziomki wysłedzone pod liśćmi, śliwki, gruszki, brzoskwinie

znalezione zrana, lgnące swoją zlocistą gummą i zmoczone rosą pod drzewem; a później altanka zgrabiny, której każdy z nas a ja nadewszystko szukał o południu żeby tam czytać spokojnie ulubione książki; i wspomnienie wrażeń niewyraźnych, co się rodziły dla nas z tych kart, a później jeszcze wspomnienie rozmów poufnych jakie miewaliśmy tu i owdzie, na téj lub na owéj ścieżce ogrodu, i miejsce gdzieśmy się żegnali odjeżdżając na długo, gdzieśmy się spotykali za powrotem, gdzie się odbywały niektóre z poufnych scen patetycznych ukrytego dramatu familijnego, gdzie widzieliśmy zasępioną twarz ojca, gdzie matka płakała przebacząc nam, gdzie padaliśmy jęj do nóg chowając czoło w jęj sukni; miejsce gdzie oznajmiono jęj o śmierci córki ukochanej, gdzie podniosła w niebo oczy i ręce, poddając się woli Boskiej. Wszystkie te obrazy, wszystkie te wrażenia, wszystkie te grupy, wszystkie te twarze, wszystkie te szczęścia, wszystkie te czułości zaludniają jeszcze dla nas ten szczupły obręb, jak go zaludniały, ożywiały, okrywały urokiem przez tyle dni, najslodszych z dni, i to czynią, że skupiając myślą nasz byt upłyniony później, na tych samych ścieżkach otulamy się iż tak rzekę tą ziemią, temi drzewami, temi roślinami co się z nami pospółu porodziły, i chcielibyśmy żeby świat zaczął się i skończył dla nas razem z murami téj ubogiej zagrody!

Rodzicielski ogród dzisiaj jeszcze ma taką samą postać. Drzewa tylko trochę zestarzałe zaczynają wyścielać swoje pnie płamami mchu; krzaki róż i goździków powysuwały się na piasek, i zwęziły ścieżki. Krzaki te rozciągają swe włókna, w których nogi się

plączą. Dwa słowiki śpiewają jeszcze śród nocy letniej w dwóch pustych altanach. Trzy sosny posadzone przez matkę powtarzają jeszcze w swoich gałęziach powiew melodyjny. Słońce takim samym blaskiem jaśnieje śród obłoków o zachodzie. Kosztujemy tegoż samego milczenia przerywanego jedynie od czasu do czasu dźwiękiem dzwonu na Anioł Pański, lub przez jednotonny i usypiający loskot cepów, któremi chłopci młócą zboże w stodółkach. Ale rośliny pasorzytne, ciernie i głogi, duże malwy błękitne wznoszą się wgęstych kłatach pomiędzy różami. Błuszcz rozszerza swoje poszarpane draperye na murach. Każdego roku coraz więcej rozpósciera się na oknach zawsze zamkniętych pokoju matki naszéj; i kiedy przypadkiem przechadzam się tam i zapomnę się na chwilę, wyrwa mnie z samotności tylko stąpanie starego winobrańca, co był ogrodnikiem u nas w owych czasach, i przychodzi kiedy niekiedy odwiedzić swoje kwiatki, jak ja moje wspomnienia, moje widzenia i moje ale.

NOTATKA VI.

Znasz teraz to pomieszkanie tak dobrze jak ja. Ale czemuż nie mogę choć na jedną chwilę ożywić dla ciebie tego siedliska życia, ruchu, zgiełku, czułości, jakie zapelniały je dla nas? Miałem już lat dziesięć kiedy jeszcze nie wiedziałem co znaczy gorycz serca, kłopot umysłu, surowa twarz człowieka. Wszystko było swobodne we mnie i uśmiechające się koło mnie. Nie byłem wszelako ani wycieńczony pieścizotami tych komu wi-

nieniem był posłuszeństwo, ani puszczone bez cugli na swawolne wymagania mojej wyobraźni albo żądz dziecięcych. Żyłem tylko pośród zdrowej i zbawienną pełności życia, pomiędzy ojcem i matką, i oddychałem koło nich tylko miłością, pobożnością i zadowoleniem. Kochać i być kochanym, oto było dotąd całe moje wychowanie fizyczne; odbywało się ono samo przez się na otwartem powietrzu i w zabawach prawie dzikich które ci opisałem. Roślinę odkrytej ziemi i gór, nie chciano mnie pieścić. Pozwalali mi rość, wzmacniać się i rozwijać walcząc zimą i latem z żywiołami. Taki tryb życia bardzo był dla mnie korzystny i byłem wówczas jednym z najpiękniejszych dzieci, które kiedykolwiek stąpały bosą nogą po kamieniach naszych gór, gdzie przecież pokolenie jest tak zdrowe i tak piękne. Oczy ciemno szafrowe, jak u matki mojej, rysy twarzy czyste i prawie rzymskie, zlagodzone wyrazem nieco dumającym jak u niej, lśniący promień radości wewnętrznej co twarz całą oświecał; włosy bardzo miękkie i bardzo delikatne, złocisto ciemne, jak dojrzala łupina kasztanów, spadające raczej falisto niżeli w kędziorach, po szyi śniadą od upału; wzrost wysoki już na mój wiek, ruchy zwinne, giętkie i zgrabne; tylko nadzwyczajna delikatność skóry odziedziczona także po matce, i skłonność do rumienienia się i blednięcia co zdradzała delikatność włókien, szybkość i siłę wzruszeń od serca do twarzy; wogólności, portret matki; z dodatkiem męskiego tonu w wyrazie twarzy: oto dziecko jakim byłem podówczas. Szczęśliwy postacią, szczęśliwy sercem, szczęśliwy charakterem; życie napisało na całej mojej istocie słowa:

szczęście, moc i zdrowie. Czas, edukacja, błędy, ludzie, zmartwienia, zatarły je; ale te tylko obwiniam, a siebie nadewszystko. Nie miałem nic przeto do wyrzucenia naturze.

NOTATKA VII.

Całe moje wychowanie było w oczach więcej lub mniej wesołych i w uśmiechu więcej lub mniej otwartym matki. Cugle mojego serca były w jej sercu. Niczego nie wymagała odemnie tylko żebym mówił prawdę i był dobry. Wcale mię to nie kosztowało. Ojciec dawał mi przykład szczerości z największą skrupulatnością; matka, przykład dobroci aż do najheroiczniejszego poświęcenia. Dusza moja oddychając tylko dobrocią, nic innego wydawać nie mogła. Nie miałem nigdy potrzeby walczyć ani z sobą samym, ani z nikim. Wszystko mię przyciągało, nic mi się nie sprzeciwiało. Odrobiny których mię uczono przedstawiano mi jako nagrodę. Nauczycielami moimi byli ojciec i matka. Widziałem jak czytali i chciałem czytać; patrzyłem jak pisali i prosiłem żeby mi pomogli kreślić litery. To wszystko się odbywało przy zabawie, w chwilach próżnowania, na kolanach, w ogrodzie, przy kominku w salonie, wśród uśmiechów, swawoli, pieszczot. Nabierałem do tego upodobania; sam wywoływałem krótkie i bawiące nauki. Tym sposobem nauczyłem się wszystkiego, wprawdzie trochę późno, ale niepamiętając jak się nauczyłem, i żadna brew nie znarszczyła się ucząc mnie. Postępowałem nieczując

że ide. Myśl moja, w ciągłym obcowaniu z myślą matki rozwijała się, iż tak rzekę, w jej własnej. Inne matki noszą tylko dziewięć miesięcy dziecię w swoim łonie; ja mogę powiedzieć że moja matka nosiła mię lat dwa-nastcie w łonie własnym, i że żyłem jej życiem moral-nym jak żyłem jej życiem fizycznym w jej wnętrznościach, aż do chwili kiedy gwałtownie i nieszczęśliwie wydarty ztąd zostałem, żeby żyć zgnilem lub przynajmniej lodo-watym życiem kolegijów.

Nie miałem przeto ani nauczyciela pisania, ani nauczy-ciela czytania, ani nauczyciela języków. Sąsiad ojca mego, pan Bruys de Vandran, człowiek utalentowany, co porzucił świat na którym żył wiele, odwiedzał nas raz w tydzień. Dawał mi ślicznie napisane wzory kalli-graphii, które przepisywałem, i oddawałem do popra-wy gdy przyszedł znowu. Wcześniej smakować zaczą-łem w czytaniu. Z trudnością wynajdywano dość książek zastosowanych do wieku mego dla nasycenia mojej cie-kawości. Książki pisane dla dzieci już mi nie wystar-czały. Z zazdrością poglądałem na tomy stojące na kilku półkach w gabinecie przy salonie. Ale matka miarkowa-ła we mnie niecierpliwość wiadomości. Dawała mi książki tylko powoli i z rozsądnym wyborem. Biblija skrócona i zastosowana do pojęcia; bajki Lafontena, które wyda-wały mi się zarazem dziecinne, fałszywe i okrutne, i których nigdy na pamięć nauczyć się nie mogłem; dzieła pani de Genlis, Berquina; wyjątki z Fenelona i Ber-nardin de Saint-Pierre, które mię wówczas już zachwycaly; *Jerozolima wyzwolona*, *Robinson*, kilka tragedij Wol-tera, nadewszystko *Meropa* wybrana przez ojca; w tychto

dziełach czerpałem, jak roślina z gruntu, pierwsze soki pożywne młodocianego mego pojęcia. Ale czerpałem nadewszystko w duszy matki, czytałem przez jej oczy, czułem przez jej wrażenia, kochałem przez jej miłość. Tłumaczyła mi ona wszystko: naturę, uczucie, wrażenia, myśli. Bez niej nie umiałbym nic wysyllabi-zować z dzieła stworzenia jakie miałem przed oczyma; ale przykładala mój palec do każdej rzeczy. Dusza jej tak była jasna, tak ubarwiona i tak gorąca, że na niczem nie zostawiała ciemności i zimna. Dając mi powoli wszystko zrozumieć, wszystko zarazem uczyła kochać. Słowem, nauka nieznaczna jaką odbierałem, nie była lekcyą, ale właśnie czynność życia, myślenia i czucia odbywałem pod jej okiem, z nią, jak ona i przez nią. Żyliśmy w parze. Tym sposobem serce kształciło się we mnie na wzór na który nie miałem nawet potrzeby patrzeć, tak dalece był zlany z własnem mojem sercem.

NOTATKA VIII.

Matka niewiele się troszczyła o to co nazywają instru-kcyą; nie pragnęła zrobić ze mnie dziecka dojrzałego na swój wiek. Nie podbudzała mnie do owego spółzawodni-ctwa, które jest tylko zazdrością pychy dziecinną. Nie porównywała mnie do nikogo; nie wywyższała mnie ani upokarzała nigdy temi niebezpiecznemi porówna-niami. Słusznie myśliła że skoro umysłowe siły moje rozwiną się z laty i przez zdrowie ciała i umysłu, nauczę się dość biegle téj trochy greczyzny, łaciny i liezb, z któ-

rych się składa ta uczoność oklepana, jaką nazywają edukacją. Chciała ona ukształcić we mnie dziecko szczęśliwe, rozum zdrowy, i duszę kochającą; stworzenie Boskie nie zaś lalkę ludzką. Czerpała pomysły swoje o wychowaniu naprzód w duszy własnej, a potem w Janie Jakóbie Rousseau i w Bernardin de Saint-Pierre, tych dwóch filozofach kobiecych, ponieważ są filozofami uczucia. Znała i widziała jednego i drugiego gdy była dzieckiem, u matki swojej; czytała ich później i bardzo smakowała; młodziuchna słyszała roztrząsane po tysiąc razy ich systemata przez panią de Genlis i osoby umiętne zajmujące się wychowaniem dzieci księcia Orleańskiego. Wiadomo że ten książę pierwszym był co się ośmielił zastosować teorie owęj filozofii naturalnej do wychowania swoich synów. Matka moja, wychowana z nimi i prawie jak oni, miała przenieść na swe dzieci te tradycje własnych lat dziecinnych. Czyniła to z wyborem i rozważą. Nie mieszała tego co przystoi uczyć książąt, umieszczonych urodzeniem i bogactwem na szczycie społeczności, z tém co przystoi uczyć dzieci ubogich i nieznanych famillij, umieszczone bardzo blisko natury w skromnych powołaniach pracy i prostoty. Ale to myślała że w każdym położeniu życia trzeba naprzód ukształcić człowieka, i kiedy jest już człowiek, to jest istota rozumna, czuła i w słusznym stosunkach z sobą samym, z innymi ludźmi i z Bogiem, czy jest księciem czy rzemieślnikiem, mniejsza o to, jest tém czém być powinien; czém jest, to dobre, i dzieło matki jego spełnione zostało.

Według takiego systematu wychowywała mnie. Edu-

kacya moja była edukacyą filozoficzną z drugiej ręki, edukacyą filozoficzną poprawioną z przydaniem czułości przez macierzyństwo.

Fizycznie, wychowanie to wpływało wiele z Pitagoresa i *Emila*. I tak, największa prostota w odzieży i najściślejsza skromność w pokarmach, składały jego podstawę. Matka była przekonana, i zachowałem w tym względzie jęj przekonanie, że zabijać zwierzęta dla karmienia się ich mięsem i krwią, jedną jest z najopłakawszych i najobrzydliwszych ułomności rodu ludzkiego; że jest jednym z przekleństw rzuconych na człowieka bądź przez upadek jego w epoce nieznanej, bądź przez zatwardziałość we własnym zepsuciu. Wierzyła, i ja wierzę jak ona, że te nałogi zatwardziałości serca względem zwierząt najłagodniejszych, naszych towarzyszków, naszych pomocników, naszych braci w pracy, a nawet w przywiązaniu tutaj na ziemi, że te zabijania ofiar, ten widok drgającego mięsiwa, służą ku zdziczeniu i rozstrojeniu instynktów serca. Wierzyła, i ja także wierzę, że ten pokarm daleko soczystszy i energiczniejszy na pozór, zawiera w sobie pierwiastki drażniące i zgnile, które zaostwiają krew i skracają dni człowieka. Przytaczała, na poparcie tych wyobrażeń o wstrętności, ludność nieprzeliczoną, łagodną, pobożną, w Indyach, która zakazuje sobie wszystkiego co miało życie, i silne, zdrowe pokolenia pasterzy, nawet pracowitą ludność wsi naszych, która pracuje najwięcej, żyje najskromniej i najdłużej, a zaledwo dziesięć razy w życiu pożywa mięso. Nigdy mi go jeść nie dawała nim doszedłem do lat kiedy mnie wrzucono w wspólne życie kolegijów. Żeby odjąć mi

chęć do tego, jeślibym ją miał, nie używała rozumowań, ale instynktu, co lepiej w nas rozumuje niżeli logika.

Miałem baranka darowanego mi od kmiotka w Milly, i którego nauczyłem chodzić za mną wszędzie jak pies najprzysiężniejszy i najwierniejszy. Kochaliśmy się z sobą tą pierwszą miłością, jaką dzieci i młode zwierzęta naturalnie mają jedne ku drugim. Jednego dnia, kucharka rzekła do matki, w mojej obecności:

— „Pani, baranek tłusty, rzeźnik przyszedł po niego; czy pani każe oddać?” Ja powstałem przeciwko temu, rzuciłem się na baranka, pytałem co rzeźnik chce z nim zrobić i co to znaczy rzeźnik. Kucharka odpowiadała że to człowiek co za pieniądze zabija jagnięta, barany, cieleta i piękne krowy. Nie mogłem wierzyć. Prosiłem matki. Z łatwością wyjednałem łaskę dla mego przyjaciela. W kilka dni później, matka idąc do miasta wzięła mię z sobą i niby przypadkiem poprowadziła przez szlachtuz. Widziałem tu ludzi z obnażonemi i krwią zbroczonemi rękami, zabijających wół; inni zarzynali cieleta i barany, i rozrzucaли drgające jeszcze ich członki. Potoki krwi kurzyły się tu i owdzie na bruku. Ogarnęło mię głębokie politowanie pomieszane ze wstrętem. Prosiłem żeby iść przedź. Wyobrażenie tych scen okropnych i obrzydliwych, koniecznego wstępu do jednego z półmisków mięsa jakie zastawiają na stole, wzbudziło we mnie odrazę do pokarmu zwierzęcego, a wstręt do rzeźników. Chociaż konieczność zastosowania się do warunków społeczności w którą żyjemy skłoniła mnie później do pożywania tego wszystkiego co wszyscy jedzą, zachowałem wszelako wyrozumowany wstręt do

pieczonego mięsiva, i trudno mi było nie widzieć w powołaniu rzeźnika coś z powołania kata.

Do dwunastu lat żyłem więc tylko chlebem, nabiałem, jarzynami i owocami. Zdrowie moje atoli niemniej było czerstwe, wzrost niemniej szybki, i może takimuto rodzajowi życia winien jestem czystość rysów, wysoką czułość wrażeń i tę pogodną łagodność humoru i charakteru, jaką zachowałem aż do tej epoki.

NOTATKA IX.

Co się tyczy uczuć i wyobrażeń, matka czuwała nad naturalnem ich rozwijaniem się we mnie, kierując niem gdy ja tego nie postrzegałem, i może sama niepostrzegając tego. Systemat jej nie był sztuką, ale miłością. Dla tego też był nieomylny. Tém się zajmowała nadewszystko żeby zwracać bez ustanku myśli moje ku Bogu, i ożywiać tak dalece te myśli obecnością i uczuciem ustawiczném Boga w duszy, że religija moja stała się dla mnie rozkoszą, a wiara rozmową z niewidomym. Trudno było żeby się jej nie powiodło, gdyż pobożność jej miała charakter czułości jak wszystkie inne jej cnoty.

Matka moja nie była tém co rozumieją przez kobietę genialną, w wieku kiedy kobiety wzbily się do tak wielkiej wysokości myśli, stylu i talentu we wszystkich rodzajach. Nawet nigdy nie pożądała tego. Nie ówoczyła swoich władz umysłowych nad tak rozległemi przedmiotami. Nie przyciskała rozważań łatwych i elastycznych

spreżyn giętkiej swojej wyobraźni; nie miała w sobie ani powołania ani sztuki kobiety wyższej owego czasu.

Nigdy nie pisała dlatego żeby pisać, a tém mniej żeby być wychwalaną, chociaż pisała wiele dla siebie, i żeby wyszukać w księdze swojego sumienia i wypadków życia wewnętrznego moralne zwierciadło siebie samęj, w którym przeglądała się często, żeby się porównać i ulepszyć. Ten zwyczaj zapisywania życia swego, jaki zachowała aż do końca, wydał piętnaście do dwudziestu tomów poufałych jęj zwierzeń się Bogu, które miałem szczęście zachować, i gdzie ją znajduję zupełnie żyjącą, kiedy mi trzeba szukać jeszcze przytulku na jęj łonie.

Niewiele czytała, z obawy nadwreżenia wiary tak żywej i tak posłusznej temu co sądziła że jest-glosem Boga. Nie pisała z tą siłą pojęcia i z takim blaskiem obrazów, jakie charakteryzują dar wysłowienia się. Mówiła i pisała z prostotą jasną i płynną kobiety która nigdy sama sobą się nie zaprzęta, i od słów żąda tylko trafnego oddania jęj myśli, jak żądała od ubioru swego żeby ją tylko odziewał ale nie upiększał. Wyższość jęj nie była w głowie ale w duszy. W sercu Bóg umieścił geniusz kobiet, ponieważ dzieła tego geniuszu wszystkie są dziełami miłości. Tkliwość, pobożność, odwaga, heroizm, stałość, poświęcenie się, zaparcie się siebie samęj, wesołość czuła, ale panująca wiarą i wolą nad tém co w nięj cierpiało: oto były rysy tego geniuszu wzniosłego, jaki wszyscy co się zbliżali do nięj, czuli w jęj życiu nie zaś w jęj dziełach pisanych. Ci co byli koło nięj, czuli że powabem panuje nad nimi. Wyższość tę uznawano tylko ją uwielbiając.

NOTATKA X.

Gruntem tęj duszy było uczucie nieskończoności, niezmiernie, rzewne, i pocieszające. Była zanadto czuła i zanadto wzniosła dla lichych drobiazgowych ambicj tego świata. Przechodziła-go, ale na nim nie mieszkała. To uczucie nieskończoności we wszystkiem a nadewszystko w miłości, musiało zamienić się dla nięj we wzywanie i westchnienia bezustanne do tego co jest je go źródłem, to jest do Boga. Powiedzieć można iż żyła w Bogu, o ile wolno istocie stworzonej żyć w nim. Nie masz ani jednęj strony jęj duszy, któraby tam nie była ustawicznie obrócona, któraby nie była przezroczystą, świetną, rozgrzaną temi promieniami z góry, spływającemi wprost od Boga na myśli nasze, i które przenikają w nas przez ciemność chaosu dusz naszych jak światło niebios przez kryształ zamkniętych naszych pomieszczeń. Ztąd wynikała dla nięj pobożność, która się nigdy nie chmurzyła. Nie była ona dewotką, nie miała żadnych głupich strachów Boga, tych dzieciństw, tego niewolnictwa duszy, tego zbydłecenia myśli co składają nabożność u tylu kobiet, i które w nich są tylko przedłużeniem dzieciennego wieku na całe życie, albo starością zgryźliwą i zazdrośną, która mści się namiętnością świętą za namiętności świeckie, jakich już mieć nie mogą.

Religija jęj, równie jak geniusz, cała mieściła się w duszy. Wierzyła pokornie; kochała gorąco; nadzieję miała mocną. Wiara jęj była czynem cnoty nie

zaś rozumowania. Uważała ją jako dar Boga otrzymany z rąk matki, i który byłoby występkiem roztrząsać i puszczać na wolą wiatrów po drodze. Później, wszelkie rozkosze, modlitwy, wszelkie lzy uwielbienia, wszystkie wylania się serca, wszelkie troski jęj życia i wszelkie nadzieje jęj nieśmiertelności, tak dalece zespoliły się z jęj wiarą, że czyniły ją, iż tak rzekę, częścią jęj myśli, i że nadwierżając lub tracąc swoje wiare, mniemałaby że traci zarazem niewinność, cnotę, miłość i szczęście tutaj, i zakład szczęścia wyżej, nareszcie swoje ziemie i niebo! Tyle więc przywiązana była do niej ile do swego nieba i ziemi. A przytęm urodziła się pobożną, jak się rodzi poetą; pobożność była jęj naturą, miłość Boga była jęj namiętnością! Ale ta namiętność, ogromem swego przedmiotu i przez samą pewność jego posiadania, była pogodna, szczęśliwa i czuła, jak wszystkie inne jęj namiętności.

Ta pobożność była częścią jęj samęj, którą najgoręcej pragnęła nam udzielić; uczynić z nas stworzenia Boskie w duchu i prawdzie było jęj myślą najbardziej macierzyńską. W tē także powodziło się jęj bez systemu i bez wyteżeń z tą precudną zręcznością natury, jakiej żadna sztuka wyrównać nie zdoła. Pobożność co wypływała z każdego jęj technienia, z każdego postępku, z każdego gestu, oblewała nas, iż tak rzekę, niebieską atmosferą tu na ziemi. Wierzyliśmy że Bóg stoi za nią i że usłyszymy go i ujrzymy, jak zdawało się że ona sama widzi go i słyszy i rozmawia z nim przy każdym wrażeniu dnia. Bóg był dla nas jak jeden z pomiędzy nas. Urodził się w nas z naszymi pierwszymi i najbar-

dziej nieokreślonymi wrażeniami. Nie pamiętaliśmy żebyśmy go kiedy nie znali; nie było pierwszego dnia kiedy nam mówiono o nim. Widzieliśmy go zawsze jako trzeciego pomiędzy matką naszą a nami. Jego imię było na ustach naszych z mlekiem macierzyńskim, belkocząc, nauczyliśmy się mówić. W miarę jak się rośli, uczynki co czynią go obecnym a nawet dotykającym dla duszy, spełniały się dwadzieścia razy w dzień przed naszymi oczyma. Zrana, wieczorem, przed jedzeniem, po jedzeniu, odmawialiśmy krótkie modlitwy. Kolana matki długi czas były naszym ołtarzem domowym. Promienista jęj twarz zawsze była zakryta w tēj chwili pokornego i nieco uroczystego skupienia ducha, które w nas samych obudzało uczucie ważności aktu jaki ona nam wpajała. Kiedy się pomodliła z nami i nad nami, piękna jęj twarz stawiała się jeszcze łagodniejszą i tkliwszą. Czuliśmy że się porozumiała z swoją siłą i radością, żeby jęj więcej zlać na nas.

KSIEGA V.

NOTATKA I.

Wszystkie nasze nauki religii ograniczały się ze strony matki na tém żeby być religijną w obecności nas i z nami. Nieustanne wylanie się miłości, uwielbienia, wdzięczności i modlitwy, jakie wydobywało się z jęj duszy, było jęj jedyném i naturalném kazaniem. Modlitwa, ale modlitwa szybka, liryczna, skrzydlata, łączyła się z najdrobniejszymi czynnościami naszego ducha. Takie wezwanie tak stosownie z niemi się łączyło, że zawsze było rozkoszą i ochłodą, zamiast być musem i trudem. Życie nasze w rękach téj kobiety było wieczném *sursum corda*. Podnosiła się tak naturalnie ku myśli o Bogu, jak rośli na ku powietrzu i światłu. Matka nasza, w tym wzglę-

dzie, postępowała na opak temu jak się zwykle postępuje. Zamiast nakazywać nam nabożeństwo martwiące, co odrywa dzieci od zabaw albo snu żeby je zmuszać do modlenia się Bogu, i często śród ich wstępu i lez, wyprawiała dla nas zabawę duszy z tych krótkich wezwań, do których nas powoływała z uśmiechem. Mięszała modlitwy nie do lez naszych, ale do wszystkich drobnych wypadków szczęśliwych, jakie się nam trafiały w ciągu dnia. I tak, kiedy nas obudzono na łóžeczkach, kiedy wesole słońce poranne zabłysło w naszych oknach, kiedy ptaszki śpiewały na krzaczkach róż albo w swoich kłatkach, kiedy chodzenie służących dawno już słyszeć się dawało w domu, i kiedy niecierpliwie czekaliśmy na matkę żeby wstać, wchodziła z twarzą zawsze promieniącą się dobrocią, czułością i łagodną wesołością, całowała nas w łóžeczkach; pomagała nam ubierać się; słuchała radośnego gadania dzieci, których odświeżona wyobraźnia szczebioce przy zbudzeniu się, podobnie jak drobne jaskółki w gniazdku na dachu świegocą kiedy matka przelatuje; potem mówiła do nas: „Komu winni-
„śmy szczęście którego razem kosztować będziemy? Bo-
„gu, naszemu ojcu niebieskiemu. Gdyby nie on, możeby
„to piękne słońce nie weszło; te drzewa postradałyby
„swe liście; wesole ptaszki pomarłyby z głodu i zimna
„na ziemi nagięj, a wy, biedne moje dzieci, nie miały-
„byście ani łóžeczka, ani domu, ani ogrodu, ani matki,
„coby was przytuliła i wykarmiła, bawiła przez całą wa-
„szą porę! Słusznie więc trzeba mu dziękować za
„wszystko co nam daje z dzisiejszym dniem, błagać go
„żeby nam dał wiele innych podobnych dni.” Wówczas

klękała przed naszym łódeczkiem, składała drobne rączki nasze, i często całując je w swoich, odmawiała powoli i półgłosem krótką modlitwę poranną, którąśmy powtarzali jej tonem i słowami.

Wieczorem, nie czekała aż oczy nasze snem obciążone zamkną się do połowy żebyśmy wybelkotali jak przez sen słowa, co przykro opóźniałyby godzinę spoczynku; zgromadzała do sali, zaraz po wieczery, domowników, nawet kmiotków z najbliższych chalup, i największych przyjaciół domu. Brała książkę pobożnych nauk chrześcijańskich dla ludu; czytała kilka krótkich stronic przed wiejskimi swymi słuchaczami. Po tym czytaniu następowała modlitwa, którą sama odmawiała głośno, albo siostry moje w jej miejscu kiedy były już starsze. Słyszę teraz jeszcze nótę owych litanij jednotonnych, co się głucho przelewała pod belkami i podobna była do regularnego przypływu i odpływu fal serca, objających się o brzegi życia i ucho Boga.

Jedno z nas zawsze odmawiało kolejno krótką modlitwę za podróżnych, ubogich, chorych, za jaką szczególną potrzebę we wsi lub w domu. Udzielając nam tym sposobem małą rolę w poważnym akcie modlitwy, przez uczestnictwo nasze w niej interessowała nas i nie dopuszczała iżbyśmy uważali ją za zimny nalóg, za próżny obrzęd, lub nawet żebyśmy niesmak ku niej powzięli. Oprócz tych dwóch modlitw prawie publicznych, przez resztę dnia naszego częste i w godzinach nieokreślonych były wzniesienia dziecięcych dusz naszych do Boga. Ale te modlitwy, zrodzone z okoliczności, w sercu i na ustach matki naszej, były tylko chwilowem natchnieniem,

nie miały nic regularnego ani utrudzającego dla nas. Przeciwnie, uzupełniały i uświęcały, iż tak rzekę, każde z naszych wrażeń i uciech naszych.

I tak, kiedy skromny posiłek, ale wyśmienity dla nas, zastawiony był na stole, matka nasza wprzód nim usiadła i łamała chleb, skinęła na nas, co my zrozumieliśmy. Zawieszaliśmy na pół minuty niecierpliwość naszą, żeby prosić Boga aby pobłogosławił jedzeniu które nam dawał. Po jedzeniu i wprzód nim poszliśmy bawić się, składaliśmy mu dzięki w kilku słowach. Jeśli udawaliśmy się na odległą i gorąco upagnioną przechadzkę w piękny poranek letni, matka nasza wychodząc kazała nam pocichu i żeby nikt nie widział, uczynić krótkie wewnętrzne wezwanie do Boga, aby pobłogosławił tę wielką radość i zachował nas od wszelkiej przygody. Jeżeli wycieczka zaprowadziła nas przed jakie wzniósłe albo piękne widowisko natury, nowe dla nas, w posępny i ogromny las sosnowy, gdzie uroczystość ciemności, przedzierające się szczupłe światło przez gałęzie, wstrząsały młodą naszą wyobraźnię; przed śliczne zwierciadło wód toczące się w kaskadach i obrzucające nas pianą, ruchem i loskotem; kiedy piękny zachód słońca gromadził nad górą obłoki kształtu i blasku niezwykłego, i wracając w przestrzeń żegnał się wspaniałe z tym małym kącikiem kuli ziemskiej, który oświecił przez chwilę: rzadko zaniedbywała korzystać z wielkości lub nowości wrażeń naszych, żeby podnieść duszę naszą do sprawy tych wszystkich cudów, i żeby wprowadzić nas w stosunek z nim przez jakie liryczne westchnienie wiekuistej jego adoracyi.

Ileżto razy podczas wieczorów letnich, przechadzając się z nami po polu, gdzieśmy zbierali kwiaty, owady, świecące się kamyki ze strumienia Milly, sadzała nas koło siebie, pod wierzbą, i z sercem przepelnionem pobożnym entuzjazmem rozmawiała z nami przez chwilę o znaczeniu religijném i ukrytém tego pięknego utworu co zachwycał oczy i serca nasze! Nie wiem czy to jęj tłumaczenie natury, żywiołów, własności roślin, przeznaczenia owadów, dobre było pod względem naukowym. Czerpała je z dzieł Pluch'a, Buffon'a, Bernardin'a de Saint-Pierre; ale jeżeli nie wychodziły ztąd nic niemające do zarzucenia systemata natury, wychodziło ogromne uczucie Opatrzności i religijne błogosławieństwo umysłów naszych temu nieskończonemu oceanowi mądrości i miłosierdzia Boga.

Kiedy byliśmy mocno rozrzuwieni wzniosłemi jęj objawieniami, kiedy lzy uwielbienia rościć zaczynały oczy nasze, nie dawała ulotnić się tym słodkim łzom za powiewem lekkich rozrządzeń i myśli ruchliwej; kwapiła się obrócić cały ten entuzjazm kontemplacyi w czułość. Kilka wierszy z Psalmów które umiała na pamięć, zastosowanych do wrażeń sceny, spadały ze skrucą z jęj ust. Udzielały one znaczenie pobożne całej ziemi i słowo boże wszystkim uczuciom naszym.

NOTATKA II.

Powracając, prowadziła nas prawie zawsze koło biednych domostw wieśniaków chorych albo ubogich. Zbli-

żała się do ich łoża, dawała im rady i lekarstwa. Czerpała swoje recepty z dzieł Tissota i Buchana, tych dwóch popularnych lekarzy. Pilnie uczyła się medycyny żeby jęj używać dla ubogich. Posiadała instynktowy geniusz prawdziwych lekarzy, bystry rzut oka, rękę szczęśliwą. Pomagaliśmy jęj w wizytach codziennych. Jedno z nas niosło szarpinę i olejek aromatyczny dla skaleczonych; drugie szmaty płótna na kompresy. Uczyliśmy się tym sposobem nie mieć żadnego wstępu, jaki później słabym czyni człowieka przy chorobie, niepożytecznym dla cierpiących, lęklwym w obecności śmierci. Nie usuwała nas od najokropniejszych widowisk nędzy, bóleści, nawet konania. Widziałem ją często, jak stojąc, siedząc albo klęcząc u mizernego posłania w chalupie, lub w oborze gdzie kmiotkowie leżą, kiedy są starzy i niedołężni, ocierała własnemi rękami zimny pot biednych umierających, przewracała ich pod nakryciem, odmawiała modlitwy przy skonaniu, i cierpliwie czekała całe godziny aż dusza ich uleci do Boga przy słodkim dźwięku jęj głosu.

Używała nas także na szafarzów swoich jałmużn. Ustawicznie byliśmy zajęci, ja zwłaszcza jako większy, do roznoszenia daleko do samotnych chat w górach, już trochę chleba białego dla kobiet w połogu, już butelki starego wina i kawalków cukru, już wzmacniającego bulionu dla starców opadłych z sił z przyczyny braku pożywienia. Te drobne poselstwa były nawet dla nas rozrywką i nagrodą. Zнали nas kmiotkowie na dwie lub trzy mile wokoło; kiedyśmy przechodzili zawsze nas nazywali po imieniu dziecinne które im było znajome;

zapraszali abyśmy weszli do nich, częstowali kawalkiem chleba, słoniny albo séra. Dla całego okręgu byliśmy synami *Pani*, posłańcami dobrych wieści, aniołami pomocy dla wszelkiej opuszczonej niedoli ludzi wiejskich. Tam, gdzieśmy wchodzili, wchodziła Opatrzność, nadzieja, pociecha, promień radości i miłości bliźniego. Ten słodki nałóg zażyłości ze wszystkimi nieszczęśliwymi i poufalego wstępowania do wszystkich siedzib mieszkańców okolicznych, utworzył dla nas prawdziwą rodzinę z całej téj wiejskiej ludności. Od starców aż do drobnych dzieci, znaliśmy cały ten mały świat po imieniu. Zrana, kamienne wschodki u głównych drzwi w Milly i korytarz zawsze oblegali chorzy albo krewni chorych, co przychodzili prosić matki naszej o radę. Po nas, téj czynności poświęcała swe poranki. Zawsze była zajęta jakimś preparowaniem lekarskim dla biednych, tłuczeniem ziół, gotowaniem tyzanny, ważeniem lekarstw na małych szalkach, często nawet przewiązywaniem skaleczeń i ran najobrzydliwszych. Używała nas do tego, pomagaliśmy jej w tém wszystkiem według sił naszych. Inni szukają złota w alembikach; matka szukała tylko ulgi dla cierpień nędzarzy, i tym sposobem składała daleko wyżej i daleko pewniej w niebie jedyny skarb jakiego pragnęła tu na ziemi, to jest: błogosławieństwa ubogich i wolą Boga.

NOTATKA III.

Kiedy cała ta wrzawa dzienna ucichła wreszcie, kiedyśmy zjedli obiad, kiedy sąsiedzi, co czasami nas

odwiedzali, odeszli, i cień góry, przedłużając się nad małym ogrodem, spuszczał już zmrok kończącego się dnia, matka rozstawiała się z nami na chwilę. Zostawiała nas albo w małej sali, albo w ogródku niedaleko siebie. Sama jedna wreszcie poświęcała chwilę odpoczynkowi i rozmyślanii. Wtedy skupiała wszystkie swoje myśli i wszystkie uczucia wylane z serca w ciągu dnia, na łono Boga w którym tak bardzo zanurzać się lubiła. Jakkolwiek młodzi, znaliśmy tę oddzielną godzinę, którą zachowała dla siebie pomiędzy wszystkimi godzinami. Usuwaliśmy się dobrowólnie ze ścieżki w ogrodzie, po której przechadzała się, jak gdybyśmy się lękali przerywać albo usłyszeć tajemnicze jej zwierzenia się przed Bogiem i Boga przed nią. Była to mała ścieżka wysypa na piaskiem żółtym, przechodzącym trochę w kolor czerwony, obrzeżona poziomkami, pomiędzy drzewami owocowymi, które niewyższe były od jej głowy. Duży klomb leszczyny znajdował się na jednym końcu ścieżki, mur na drugim. Było to najodludniejsze i najustronniejsze miejsce w ogrodzie. Dlatego też dawała mu pierwszeństwo, bo to co widziała na owęj ścieżce, było w niej, nie zaś na horyzoncie ziemi. Chodziła tutaj krokiem prędkim, ale bardzo regularnym, jak ten co myśli głęboko, zmierza do celu pewnego, i kogo entuzjazm podnosi idącego. Zwykle miała głowę odkrytą; piękne czarne włosy w połowie rozpuszczone, twarz nieco poważniejsza niżeli przez resztę dnia, już zlekka pochylona ku ziemi, już podniesiona ku niebu, gdzie wzrok jej zdawał się szukać pierwszych gwiazd, co zaczynały odznaczać się od błękitu nocy na firmamencie. Ręce jej

obnażone były od łokcia; już złożone jak u tego co się modli, już swobodne i przez roztańnienie zrywające róże albo malwy fioletowe, których wysokie lodygi rosły po bokach ścieżki. Niekiedy usta jój były na pół otwarte i nieruchome, niekiedy zamknięte i poruszane niedostrzeżonym ruchem, jak u tego co mówi dumając.

Tak przez pół godziny, więcej lub mniej, stosownie do piękności wieczora, wolnego czasu lub obfitości natchnienia wewnętrznego, przebiegał a dwieście lub trzy-sta razy przestrzeń ścieżki. Co wtedy robiła? Odgadłaś. Żyła przez chwilę tylko w samym Bogu. Uciekała od ziemi. Dobrowolnie rozstawiała się ze wszystkim co ją obchodziło tutaj na ziemi, żeby szukać w wyprzedzonym obcowaniu ze Stwórcą, na samemże łonie stworzenia, owój niebieskiej ochłody, której dusza cierpiąca i kochająca potrzebuje do odzyskania sił, do tym większego cierpienia i kochania.

Co Bóg przemawiał do téj duszy, sam Bóg wie tylko; co ona mówiła Bogu, wiemy prawie równie jak ona. Było to zastanawianie się pełne szczerości i skruchy nad lekkimi błędami, jakich dopuścić się mogła w wykonywaniu swych powinności w ciągu dnia: czule wyrzuty jakie sama sobie czyniła żeby się zachęcać do tym lepszego odpowiadania łaskom boskim w jój położeniu; gorące dzięki Opatrzności za drobne jakie szczęście co ją spotkało w nas: jój syn co zapowiadał szczęśliwe skłonności; córki co rozkwitały we wdzięki pod jój okiem; mąż co przez rozum i porządek przedziwny pomnożył trochę szczupłe mienie i przyszłą pomyślność domu; potem zboże co piękny plon obiecuje; winnica,

główne bogactwo nasze, której pachnące kwiaty wonią napelniały powietrze i zapowiadały zbiór obfity; kilka nagłych, zachwycających uwag o wielkości niebios, o zastępach gwiazd, o piękności pory roku, o budowie kwiatów, owadów, o macierzyńskich instynktach ptaków, których zawsze widać było gniazdko szanowane przez nas pośród gałęzi róży albo naszych krzewów. Wszystko to natłoczone w jój sercu jako pierwociny na ołtarzu, i rozpalone ogniem młodego entuzjazmu, objaśniało się we wzroku, w westchnieniach, w niedostrzeżonych gestach i w słowach Psalmów wyszeptanych ściecha! Owoż co słyszały tylko: sama trawa, liście, drzewa i kwiaty na téj ścieżce skupienia ducha.

NOTATKA IV.

Ścieżka ta była dla nas jak ołtarz w miejscu świętém, jak kaplica ogrodu gdzie ją sam Bóg nawiedzał. Nigdy nie śmieliśmy iść tam bawić się, zostawialiśmy ją w zupełności tajemniczemu jój użytkowi, chociaż nam jój nie wzbraniano. Dzisiaj jeszcze, po tylu latach, kiedy cień tylko tutaj przechadza się, gdy idę do tego ogrodu, szanuję ścieżkę matki. Spuszczam głowę idąc przez nią, ale sam nie przechadzam się żeby nie zatrzeć jój śladów.

Kiedy opuszczała tę świątnię duszy swojej, wracała do nas, otzy jój były wilgotne, twarz pogodniejsza i spokojniejsza jeszcze niż zwykle. Wieczny jój uśmiech na powabnych ustach miał w sobie coś jeszcze tkliwszego i więcej kochającego. Możnaby rzec że zło-

żyła ciężar smutku lub uwielbienia, i lżejszym wraca krokiem do swych powinności przez resztę dnia.

NOTATKA V.

Wszelako postępowałem w lata, liczyłem już lat dziesięć. Czas już był uczyć mnie tego co ludzie umieją. Matka uczyła tylko serce moje i kształciła moje uczucia. Należało uczyć się łaciny. Stary proboszcz sąsiedniej wsi (gdyż probostwo w Milly zostało sprzedane i kościół zamknięty) utrzymywał szkołkę dla dzieci kilku kmiotków zamożniejszych. Posyłano mię tam zrana. Niosłem na plecach w torbeczce kawałek chleba i trochę owoców na śniadanie z małemi towarzyszami: pod pachą, podobnie jak inni, niosłem małą wiązkę drzewa albo latorośli winnych na opał mieszkania biednego proboszcza. Wieś Bussières, gdzie on znajdował się przy małym kościele, leży o ćwierć mili od wioski Milly, w głębi ślicznej doliny, nad którą górują z jednej strony winnice i drzewa orzechowe na trawnikach; z drugiej strony wieś rozciąga się na łąki, które skrapia strumyki i przecinają gałki dębowe i grupy starych kasztanów. Probostwo z ogrodem, dziedzińcem i studnią, ukryte było na północ za murami kościoła, a wszystko pogrążone w cieniu szerokiej dzwonnicy.

Tylko od południa galeria zewnętrzna na kilka kroków długości, której dach podtrzymywały słupy z drzewa z korą, prowadziła do kuchni i do sali, którą starzec przeznaczył na lekcye nasze. Teraz jeszcze słyszę stuk

dręwnianych naszych trzewików, rozlegający się po kamiennych wschodach prowadzących z dziedzińca na galerię. Szliśmy z Milly nas pięcioro czy sześcioro dzieci, jakakolwiek była pogoda. Im bardziej czas był dżdżysty albo chłodny, tym więcej bawiła nas droga i tym bardziej ją przedłużaliśmy. Pomiędzy Bussières i Milly jest pagórek spadzisty, którego bok ścieżką kamienną spuszcza się na dolinę probostwa. Ta ścieżka zimą była łożyskiem warsty grubiej śniegu albo lodu, po którym staczaliśmy się albośmy się ześlizgali, jak pasterze Alpejsey. Na dole, łąki albo strumyk wezbrany były często jeziorami lodu, przerywane tylko czarnemi pniami wierzb. Wynaleźliśmy środek opatrzenia się w łyżwy, i przez częste padanie, nauczyliśmy się ich używać. Tutaj powziąłem prawdziwą namiętność dla tej zabawy północnej, w której nabyłem później wielkiej zręczności. Unosić się z szybkością strzały i z wdzięcznem kolysaniem się ptaka w powietrzu, po gładkiej, błyszczącej, dźwięcznej i zdradzieckiej powierzchni; nadawać sobie samemu pochyleniem tylko ciała, i iż tak rzekę samym sterem woli, wszelkie zagięcia, wszelkie obroty łodzi na morzu albo orla bujającego na błękicie niebios, było dla mnie i byłoby jeszcze, gdybym lat swoich nie szanował, takim upojeniem zmysłów i tak rokosznem odurzeniem myśli, że wspomnieć o tém nie moge bez wzruszenia. Konie nawet które tyle lubilem, nie dostarczają jeźdźcowi tego szalu melancholicznego, jaki wielkie jeziora przynoszą ślizgającym się. Ileż razy nie pragnąłem gorąco, aby zima ze swem jasnem słońcem zimnem, iskrzącem się na błękitnych lodach łąk bez

granic leżących nad Saoną, była wieczna jak nasze rozkosze!

Łatwo pojąć że w takim towarzystwie i taką drogą częstośmy się opóźniali. Stary proboszcz niegorzej nas jednak przyjmował. Przygnębiony wiekiem i dolegliwościami, niegdyś człowiek światowy, elegant i bogaty przed rewolucją, później wpadłszy w ubóstwo, niewielkie miał upodobanie w towarzystwie dzieci roztrzepanych i hałasujących, których się podjął uczyć. Wszystkiemu czego tylko wymagał od nas pocziwy człowiek, było małe wynagrodzenie, jakie hojność rodziców naszych przydawała do bezwątpienia szczupłych przypadkowych dochodów jego kościoła. Zresztą zdawał edukację naszą na młodego i przystojnego wikaryusza, co mieszkał z nim razem w probostwie, i uważał go raczej za ojca niżeli przełożonego. Wikary ten nazywał się ksiądz Dumont. Resztę domu składała kobieta już niemłoda, ale jeszcze piękna i przyjemna. Była ona matką młodego księdza. Rządziła łagodnie i wszechwładnie gospodarstwem dwóch księży, przy pomocy ładnej siostrzenicy i starego kościelnego slugi, co rąbał drzewo, kopał w ogrodzie i dzwonił.

Ksiądz Dumont, o którym wiele jeszcze powiem później, ponieważ bardzośmy się z sobą kochali, i którego jedna z przygód młodości natchnęła mnie *Jocelyna*, nie miał w sobie księzego, prócz głębokiego wstępu do stanu w jaki go mimowolnie wtrącono, przed tym właśnie dniem, kiedy duchowieństwo upaść miało we Francji. Nie nosił nawet ubioru duchownego. Miał wszystkie skłonności szlachcica; wszelkie nalogi

wojskowego; całe obejście się człowieka z wielkiego świata. Piękny, wysoki, dumnej postawy, fizyognomii poważnej i melancholicznej, mówił do matki z czułością, do proboszcza z uszanowaniem, do nas z pogardą i wyniosłością. Zawsze otoczony trzema lub czterema pięknymi psami do polowania, co były nieodstępni jego towarzysze tak w pokoju jak w lesie, więcej nimi zaprzętał się niżeli nami. Dwie lub trzy fuzye błyszczące czystością i nasadzone srebrem świeciły się przy kominku; rogi z prochem, kule, grankulki rozrzucone były tu i owdzie po wszystkich stołach. Zwykle trzymał w ręku duży harap z rękojeścią z kości słoniowej, zakończoną świstawką dla nawoływania psów w górach. Na ścianach porozwieszane były palasze i kordelasy; wielkie bóty do konnej jazdy, ze srebrnymi długimi ostrogami, wypolerowane błyszczwały w kątach pomieszkania. Widać było po jego minie, po męzkim i mocnym głosie, i po takim umeblowaniu, że naturalny charakter mścił się kostiumem za sprzeczność pomiędzy jego naturą a stanem.

Światły był, i mnóstwo książek rozrzuconych po krzesłach świadczyło o jego zamilowaniu w literaturze. Ale te książki były, podobnie jak meble, wcale niekanoniczne. Były to tomy Raynala, Jana Jakóba Rousseau, Woltera, romanse owoczesne albo broszury i dzienniki kontr-rewolucyjne. Bo chociaż był bardzo niewiele duchownym, ksiądz Dumont wielkim był rojalistą. Kominek okrywały popiersia i ryciny wyobrażające nieszczęśliwego Ludwika XVI, królowę, delfina, dostojne ofiary rewolucyi. Ta cała nienawiść ku rewolucyi i cała ta filo-

zofia, której rewolucya była skutkiem, godziły się z sobą bardzo dobrze naówczas, u większej części ludzi owej epoki. Rewolucya zadowolila ich zasady i obalila ich stan. Dusza ich była chaosem podobnie jak nowa społeczność: sami siebie poznać nie umieli.

Osądzić łatwo z takiego portretu, że przy starcu niedołącznym co cały dzień grzał się u ognia kuchennego, i przy młodym człowieku niecierpliwym do czynności i uciech, co liczył za tyleż godzin męki, godziny jakie dla nas odrywał od polowania, nauka nasza nie nader szybko posuwać się mogła. Ograniczała się też ona przez cały rok, nauczaniem nas dwóch lub trzech deklinacyj wyrazów łacińskich, których zakończenie tylko rozumieliśmy. Resztę składało ślizganie się zimą na łyżwach, pływanie latem w stawach u młynów, i bieganie na wesele i uroczystości w wioskach sąsiednich, gdzie nam dawano ciastka zwykle takim okolicznościom, i gdzieśmy strzelali bez końca z pistoletów, co jest znakiem radości we wszy stkich krajach świata.

Mówiłem chłopskim językiem tak dobrze jak moim naturalnym, i nikt lepij odemnie nie umiał na pamięć piosnek tradycyjnych, tak naiwnych, które śpiewają po naszych wsiach, w nocy, pod oknem izby albo u wrót obory gdzie sypia narzeczona.

NOTATKA VI.

Ale to życie zupełnie wieśniacze, i całkowita niewiadomość tego co inne dzieci w podobnym wieku umieją,

nie przeszkadzały iżby pod względem uczuć i wyobrażeń, moja edukacya domowa pod kierunkiem matki, nie wykształciła we mnie najtrafniejszego sądu, serca najbardziej kochającego, i nie uczyniła mnie dzieckiem najposłusznijszem jak tylko sobie życzyć można. Życie moje składało się ze swobody, krzepkich ćwiczeń i prostych rozrywek, ale nie ze swawoli niebezpiecznej. Umiano bardzo dobrze, mimo wiedzy mojej, wybierać dla mnie towarzyszy i przyjaciół z pomiędzy dzieci rodziców najpoczeiwszych i w niczém nieskażonych we wsi. Niektórzy ze starszych byli do pewnego stopnia odpowiedzialni za mnie. Nie odbierałem od nich ani złego przykładu, ani złych rad. Szacunek i miłość jakie wszyscy ci ludzie mieli dla mego ojca i matki, spadały na mnie: cała okolica była jakby moją rodziną, której ja byłem, iż tak rzekę, dzieckiem wspólnem i ulubionem.

Nigdybym nie pomyślił zapragnąć innego życia nad to które pędziłem. Matka, lękając się dla mnie niebezpieczeństw wychowania publicznego, chciałaby także przedłużyć na wieczne czasy te szczęśliwe lata dzieciinne. Ale ojciec i bracia jego, o których wkrótce powiem, z niespokojnością patrzyli, że za kilka miesięcy zacznę rok dwunasty, że wkrótce będę młodzieńcem, i że wiek męzki zaskoczy mnie w zbyt wielkiej niższości pod względem oświecenia i karności od innych ludzi mojego wieku i stanu. Głośno okazywali z tego powodu swą niespokojność. Słyszałem żywe w tym przedmiocie uwagi dawane biednej mojej matce. Często płakała. Burza przemijała i rozbiłała się o niezłomność jej przywiązania

i o moc woli tak giętkiej, a przecież tak wytrwałej. Ale burza wracała codzień.

Starszy z moich stryjów był człowiekiem starzej daty; dobry, ale bynajmniej nie czuły. Wychowany w surowej i ścisłej szkole życia wojskowego, pojmował tylko wychowanie wspólne. Chciał żeby człowiek kształcił się przez obcowanie z ludźmi; lękał się żeby czułość matki wdająca się zawsze pomiędzy dzieckiem a rzeczywistością życia mego, nie rozmiękczyła zbyt znacznie charakteru. Co większa, był bardzo światły, nawet uczony i autor. Widział dobrze że niczego innego nie nauczę się w domu ojca, tylko dobrze żyć i żyć szczęśliwie. Chciał więc.

Ojciec bardziej pobłażający z natury i bardziej uległy wpływowi wyobrażeń macierzyńskich, nie odważyłby się sam na wygnanie mnie z Milly; ale upór stryjów wziął górę. Oni byli królami rodziny i jej wyrocznią, prawie jak bajli Mirabeau w rodzinie tego wielkiego męża. Przyszłość rodziny była w ręku tego stryja, ponieważ on rządził braćmi i siostrami. Nie żenił się; należało go szanować. Władza jego trochę despotyczna, jak pospolicie wówczas była władza głowy domu, wykonywała się z przewagą, której nadawały większej jeszcze mocy jego przymioty wysokie i znaczenie jakie posiadał. Przez roztropność i przez miłość dla dzieci swoich, matka ulegała. Zapadł wyrok na mnie, nie bez długiej odwłoki i nie bez wielu łez.

Długo szukali szkoły, gdzieby zasady religijne, tak drogie matce mojej, połączone były z nauką gruntowną i ojcowskim zarządem. Spodziewali się znaleźć to wszy-

sko w zakładzie edukacyjnym słynnym naówczas w Lyonie. Matka sama tam mnie zawiozła. Wchodziłem tu, jak skazany na śmierć wchodzi do ostatniego swego więzienia. Falszywe uśmiechy, hipokryckie pieśczęty przełożonych tej pensji, którzy chcieli naśladować serce ojcowskie za pieniądze, nie zniewoliły mnie. Zrozumiałem wszystko co przedajnego było w tej czułości udanej. Serce mi pękało pierwszy raz w życiu, i kiedy żelazna krata zapadła pomiędzy matką a mną, uczułem że wchodzę na inny świat i że cukrowy miesiąc pierwszych lat moich upłynął bez powrotu.

rém nigdy nie słyszałem, silnie uderzyły na mnie. Pamiętałem że trawiłem dni i nocy na wyszukiwaniu środka jakimbyś zdołał wydrzeć sobie życie, którego znosić nie mogłem. Taki stan duszy mojej nie ustał ani na jedną chwilę przez cały czas pobytu mego w tym domu.

NOTATKA II.

Po kilku miesiącach katuszy postanowiłem uciec. Oddawna i umiejętnie obrachowałem środki do ucieczki. Nareszcie, w godzinie kiedy parlatorium otwierało się dla rodziców przychodzących odwiedzać swe dzieci, starałem się być w tym pokoju. Udałem że pilkę z którą bawiłem się wyrzuciłem na ulicę. Skoczyłem niby po nią. Silnie drzwi zatrzasnąłem i pobiegłem co tchu przez wązkie uliczki opasane murami i ogrodami, wijące się po przedmieściu Croix-Rousse, w Lyonie. Stróż pędzący za mną stracił wkrótce mój ślad. Dostawszy się do lasu na wzgórzach nad Saoną pomiędzy Neuville i Lyonem, zwoleńm kroku i usiadłem pod drzewem żeby odetchnąć i zastanowić się.

Cały mój majątek składały trzy franki drobną monetą w kieszeni. Wiedziałem dobrze że źle będę od ojca przyjęty; ale powiedziałem sobie: „Ucieczka moja to zawsze mieć będzie dobrego, że mnie nie odeszła do téj samej szkoły.” A przytém nie myślałem pokazywać się ojcu. Plan mój był iść do Milly i prosić o przytułek jednego z poczciwych kniotków, co mię tak znali i kochali, chociażby w budce dużego psa na dziedzińcu, gdzie tak często całe godziny przepędzałem z nim razem leżąc na

słomie; ztąd oznajmiłbym matce o mojem przybyciu; zla-godziłaby ojca; przyjęliby mnie i przebaczyli, i znowu-bym wrócił do słodkiego życia przy nich.

Nie tak się przecież stało. Puściwszy się w dalszą drogę i przybywszy do małego miasteczka o sześć mil od Lyonu, wszedłem do oberży i prosiłem o obiad. Lecz zaledwo usiadłem przed jajecznicą i serem, które mi przygotowała poczciwa kobieta, otworzyły się drzwi i widzę wchodzącego dyrektora pensyi, w towarzystwie żandarna. Wzięli mnie, związali ręce i odwieźli przejętego wstydem z powodu ciekawości wieśniaków. Zamknęli samego jednego w pewnym rodzaju więzienia. Dwa miesiące tu przepędziłem niemając żadnej komunikacyi z nikim, wyjąwszy tylko dyrektora, który żądał odemnie abym żałował swego postępku. Znudzony wreszcie moją wytrwałością, odesłał mnie do rodziców. Złe mię przyjęła cała familija, wyjąwszy biedną matkę. Wyjednała że mnie nie odeszła do Lyonu. Szkoła pod kierunkiem jezuitów (w Belley, na pograniczu Sabaudyi), wielką naówczas posiadała wziętość nie tylko we Francyi, ale i we Włoszech, w Niemczech, w Szwajcaryi. Matka tam mnie zawiozła.

NOTATKA III.

Wszedlszy tutaj, uczulem w ciągu kilku dni nadzwyczajną różnicę, jaka zachodzi między wychowaniem przedajném, udzielaném nieszczęśliwym dzieciom dla miłości złota przez uczących przemysłowców, a wychowa-

niem udzielaném w imię Boże i natchnioném przez poświęcenie się religijne, którego niebo tylko jest nagrodą. Nie znajdowałem tam mojej matki, ale znajdowałem Boga, czystość, modlitwę, miłość bliźniego, łagodny i ojcowski dozór, uprzejmy ton familijny, dzieci kochane i kochające z fizyognomią szczęśliwą. Byłem skwaszony i zatwardziały; dalem się rozrzewnić i zmiękczyć. Dobrowolnie naginałem się pod jarzmo, które wyborni mistrze umieli uczynić słodkiem i lekkim. Cała ich sztuka zależała na zainteresowaniu nas samych o powodzenie zakładu, i kierowaniu nas własną naszą wolą i własnym entuzjazmem. Zdawało się że duch Boży ożywiał tém samym techniciem nauczycieli i uczniów. Wszystkie dusze nasze odzyskały swe skrzydła i wzbijały się naturalnym polotem ku temu co jest dobre i piękne. Najkrnąbrniejsi nawet byli podnoszeni i porywani w ruch ogólnym. Tutaj zobaczyłem co można zrobić z ludzi, nie przymusem, ale wpływem na nich. Uczucie religijne ożywające nauczycieli naszych, ożywiało nas wszystkich. Posiadali sztukę uczynienia takiego uczucia miłym i przyjemnym, i utworzenia w nas miłości ku Bogu. Taką sprężyną we własnych sercach naszych umieszczoną, podnosili wszystko. Co się ich tyczy, nie udawali że nas kochają, kochali rzeczywiście, jak święci co kochają swoją powinność, jak rzemieślnicy co kochają swoją robotę, jak pyszni co kochają swoją dumę. Zaczęli od zrobienia mnie szczęśliwym; niedługo zrobili mnie rozumnym. Pobożność ożyła w duszy mojej. Stała się pobudką do zapалу mego ku pracy. Zabrałem ścisłą

przyjaźń z dziećmi mojego wieku równie nieskażonemi i równie czystemi jak ja. Ta przyjaźń, iż tak rzekę, odbudowywała dla nas familję. Wszedłszy zapóźno do ostatnich klass, ponieważ skończyłem już lat dwanaście, szybko posuwałem się do pierwszych. W ciągu trzech lat wszystkiego się nauczyłem. Co rok wracałem do domu ze wszystkimi pierwszymi nagrodami mojej klasy. Czulem w tém szczęście dla matki mojej, żadnej nie czulem pychy dla siebie. Towarzysze i spółzawodnicy wybaczali mi wszelkie moje tryumfy, ponieważ wydawały się naturalnemi i ja sam ich nie czulem. Do mojego szczęścia brakło tylko matki mojej i swobody.

NOTATKA IV.

Wszelako nie mogłem nigdy nazwyczaić duszy mojej do służebności, jakkolwiek łagodziła ją przyjaźń, względność moich nauczycieli, uprzejma popularność jaką spółuczniowie otaczali mnie w szkole. Ta swoboda oczu, kroków, poruszeń, jakiej długi czas kosztowałem na wsi, czyniła dla mnie mury szkolne jeszcze ciemniejszymi i ciśniejszemi. Byłem więźniem szczęśliwszym od innych, ale zawsze więźniem. W godzinach pozwolonej rozmowy z towarzyszami, rozmawiałem jedynie o szczęściu że wkrótce wyjdę z tego przymuszonego zamknięcia i posiadać będę nanowo niebo, naturę, pola, lasy, wody, góry naszych siedzib rodzicielskich. Miałem wieczną gorączkę swobody, szalałem za naturą.

Wysokie okno sypialni wspólnej, najbliższe mojego łóżka,

wychodziło na zieloną dolinę Bugey, wyslaną łąkami; opasaną lasem bukowym i zakończoną górami błękitnawymi, na bokach których widać było parę wilgotną i białą dalekich kaskad. Często, kiedy wszyscy moi towarzysze spali, kiedy noc była jasna i księżyc niebo oświecał, wstawalem pociechu, drapałem się po poręczach krzesła, którego użyłem za drabinę, i oparty o okno całe godziny przepędzałem na miłośnem przypatrywaniu się horyzontowi milczenia, samotności i dumania. Dusza moja unosiła się niewypowiedzianym polotem ku owym łąkom, lasom, wodom; zdawało mi się że największą byłoby szczęśliwością gdybym mógł tam podług woli zwrócić moje kroki, podobnie jak zwracałem wzrok i moje myśli: gdybym mógł uchwycić w jęczeniu wiatru, w śpiewach słowika, w szeleście liści, w odległym i odbijanym szmerze wodospadów, w brzęku dzwoneczków u szyi krów na górze, kilka z nót twardych, wspomnień ucha z dziecinnych lat moich w Milly. Łzy pamięci, zachwycenia, spadały z oczu moich na kamień okna, i wracałem do łóżka żeby długo obracać w milczeniu, w przebudzonych marzeniach moich, czarujące obrazy tych widzeń.

Mieszały się one z każdym dniem coraz więcej w duszy mojej z myślami i widzeniami niebieskimi. Odkąd wiek młodzieńczy, niepokojąc zmysły, zakłócił, rozrzewnił i zasmucił moje wyobraźnię, melancholia nieco dzika zarzuciła niby zasłonę na wesołość naturalną i nadała ton poważniejszy moim myślom równie jak głosowi, a wrażenia moje stały się tak silnemi że aż ból sprawiała. Niewyraźny smutek jakiego doświadczałem z powodu wszystkich rzeczy ziemskich zwró-

cił mnie ku nieskończoności. Wychowanie w wysokim stopniu religijne u jezuitów, częste modlitwy, medytacje uczęszczanie do sakramentów, pobożne obrzędy powtarzane, przedłużane, powabniejsze jeszcze ozdobami obrazów, wspaniałością szat kościelnych, śpiewem, kadzeniem, kwiatami, muzyką, wywierały na wyobraźnię dzieci lub młodzieniaszków zmysłowe ponęty naksztalt religijnych upojeń na Wschodzie. Duchowni co nam ich udzielali, pierwsi oddawali się im sami ze szczerością i gorącością wiary swojej. Opierałem się temu czas niejaki pod wpływem uprzedzeń i antypaty, jakie pierwszy mój pobyt w szkołach Lyońskich zostawił we mnie przeciwko pierwszemu moim nauczycielom. Ale łagodność, czułość duszy i przekonanie nasuwane zdrowszego zarządu, pod nowemi mistrzami, nie omieszkaly działać z wszechwładnością ich nauczania na piętnastoletnią wyobraźnię. Nieznacznie odzyskałem przy nich pobożność naturalną, jaką z mlekiem matki wyssałem. Odzyskawszy pobożność, odzyskałem spokojność umysłu, porządek i rezygnację w duszy, prawo życia mego, zamilowanie nauki, uczucie moich powinności, zmysł obcowania z Bogiem, rozkosze rozmyślania i modlitwy, miłość wewnętrznego skupienia ducha, i owe zachwycenia adoracyi w obecności Boga, z którymi nie porównać się nie da na ziemi, wyjąwszy zachwycenia pierwszej i niepokalanéj miłości. Ale jeżeli w miłości boskiej nie masz upojenia i rozkoszy, natomiast jest nieskończoność i wieczność istoty którą uwielbiamy. Nadto, ma ona jeszcze obecność jej wiekuistą przed oczyma i w duszy

uwielbiającego. Kosztowałem jęj w całym jęj zapale i w całym jęj ogromie.

Zostało mi po niej z czasem to co zostaje po przebytym pożarze, oślnienie w oczach i ślad spalenizny na sercu. Fizyognomia moja doznała zmiany z tego powodu: lekkość nieco płocha dzieciniego wieku ustąpiła miejsca powadze czulej i łagodnej, dumającemu skupieniu wzroku i rysów, nadającemu jedność i znaczenie moralne twarzy. Podobny byłem do posągu młodości zdjętego na chwilę z pod osłony ołtarzów, żeby być podanym za wzór dla młodzieży. Skrucha świątyni otaczała mnie nawet w zabawach i przyjacielskich stosunkach z towarzyszami. Zbliżali się ku mnie z pewnym uszanowaniem, kochali mnie z nieśmiałością.

Odmałowałem w *Jocelynie*, pod imieniem osoby wymyślonej, czego sam doświadczałem: płomienie duszy hamowanej, poetyczny entuzjazm rozlewający się w strzelistych myślach, wynurzeniach i we łzach uwielbienia przed Bogiem, podczas owych palących lat młodzieńczych, w domu klasztornym. Wszystkie przyszłe namiętności moje będące jeszcze w przeczcuciu; wszystkie władze pojmowania, uczucia, kochania, jeszcze w zarodku; wszystkie rozkosze i cierpienia życia mego jeszcze uspione, były, iż tak rzekę, zestrzelone, skupione i zjednoczone w tęg namiętności ku Bogu, jak gdyby na ofiarę stwórcy mego, w wiosnie dni moich, pierwsi płomieni i wonności bytu, którego nic jeszcze przed nim nie pokalało, nie przygasilo lub nie wyparowało.

Gdybym żył lat tysiąc, nie zapomniałbym przecież pewnych godzin wieczornych, gdy wymknąwszy się podczas

rekreacji uczniów bawiących się na dziedzińcu, wchodziłem skrytą furtką do kościoła już przyćmionego nocą i zaledwo trochę oświeconego lampą, w głębi chóru zawieszoną przed ołtarzem; chowałem się pod gruby cień filaru; otulałem się płaszczem jakby całunem; opierałem czoło o zimny marmur balustrady, i pogrążony w przeciągu minut których nie liczyłem już, w milczącą ale niewyczerpaną adorację, nie czułem ziemi pod memi kolanami albo stopami, i zanurzałem się w Bogu, jak atom przyciągnięty ciepłem dnia letniego podnosi się, tonie, ginie w atmosferze pływającej, i stawszy się przezroczystym jak eter, wydaje się równie powietrznym jak samo powietrze i równie świetlnym jak światło!

Ta gorąca pogoda duszy wypływająca dla mnie z pobożności, nie zgasła we mnie w ciągu czterech lat, które jeszcze spędziłem na kończeniu nauk. Ogniszcze jednak pragnąłem je ukończyć, żeby powrócić do domu rodzicielskiego i do swobody wiejskiego życia. To bezustanne dążenie ku rodzinie i naturze było nawet dla mnie bodźcem daleko potężniejszym niżeli spółzawodnictwo. Przy końcu każdego kursu nauk widziałem w myśli otwierające się drzwi więzienia. To mnie pobudzało do przysporzenia kroku i wyprzedzenia rówieśników. Winien byłem wieńce, któremi byłem wynagradzany i literalnie przeciążany w końcu roku, jedynie żądzy wydobyć się co rychlejszego z tego wygnania, na które skazano mój wiek dziecinny. Kiedy nie będę nic już miał do nauczania się w szkole, będą musieli odwołać mnie do domu.

Nadszedł wreszcie ten dzień. Był to jeden z najpiękniejszych w moim życiu. Z wdzięcznością pożegnałem się z zacnymi nauczycielami co umieli ożywić duszę moją kształcąc mój umysł, i którzy iż tak rzekę odstrzelili własną miłość Boga w miłość i żarliwość dla duszy dzieci swoich. Ojcowie: Desbrosses, Varlet, Bequet, Wrintz, nadewszystko, raczej moi przyjaciele niż professorowie, nazawsze pozostali w mojej pamięci jako wzór świętobliwości, czujności, ojcowskiego przywiązania, czułości i wdzięku dla swoich uczniów. Imiona ich zawsze składać będą dla mnie część tęj rodziny duszy, której nie jesteśmy winni ciało i krew, ale rozum, smak, obyczaje i uczucia.

Nie lubię instytucji jezuitów. Wychowany na ich łonie, umiałem rozróżnić już w owęj epoce ducha zwodnicstwa, pychy i panowania, jaki się ukrywa lub objawia w czas w ich polityce, i który poświęcając każdego członka dla korporacji i zlewając tę korporację z religią, zręcznie podsuwa się na miejsce samego Boga, i dąży do pozyskania sekcje przestarzałej rządu sumień i powszechnej monarchii sumienia ludzkiego. Ale oderwane te wady instytucji nie upoważniają mnie do wygładzenia z serca mego prawdy, sprawiedliwości i wdzięczności dla zasług i cnót, jakie widziałem tchnące i objawiające się w ich nauczaniu i w mistrzach, którym powierzali pieczę około naszych lat dziecinnych. Pobudka ludzka uczuć się dawała w ich stosunkach ze światem; pobudka boska uczuć się dawała w ich stosunkach z nami.

Żarliwość ich była tak gorąca że rozpalić się mogła chyba o zasadę nadprzyrodzoną i boską. Wiara ich była

szczerą, życie nieskażone, twarde, poświęcone w każdej minucie i aż do końca powinności Bogu. Gdyby ich wiara mniej była przesadną i mniej dziecinną, gdyby ich doktryny mniej były niedostępne dla rozumu, owego katolicyzmu wiekuistego, widziałbym w ludziach których wymienilem mistrzów najgodniejszych do dotykania się pobożnymi rękami delikatnej duszy młodzieży; widziałbym w ich instytucji szkołę i wzór korporacji uczących. Wolter, co także był ich uczniem, oddał im też samą sprawiedliwość. Czcił mistrzów młodości swojej w nieprzyjaciolach filozofii ludzkiej. Ja ich cześć i szanuję w ich cnotach, podobnie jak on. Prawda nie potrzebuje nigdy spotwarzać najmniejszej cnoty dla pozyskania tryumfu przez kłamstwo. Byłoby to jezuityzmem filozofii. Prawdą rozum tryumfować powinien.

Nareszcie, po roku tak nazwanęj filozofii, roku w ciągu którego dręczą sofizmatami głupcami i barbarzyńskimi zdrowy naturalny rozum młodości dla nagięcia go pod dogmata panujące i instytucje umówione, opuściłem szkołę żeby już nie wrócić do niej. Nie wyszedłem ztąd bez wdzięczności dla zacnych moich nauczycieli; ale wyszedłem z radością więźnia co kocha swych dozorców, lecz nie żałuje murów więzienia. Miałem się zanurzyć w ocean swobody, do którego wzdychać nie przestawałem! O! jak liczyłem godzina po godzinie ostatnie dni ostatniego tygodnia, kiedy oswobodzenie nasze wybić miało! Nie czekałem aż przyszlą po mnie z domu rodzicielskiego, wyszedłem z trojgiem dzieci równego ze mną wieku, co powracali do domu jak ja, i których rodzice mieszkali w okolicach Macon. Nieśliśmy mały nasz pakunek na

plecach i zatrzymywaliśmy się od wsi do wsi, od folwarku do folwarku, w dzikich wąwozach Bugey. Góry, potoki, kaskady, zwałiska na skałach, chatki pod sosnami i bukami w tej krainie całkowicie alpejskiej, wyrwały nam pierwsze okrzyki uwielbienia dla natury. Były to nasze wiersze łacińskie i greckie przetłumaczone przez samego Boga w obrazy wspaniałe i żyjące, przechadzka po poezyi jego stworzenia. Cała ta droga była upojeniem.

NOTATKA V.

Za powrotem do Milly na kilka dni przed spadkiem liści, mniemałem że nigdy wyczerpać nie zdołam potoków szczęścia wewnętrznego, które rozlewało we mnie uczucie mojej swobody w miejscu gdzie spędziłem wiek dziecienny, na łonie rodziny. Było to zdobyciem mojego wieku męskiego. Matka przygotowała dla mnie osobny pokój w rogu domu, którego okno wychodziło na samotną aleję leszczyny. Znajdowało się tu łóżko bez firanek, stół, półki przy ścianie na moje książki. Ojciec kupił dla mnie trzy dodatki do męskiej szaty młodzieńca: zegarek, fuzję i konia, jak gdyby chciał powiedzieć że odąd godziny, pola, przestrzeń do mnie należą. Chwyciłem się mojej niepodległości z szalem, co trwał kilka miesięcy. Dzień cały poświęcony był polowaniu z ojcem, doglądaniu konia w stajni, lub cwałowaniu, trzymając się za grzywę, po łąkach dolin sąsiedzkich; wieczory miłym rozmowom familijnym w salonie z matką,

ojcem, kilku przyjaciółmi domu, lub na czytaniu głośno historyków i poetów.

Oprócz tych książek nauczających, do których czytania ojciec nakłaniał bez przymusu moją ciekawość, miałem inne które czytałem sam jeden. Nie omieszkalem odkryć czytelnicy w mieście, z kąd pożyczano książki mieszkańcom wsi sąsiednich. Te książki, po które chodziłem w niedzielę, stały się dla mnie źródłem niewyczerpanym samotnych rozkoszy. Słyszałem tytuły tych dzieł w szkole w rozmowach młodzieży starszej wiekiem i nauką odemnie. Tworzyłem sobie prawdziwy Eden w wyobraźni z owego świata ideałów, poematów i romansów, które były nam zabronione przez słuszną surowość nauk naszych.

Chwila kiedy ten Eden otworzył się dla mnie, kiedy pierwszy raz wchodziłem do biblioteki krążącej, kiedy mogłem podług woli ściągnąć rękę do tych wszystkich dojrzałych, niedojrzałych lub zepsutych owoców drzewa umiejętności, sprawiła mi zawrót głowy. Sądziłem że wszedłem do skarbcu rozumu ludzkiego. Niestety! jakże ten skarb prawdziwy prędko się wyczerpuje! i ileż fałszywych kamieni spadało powoli pod moje ręce z rozczarowaniem i niesmakiem, zamiast cudów jakie tam znaleźć spodziewałem się!

Uczucia pobożności jakie przyniosłem z mojego wychowania, i bojaźń obrażenia niepokalanych i religijnych skrupułów matki, przeszkodziły wszelako zabłąkać się ręką i oczami na książki bezecne lub podejrzane, truciznę duszy, któremi koniec ostatniego wieku i cuchnący materializm Cesarstwa zalały podówczas

biblioteki. Otwierałem je rumieniąc się, z ciekawością bojaźliwą, i zamykałem z obrzydzeniem. Cynizm jest ideałem przewróconym; jestto parodia piękności fizycznej i moralnej, zbrodnia rozumu, zbydłecenie wyobraźni. Nie mogłem w tém smakować. Zanadto miałem w sobie entuzjazmu żebym miał się czolgać po tych rynsztokach rozumu. Natura moja miała skrzydła. Niebezpieczeństwa moje były w górze nie zaś w dole.

Ale pożerałem wszystkie poezye i wszystkie romanse, w których miłość podnosi się do wysokości uczucia, do patetyzmu namiętności, do ideału czci nadpowietrznej. Pani de Stael, pani Cottin, pani de Flahaut, Richardson, książdz Prévost, niemieckie romanse Augusta Lafontaine, tego prozaicznego Gessnera mieszczan, dostarczały przez całe miesiące rozkosznych scen zupełnie gotowych dla wewnętrznego dramatu szesnastoletniej wyobraźni. Upajałem się tém *opium* duszy, które zapelnia bajecznymi widmami przestrzeń jeszcze pustą wyobraźni próżniaków, kobiet i dzieci. Żyłem tysiącem żyć co przechodzili, jaśniały i gasły kolejno przedemną, przewracając niezliczone stronnice owych tomów, więcej odurzających niżeli liście maku.

Marzenia moje były życiem mojem. Miłość moja uosobiała się w owych postaciach idealnych, które pokazywały się kolejno na czarnoksiężkie wywoływanie pisarza, i przelatowały w powietrzu zostawiając dla mnie obraz kobiety, twarz powabną lub melancholiczną, włosy czarne albo jasne, oczy szafirowe albo hebanowe, a nadewszystko *in*ie melodyjne. Jakaż potęga w tych utworach słowa, co podwoiły świat istot i nadały życie

wszelkim marzeniom człowieka! co za potęga nadewszystko w wieku, kiedy samo życie jest tylko marzeniem jeszcze, i kiedy człowiek jest jeszcze wyobraźnią!

Ale nadewszystko ukochałem z namiętnością poetów, których słusznie zakazywano nam podczas mezkich naszych nauk, jako uroki niebezpieczne, zniechęcające do rzeczywistości, wylewając potokiem czarej illuzyi na usta dzieci.

Z pomiędzy tych poetów, ci którym dawałem pierwszeństwo w czytaniu nie byli to starożytni, których my, zbyt młodzi jeszcze, skrapialiśmy klasyczne stronnice naszym znojem i łzami studenckimi. Kiedy je otwierałem, podnosił się jakiś zapach więzienia, nudy i przymusu, co mię skłaniał do ich zamknięcia, jak więzień uwolniony nie lubi patrzeć na swe kajdany; ale byli to poeci których nie wpisują w katalog ksiąg elementarnych, poeci nowożytni, włoscy, angielscy, niemieccy, francuzcy, których ciało i krew jest własną naszą krwią i ciałem, którzy czują, myślą, kochają, śpiewają, jak my myślimy, jak my śpiewamy, jak my kochamy, my, ludzie nowych dni: Tass, Dante, Petrarca, Szekspir, Milton, Chateaubriand, co śpiewał wówczas jak oni, Ossyan nadewszystko, ów poeta niejasnych marzeń, ówa mgła wyobraźni, ów tren niewysłowiony mórz północnych, ta piana nabrzeża, ten jęk cieni, to kołysanie się obłoków koło burzliwych wierzchołków gór Szkocyi, ów Dante północny, równie wielki, równie majestatyczny, równie nadprzyrodzony jak Dante Florencki, czulszy od niego, i który wydiera

czestokroć widmom swoim krzyki daleko więcej ludzkie i bardziej rozdzierające niżeli u bohaterów Homera.

NOTATKA V.

Była to chwila kiedy Ossyan, poeta owego ducha ruin i bitew, panował nad wyobraźnią Francyi. Baour-Lormian tłumaczył go w dźwięcznych rymach dla obozów cesarza. Kobiety śpiewały go w romansach żalonych lub w tryumfalnych nótach muzyki wojskowej, przy odjeździe, na grobie, lub za powrotem kochanków. Male wydania w tomach kieszonkowych wślizgały się do wszystkich bibliotek. Wpadł mi jeden pod rękę. Pogrzeżyłem się w ów ocean cieni, krwi, łez, widm, piany, śniegu mgły, szronu i obrazów, których ogrom, pół-swiatła i smutek odpowiadały tak dobrze wzniosłej melancholii szesnastoletniej duszy, otwierając jej pierwsze swe promienie na nieskończoność. Ossyan, jego widoki i obrazy, przedziwnie odpowiadały także naturze krainy gór prawie szkockich, porze roku i melancholii miejsc w których go czytałem. Było to wśród dotkliwego chłodu miesięcy listopada i grudnia. Ziemię okrył płaszcz śniegu, podziurawiony tu i ówdzie czarnymi pniami sosen rozproszonych, lub nad którym wznosiły się obnażone gałęzie dębów, gdzie się zgromadziły i krakały stada wron. Złodowaciała mgła rozwieszała szron na krzakach. Obłoki kolysały się nad zagrzebanymi szczytami gór. Rzadkie promienie słońca przerzucały je chwilami i odkrywały głęboki widok dolin bez dna, gdzie oko przypuszczać mogło że są odnogi

morskie. Była to wzniosła i naturalna dekoracya poematów Ossyana, które trzymałem w ręku. Brałem je z sobą w torbę myśliwską idąc w góry, i kiedy psy goniły w wąwozach, ja czytałem siedząc pod skałą, nie spuszczać oczu ze stronnicy, chyba żeby wyszukać na horyzoncie, u moich stóp, tę samą mgłę, też same obłoki, też same pola lodów albo śniegu, które wyobraźnią widziałem w mojej książce. Ileż razy czulem że lzy marzną mi na rzesach! Zostałem jednym z synów barda, jednym z cieni bohaterskich, zakochanych, tęsknych, co walczą, co kochają, co płaczą lub śpiewają przy arfie w posepnych dziedzinach Fingala. Ossyan istotnie jest jedną z moich palet na której wyobraźnia moja roztarła najwięcej kolorów, i który najwięcej pozostawił swojej barwy na słabych próbach, przezemnie później kreślonych. Jest to Eschyles naszych czasów ponurych. Ciekawi erudyci twierdzili i twierdzą jeszcze że on nigdy nie żył i nie pisał, że jego poemata są podstępem Macphersona; również zasadnie powiedziałbym że Salvatore Rosa wynalazł naturę.

NOTATKA VII.

Ale brakowało mi czegoś jeszcze do zupełnego zrozumienia Ossyana, mianowicie: cienia miłości. Jakże kochać bez przedmiotu? jak ubolewać bez boleści? jak płakać bez łez? Trzeba było pozoru dla młodej wyobraźni marzącej. Przypadek i sąsiedztwo nie omieszkaly nastręczyć mi tego koniecznego typu dla moich uwielbień

i pieśni. Utworzyłbym go sobie z moich snów, z moich obłoków i śniegów, gdyby nie istniał blisko mnie. Ale istniał, i godny był czci mniej urojonój i mniej dziecinnej niżeli moja.

Ojciec przepędzał wówczas całe zimy na wsi. Znajdowały się wokolicach familije szlacheckie albo familije znaczne i wyższe ze stanu miejskiego, co także mieszkwały w swoich zamkach lub nieobszernych posiadłościach przez wszystkie pory roku. Zbierali się na uczty wiejskie lub na wieczory bez zbytku. Najwstrzemięźliwsza prostota i najserdeczniejsza równość panowały na tych zebraniach sąsiadów i przyjaciół. Starzy magnaci zrujnowani przez rewolucję, emigranci jeszcze młodzi i posiadający talent: opowiadania, z wygnania powróceni, proboszczowie, notaryusze, lekarze z pobliskiej wsi, familije prowadzące ustronne życie w domach wiejskich, bogaci rolnicy co sposobem życia i sąsiedztwem pomieszczeni z wieszczanami i szlachtą, składali te towarzystwa, które powrót zimy pomnażał.

Kiedy rodzice długo rozmawiali z sobą u stołu, albo w sali grali w szachy, w trójktraka, w karty, młodzież bawiła się w gry wymagające mniej zastanowienia w kątach pokoju, rozbiegała się po ogrodach, lepiła kule ze śniegu, wydobywała z gniazda w krzakach róż szczygły lub piegże, albo powtarzała role z małych sztuczek i przysłówów, które przedstawiać mieli po wieczery i grze, w obecności krewnych i przyjaciół.

Młoda panienska szesnastoletnia jak ja, córka jedy-naczka zamożnego właściciela w górach naszych, odznaczała się dowcipem, nauką i talentami wczesnemi od

wszystkich dzieci. Odróżniała się także pięknnością dojrzalszą, która ją czyniła więcej dumającą i baczniejszą od innych towarzyszek. Piękność jej, chociaż niezupełnie regularna, miała wyraz tęsknoty chorowitej, obudzający dumanie we wzroku i tęsknotę myśli tego kto na nią poglądał. Oczy błękitu niezapominajki, włosy czarne i gęste, usta zamysłone i rzadko śmiejące się, co się otwierały tylko dla słów krótkich, poważnych, pełnych rozsądku wyższego nad lata; kibić w której już się objawiała wdzięczna giętkość młodości, chód powolny, spojrzenie często zadumane, co się odwracało kiedy je przydybał kto, jak gdyby chciała ukryć dumanie, którem było napelnione: taką była ta panienska. Zdawało się że przeczuwa iż życie jej będzie krótkie i pochmurne, jak piękne dni zimowe w których ją poznałem. Dawno już spoczywa pod śniegiem, na którym stawiliśmy pierwsze kroki nasze.

Miała imię Lucya.

NOTATKA VIII.

Przed kilku miesiącami opuściła klasztor w Paryżu, gdzie rodzice dali jej wychowanie wyższe nad jej los i majątek. Była artystką muzyczną. Głos jej do łez rozrzewniał. Tańczyła z doskonałą postawą i trochę z zaniedbaniem, co nadawało sztuce swobodę i miękkość ruchów dziecięcą: mówiła dwoma językami zagranicznymi. Przywiozła z Paryża książki, któremi dalej karmiła umysł swój w ustronnym folwarku ojca. Umiała

na pamięć poetów; podobnie ubóstwiała jak ja Ossyana, którego obrazy przypominały nasze wzgórza we wzgórzach Morwenu. To wspólne uwielbienie tegoż samego poety, ta znajomość we dwojgu języka nieznanego od innych, były już mimowolnym zwierzeniem się pomiędzy nami. Szukaliśmy siebie bez ustanku, wszędzie zbliżaliśmy się żeby pomówić o nim. Nie wiedząc że mamy pociąg jedno do drugiego, jużśmy się spotykali w naszych chmurach, jużśmy się kochali w naszym ulubionym poecie. Często oddaliwszy się od reszty towarzystwa, w zabawach, na przechadzkach, szliśmy prawie zawsze w znacznej odległości przed jej matką i memi siostrami, rozmawiając mało, nie śmiejąc spojrzeć na siebie, ale kiedy niekiedy ręką pokazując sobie piękną tęczę wśród obłoków, posępną dolinę za warstwą mgły, z której podnosiły się, jak skała albo jak okręt zatopiony, wierzchołek dzwonnicy albo grono wież zrujnowanych starego zamku; albo spadek wody zmrożonej w głębi wąwozu, nad którą kasztany i dęby zwieszały obciążone śniegiem konary, jak starey Loklinu nad arfą wód.

Odpowiadaliśmy sobie spojrzeniem niemego uwielbienia i wewnętrznego pojęcia. Tak szliśmy często przez pół godziny, jedno obok drugiego, kiedy ją prowadziłem aż ku dolinie gdzie mieszkał jej ojciec, a nie słyhać było innego głosu prócz lekkiego trzasku od naszego stąpania po śniegu. Wszelako nigdyśmy się nie rozstawali bez westchnienia w sercu i bez zarumienienia się na czole.

Familije i sąsiedzi uśmiechali się na tę skłonność

dzieciną, którą spostrzegli wprzód niż my sami. Uważali ją za naturalną i bez niebezpieczeństwa między dwojgiem dzieci takiego wieku, co nie wiedziały nawet nazwiska uczucia, jakie ich pociągało ku sobie; co nie tylko że nie wynurzały jedno przed drugim tej skłonności, ale nawet nie tłumaczyły jej przed sobą samymi.

NOTATKA IX.

Wszelako to uczucie codziennie stawało się namiętniejszym we mnie i w niej. Kiedy wieczór przepędziłem przy niej, kiedy odprowadziłem jej rodzinę aż do strumienia nad którym dom jej ojca wznosił się na wydatnej skale, zdawało się że serce mi wydzierają i zamykają wraz z nią w tych grubych murach i pod temi dźwięcznymi drzwiami. Wracalem powolnym krokiem nie trzymając się żadnej ścieżki, przez zarośla i łąki, odwracając się bez ustanku żeby widzieć cień wysokich murów rysujący się na firmamencie; szczęśliwy kiedy spostrzegłem błyszczące przez chwilę światelko w oknie wysokości wieżeczki górującej nad strumieniem, gdzie wiedziałem że czyta książkę wyglądając snu.

Codziennie wychodziłem pod różnemi pozorami w tę stronę doliny, ze strzelbą pod pachą i z moim psem. Całe godziny trawiłem na błakaniu się koło starego zamku, niesłyszając innego głosu oprócz psów domowych co skomlały z radości igrając z młodą swoją panią, nie widząc nic innego prócz dymu co się podnosił z dachu ku niebu szaremu. Niekiedy wszakże spostrzegałem ją sa-

łem się że otworzy książkę na stronnicy obejmującej poemat własnych ję westchnień.

NOTATKA XI.

Znalazłem przed trzema laty te pierwsze wiersze w papierach biednego proboszcza w B***, który podówczas należał do naszych towarzystw dziecińczych, i dla którego je przepisałem. Bo jakaż miłość nie potrzebuje mieć powiernika? Oto są one z calem swem niedoświadczeniem i z całą swoją słabością. Przepraszam za nie pana de Lormian, poetę i ociemniałego dzisiaj jak Ossyan. Było to dalekie echo Szkocyi, powtarzane głosem dziecięcym w górach rodzinnego kraju; paleta, a żadnego rysunku; obłoki, a żadnych kolorów. Promień poezyi południowej rozproszył później dla mnie całą tę fantastyczną mgłę półnoocy.

DO LUCYI L...

Recitativo.

Arfa Morwenu jest godłem duszy mojej; słyzy kroki umarłych nadchodzących z Kroimli; struna jej sama przez się zabrzmi u wezglowia mojego, kiedy po nerwach jej przebieży cień przyszłości. Cienie przyszłości, powstańcie dla duszy mojej! Odsuńcie mgłę co was przed memi zasłania oczyma... Jakaż to gwiazda się spuszcza?... Jakie widmo kobiety stawi milczące stopy na kryształach niebios?...

.....
Jeszcze to sen co umiera? dusza co żyć przychodzi? Pomiejsza

na z mgłą zlocistą wśród niedającej się ująć atmosfery, podobna do nitek białej tkaniny szronu, jakie po szybach zimy sny roz-wieszają. Nie dmuchajcie na nią, o ciepłe wiatry fal! Nie roz-topcie tego cienia, błyskawice firmamentu! Ptaszki, nie zakryjcie stopami waszemi tych rysów niewyraźnych, gdzie dziewczica pokazuje się marzeniom kochanka!

Lampa rybaka płynącego wśród mgły, mniej miłe rzucea promienie niżeli wzrok jej daleki. Ogień który pasterz wśród krzaków roznieca, mniej niewyraźnie zlewa się z ogniami poranka.

.....
.....
.....
.....
.....
Pod dzisiejszą jej szatą, co z ramion splywa, zaledwo dostrzedz można dwie okrągłości wzdymające się, jak sęki pod korą wierzb co wzdymają pień dla soków wiosny.

Śpiew.

„Noc w górach. Lawina poruszona zsuwa się w przerwach „na boki doliny. Po ścieżkach zatraconych rozpryska się jej „pył; na tea łoskot zatrzymuje się stalowa noga jelenia. Nad- „stawiając ucha przed psem co go ściga w marzeniu, czeka „z ucieczką aż księżyc wejdzie. Drzewo nad brzegiem wąwo- „zu, czarne i wyrwane z korzenia, zgina się jak maszt pochy- „lony przed falą. Wrona co śpi na obnażonej gałęzi, budzi „się i wydaje krzyk ginący wśród obłoków; podlatując, spuszcza w białych kosmykach śnieg co okrywał jej skrzydła. „Chmury pędzone wilgotnym wiatrem gromadzą się na gó- „rach w posępne piramidy, albo jak okręty na spienionej „zatoce przerywają błękit firmamentu. Ostry wiatr Erinu „bujając po równinie, lodem na ustach przecina i tłumi „oddech; a jezioro na którym spoczywa łódź przewrócona „jest tylko śnieżnym polem po którym uragan orze.

„
„

„Zbielała strzecha słomiana, z kąd torf rozpalony rozpo-
 „ściera po niebie warstwą bladego dymu; głos psa wyjącego,
 „w smutnym wychodzi skomieniu, jedyny ślad życia na lo-
 „nie tej śmierci!

„Kto jest na łonie nocy ten młodzieniec, albo to widmo co
 „z lodowatego stawu wielkim krokiem idzie po równinie,
 „wdziera się na stromą górę, z bronią w rękę, spotyka sar-
 „nę, nie zmieniając swęj drogi spuszcza się z wysokości
 „w wąwóz głęboki, gdzie wieża starych wozów chwieje się
 „po nad falą; czarny jego pies wietrzy i wyje w lesie,
 „a wiatr lodowaty pełen jest głosu.

Spiew strzelca.

„Podnieś się, podnieś, nad ponurymi wzgórzami, łani o sre-
 „brnych rogach, którą ścigają cienie! O księżyczko! na tych
 „murach rozlej swe białe odblaski! Suów czoła mego te
 „mury są palacem! promieniami mglistymi czystego światła
 „swego zabłyśnij przed zachwyconemi oczyma memi ka-
 „mieniem, spłyn na dach, i aż do serca mego try-
 „śnij, o moja gwiazdo, strumieniem lubości! W rozpadlinach
 „blanków lewkonią zamarła. Bluszcz na pociski północy drży
 „nade drzwiami, jak płaszcz śnieżysty, który pasterz za po-
 „wrotem przed wnijsciem na dziedziniec otrząsa ze szronu.
 „Roztwiera się gruby mur w szerokim oknie.. Księżyczko!
 „z twoim promieniem wzrok mój tam przenika! Widzę przy
 „świecie szerokiego i wysokiego ogniska czerwony odblask
 „palącego się jesionu.

Strzelec.

„Ciekawa gwiazdo nocy, co widzisz w sali?

Księżycz.

„Psów dumnego strzelca śpiącego na posadzce.

Strzelec.

„Cóż mnie obchodzą psy, sarna i róg myśliwski? Cieka-
 „wa gwiazdo nocy, patrz i powiedz jeszcze.

Księżycz.

„Pod cieniem filaru mamka zwija runo jagniąt na szyb-
 „kim kołowrotku. Oczy jej pod ciężarem snu zamykają się
 „do połowy; na ramię wreszcie schyla się głowa nspioną;
 „zapominając o puchu, którego pełne wrzeciono, w popiół
 „u jej nóg zsuwa się i spada wełna.

Strzelec.

„Cóż mnie obchodzi mamka z palcami obciążonemi łąty?
 „Świetna gwiazdo nocy, patrz i mów jeszcze.

Księżycz.

„Między ogniskiem a murem, biała, młoda dziewica spu-
 „ściwszy na kolana swe płótno i igłę, oparta o stół...

Strzelec.

„.....Ciekawa gwiazdo nocy! zatrzymaj się nad nią i patrz
 „ciągle!

Księżycz.

„Oparta o stół dębowy i zadumana śledzi wzrokiem zni-
 „komy kształt cienia i blasku co przelatują po ścianie, jak
 „komary nad lazurowym strumieniem. Można by rzec że jej
 „oczy utkwiłone w tajemnice, szukają ukrytego znaczenia
 „w tych płonnych literach, i że widzi zawczasu wchodzący
 „do tej wieży cień o niewyraźnych rysach przyszłej swęj mi-
 „łości Nie, nigdy kochańek, którego z jej łoża porwam,
 „w uspiionych ramionach nie uściskał powabniejszego widma!
 „Patrz jak czarne włosy, zazdrośne o jej wdzięki, spadają
 „jak noc aż do jej kolan!

Strzelec.

„Powiejcie o wiatry! otwórzcie tę ciemną zasłonę! chmu-
 „ry jej czoła oddaj mi moja gwiazdo! Pozwól mi tylko abym
 „dostrzegł pod tą czarnością białosc jej ręki wychodzącą
 „z pod czarnej siatki! Albo falisty ruch wysmuklęj kibici,

„albo ten łokieć zaokrąglony co myśli jęj podpira, albo li-
 „lije jęj jagód, albo błękit spojrzenia, którego samo wspo-
 „mnienie ostrzem mnie przeszywa. O córo skały! nie wiesz
 „jakie marzenia tą ciemną żrenicą swych oczu obudzasz
 „we mnie! Na każdej z długich twych rżes, co ocieniają ich
 „słodycz, jak pszczołka na listku koniczyzny, zawieszzone ser-
 „ce moje. Długo, długo pozostań uśpiona na twém ramie-
 „nin, żeby nasycić miłość strzelca co cię szpieguje! Nie czu-
 „ję ani nocy, ani ostrego zimna. Tchnienie twoje jest mojem
 „ogniskiem, oczy twe klimatem moim, ciemności mego łona
 „myśl twoja jest płomieniem! Wszystek śnieg jest wiosną
 „przed promieniem duszy jęj! Oh! śpij, oh! śpij tak z glo-
 „wą opartą na rękę! I kiedy nazajutrz rano zbudzisz się,
 „oby długie moje spojrzenia, wrośnięte w kamień, pozostały
 „przyklejone do muru i rzekły tovim powiekom że widmo
 „czuwało nad tobą w twoim śnie! I obyś ty szukała jego imie-
 „nia przebudziwszy się!”

Recitativo.

Tak śpiewał u podnóża samotnej wieży bard o ciemnych
 włosach, wśród nocy gwiazdzistej, a zimnem przejęte psy zo-
 stawiły go samego, i szron spadający okrywał go całunem,
 i wiatr co lodem ścinał krew w jego żyłach usypiał go sto-
 pniami snem jego ojców, i wilcy co się snuły wśród nocy bez
 drogi wyjąc z radości do umarłych, wietrzyły go na dzień ju-
 trzejszy. A kiedy umierał nad brzegiem przepaści, dzie-
 wica przebudzona słuchała mamki opowiadającej cichym
 głosem dzieje dawnych czasów, albo palcami wydobywała
 dźwięki z arfy, albo trącając głownią o ognistych żrenicach
 czytała swe przeznaczenie w iskrach tryskających, albo pa-
 tyła rozłargnioną, przy płomieniu drzewa orzechowego,
 jak mury odbijały blask ogniska.

(Willy, 1805, 16 Grudnia).

NOTATKA XII.

Jednego wieczora, przy rozstaniu się, wręczyłem jęj
 tom pomnożony temi wierszami. Przeczytała je bez gniewu
 i zapewne bez zadziwienia. Odpowiedziała na nie poem-
 cikiem także Ossyanowskim, jak mój włożonym pomiędzy
 kartki innego tomu. Jęj wiersze wyrażały tylko żal mel-
 ancholiczny młodej dziewicy Morwenu, która widzi okręt bra-
 ta odpływający do ziemi dalekiej, i oplakuje towarzysza
 młodości swojej nad brzegiem rodzinnego strumienia.
 Poezya ta wydała mi się przedziwną i daleko wyższą od
 mojej; w rzeczy samej była poprawniejsza i wdzięczniej-
 sza. Znajdowały się w niej takie nuty, jakich retoryka
 nie zna, i które tylko w sercu kobiety znaleźć można.
 Nasza korespondencya poetyczna ciągnęła się tym spo-
 sobem kilkanaście dni, i zwierzeniem się myśli na-
 szych powiększyła jeszcze bardziej zażyłość istniejącą
 już pomiędzy naszymi oczyma.

NOTATKA XIII.

Zawsze się nam wydawały zbyt krótkimi godziny,
 któreśmy przepędzali razem, podczas przechadzek lub
 wieczorów familijnych, na przypatrywaniu się dzikiej
 fizyognomii naszych gór, sosnom obciążonym śnie-
 giem, naśladowującym widma wlokące swój całun, księ-
 życowi w obłokach, spienionej kaskadzie, z kąd się
 podnosiła tęcza deszczowa, o której mówi Ossyan.

Wzdychaliśmy do kosztowania tych nocnych widowisk podczas nocy któraby więcej jeszcze należała do nas, kiedybyśmy swobodniej zamieniać mogli, niżeliśmy śmieli w obecności obojętnych osób, młode i niewyczerpane uczucia dusz naszych na widok cudów natury, będących w harmonii z cudami naszych pierwszych uniesień i naszych pierwszych zadziwień. — „Jakże piękne byłyby” często mówiliśmy do siebie, „godziny przepędzane razem w samotności i w milczeniu nocy zimowej, na rozmowie bez świadków i bez końca o najtajemniejszych wzruszeniach dusz naszych, jak *Fingal*, *Morni* i *Malwina*, na górach swych przodków.”

Żyzy żądz i entuzjazmu napelniały nam oczy na te wczesne obrazy szczęścia poetycznego, które śmieliśmy sobie wyobrażać w rozmowach skradzionych dniowi i oku rodziców naszych. Mówiąc ciągle o tém, zapragnęliśmy zarówno oboje ziścić to marzenie dziecinne; potem ułożyliśmy tajemnie, ale niewinnie, środki udzielenia sobie nawzajem tego marzonego szczęścia. Nie było łatwiejszego od chwili, kiedyśmy się z sobą zgodzili, ja żądać tego z namiętnością, ona zezwolić bez podejrzenia i oporu.

NOTATKA XIV.

Wieża gdzie mieszkała Lucya, na krawędzi małego zamku ojca, miała za podstawę taras, którego mur zbudowany w kształcie wału, fundamenta miał w małej dolinie blisko strumienia. Mur spuszczał się

dosyć pochyło. Bukszpan, glóg, inech, rosnące w szelinach starych kamieni pokruszonych ręką czasu, pozwalały człowiekowi zręcznemu i śmiałemu dopelznąć na wierzchołek parapetu, a ztąd skoczyć do małego ogródka, zajmującego wąską przestrzeń tarasu u podnóża wieży. Nizkie drzwiczki tej wieży, zamknięte w nocy od wewnątrz, otworzyć się mogły ręką Lucyi, i wypuścić ją na przechadzkę po ogródku w czasie snu matki. Znałem mur, taras, ogródek, wieżę, wschody. Szło tylko żeby ona miała dosyć odwagi do zejścia na dół, a ja żeby miał dosyć zuchwałości do dostania się tam. Umówiliśmy się z sobą o noc, godzinę, sygnał, jaki dać miałem z przeciwnego pagórka spalaniem prochu na panewce strzelby.

Najtrudniej było dla mnie wyjść w nocy niepostrzeżony z domu ojca. Duże drzwi z przysionka na ganek otwierały się przy łoskocie ogromnych zamków zardzewiałych, sztab i ryglów, których stuk obudziłby musiał ojca. Sypiałem w wysokim pokoju na pierwszym piętrze. Mogłem ztąd spuścić się na prześcieradle i z końca prześcieradła skoczyć w ogród; ale nie mógłbym powrócić. Zapomniana szczęśliwie drabina przez mularzy, co kilka dni pracowali w tłokarni wina, wywiodła mnie z kłopotu. Postawiłem ją wieczorem przy murze mojego pokoju. Niecierpliwie czekałem aż zegar wybije jedenastą godzinę i wszystko uśnie w domu. Poćichu otworzyłem okno i zeszedłem, ze strzelbą w rękę, do alei leszczynowej. Ale zaledwo postąpiłem kilka kroków cichych po śniegu, drabina posunąwszy się z łoskotem koło muru upadła w ogród. Duży pies do polowania, co sypiał przy

NOTATKA XVI.

Tak się skończyły te urojone miłości, które zaczynały niepokoić nieco rodziców naszych. Spostrzegli moję nocną wycieczkę. Śpieszyli się zatem z wyprawieniem mnie wprzód niżeli to dzieciństwo zamieni się w rzecz ważniejszą. Przysięgaliśmy sobie miłość na wszystkie gwiazdy nocy, na wszystkie fale strumienia i na wszystkie drzewa doliny. Zima stopiła te przysięgi razem ze swoim śniegiem. Wyjechałem kończyć edukację do Paryża i do innych wielkich miast. Lucya wyszła za mąż w moję niebytność, wykształciła się na doskonałą kobietę, uszczęśliwiła męża którego kochała, i umarła młodo w położeniu tyle pospolitém, ile piérwsze jój marzenia były poetycznemi. Widzę niekiedy jój cień melancholiczny i przezroczysty na małym tarasie wieży ***, kiedy zimą jadę przez dolinę, kiedy wiatr północny wstrząsa grzywą konia mojego, lub kiedy psy szczekają na dziedzińcu opuszczonego zamku.

NOTATKA XVII.

Nic nie napisałem o trzech latach życia mojego, przepędzonych daleko od rodzicielskiego domu, we wszystkich płocnościach, we wszelkich roztargnieniach, we wszystkiój swawoli młodości nieczynnej, latach co zestawiają tylko upokorzenie i żal w późniejszym

wieku, i których wspomnienie usuwamy od siebie jak gorycz od ust, o której zapomnieć byśmy chcieli.

Może też kiedyś napiszę o nich, jak się krzyżem oznacza miejsce na drodze gdzie zginął wędrownik, żeby ostrzedz tych co po nim iść będą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

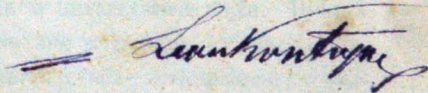
ZWIERZENIA SIĘ,
ALBO
PAMIĘTNIKI

A. LAMARTINA.

TLÓMACZYŁ Z FRANCUSKIEGO

LEON ROGALSKI.

TOM II.



WARSZAWA,

Nakładem GUST. LEONA GLÜCKSBERGA, księgarza,
przy ulicy Miodowej, pod filarami.

1849.

ZWIĘZIENIA SIE

ALBO

PAMIĘTNIKI

A. LAMARTINE

WYDAWCA Z BRANISZCZKI

Wolno drukować

Z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie, d. 26 Stycznia (8 Lutego) 1849 roku.

Starszy Cenzor, *Tripplin*.

WARSZAWA

w Drukarni J. Jaworskiego.

KSIEGA VII.

NOTATKA I.

GRAZIELLA.

W ośmnastym roku, familia powierzyła mnie opiece jednej z krewnych, którą interesa powoływały do Toskanii, dokąd się udała w towarzystwie męża. Była to zrzeczność do wysłania mnie w podróż, i wydarcia niebezpiecznemu próżnowaniu w rodzicielskim domu i w miastach na prowincyi, gdzie pierwsze namiętności duszy idą w zepsucie dla braku czynności. Wyjechałem z entuzjazmem dziecka, co ma widzieć podnoszącą się zasłonę najwspanialszych scen natury i życia.

Alpy, których zdaleka od dzieciństwa mojego widziałem błyszczące wieczne śniegi, na krawędzi horyzontu, ze wzgórz Milly; morze, którego tyle świetnych obrazów

rzucili w umysł mój podróżni i poeci; niebo włoskie, którego, iż tak rzekę, wsiąkałem już w siebie ciepło i pogodę, w wierszach *Goethego* i w stronicach *Korinnymy*:

„Czy znasz tę ziemię na której mirty kwitną?”

Pomniki jeszcze trwające owęj starożytności rzymskiej, które mi świeże prace myśl mą napelniły; swoboda wreszcie; odległość rzucająca urok na rzeczy dalekie; przygody, przypadki niewątpliwe w długich podróżach, które młoda wyobraźnia przewiduje, układa z przyjemnością i smakuje w nich zawczasu; odmiana języka, twarzy, obyczajów, co zdaje się wtajemniczać rozum do świata nowego: to wszystko zachwyciło mój umysł. Żyłem w stanie ciągłego upojenia przez długie dni oczekiwania, które poprzedzały odjazd. Ten szal, wznawiany codzień przez wspaniałe widoki natury w Sabyndy, w Szwajcaryi, na jeziorze Genewieńskim, na lodach Symplonu, na jeziorze Como, w Medyolanie i we Florencyi, opuścił mnie dopiero za moim powrotem, we dwa lata później.

Ponieważ interesa które sprowadziły mą towarzyszkę podróży do Liworno przedłużały się bez końca, była mowa o odesłaniu mnie do Francyi, bez widzenia Rzymu i Neapolu. Znaczyło to wydrzeć mi moje marzenie, w chwili kiedy je ujać miałem. Oburzyłem się w duszy przeciwko podobnej myśli. Pisałem do ojca prosząc o pozwolenie na dalszą podróż samemu po Włoszech, i nieczekając odpowiedzi, której nie spodziewałem się pomyślniej, postanowiłem uprzedzić nieposłuszeństwo czynem. „Jeżeli nadejdzie zakaz, mówiłem sobie, nadejdzie

zapóźno. Będę strofowany, ale otrzymam przebaczenie; powrócę, ale już będę widział.” Odbylem przegląd moich bardzo szczupłych finansów; liczyłem na to że mam krewnego matki mojej w Neapolu zamieszkałego, który mi nie odmówi trochę pieniędzy na powrót. Piękną noc, wyjechałem z Liworno pocztą do Rzymu.

Przepędziłem tam zimę sam jeden w małej izdebce przy ustronnnej ulicy, wychodzącej na plac Hiszpański, u malarza rzymskiego u którego miałem stół. Moja fizyognomia, młodość, entuzjazm, odosobnienie w kraju nieznanym, zainteresowały jednego z moich towarzyszy podróży na drodze z Florencyi do Rzymu. Połączył się ze mną nagłą przyjaźnią. Byłto przystojny młodzieniec, prawie równego ze mną wieku. Zdawało się że był synem albo synowcem sławnego śpiewaka *David*a, naówczas pierwszego tenorzysty teatrów włoskich. David także podróżował z nami. Człowiek w podeszłym już wieku. Miał śpiewać po raz ostatni na teatrze świętego Karola w Neapolu.

David obchodził się ze mną jak ojciec, a młody jego towarzysz osypywał mnie grzecznościami i uprzejmością. Odpowiadałem na to z wylaniem się i prostodusznością mojego wieku. Jeszcześmy nie przybyli do Rzymu, kiedy piękny podróżny i ja rozstać się już z sobą nie mogliśmy. Dyliżans, w owe czasy, niemięj jak trzy dni potrzebował na drogę z Florencyi do Rzymu. W oberżach, nowy przyjaciel był moim tłumaczem; u stołu naprzód mi podawał potrawy; w powozie, dla mnie zachowywał obok siebie najlepsze miejsce,

szczątkom starożytnego grodu. Rano, pod sosny o szerokich kopulach na *Monte-Pincio*; wieczorem pod ogromne cienie kolumnady świętego Piotra; przy blasku księżyca, w niemy obwód Kolizeum; w piękne dni jesienne do *Albano*, do *Frascali*, i do świątyni Sybilli, brzmiaćej i oblewanj wodnistym pyłem kaskad *Tivoli*. Była wesola i figlarna jak posąg wiecznój Młodości pośród tych szczątków czasu i śmierci. Tańczyła na grobie *Cecylii Metelli*, i kiedy dumałem siedząc na kamieniu, jój głos teatralny objął się o złowieszcze sklepienia pałacu Dyoklecjana.

Wieczorem, wracaliśmy, mając powóz napełniony kwiatami i odłankami posągów, do starego Davida, którego interesa zatrzymywały w Rzymie; na zakończenie dnia on prowadził nas na teatr do swojój loży. Śpiewaczka, o kilka lat starsza odemnie, nie inne okazywała mi uczucia oprócz przyjaźni trochę tkliwj. Byłem zanadto nieśmiały żebym sam inne miał jój okazywać; nawet nie doznałem ich, pomimo młodości mojej a jój piękności. Mężki jój ubiór, poufałość całkiem meżka, meżki jój tenor i swoboda w obejściu się takie na mnie czyniły wrażenie, że w niój widziałem tylko pięknego młodzieńca, towarzysza i przyjaciela.

NOTATKA III.

Kiedy Kamilla odjechała, zostałem zupełnie sam jeden w Rzymie, bez żadnego listu zalecającego, bez żadnój innj znajomości prócz miejsc, pomników i zwa-

lisk, dokąd mnie Kamilla zaprowadziła. Stary malarz u którego mieszkalem, nigdy nie wychodził z pracowni, tylko w niedzielę na mszą z żoną i córką, szesnastoletnią panienką, równie pracowitą jak on. Dom ich był niby klasztor, gdzie pracę artysty przerywały tylko skromny posiłek i modlitwa.

Wieczorem, kiedy ostatnie promienie słońca gasły w oknach wysokiego pokoju biednego malarza, i kiedy dzwony sąsiednich klasztorów brzmiały *Ave Maria*, to harmonijne pożegnanie dnia we Włoszech, jedyną rozrywką familii było odmawiać różaniec i śpiewać litanije, dopóki głosy snem obciążone nie zagasły w niewyraźnym i jednotonnym szmerze, podobnym do szmeru fal co się ucisza na brzegu morskim, kiedy wiatr ustaje wraz z nocą.

Lubiłem tę spokojną i pobożną scenę wieczorną, na którj kończył się dzień pracy ręcznój hymnem trojga dusz, podnoszącym się ku niebu dla wypoczynku. To mi przypominało dom rodzicielski, gdzie matka także nas zgromadzała wieczorem na modlitwę, już w swoim pokoju, już na piaszczystych ścieżkach ogródka w Milly, przy ostatnim blasku dnia. Spotykając też same zwyczaję, też same postęпки, też samą wiarę, byłem jakby na łonie własnej rodziny wśród tój rodziny nieznanj. Nie widziałem nigdy życia skromniejszego, pracowitszego i światobliwszego jak w domu rzymskiego malarza.

Malarz miał brata. Brat nie mieszkał z nim. Uczyl języka włoskiego znakomitych cudzoziemców przepędzających zimę w Rzymie. Byłto więcj niżeli nauczyciel języka, był literat rzymski pierwszego rzędu. Młody je-

sze, wspaniałej twarzy, charakteru starożytnego, występował w zamachach rewolucyjnych, jakie republikanie rzymscy przedsiębiorali celem wskrzeszenia swobód swego kraju. Był jednym z trybunów ludu, jednym z Rien-
zich owiej epoki. Podczas krótkiego zmartwychwsta-
nia starożytnego Rzymu, podnieconego przez Fran-
cuzów, stłumionego przez Macka i Neapolitańczyków,
grał jedną z pierwszych ról, przemawiał do ludu
w Kapitolium, zatknął chorągiew niepodległości, i pia-
stował jeden z pierwszych urzędów rzeczypospolitej.
Ścigany, prześladowany, uwięziony w chwili reakcyi,
winien był swe ocalenie przybyciu Francuzów, którzy
uratowali republikanów, ale skonfiskowali rzeczpospo-
lite.

Ten Rzymianin uwielbiał Francję rewolucyjną i filo-
zoficzną; nienawidził cesarza i imperium. Bonaparte
był dla niego, jak dla wszystkich Włochów liberalnych,
Cezarem swobody. Chociaż bardzo młody, miałem jednak
też same uczucia. Ta zgodność nienawiści i niemego
knowania przeciw Bonapartemu nie omieszkala objawić
się pomiędzy nami. Widząc jaki zapal młodzieńczy i sta-
rożytny razem przenikał mnie gdyśmy społem czytali
ogniste wiersze poety Monti lub sceny republikańskie
Alfieri, widział że się może zwierzyć przedemną,
i ja byłem nietylko jego uczniem ile przyjacielem.

NOTATKA IV.

Ileż razy mój nauczyciel i ja siadaliśmy na górce

villi *Pamphili*, zkąd widać Rzym, Jego kopuły, zwaliska,
jego Tyber co się czolga splugawiony, milezący, zawsty-
dzony, pod arkadami *Ponte Rotto*, zkąd słychać żałośny
szmer jego fontan, i prawie nieme kroki ludu, stą-
pającego w milczeniu po pustych ulicach! Ileż razy nie
wylewaliśmy łez gorzkich nad losem tego świata, gdzie
filozofia i swoboda dlatego prawie tylko na chwilę od-
żyć chciały we Francyi i Włoszech, żeby zostać skalane-
mi, zdradzonemi i uciśnionemi! Ileż cichych zlorzeczeń
nie wychodziło z piersi naszych przeciw pogromcy
umysłu ludzkiego, przeciw żołnierzowi koronowanemu,
który dlatego tylko zahartował się w rewolucyi, żeby
wyczerpać z niej siłę na jej zniszczenie!... Od tej epoki
bierze początek moja miłość emancypacyi umysłu ludz-
kiego i nienawiść intelektualna ku bohaterowi wieku,
nienawiść zarazem uczuta i wyrozumowana, którą roz-
waga i czas usprawiedliwiły, pomimo nikczemnych po-
chlebców jego pamięci: nienawiść, z którą chlubię się
że żyłem, i spodziewam się z nią umrzeć!

NOTATKA V.

Pod wpływem takich wrażeń badałem Rzym, jego hi-
storyę i pomniki. Wychodziłem rano sam jeden, wprzód
nim ruch miasta mógłby sprawić roztargnienie w my-
ślach badacza. Niosłem pod pachą historyków, poetów,
opisywaczy Rzymu. Siadałem albo przechadzałem się
po pustych zwaliskach *Forum*, Kolizeum, pól rzym-
skich. Patrzyłem, czytałem, rozmyślałem na przemian.

Badalem Rzym z dokładnością ale dotykalnie. Był to najlepszy mój kurs historii. Starożytność zamiast być znudzeniem, stała się dla mnie uczuciem. W badaniach tych nie innego trzymałem się planu oprócz moich skłonności. Szedłem na traf, dokąd mnie oczy niosły. Przechodziłem z Rzymu starożytnego do nowożytnego, z Panteonu do palacu Leona X, z domu Horacyusza w Tibur do domu Rafaela. Poeci, malarze, historycy, wielcy mężowie, wszyscy przeciągali tłumnie przedemną; zatrzymywałem na chwilę tylko tych co mię w chwili więcej zajmowali.

Koło godziny jedenaście wracałem do celi w domu malarza na śniadanie. Jadłem na moim stoliku do pisania, nie przestając czytać, kawałek chleba i sera. Pilem filiżankę mleka. Potem pracowałem, notowałem, pisałem aż do obiadu. Żona i córka gospodarza same obiad dla nas przygotowywały. Po obiedzie wychodziłem znowu w inne strony i powracałem pod samą noc. Parę godzin rozmowy z rodziną malarza i czytanie późno w noc przedłużone, kończyły te spokojne dni. Nie czułem żadnej potrzeby towarzystwa. Znajdowałem nawet przyjemność w mojem odosobnieniu. Rzym i dusza moja wystarczały dla mnie. Tym sposobem przepełdziłem całą długą zimę, od miesiąca października do miesiąca kwietnia następnego roku, niedoświadczwszy ani jednego dnia znużenia albo nudów. Przypominając te wrażenia w dziesięć lat później, napisałem wiersze o Tiburze. (*)

(*) Zobacz *Méditations*.

NOTATKA VI.

Teraz, kiedy szukam pilnie w myśli mojej wielkiei wrażeń Rzymu, dwa tylko znajduję które zacierają albo górują nad wszystkimi innemi: Kolizeum, dzieło ludu rzymskiego, Święty Piotr, arcydzieło katolicyzmu. Kolizeum jest olbrzymim zabytkiem narodu nadludzkiego, co wznosił dla swojej dumy i okrutnych rozrywek pomniki, mogące mieścić w sobie cały naród. Pomnik idący w zawody masą i trwałością nawet z dziełami natury. Tyber wyschnie w błotnistym swoim łożysku, a Kolizeum stać jeszcze będzie.

Święty Piotr jest dziełem myśli i wiary całej ludzkości w jedną z epok świata. Nie jest to już gmach na przyjęcie podłego motłochu. Jest to świątynia przeznaczona na objęcie wszelkiej filozofii, wszelkich modlitw, wszelkiej wielkości, wszelkiej myśli człowieka. Mury zdają się wznosić i rość, już nie w stosunku do narodu, ale w stosunku do Boga. Sam tylko Michał Anioł rozumiał katolicyzm i nadał mu w Świętym Piotrze jego najwznioślejsze i najzupełniejsze wyrażenie. Święty Piotr jest prawdziwie apoteozą z kamienia, pomnikiem przemienienia wiary Chrystusa.

Architekci gotyckich katedralnych kościołów byli wzniosłymi barbarzyńcami. Sam tylko Michał Anioł okazał się filozofem w swoim pojęciu. Święty Piotr jest to chrystyanizm filozoficzny, z którego boski architekt wygania zabobony i ciemności, a wprowadza przestrzeń, piękność, symetrię, światło, niewyczerpanym strumieniem. Niepo-

równana piękność Świętego Piotra w Rzymie na tém zależy, że to jest świątynia któraby służyć mogła dla wszystkich wyznań, świątynia deistowska, jeżeli śmiem użyć tego słowa, zastosowana do kamieni. Zdaje się być przeznaczona tylko na przyodzianie pomysłu o Bogu całym jego przepychem.

Gdyby chrystyanizm zagasnął, święty Piotr pozostałby jeszcze świątynią powszechną, wieczną, racjonalną, jakiegokolwiek religii, któraby nastąpiła po wierze Chrystusa, byleby ta religija godną była ludzkości i Boga! Jest to świątynia najbardziej abstrakcyjna, jaką kiedykolwiek geniusz ludzki natchniony boskim pomysłem, zbudował tutaj na ziemi.

Gdy wchodzimy, nie wiemy czy wchodzimy do świątyni starożytniej czy też do świątyni nowożytnej; żaden szczegół nie razi oka, żaden symbol nie rozrywa myśli; ludzie wszelkich wyznań wchodzi tu z jednostajnym uszanowaniem. Czujemy że to świątynia w której mieszkać może tylko pomysł o Bogu, i że wszelki inny pomysł jej nie zapełni.

Zmienicie kapłana, odbierzcie ołtarz, pozdejmujcie obrazy, wynieście posągi, a nie się nie zmieni, zawsze to będzie dom Boży! a raczej, Święty Piotr sam jest wielkim symbolem chrystyanizmu wiecznego, który zawierając w zarodzie, w swojej moralności i w świętości swojej, kolejne rozwijanie się myśli religijnej wszystkich wieków i wszystkich ludzi, otwiera się rozumowi w miarę tego jak Bóg go oświeca, obcuje z Bogiem w świątliwości, rozszerza się i wznosi w stosunku do umysłu ludzkiego, rosnącego bez ustanku i gromadzącego

wszystkie narody wjedność uwielbienia coraz bardziej racjonalnego, czyni ze wszystkich kształtów boskich jednego Boga, ze wszystkich wiar jedną wiarę, i ze wszystkich narodów jedną ludzkość.

Michał Anioł jest Mojżeszem pomnikowego katolicyzmu, takiego jak będzie z czasem pojety. Zbudował on arkę wiecznotrwałą przyszłych czasów, Panteon rozumu ubóstwionego.

NOTATKA VII.

Nareszcie, nasyciwszy się Rzymem, zapragnąłem oglądać Neapol. Nadewszystko wabily mnie tam grób Wirgiliusza i kolebka Tassa. Kraje były zawsze dla mnie ludźmi: Neapol, jestto Wirgiliusz i Tass. Zdaje mi się że żyli wczorą, i że ich popiół ciepły jeszcze. Widziałem wczesnie Pausilippo i Sorrent, Wezuwiusz i morze, przez atmosferę ich pięknych i czułych geniuszów.

Wyjechałem do Neapolu w ostatnich dniach Marca. Jechałem pocztą z negocyantem francuzem, który szukał towarzysza żeby użyć sobie kosztów podróży. W pewnej odległości od Velletri, spotkaliśmy powóz kurjera jadącego z Rzymu do Neapolu, przewrócony przy drodze i postrzelany kulami. Kurjer i pocztylion zginęli, dwa konie były zabite. Zaniesiono trupy do sąsiednich ruderów. Podarte depesze i kawalki listów ulatywały w powietrzu. Rozbójnicy umknęli drogą do Abruzzów. Oddziały jazdy i piechoty francuzkiej, stojącej w Terracinie, ścigały ich pomiędzy skalami. Słychać było ogień tyralierów i wi-

dać na całym boku góry mały dym, wystrzałów karabinowych. W pewnych odległościach spotykaliśmy postęunki wojsk francuzkich i neapolitańskich rozstawione po drodze. Takim sposobem wchodzono naówczas do królestwa Neapolitańskiego.

Rozboje te miały charakter polityczny. Murat królował, Kalabrye jeszcze się opierały; król Ferdynand schroniwszy się do Sycylii, wspierał pieniędzmi dowódców geryllasów w górach. Sławny Fra-Diavolo walczył na czele tych band. Czynami ich były morderstwa. Znaleźliśmy porządek i bezpieczeństwo dopiero w okolicach Neapolu.

Przybyłem tam dnia 1-go kwietnia. Tu się połączył ze mną w kilka dni później młody człowiek mojego wieku, z którym zabrałem w szkole przyjaźń prawdziwie braterską. Nazywał się Aymon de Virieu. Jego życie i moje tak były z sobą powiązane od jego lat dziecińczych aż do śmierci, że nasz dwójaki byt składał niby część jeden drugiego, i ja mówiłem o nim prawie wszędzie, gdzie miałem mówić o sobie

NOTATKA VIII.

Po pierwszym opisie wrażeń moich w Neapolu, znajduję pośród mych wspomnień fragment następujący. Sam jest najprawdziwszym i najszczerzszym komentarzem owęj harmonii.

USTĘP.

NOTATKA I.

Prowadziłem w Neapolu prawie także same życie kontemplacyjne jak w Rzymie u starego malarza przy placu Hiszpańskim; tylko zamiast przepędzać dni moje na tulaniu się pomiędzy szczątkami starożytności, przepędzałem je na tulaniu się albo po brzegach albo po falach Neapolitańskiej odnogi. Powracałem wieczorem do starego klasztoru, gdzie, dzięki gościnności krewnego matki mojej, mieszkalem w małej celce dotykającej dachu: tam, z balkonu przystrojonego w doniczki z kwiatami i w rośliny wijące się, widać było morze, Wezuwiusz, Castellamare i Sorrento.

Kiedy horyzont poranny był przezroczysty, widziałem błyszczący dom biały Tassa, zawieszony jak gniazdo labędzie nad morzem, na szczycie żółtej skały, ściętej prostopadłe falami. Widok ten mnie zachwycił. Blask tego domu jaśniał aż w głębi duszy mojej. Był to niby blask sławy, lśniący się zdaleka nad moją młodością i w mojem odosobnieniu. Przypominałem ową scenę homeryczną z życia tego wielkiego męża, kiedy wyszedłszy z więzienia, ścigany zazdrością małych a potwarzą wielkich, wyszydzany nawet w swoim geniuszu, jedynem swém bogactwie, wrócił do Sorrentu szukać nieco odpoczynku, czułości lub politowania, i kiedy przebrany za żebraka przychodzi do siostry żeby spróbować jej serca i zoba-

czyć czy ona przynajmniej pozna tego, kogo tyle kochała.

„Pozna je go natychmiast, mówi prostoduszny biograf, „pomimo chorowitej jego bladoci, bielejacej brody „i plaszcza podartego. Rzucasie w jego objecia z wieksza „czuloscia i milosierdziem, niz gdyby poznala brata „w zlocistej odziezy dworzan Ferrarskich. Dluo je „glos tlumia lkania; przyciska brata do serca. Obmy- „wa mu nogi, przynosi plaszcza ojca, każe przygo- „towac dlań ucztę. Ale oboje nie mogli skoszto- „wac zastawionych potraw, tyle ich serca pelne by- „ly lez; i przepedzili dzien na placzu, nie do sie- „bie nie mowiac, patrzac na morze i przypominajac „sobie swoje lata dziecinne.”

NOTATKA II.

Jednego dnia, bylo to w poczatkach lata, kiedy odnoga Neapolitanska, obrzezona wzgorkami bialymi, domami, skalami ktore wyscielaja pnace sie winne latorosle, i otaczajaca swoje morze blakitniejsze od nieba swego, podobna jest do czary z verde antico bielejacej sie pianą, i ktorej ucha i brzegi wieńczą galazki winogron i bluszcz; byla to pora kiedy rybacy z Pauzylippu, co zawieszaja chatki swoje na jej skalach i rozciagaja sieci na malych lawach delikatnego piasku, oddalaja sie od ladu z zaufaniem i lowia rybe w nocy o dwie lub trzy mile na morzu, az koło skal Capri, Procida, Ischia, i srod zatoki Gaety.

Niektórzy biorą z sobą pochodnie ze smoły, które zapalają żeby oszukać rybę. Ryba podnosi się przy blasku mniemając że to zmierzch dzienny. Chłopczyk, siedzący na przodzie statku, schyla w milczeniu pochodnię nad wodą, kiedy rybak zapuszczając oko w głąb morza, szuka swojego łupu i zarzuca nań sieć. Ognie te czerwone jak czeluście pieca, odbijają się w długich ruchomych brózdach na zwierciadle morza, jak długie smugi światła co idą tutaj w ślad za księżycem. Kolysanie się morza porusza je, i przedłuża blask od fali do fali, tak daleko jak pierwszy bałwan morski odbija je następujące po sobie. Światło trzyma się prawkolysania, i gaśnie dopiero tam gdzie się kończy ruch, nadany postępem statku po wodzie.

NOTATKA III.

Przyjacieli i ja częstośmy przepędzali całe godziny siedząc na skale albo na wilgotnych zwaliskach pałacu królowej Joanny, przypatrując się tym fantastycznym blaskom i zazdroszcząc życiu tulackiemu i niefrasobliwemu biednych rybaków.

Kilkomiesięczny pobyt w Neapolu, ustawiczne obcowanie z pospólstwem podczas codziennych wycieczek naszych w okolice lub na morze, oswoiły nas z ich językiem wybitnym i dźwięcznym, w którym gest i spojrzenie więcej zabierają miejsca niżeli słowo. Filozofowie z przecucia i znużeni marnymi troskami życia wprzód

nim je poznaliśmy, częstośmy zazdrościli szczęśliwym lazzaronom, zalegającym nadbrzeże i ulice przyległe morzu w Neapolu, którzy przepędzali dni na spaniu pod cieniem malój łódki na piasku, na słuchaniu wierszy improwizowanych przez włóczących się poetów, i na tańcach *tarantelli* z dziewczętami swojej kasty, wieczorem, pod jaką altanką nad brzegiem morza. Znaliśmy ich nałogi, ich charakter i obyczaje, daleko lepiej niżeli wytwórnego świata, do którego nigdyśmy nie uczęszczali. Takie życie nam podobało się i usypiało w nas gorączkowe poruszenia duszy, które niepożytecznie zużywają wyobraźnię młodych ludzi przed godziną kiedy przeznaczenie powoła ich do działania lub myślenia.

Przyjaciół mój miał lat dwadzieścia, ja ośmnaście; oba przeto znajdowaliśmy się w takim wieku kiedy wolno brać za jedno rojenia z rzeczywistością. Postanowiliśmy zabrać znajomość z rybakami i z nimi razem przepędzić kilka dni tegoż samego życia. Ciepłe i światłe noce przepędzone pod żaglem, w chwiejącej się kolebce fal i pod niebem gwiazdzistym i niezmiernym, zdawały się nam jedną z najtajemniejszych rozkoszy natury, którą trzeba podchwycić i poznać, chociażby dlatego tylko żeby opowiadać o niej.

Swobodni i niemając zdawać nikomu sprawy z postępów lub nieobecności naszej, nazajutrz wykonaliśmy to o czém marzyliśmy. Idąc pobrzeżem Margellina, co się rozciąga pod grobem Wirgiliusza, u podnóża góry Pausilippo, gdzie rybacy neapolitańscy wyciągają swoje łodzie na piasek i naprawiają sieci, spostrzegliśmy

starca jeszcze krzepkiego. Wkladał swoje narzędzia do rybołostwa w łódkę malowaną jaskrawemi kolorami, na której tyle znajdował się rzućnięty mały wizerunek świętego Franciszka. Chłopczyk dwónastoletni, jedyny jego wioślarz, przyniósł w tej chwili na łódkę dwa bochenki chleba, twardy sér bawoli, błyszczący i złocisty jak muszle nadbrzeżne, trochę fig i dzbanek gliniany z wodą.

Twarz starca i chłopczyka zwabiły nas. Weszliśmy w rozmowę. Rybak uśmiechnął się kiedyśmy prosili żeby nas przyjął na wioślarzy i zabrał z sobą na morze.

„Nie macie rąk zgrubiałych jakich potrzeba do robienia wiosłem, rzekł. Białe wasze ręce stworzone do „pióra, nie zaś do drzewa: szkoda byłoby stwardniać je „na morzu.” — „Młodzi jesteście, odpowiedział mój przyjaciel „i chcemy spróbować wszystkich rzemiosł wprzód „niżeli jedno wybierzemy. Twoje nam się podoba, bo „się wykonywa na morzu i pod otwartem niebem.” „Macie słusność, rzekł stary rybak. Jestto rzemiosło co „sercu przynosi radość i daje ufność w opiekę świętych. „Rybak zostaje pod bezpośrednią strażą niebios. Człowiek nie wie z kąd przychodzi wiatr i fala. Hebel i pilnik są wręku rzemieślnika; bogactwo albo łaska są „w ręku króla: ale łódź jest w ręku Boga.”

Ta pobożna filozofia rybaka bardziej nas jeszcze przywiązała do myśli o puszczeniu się z nim na morze. Po długim oporze zgodził się. Umówiliśmy się płacić mu każdy po dwa karliny dziennie za naukę i stół.

Po takiej umowie posłał chłopaka na Margellina po dodatkowy zapas chleba, wina, suchego séra i owoców.

Na schyłku dnia pomogliśmy mu zepchnąć łódź na morze i popłynęliśmy.

NOTATKA IV.

Pierwsza noc była rozkoszna. Morze spokojne jak jezioro zamknięte między górami Szwajcaryi. W miarę jak się oddalali się od brzegu, widzieliśmy ognie okien pałacu i ulic nadbrzeżnych Neapolu znikające pod ciemną linią horyzontu. Tylko latarnie morskie brzeg nam wskazywały. Bładły one przed lekkim słupem ognistym co się podnosił z krateru Wezuwiusza. Kiedy rybak zarzucał i wyciągał sieć, i kiedy chłopak pół uśpio-ny chwiały pochodnią, my od czasu do czasu nadawaliśmy lekki ruch łodzi, i z zachwyceniem słuchaliśmy jak dźwięczne krople wody spływającej z wiosel naszych, spadały harmonijnie w morze, niby perły w srebrne naczynie.

Dawno już przepłynęliśmy za cypel Pauzylippu, przebyliśmy odnogi Puzzole, Baia, tudzież kanał odnogi Gaety, między przylądkiem Mizeńskim a wyspą Procida. Byliśmy na pełnym morzu; sen ogarniać nas zaczął. Położyliśmy się pod ławkami obok chłopaka.

Rybak zarzucił na nas ciężki żagiel zwinięty na dnie łodzi. Tak usnęliśmy pomiędzy dwiema falami, kołysani nieznacznym wahaniem się morza, które zaledwo maszt pochylało. Kiedyśmy się przebudzili już dawno był dzień.

Słońce błyszczące wstęgami ognia złożyło w morze

morze i odbijało się o białe domy nieznanego brzegu. Lekki wiatr powiewając od tej ziemi, poruszał żagiel nad głowami naszymi i pędził nas od przystani do przystani, od skały do skały. Był to wyzębiony i śpiczasty brzeg ładnej wyspy Ischia, na której miałem tyle mieszkać i tyle ją kochać później. Ukazała mi się po raz pierwszy, pływająca w świetle, wychodząca z morza, ginąca w błękitie niebios, i rozkwitła jak z marzenia poety podczas lekkiego snu wśród nocy letniej.....

NOTATKA V.

Wyspa *Ischia*, dzieląca odnogę Gaety od odnogi Neapolitańskiej, a którą wązki kanał przedzieli od wyspy Procida, jest tylko górą śpiczastą, której szczyt biały i pogruchotany zapuszcza wyszczerbione zęby w niebo. Urwiste jej brzegi, porzniete dolinami, wąwozami, łożyskami wód, potokami, stroją od góry do dołu kasztany ciemnozielone. Na jej płaszczyznach najbliższych morza i pomkniętych nad fale znajdują się chatki, ville wieśniacze, i wsi do połowy ukryte pod latoroślami winnemi. Każda z tych wiosek ma swoje „marynarę.” Tak nazywają mały port, w którym pływają łodzie rybaków z wyspy, i gdzie kołysze się kilka masztów na statkach o żaglu trójkątnym. Reje dotykają drzew i winnic nadbrzeżnych.

Nie masz ani jednego z tych domów zawieszonych na spadziście góry, ukrytego w wąwozach, wznoszącego się piramidalnie nad płaszczyzną, wystającego pośród win

nicy, przypartego do gaiku kasztanów, ocienionego grupą sosen, otoczonego arkadami białemi i strojnego w girlandy wieszających się liści, któryby nie był we śnie idealnym pomieszkaniem poety albo kochanka.

Oczy nasze nie mogły nasycić się tém widowiskiem. Koło brzegu była obfitość ryb. Rybak miał noc pomyślną. Zawinęliśmy do malój przystani u wyspy, dla nabrania wody z pobliskiego źródła i wypoczynku pod skałami. O zachodzie słońca wróciliśmy do Neapolu, leżąc na naszych ławkach wioślarskich. Żagiel kwadratowy, przeciągnięty w poprzek małego masztu na przodzie, którego sznur chłopak trzymał, dostatecznym był do odbycia drogi wzdłuż skał wyspy Procida i przylądka Mizeny, i do spienienia morza pod naszym statkiem.

Stary rybak i chłopak, przy naszej pomocy, wyciągnęli łódź na piasek i zabrali kosze z rybą i muszlami do jakiejś niby piwnicy, w której mieszkali pod skałami Margelliny.

NOTATKA VI.

Następnych dni wzięliśmy się wesoło do nowego naszego rzemiosła. Zapieniliśmy z kolei wszystkie fale Neapolitańskiego morza. Szliśmy za wiatrem, obojętnie wszędzie gdziekolwiek wiał. Zwiedziliśmy tym sposobem wyspę Capri, z kądem odstręcza jeszcze wyobraźnię złowieszcy cień Tyberysza; Kumi i jej świątynie, zagrzebane pod wawrzynami gęstemi i dzikimi figami;

Bańa i jej posępne place, co zdaje się że postarzały i posiwiały jak owi Rzymianie, których młodości i uciechom dawały niegdyś przytułek; Portici i Pompeja, śmiejące się pod lawą i popiołem Wezuwiusza; Castellamare, którego wysokie i czarne lasy wawrzynów i kasztanów dzikich, powtarzając się w morzu, malują ciemnozielonym kolorem wiecznie szemrzące wody przystani. Stary rybak znał wszędzie jakąś rodzinę, podobnie jak on rybaków, gdzieśmy znajdowali przytułek kiedy morze było wzburzone i przeszkadzało nam wracać do Neapolu.

Przez dwa miesiące nie wstępowaliśmy do oberży. Żyliśmy na otwartém powietrzu, z ludem, i skromnym życiem ludu. Sami przekształciliśmy się w lud, żeby być bliżej natury. Nosiliśmy jego prawie ubiór. Mówiliśmy jego językiem, a prostota jego zwyczajów udzielała nam, iż tak rzekę, szczerość jego uczuć.

To przeobrażenie wszakże niewiele kosztowało mnie i przyjaciela mojego. Oba wychowani na wsi w ciągu burz rewolucyj, która sprzątnęła lub rozproszyła rodziny nasze, żyliśmy wiele, w dzieciństwie naszym, życiem włościanina: on, w górach Gresivaudan, u mamki, co go przyjęła w czasie uwiecznienia jego matki; ja na górach Makońskich, w szczupłym wiejskim pomieszkaniu, gdzie ojciec i matka zebrali swoje gniazdo zagrożone. Od pasterza albo rolnika naszych gór do rybaka Neapolitańskiej odnogi zachodzi różnica tylko w położeniu miejsca, w języku i rzemiośle. Brózza albo fala obudzają też same myśli w ludziach co porą ziemię lub wodę. Natura prze-

mawia jednostajnym językiem do tych co mieszkają z nią razem, na górze czy na morzu.

Doświadczyliśmy tego pośród tych ludzi prostych: nie byliśmy jak między zupełnie obcemi. Też same instynkta są pokrewieństwem między ludźmi. Jednotonność nawet tego życia podobala się nam usypiając nas. Z przykrością patrzyliśmy na nadchodzący koniec lata i zbliżające się dni jesieni i zimy, po których trzeba nam wracać do ojczyzny. Niespokojne familije nasze zaczęły nas odwoływać. Oddalaliśmy, o ileśmy tylko mogli, myśl o odjeździe, i woleliśmy wyobrażać sobie że takie życie końca mieć nie będzie.

NOTATKA VII.

Wrzesień atoli zaczynał się ze swoim deszczem i piorunami. Morze mniej było łagodne. Rzemiosło nasze, daleko cięższe, stawało się niekiedy niebezpiecznem. Wiatry były chłodne, pienily się balwany, i często nas oblewały falą morską. Kupiliśmy sobie dwa płaszcze z grubej ciemnej welny, jakie majtkowie i lazzaroni Neapolitańscy zarzucają na plecy zimową pórą. Szerokie rękawy tych płaszczy wiszą koło rąk obnażonych. Kaptur powiewający z tyłu lub zaciągnięty na czoło, stosownie do pogody, chroni głowę żeglarza od deszczu i zimna, lub pozwala wiatrom i promieniom słońca igrać z mokremi jego włosami.

Jednego dnia popłynęliśmy z Margelliny gładkiem morzem, którego powierzchni żaden powiew nie marszczył,

na połów rougetów i pierwszych tuńczyków na brzegu Ku-mejskim, gdzie prądy wyrzucają je o tój porze. Ruda mgła poranna unosiła się na pół brzegu i zapowiadała wiatr silny na wieczór. Spodziewaliśmy się go uprzedzić i mieć czas opłynąć przylądek Mizeński, wprzód nim się podniesie morze ciężkie i uśpione.

Półów był obfity. Chcieliśmy zarzucić jeszcze kilka sieci. Wiatr nas zaskoczył; spadł ze szczytu Epomeo, ogromnej góry panującej nad wyspą Ischia, z takim łoskotem i ciężarem jakby sama góra zwała się w morze. Zrównał naprzód całą przestrzeń płynną około nas, jak brona żelazna splaszcza grunt i wyrównywa brzozy. Potem fala, ochłonawszy z zadziwienia, nadęła się szemrząca i dźwięczna, i podniosła się w ciągu kilku minut do takiej wysokości, że zakryła przed nami brzeg i wyspy.

Równie daleko byliśmy od lądu stałego i od Ischii, i już nieco wpływalismy na kanał dzielący przylądek Mizeny od greckiej wyspy Procida. Jeden tylko środek pozostawał: śmiało wpłynąć na kanał, i jeżeli uda się go przebyć, rzucić się na lewo w odnogę Baia i schronić się na jej wody spokojne.

Stary rybak nie wahał się. Ze szczytu fali gdzie równowaga łodzi zawiesiła nas przez chwilę nad wirami piany, szybko spojrzał dokoła, jak człowiek zbłąkany co wchodzi na drzewo żeby wypatrzeć drogę, potem rzucając się do stępu zawołał: „Do wiosel, dzieci! trzeba, żebyśmy prędzej dostali się do przylądka niżeli wiatr; jeżeli tam nas uprzedzi, zginęliśmy.” Posłuszni byliśmy, jak ciało posłusznem jest instynktowi.

Oczy mając utkwione w jego oczy żeby szukać w nich szybkiej skazówki kierunku, pochyliliśmy się na wiosła nasze, i już z trudnością wdzierając się na bok podnoszących się balwanów, już spadając z ich pianą w głęb' opadających fal, staraliśmy się zwolnić nasz spadek oporem wiosel w wodzie. Ośm lub dziesięć balwanów coraz ogromniejszych wrzuciło nas w najciaśniejsze miejsce kanału. Ale wiatr już tam nas uprzedził, jak rzekł sternik, i zapuściwszy się pomiędzy przyładek a klin wyspy, nabył takiej siły i takiego ciężaru, że podnosił morze z wrzeniem lawy rozjuszonej, i że fala nieznajdując przestrzeni do dość szybkiej ucieczki przed uraganem co ją popychał, zwaliła się na siebie samą, spadała, rozplywała się, rozpryskiwała we wszystkich kierunkach jak morze szalone, i usiłując uciec a nie mogąc wymknąć się z kanału, roztrącała się ze strasznym hukiem o śpiczaste skały przyładek Mizeny, i podnosiła tu słup piany, której kroplista kurzawa aż na nas spadała.

NOTATKA VIII.

Kusić się o przejście tędy, na łodzi bez pomostu, bez masztu, bez żagla, i którą jedno uderzenie balwana mogło napelnić wodą i zatopić, byłoby nierozsądkiem. Rybak rzucił na przyładek, oświecony swoim słupem piany, spojrzenie, którego nigdy w życiu nie zapomnę, a potem przeżegnawszy się zawołał: „Przeplynać niepodobna, cofnąć się na pełne morze, jeszcze bardziej. Jeden tyl-

„ko zostaje nam środek: przybić do Procidy albo zginać.”

Jakkolwiek byliśmy nowicuszami w praktyce morskiej, czuliśmy trudność podobnego obrotu wśród szturm wiatrów. Gdyśmy zmierzali ku przyładowi, wiatr zachodził nam z tyłu, pędził przed sobą; szliśmy za morzem co uciekało razem z nami, a balwany podnosząc nas na swój wierzchołek, z sobą razem i nas podnosiły. Mniej przeto mogły mieć nadziei zagrzebać w przepaściach jakie wykopywały. Ale żeby się dostać na Procidę, której postrzegaliśmy na prawo błyszczące ognie wieczorne, trzeba było ukośnie płynąć koło balwanów, i prześliznąć się, iż tak rzekę, przez ich dół ku brzegowi, stawiać bok falom, a wązki brzeg łodzi wiatrowi. Wszelako konieczność nie pozwalała wahać się. Rybak skinąwszy na nas żebyśmy podnieśli wiosła, korzystał z przerwy pomiędzy jednym balwanem a drugim, i zmienił kierunek łodzi. Opuściliśmy przyładek dla Procidy, i płynęliśmy jak żdźbło trawy morskiej, które balwan przerzuca balwanowi i fala fali odbiera.

NOTATKA IX.

Niewiele posuwaliśmy się naprzód; noc już zapadła. Wodnista kurzawa, piana, obłoki które wiatr toczył w poszarpanych szmatach na kanał, podwajały jej ciemności. Starzec kazał chłopcykowi zapalić pochodnię ze smoly, bądź dla oświecenia trochę obrotu swego wśród głębin morskich, bądź dla wskazania marynarzom Procidy, że

łodzi zguba zagraża na kanale, i dla proszenia ich nie o ratunek ale o modły.

Wzniosłe to i straszne było widowisko: biedny chłopak trzymający się jedną ręką małego masztu na przodzie statku, a drugą podnoszący ponad głowę pochodnię z czerwonym ogniem, której płomień i dym łamały się pod wiatrem i paliły mu palce i włosy. Ta pływająca iskierka co pokazywała się na szczycie balwanów i znikwała w ich głębi, zawsze gotowa zagasnąć i zawsze rozpalona, była jakby symbol poczwórnego życia ludzi, co walczyli pomiędzy ratunkiem a śmiercią wśród ciemności i udręczeń owiej nocy.

NOTATKA X.

Trzy godziny, których minuty mają długość mierzących je myśli, upłynęły tym sposobem. Księżyc wszedł, i jak zwykle, wiatr gwałtowniejszy podniósł się z nim razem. Gdybyśmy mieli najmniejszy żagiel, przewróciłby nas dwadzieścia razy. Chociaż boki bardzo niskie łodzi niewiele narażały się na uragan, były jednak chwile kiedy zdawało się że wykorzenił spód łodzi naszój z wód, i kręcił nami jak liściem suchym zerwanym z drzewa.

Wiele nabieraliśmy wody i nie mogliśmy wystarczyć z wylaniem jój tak prędko jak przybywała. Były chwile kiedyśmy czuli deski osiadające pod nami jak trumna, co się spuszcza w dół. Ciężar wody czynił łódź mniej posłuszną i mógł opóźnić jój podniesienie się skoroby

wpadła między dwa balwany. Jedna sekunda opóźnienia a wszystko się skończyło.

Starzec, niemogąc mówić, skinął na nas, ze łzami w oczach, żebyśmy powrzuć w morze wszystko co zapelniało dno łodzi. Naczynia z wodą, kosze z rybą, dwa duże żagle, kotwica żelazna, liny, nawet zawiniątka ciężkiej jego odzieży i naszój, nawet płaszcze nasze z grubój wełny przemokłe wodą, wszystko poszło precz w morze. Biedny żeglarz popatrzał przez chwilę na pływające całe swe bogactwo. Łódź podniosła się i lekko wbiegła na grzbiet balwanów, jak rumak z którego ciężar zdjęto.

Weszliśmy nieznacznie na spokojniejsze morze, nieco zasłonięne cyplem zachodnim Procidy. Wiatr wolniał, płomień pochodni wyprostował się; księżyc zrobił duży błękitny otwór pomiędzy chmurami; balwany, przedłużając się, splaszczyły się i przestały pienie się nad naszymi głowami. Powoli morze uciszyło się i kołysało jak w przystani prawie spokojnej, i czarny cień skał Procidy przeciął nam linię horyzontu. Znajdowaliśmy się na wodach około środka wyspy.

NOTATKA XI.

Morze było zanadto wzburzone koło cypla żeby szukać portu. Należało poprzestać na przybiciu do wyspy z boku i pośród skał. — „Nie bądźmy już niespokojni, „dzieci”, rzekł rybak poznając brzeg przy świetle pochodni. — „Matka Boska nas ocaliła. Bliscy jesteśmy zie-

„mi i nocy dzisiejszj spać będziemy w moim domu.”— Sądziłyśmy że rozum stracił, bo nie znaliśmy innego jego pomieszkania prócz ciemnej piwnicy na Margellinie, i żeby tam wrócić przed nocą, należało rzucić się znowu w kanał, opłynąć przylądek, i narazić się raz jeszcze na ryczące morze, od któregośmy się wymknęli.

Ale on uśmiechał się na naszą minę zdziwioną i wyczytując nam myśli nasze z oczu, rzekł: „Bądźcie spokojni, młodzi ludzie; dostaniemy się tam, i ani jedna fala nas nie zmoczy.” Potem wytłumaczył nam że jest rodem z Procidy, że posiada i na tym brzegu wyspy chatkę i ogród po swoim ojcu, i że w tej chwili właśnie stara żona jego z wnuczką, siostrą Beppina, naszego chłopaka, i dwójgiem innych małych dzieci, znajdują się w jego domu, dla suszenia fig i zebrania winogron które sprzedają w Neapolu.—„Jeszcze kilka wioseł, dodał, a napijemy się wody ze źródła przezroczyściego niż wino z Ischii.”

Słowa te wróciły nam odwagę; robiliśmy wiosłem jeszcze na przestrzeni blisko mili wzdłuż prawego i zapionionego brzegu Procidy; kiedy niekiedy chłopak podnosił i wstrząsał pochodnią. Rzuciła swój blask złowieszczy na skały, i wskazywała nam wszędzie mur nieprzystępny. Wreszcie, na zawrocie cypla granitowego, który naksztalt bastyonu zachodził w morze, ujrzałyśmy że skalisty brzeg podaje się i zakłęsa naksztalt wylomu zrobionego w wale; poruszenie steru zwróciło nas wprost ku brzegowi, trzy ostatnie fale rzuciły naszą łódź potłuczoną między dwie skały, gdzie piana kipiała na mialkiem dnie.

NOTATKA XII.

Przód łodzi dotknąwszy skały, wydał łoskot suchy i dźwięczny niby trzask deski, upadł i łamiący się. Wskoczyliśmy w morze, przynocowaliśmy jak można było najlepij łódź resztą lin, i udaliśmy się za starcem i chłopakiem, którzy szli przed nami.

Drapaliśmy się bokiem skały po wąskiej spadzistości, gdzie dłoto w skale a stopy w ziemi wyryły stopnie nierówne, ślizkie od wodnistego kurzu z morza. Te wschody w twardej skale, których brakło niekiedy pod nogami, zastępowały sztuczne stopnie zrobione z długich żerdzi wbitych w otwory ściany, i desek zasmolonych ze starych łodzi, albo z gałęzi kasztanów o zeschłych liściach.

Przeszedłszy tym sposobem powoli blisko czterysta lub pięćset stopni, znaleźliśmy się na małym wiszącym dziedzińcu, który opasywał wał z szarego kamienia. W głębi dziedzińca otwierały się dwie arkady ciemne, co jak się zdaje prowadziły do śpiczra. Po nad arkadami grubemi, dwie arkady zaokrąglone i niższe ku środkowi podpierały dach z ziemi, którego brzegi zdobiły doniczki z rozmarynem i bazyliką. Pod arkadami widać było galerią wiejską, gdzie błyszczaly, jak złote żyrandole, przy blasku księżyca, rozwieszone szyszki kuku-rydzy.

Drzwi z desek nieszczelnie spojonych prowadziły do galerii. Na prawo, plac nierówny, na którym domek zbudowany, podnosi się do wysokości galerii. Duże

drzewo figowe i kilka pokrzywionych winnych latorośli, zwieszało się zład na róg domu, splatając swoje liście i owoce pod otworami galeryi, i zarzucając dwa lub trzy festony wężykowate na mur podpierający arkady. Gałęzie ich kratowały do połowy dwa niskie okna wychodzące na ten niby ogród, i gdyby nie te okna, możnaby wziąć dom ciężki, kwadratowy i niski, za jedną z szarych skał na tym brzegu, albo za bryłę ostyglęj lawy, którą kasztany, bluszcz i latorośle winne naciskają i zakrywają swemi gałęzmi, i gdzie winobraniec z Castellamare lub Sorrentu wykowywa grotę z drzwiami zamkniętymi na chowanie wina swego obok winnicy co mu je przyniosła.

Zadyszani długą i prędką drogą, i ciężarem wioseł, które nieśliśmy na ramionach, zatrzymaliśmy się przez chwilę, starzec i my, żeby odetchnąć na tym dziedzińcu. Ale chłopak rzuciwszy wiosło na kupę ciernia i lekko wbiegłszy na wschody kolatać zaczął w okno pochodnią jeszcze palącą się, wesołym głosem wołając babki i siostry: „Matko! siostro! *Madre! Sorellina!*” wołał, „*Gaë-tana! Graziella!* obudźcie się, otwórzcie, to ojciec, „to ja, to dwaj goście z nami.”

Usłyszeliśmy głos rozespany, ale czysty i przyjemny wydający kilka niewyraźnych wykrzykników zadziwienia ze środka domu. Potem otworzyła się do połowy okienica jednego okna popchnięta ręką obnażoną i białą wysuniętą z szerokiego rękawa, i ujrzeliśmy przy blasku pochodni, którą chłopak podniósł do okna wspinawszy się na palcach, zachwycającą twarz młodej dziewczyny co się ukazała między szerzej otwartymi okiennicami.

Zaskoczona pośród snu głosem brata, *Graziella* nie miała ani myśli ani czasu przyrządzać toaletę nocną. Skoczyła bosymi nogami do okna, w nieładzie w jakim spała. Połowa czarnych włosów spadała jęj na twarz, druga zaś połowa wila się koło szyi, potem porwana na drugą stronę ramienia przez wiatr silny, uderzała przymkniętą okiennicę i wracała uderzać po twarzy, jak skrzydło kruka pędzone wiatrem.

Odrotną stroną dłoni, dziewczyna przecierała sobie oczy, podniósłszy łokcie i wyciągając ramiona z pierwszym gestem dziecięcia co się budzi i chce sen odpędzić. Koszula związana koło szyi dawała tylko dostrzedz kibić wysmukłą i cienką, gdzie się zaledwo modelowały pod płótnem pierwsze kształty młodości. Oczy, podługne i duże, miały kolor niewyraźny, pomiędzy mocno czarnym a szafirowym, który łagodzi ich promienie wilgocią spojrzenia, i w równym stosunku mięsza w oczach kobiety czułość duszy z energiją namiętności: barwa niebieska, jaką oczy kobiet Azyi i Włoch biorą od gorejącego ognia swoich płomienistych dni i pogodnego jazu ru swego nieba, swego morza i swoich nocy. Jagody miała pełne, zaokrąglone, mocnego konturu, ale cery trochę bladą i trochę śniadą od klimatu, nie tą chorowitą błądzącością północy, ale białością zdrową południa, podobną do marmuru wystawionego od wieków na działanie powietrza i fali. Usta były bardziej otwarte i grubsze niżeli u kobiet naszych klimatów, a koło nich dolki niewinności i dobroci. Zęby drobne, ale błyszczące białości, jaśniały przy chwiejącym się blasku pochodni, jak

otwarte konchy perłowe nad brzegiem morza pod morą wody uderzonéj słońcem.

Kiedy rozmawiała z braciszkiem, słowa żywe, nieco szorstkie i wymówione z przyciskiem, których połowę wiatr unosił, brzmiały w uszach naszych jak muzyka. Fizyognomija równie ruchliwa jak blask oświecającej ją pochodni, przeszła w jednej minucie od zadziwienia do przestachu, od przestachu do wesołości, od czułości do śmiechu. Potém spostrzegła nas za drzewem figowém: cofnęła się zawstydzona od okna, ręka jej puściła okiennicę, która swobodnie uderzyła mur; tyle tylko użyła czasu ile trzeba na obudzenie babki i ubranie się do połowy, wyszła otworzyć drzwi pod arkadami i z rozrzewnieniem ucałować dziadka i brata.

NOTATKA XIII.

Stara matka wyszła wkrótce trzymając w ręku lampę z gliny czerwonej, oświecającą jęj twarz chudą i bladą, oraz włosy tak białe jak kosmyki wełny, co ulatywały na stole koło jęj kądzieli. Pocałowała męża w rękę, a syna w czoło. Cała powieść opisana tutaj, opowiedziana była w kilku słowach i kilku gestach między członkami tęg ubogieg rodziny. Niewszystkośmy słyszeli. Staliśmy nieco na boku, żeby nie przeszkadzać wylewowi serca naszych gospodarzy. Oni ubodzy; my cudzoziemcy; winniśmy byli im szacunek. Nasza skromna postawa na ostatniem miejscu i przy drzwiach, świadczyła im o tém w mileniu.

Graziella rzuciła kiedy niekiedy zdziwione spojrzenie na nas, jakoby wychodzące z głębi dumania. Kiedy ojciec skończył opowiadanie, stara matka padła na kolana przy kominku; *Graziella*, wyszedłszy na taras, przyniosła gałązkę rozmarynu i kilka kwiatów pomarańczowych o szerokich gwiazdkach białych; wzięła krzesło, długimi złotemi szpilkami wyjętymi z swych włosów przypięła kwiaty u malej okopconej figury Matki Boskiej, stojącej nadedrzwiemi, przed którą paliła się lampa. Zrozumieliśmy że to był znak dziekczynienia niebieskiej opiekunce za ocalenie dziadka i brata, i wzięliśmy udział w jej wdzięczności.

NOTATKA XIV.

Wnętrze domu równie nagie i równie podobne do skały jak zewnętrzna postać. Ściany nietynkowane, trochę tylko były pobielone wapnem. Jaszczurki przebudzone blaskiem prześlizgały się i szeleściły w szparach między kamieniami i pod liśniami służącemi za posłanie dla dzieci. Gniazdka jaskółek, z których wysuwały się małe czarne główki i błyszczały oczy niespokojne, wisały u belek korą pokrytych, składających dach. *Graziella* i babka sypiały razem w drugim pokoju na jedném łóżku zasłaném szmatami żagli. Kosze z owocami i liście zasłaniały podłogę.

Rybak obrócił się do nas ze wstydem, pokazując ręką ubóstwo swego mieszkania; potém zaprowadził na taras, miejsce honorowe na Wschodzie i we Wło-

szech południowych. Przy pomocy chłopaka i *Grazielli*, urządził niby szopę, opierając jeden koniec wioseł naszych o mur przy tarasie, a drugi koniec o ziemię. Pokrył ten szalas około dwudziestu gałęzi drzewa kasztanowego świeżo wyciętymi w górach, rozesłał kilka wiązek trawy pod tą szopą; przyniósł nam dwa kawałki chleba, wody świeżej i fig, i życzył smacznego snu.

Trudy i wzruszenia jakich doznaliśmy w tym dniu, przyniosły nam sen prędko i twardy. Kiedyśmy się przebudzili, jaskółki świegotały już koło naszego posłania skacząc po tarasie, szukając tam okruszyn naszej wieczery, a słońce już wysoko rozgrzewało jak piec gałęzie służące za dach.

Długo leżeliśmy na trawiastém posłaniu w takim stanie pół-snu, który dopuszcza człowiekowi moralnemu czuć i myśleć wprzód niżeli człowiek zmysłowy ma odwagę wstać i być czynnym. Przemówiliśmy do siebie kilka słów niewyraźnych, które przerywało długie milczenie i które odpadały w sen. Wczorajszy półow, baraka chwiejąca się pod naszymi nogami, wzburzone morze, skały niedostępne, *Graziella* między dwiema okienicami, przy blasku smolnej pochodni; te wszystkie obrazy krzyżowały się, plątały i zlewały się w nas.

Wydobył nas z tego drzemania płacz i wyrzuty stariej babki, mówiącej w domu do męża. Kominiek, którego wycior wychodził na taras, przynosił głos i niektóre słowa aż do nas. Biędna kobieta lamentowała nad stratą naczyni, kotwicy, lin prawie nowych, a nadewszystko dwóch pięknych żagli, wytkanych przez nią, wyprze-

dzonych z własnych jój konopi, i które po barbarzyńsku wrzuciliśmy w morze żeby ocalić życie nasze.

„Pocóżeś,” — mówiła do starca zasmuconego i milczącego, — „wziął z sobą tych dwóch cudzoziemców, „tych dwóch Francuzów? Czy nie wiesz że to są poganie (*pagani*) i że przynoszą z sobą nieszczęście i bezbożność? Święci ukarali cię. Zabrali nam nasze bogactwo, dziękuj im jeszcze że nie zabrali duszy naszej.”

Nieborak nie wiedział co odpowiedzieć. Ale *Graziella* z powagą i niecierpliwością dziecka, któremu babka wszystko pozwala, oburzyła się na niesprawiedliwość takich wyrzutów, i biorąc stronę starego, odpowiedziała babce:

„A któż ci powiedział, babuniu, że ci cudzoziemcy „*poganie*? Czy *poganie* patrzą tak litościwem okiem „na biednych ludzi? Czy *poganie* żegnają się jak my „przed obrazem świętych? Aha! ja ci mówię, babuniu, „że wczora kiedyś ukłękła podziękować Bogu, i kiedy przyczepiłam bukiet do obrazu Matki Boskiej, widziałam że schylili głowę jak modlący się, że się że gnali, a nawet u młodszego Iza pokazała się w oczach „i spadła mu na rękę. — „To kropla wody morskiej „spłynęła mu z włosów,” odparła cierpko staruszka. — „A ja powiadam że to była Iza,” — rzekła *Graziella* z gniewem. „Wiatr miał dość czasu osuszyć im włosy gdy „szli od brzegu aż na wierzch góry. Ale wiatr nie osusza „serca. No! ja powtarzam że mieli wodę w oczach.” — Zrozumieliśmy że mamy wszechwładną opiekunkę w tym

„ponieważ pozbawiło nas chleba? No, no, no! weź „mnie przynajmniej kawałkami, kiedyś nie wzięło razem „całej!”

To mówiąc podnosiła się, i ze szmatami odzieży swojej ciskała kosmyki włosów w morze. Biła fale gestami, nogą deptała pianę; potem przechodząc od gniewu do żalu i od konwulsyj do rozrzewnienia, znowu siadała na piasku, podpierała się rękami i patrzyła płacząc jak deski rozerwane tłukły się o skałę. „Biedny statek! — krzyczała jak gdyby te szczątki były trupem ukochanej osoby, która tylko co żyć przestała, — „czy taki los spotkać cię był powinien? Czy nie powinniśmy byli zginąć „razem z tobą? Zginąć razem jakeśmy żyli razem? Tu- „taj w kawałkach, potłuczony, leżysz w prochu, kona- „jący, przy skałę gdzie nas wołałeś całą noc i gdzie „powinniśmy byli ciebie ratować! Co ty myślisz o nas? „Ty nam służyłeś tak dobrze, a my ciebie zdradziliśmy, „porzuciliśmy, zgubiliśmy! Zgubiliśmy, tutaj, tak blisko „domu! jak słyhać głos twego pana! wyrzucony na „brzeg jak wierny pies, którego fala wyrzuciła pod nogi „pana co go utopił!”

Potem płacz dusił jej głos: potem zaczynała znowu wyliczać po szczególe wszystkie przymioty statku i pieniądze jakie ich kosztował, i wszystkie wspomnienia łączące się dla niej z temi pływającymi biednymi szczątkami: „Czy dlatego — mówiła — kazaliśmy ciebie tak do- „brze naprawić i tak pięknie pomalować po ostatnim po- „łowie tuńczyka? Czy dlatego biedny mój syn przed „śmiercią i nim mi zostawił troje tych dziełek, bez „ojca i matki, zbudował cię z taką troskliwością i miło-

„ścią prawie cały własnymi rękami? Kiedy przychodzi- „łam brać kosze ze statku, poznawałam znaki jego sie- „kiery na drzewie i całowałam na jego pamiątkę! Te- „raz reki i raki morskie całować go będą! Podczas „zimowych wieczorów sam nożem wyrzezał figurę świę- „tego Franciszka na desce, przybił ją na przedzie statku „żeby go chroniła od burzy. O niedobry święty! Jakąż „pokazał wdzięczność? Co zrobił z moim synem, jego „żoną i statkiem, który on nam zostawił żeby zarobić „na kawałek chleba dla biednych jego dzieci? Jak opie- „kował się sam sobą, i gdzież jest jego obraz, igrzysko „balwanów?”

— „Matko! matko!” — zawołało jedno dziecko, pod- nosząc na piasku między dwiema skałami kawałek statku wyrzucony na ziemię przez falę: — „Oto święty!” — Biedna kobieta zapomniała o całym swoim gniewie i bluźnierstwach, rzuciła się w wodę ku dziecku, wzięła kawałek deski wyrzezaną przez syna i przycisnęła do ust oblewając łzami. Potem usiadła znowu i nie już nie mówiła.

NOTATKA XVI.

Pomagaliśmy Beppowi i staremu zbierać jeden po drugim wszystkie kawałki statku. Wyciągnęliśmy pokaleczoną spodnią belkę trochę dalej na brzeg. Poskładaliśmy te szczątki, z których deski i żelaztwo mogły się jeszcze na co przydać biednym ludziom; zatoczyliśmy na wierzch duże kamienie, żeby balwany podniosł-

szy się, nie rozproszyły tych drogieli szczątków statku, i wróciliśmy smutni, idąc bardzo daleka za gospodarzami naszymi do domu. Brak łodzi i stan morza nie pozwalały nam odjechać.

Wziąwszy z oczyma spuszczonemi i w milczeniu kawałek chleba i trochę mleka koziego, które Graziella przyniosła nam do źródła pod figowem drzewem, zostawiliśmy dom żalobie, i poszliśmy na przechadzkę do winnicy i pod oliwne drzewa na wyniosłej płaszczynie.

NOTATKA XVII.

Nic prawie nie mówiliśmy do siebie, ja i mój przyjaciel; ale mieliśmy też samą myśl i instynktem wybieraliśmy ścieżki wiodące na wschodni koniec wyspy, które zaprowadzić nas miały do pobliskiego miasta Procydy. Kilku pasterzy kóz i kilka młodych dziewcząt w greckim stroju, które spotykaliśmy niósące na głowie naczynia z oliwą, po kilkakroć ukazali nam drogę. Przybyliśmy nareszcie do miasta po jednogodzinną podróż.

— „Otóż smutna przygoda,” powiedział wreszcie mój przyjaciel. — „Zamienić ją trzeba w radość dla tych „pocziwych ludzi,” odpowiedziałem.

— „Myślałem o tém,” rzekł, pobrzaknąwszy w pasie skórzanym sakiewką dość pełną cekinów złotych.

— „I ja także: ale mam tylko pięć lub sześć cekinów „w sakiewce. Wszelako, należałem do połowy nieszczę-

„ścia, trzeba też żebym należał w połowie do jego „prawy.” — „Bogatszy jestem z nas dwóch,” rzekł przyjaciel; — „mam kredyt u bankiera w Neapolu. Ja wszyscy „stko zapłacę. Porachujemy się z sobą we Francyi.”

NOTATKA XVIII.

Tak rozmawiając, schodziliśmy lekko po pochyłych ulicach *Procydy*. Przybyliśmy wkrótce na *marine*. Tak nazywają płaszczyznę bliską przystani lub portu na archipelagu i na brzegach Włoch. Płaszczyzna pokryta była łodziami z *Ischii*, *Procydy* i Neapolu, które wczorajsza burza zmusiła szukać przytulku na jej wodach. Marynarze i rybacy spali na słońcu, przy zmniejszającym się ryku balwanów, lub rozmawiali gromadami siedząc na tamie. Wnosząc z naszego stroju i okrywającej włosy nasze czerwonej welnianej czapeczki, wzięli nas za młodych majtków z Toskanii albo Genui, których bryg przewożący oliwę albo wino z *Ischii* wysadził na *Procyde*.

Przebiegliśmy *marine*, szukając okiem łodzi mocnej i należytej opatrzonej, którąby z łatwością dwóch ludzi kierować mogło, a rozmiarem i kształtem zbliżonej do téj którąśmy stracili. Nietrudno przyszło taką znaleźć. Należała do bogatego rybaka z wyspy, mającego jeszcze kilka innych. Ta od kilku dopiero miesięcy zaczęła być używana. Udaliśmy się do właściciela, którego dom pokazały nam dzieci znajdujące się w porcie.

Człowiek to był wesoly, czuły i dobry. Rozrzewniło go nasze opowiadanie kłeski nocnej, i smutki biednego spółziomka z *Procydy*. Nie stracił ani jednego piastra z ceny swojego statku, ale nie przesadzał też jej wcale, i targu dobiliśmy za trzydzieści dwa cekiny złotem, które mój przyjaciel wyliczył gotówką. Za tę sumę, statek i opatrzenie jego zupełnie nowe, żagle, naczynia, liny, kotwica żelazna, wszystko było nasze.

Uzupełniliśmy nawet uekwipowanie, kupiwszy w sklepie portowym dwie kapoty z rudęj wełny, jedną dla staroego, drugą dla chłopaka; przydaliśmy do tego sieci rozmaitego gatunku, kosze na ryby i kilka prostych naczyń kuchennych do użytku kobiet. Przyrzekliśmy właścicielowi łodzi dodać nazajutrz trzy cekiny jeżeli statek dziś jeszcze dostarczony będzie na wskazane przez nas miejsce u brzegu. Ponieważ gwałtowny wicher ustawał, a wyniosłość wyspy trochę zasłaniała morze od wiatru z téj strony, podjął się tego, a my łodem udaliśmy się napowrót do domu *Andrea*.

NOTATKA XIX.

Szliśmy powoli, siadając pod każdym drzewem, pod cieniem każdej altanki, rozmawiając, dumając, targując u młodych *Procydanek* kosze fig, niesplików, rozynek, jakie one nosiły, i dając godzinom czas do upływania. Kiedy z wysokości jednego cypla spostrzegliśmy łódź naszą prześlizgającą się ukradkiem pod cieniem brzegu,

przyspieszyliśmy kroku żeby przybyć w tymże czasie co wiosłarze.

Nie slychać było ani chodzenia, ani głosu w domku i w otaczającej wiwnicy. Dwa piękne gołębie o szerokiach pierzastych nogach i z białemi skrzydlami nakrapianemi czarno, dziobiące ziarnka kukurudzy na tarasie, były jedynym znakiem życia domek ten ożywiającego. Weszliśmy pocichu na dach; znaleźliśmy tam rodzinę głęboko uspioną. Wszyscy, wyjąwszy dzieci, których ładne główki jedna obok drugiej spoczywały na ramieniu *Grazielli*, drzémali w postawie osłabienia sprawionego przez smutek.

Stara matka trzymała głowę na kolanach, a w przytłumionym oddechu dawało się jeszcze dostrzegać łkanie. Ojciec leżał na wznak, z rękami na krzyż złożonemi, na samém słońcu. Jaskółki przelatując muskały mu włos siwy. Muchy okrywały czoło oblane znojem. Dwie brózdki głębokie i wijące się aż ku ustom, świadczyły, że siła mężczyzny skruszyła się w nim, i że usnął śród placzu.

Widok ten rozdarł nam serce. Myśl o szczęściu jakie przyniesiemy tym biednym ludziom pocieszyła nas. Przebudziliśmy ich. Rzuciliśmy pod nogi *Grazielli* i małych jej braciszków na podłogę dachu, chleb świeży, sér, wędlinę, rozenki, pomarańcze, figi, któreśmy pokupowali na drodze. Młoda dziewczyna i dzieci nie śmiały podnieść się śród tego deszczu obfitości spadającego jak z nieba koło nich. Ojciec dziękował nam za swoje rodzinę. Babka patrzyła na to wszystko obumarlém okiem.

Wyraz jęj twarzy zbliżał się więcej do gniewu niżeli do obojętności.

— „No, *Andrea*,” — rzekł mój przyjaciel do starca, — „człowiek nie powinien płakać dwa razy nad tém „co okupić można pracą i odwagą. Są deski w lasach, „a żagle w konopiach co odrastają. Życie tylko człowieka które smutek niszczy, nie odrasta. Dzień płaczu „więcej trawi siłę, niżeli rok pracy. Pójdź z nami, z żoną i dziećmi. Jesteśmy twoi majtkowie; dopomożemy „ci do zniesienia na dziedziniec szczątków naszego rozbicia się. Porobisz z nich ogrodzenia, łóżka, stoly, „sprzęty dla rodziny. Przyjemnie ci będzie kiedyś zasnąć spokojnie na starość, wśród tych desek, które tak „długo kołysały cię na falach.” — „Niech nam tylko posłużą na trumny!” pomruknęła głucho babka.

NOTATKA XX.

Wstali jednak wszyscy i poszli za nami, idąc powoli po wschodach nadbrzeżnych; ale znać było że widok morza i łoskot fali bardzo przykry dla nich. Nie będę opisywał zadziwienia i radości biednych ludzi, kiedy, z wysokości ostatniego przedziału wschodów, spostrzegli piękną łódź nową, błyszczącą na słońcu i wyciągniętą na piasek, obok szczątków stariej, i kiedy przyjaciel mój im powiedział: „To wasza!” Wszyscy jakby uderzeni piorunem, spólniej radości padli na kolana, każdy na stopniu, gdzie stał, żeby podziękować Bogu, wprzód nim znajdzie słowa na podziękowanie nam sa-

my. Ale ich szczęście dostateczną było dla nas podzięką.

Podnieśli się na głos wołającego ich mego przyjaciela. Pobiegli za nim do łodzi. Naprzód w pewnej odległości i z uszanowaniem obeszli ją dokoła, jak gdyby się lękali czy nie ma w tém coś fantastycznego i żeby nie rozprysnęła się jak urok. Potem pomknęli się bliżej, potem dotykać się zaczęli przykładając następnie do czoła i ust rękę, która jęj dotknęła, i całując tę rękę, potem wydawali okrzyki podziwiania i radości, i wzięwszy się razem za ręce, wszyscy, staruszka i małe dziatki, tańcowali około łodzi.

NOTATKA XXI.

Beppo pierwszy wszedł na nią. Stojąc na małym podwójnym pomoście u przodu łodzi, wyjmował z dna wszelkie porządki, któremi ją napelniliśmy, kotwicę, linę, naczynia o czterech uchach, piękne żagle nowe, kosze, kapoty z szerokimi kapturami; dzwonił kotwicą, podnosił pęk wiosel ponad głowę; rozwijał płótno, brał palcami szorstki kaptur płaszców, pokazywał te wszystkie bogactwa dziadkowi, babce, siostrze, krzyżąc i tupając nogami od szczęścia. Ojciec, matka, Graziella, plakali poglądając kolejno na łódź i na nas.

Marynarze co przyprowadzili statek, ukryci za skalami, plakali także. Wszyscy nas błogosławili. Graziella ze spuszczoną głową i poważniejsza w swojej wdzięczności, zbliżyła się do babki, i słyszałem jak mówiła po cichu, pokazując palcem na nas: „Mówiłaś że to poga-

„nie; a kiedy ja mówiłam że to raczej może aniołowie?
„Kto z nas miał słusność?”

Stara rzuciła się nam do nóg i prosiła o przebaczenie za podejrzenia swoje. Od téj godziny, kochała nas prawie tyle ile wnuczkę lub Beppa

NOTATKA XXII.

Pożegnaliśmy się z marynarzami z Procydy, zapłaciliśmy umówione trzy cekiny. Każdy z nas wziął jeden z przedmiotów napelniających łódź; przynieśliśmy do domu, zamiast szczątków mienia, wszystkie te bogactwa szczęśliwej rodziny. Wieczorem, po kolacyi, przy blasku lampy, Beppo zdjął wiszący nad łóżkiem babki kawałek deski złamanéj, na której figurę świętego Franciszka ojciec jego był wyrznięt; opiłował ją ze wszystkich stron; oskrobał nożem; wygładził i pomalował nanowo. Zamierzał osadzić ją nazajutrz na przodzie łodzi wewnątrz, ażeby w nowéj pozostała częśćka dawniejszój.

Podobnież ludy starożytności, budując nową świątynię na miejscu innej, starały się użyć do nowego gmachu materyał lub przynajmniej kolumnę z dawnego, ażeby było coś starego i świętego w nowożytnym, i żeby samaż pamiątka uszkodzona i niezgrabna zachowała swoje cześć i urok dla serca pomiędzy arcy-dzielami, któremi ozdobiono dom bogów. Człowiek jest wszędzie człowiekiem. Czula jego natura zawsze ma też same instynkta, czy rzecz idzie o Parthenon, o kościół świętego Pio-

tra w Rzymie, czy też o ubogą łódź rybaka u skał wyspy Procydy.

NOTATKA XXIII.

Ta noc była może najszczęśliwszą ze wszystkich nocy, jakie Opatrzność zesłała domowi temu, odkąd podniósł się ze skały, dopóty aż rozsypie się w proch. Spaliśmy przy świetle wiatru między drzewami oliwnymi, przy huku bałwanów obijających się o brzeg, przy blasku promieni księżyca spadających na taras. Gdyśmy się przechodzili, niebo było czyste jak kryształ, morze ciemne i cętkowane pianą, jak gdyby spoczęło się z trudu i znużenia. Ale wiatr gwałtowniejszy ciągle ryczał. Pył biały nanoszony od fali na krawędź przyładka Mizene podnosił się jeszcze wyżej niż wczora. Zatapiał całe pobrzeże Kunejskie w przypływie i odpływie mgły świetlnéj, która ciągle podnosiła się i opadała. Nie widać było ani jednego żagla na odnodze Gaety, ani też na odnodze Baia. Jaskółki morskie trzepały pianę skrzydłami białymi: jedyny ptak co ma swój żywioł w burzy i krzyczy z radości podczas rozbicia się, jak przekleci mieszkańcy Zatoki Nieboszczyków, którzy czekają swego łupu w zgubie okrętów.

Doświadczyliśmy, niemówiąc tego sobie, tajemnéj radości z takiego uwięzienia z powodu burzy, w domu i w winnicy rybaka. To dawało nam czas do napawania się słodyczą naszego położenia i cieszenia się

szcześciem tej ubogiej rodziny, do której przywiązaliśmy się jak dzieci.

Wiatry i burza zatrzymały nas tutaj całe dziewięć dni. Życzylibyśmy, ja nadewszystko, żeby burza nigdy się nie kończyła, i żeby mimowolna i fatalna konieczność nie puszczała nas całe lata ztąd, gdzieśmy byli tak uwięzieni i tak szczęśliwi. Dni nasze atoli upływały bardzo nieznacznie i bardzo niewyraźnie. Nie lepiej nie przekonywa jak mało trzeba do szczęścia, kiedy serce młode i cieszy się wszystkiem. Podobnie najprostsza żywność pokrzepia i odnawia życie ciała, kiedy apetyt dodaje jej przyprawy i kiedy organa są świeże i zdrowe.

NÓTATKA XXIV.

Budzić się na świegotanie jaskólek latających nad naszym dachem na tarasie, gdzieśmy sypiali. Słuchać dziecięcego głosu Grazielli, zeicha nęcącej w winnicy, z bojaźni żeby nie zakłócić snu dwóch cudzoziemców. Spuszczać się szybko na brzeg, żeby się zanurzyć w morze, pływać kilkanaście minut, w małej zatoce, gdzie delikatny piasek świecił się w głębinie przezroczystej wody, i nie dochodziło kołysanie się i piana pełnego morza. Wracać powoli do domu susząc i rozgrzewając na słońcu nasze włosy i ramiona zmoczone kąpielą. Jeść w winnicy śniadanie, składające się z kawałka chleba i sera bawolego, które młoda dziewczyna nam przynosiła i lała z nami. Pić czystą i chłodzącą wodę źródlaną, wy-

ezerpaną przez nią w małym glinianym dzbanku, który rumieniąc się nachylała pod pachą, kiedy usta nasze dotykały się do niego. Pomagać potem rodzinie w tysiącnych drobnych robotach wiejskich około domu i ogrodu. Podnosić ściany parkanu opasującego winnicę i podtrzymującego taras. Wykopywać duże kamienie, co się stoczyły zimą z wysokości murów na młode latorośle winne, i zabierały miejsce na szczupłą uprawę między latoroślami przeznaczone. Nosić do spiżarni ogromne żółte dynie, z których jedną tylko człowiek mógł udźwignąć. Obcinać potem ich lodygi, okrywające ziemię szerokimi liśniami, które przeszkadzały chodzić po grzędach. Kopać pomiędzy każdym rzędem szczepów winnych, pod wysokimi latoroślami, mały rowek w ziemi suchej, żeby woda deszczowa sama się tutaj zbierała i skrapiała je dłużej. Kopać, na takiż użytek, studnie lejkowate pod drzewami figowymi i cytrynowymi. Takie były zatrudnienia nasze poranne, aż do godziny, kiedy promienie słońca prostopadle spadały na dach, na ogród, na dziedziniec, i zniewalały nas szukać schronienia w altanach. Przezroczystość i odbłask liści winnych rozszerzały tam cienie pływające gorącego i nieco złocistego koloru.

KSIEGA VIII.

NOTATKA I.

Graziella wówczas wracała do domu prząszdź przy babce, lub przygotowywać posiłek południowy. Stary rybak zaś i Beppo przepędzali nad brzegiem morskim całe dni na porządkowaniu nowój łodzi, na zaprowadzaniu w niej udoskonaleń, jakie miłość ku nowój własności im podawała, i na probowaniu sieci pod zasloną skał. Zawsze nam przynosili o południu kilka morskich raków lub węgorzy, mających łuskę więcej jeszcze błyszczącą niżeli olów świeżo roztopiony. Matka smażyła je w oliwie. Chowali tę oliwę nad brzegiem morskim, według zwyczaju krajowego, na dnie malój studni wykutój w skale przy samym domu, i zamykanój dużym kamieniem, do którego przytwierdzone było żelazne kółko. Kilka ogórków podo-

bniej smażonych i pokrajanych w kawałki na patelni, kilka muszli świeżych i osolonych wodą morską, podobnych do ślimaków i zwanych *frutti di mare*, owoce morskie, składały dla nas skromny obiad, główne i najposilniejsze jadło w ciągu dnia. Winogrona muszkatelowe o długich żółtych gronach, zerwane zraną ręką Grazielli i podane wraz z lodygą i liśniami w płaskich koszykach plecionych z łozy, służyły za wety. Jedna lub dwie lodygi kopru zielonego opieprzone i których anyżowy zapach wonność daje ustom i orzeźwia serce, zastępowały dla nas likiery i kawę, według zwyczaju marynarzy i kmiotków neapolitańskich. Po obiedzie, ja z przyjacielem szliśmy szukać cienia i chłodu na szczycie skał, nad morzem i na pobrzeżu Baia, i przepędzaliśmy tu, patrząc, dumając i czytając, skwarne godziny dnia do czwartej lub piątej po południu.

NOTATKA II.

Ocaliliśmy z pośrodku fal tylko trzy tomy rozerwane, o nieważ te nie znajdowały się w marynarskim naszym tomoku, kiedyśmy go wrzucali w morze: byłto mały tomik włoskiego dzieła *Ugo Foscolo* pod tytułem: *Listy Jakóba Ortisa*, pewny rodzaj Wertera, w którym miłość swojego kraju łączy się w sercu młodego Włocha z miłością dla pięknej Wenecyanki. Podwójny entuzjazm podsycany podwójnym ogniem kochanka i obywatela, rozpała w duszy Ortisa gorączkę, której napad, zbyt sil-

ny dla człowieka czulego i chorowitego, sprowadza nareszcie samobójstwo. Książką tą, kopia literalna, ale barwna i błyszcząca kopia *Wertera* Goethego, znajdowała się podówczas w ręku wszystkich młodych ludzi, którzy pielegnowali, podobnie jak my, w duszy swojej, podwójne marzenie tych, którzy godni są marzyć o czemś większem niżeli o naturze.

NOTATKA III.

Z dwóch innych tomów któreśmy uratowali, jeden był *Paweł i Wirginija* Bernardina de Saint-Pierre, ta książka podręczna miłości naiwnej; książka co zdaje się być kartą dziecinnego wieku świata wydartą z historii serca ludzkiego i zachowaną w czystości, przesiąkniętą łzami, żarliwymi dla szesnastoletniego oka.

Drugim był tom *Tacyta*, stronnice skalane wszetecznością, hańbą i krwią, ale na których enota stoicka bierze rylec i pozorną nieczulość historii, ażeby natchnąć tych co ją rozumieją nienawiścią ku złemu, potęgą wielkich poświęceń się i pragnieniem szlachetnej śmierci.

Te trzy książki przypadkowo odpowiadały trojakim uczuciom, wtedy już wstrząsającym jakby z przeczucia młodemi duszami naszemi: miłości, entuzjazmowi i zamilowaniu wielkich czynów, jakich Tacyt przedstawiał obraz, i dla których zawczasu kąpał dusze nasze we krwi swojego pędzla i w ogniu starożytniej enoty. Czytaliśmy głośno i naprzemiennie, już podziwiając, już płacząc,

już dumając. Przerywaliśmy czytanie długiem milczeniem i wykrzyknikami wzajemnemi, które były dla nas nieobmyślonym komentarzem naszych wrażeń, a wiatr unosił je z naszemi marzeniami.

NOTATKA IV.

Sami stawiliśmy się myślą w niektórych z owych położeniach romantycznych albo historycznych, jakie poeta lub historyk opisywał dla nas. Tworzyliśmy sobie ideał kochanka lub obywatela, życia ukrytego lub życia publicznego, szczęścia lub enoty. Lubiliśmy układać te wielkie okoliczności, te cudowne przygody wśród wielkich wypadków, kiedy ludzie na najniższym zostający szczeblu objawiają się tłumom geniuszem swoim; potem padają ofiarą niestałości i niewdzięczności ludów, giną na rusztowaniu, w obec swego czasu, co ich nie poznał, i w obec potomności, która się za nich pomści.

Nie było roli, choćby najheroicniejszej, któraby nie znalazła dusz naszych gotowemi jej odpowiedzieć. Przygotowywaliśmy się na wszystko, a jeżeli fortuna, z czasem, nie ziści tych wielkich prób, na które rzucaliśmy się myślą, mściliśmy się zawczasu pogardzając nią. Mieliśmy w sobie samych tę pociechę dusz silnych: że jeżeli życie nasze upłynie nieznane, pospolite i niskie, to dlatego że doła nam nie dopisała, nie zaś dlatego żebyśmy się my okazali niższymi od naszej doli.

NOTATKA V.

Kiedy słońce spuszczało się niżej, odbywaliśmy długie przechadzki po wyspie. Zwiedziliśmy ją we wszystkich kierunkach. Chodziliśmy do miasta kupować chleb, albo jarzyny, których nie było w ogrodzie Andrea. Niekiedy przynosiliśmy trochę tytoniu, tego *opium* marynarza, co go pokrzepia na morzu i pociesza na lądzie. Wracaliśmy przed nocą mając kieszenie i ręce pełne skromnej naszej hojności. Wieczorem zgromadzała się rodzina na dachu, zwanym w Neapolu *astrico*, oczekiwać godziny spoczynku. Nic tak malowniczego, wśród pięknych nocy owego klimatu, jak widok *astrico*, przy świetle księżyca.

Na wsi, dom niski i kwadratowy podobny jest do starożytnego pedestalu, dźwigającego grupy żyjące i posągi ożywione. Wszyscy mieszkańcy wychodzą na dach, ruszają się lub siadają w rozmaitej postawie; blask księżyca lub płomień lampy odbija i rysuje te profile na błękitnym tle firmamentu. Stara matka przedzie, ojciec pali fajkę glinianą z cybuchem trzecinowym, młode chłopcy oparłszy się o poręcz śpiewają na długą przewłokłą nutę piosenki marynarskie albo sielskie, których ton przeciągły lub drgający ma w sobie coś podobnego do jęku drzewa łamanego przez balwany, lub do ostrego drgania konika polnego na słońcu; młode nareszcie dziewczęta, krótko ubrane, bosz, w kaftanikach zielonych oszywanych galonem złotym lub wstążką jedwabną; długie czarne wło-

sy spływają im na ramiona, okryte chustką związaną na duży węzeł na szyi, dla ochrony włosów od kurzu.

Tańczą tam one częstokroć same albo z siostrami; jedna trzyma gitarę, druga podnosi nad głową tamburyno z dzwoneczkami miedzianymi. Te dwa instrumenta, jeden żałosny i lekki, drugi jednotonny i głuchy, zgadzają się z sobą przedziwnie na wyrażenie prawie bez sztuki dwóch kolejnych nót serca ludzkiego: smutku i radości. Słychać je podczas nocy letnich na wszystkich dachach wysp lub wsi neapolitańskich, nawet na łódkach. Ten koncert nadpowietrzny, ścigający ucho z miejsca na miejsce, od morza aż do gór, podobny do brzęczenia nocnego owadu, co się rodzi z ciepła i brzęczy pod tym pięknym niebem. Tym biednym owadem jest człowiek! Opiewa on kilka dni przed Bogiem młodość i miłostki swoje, a potem zamilka na wieczne czasy. Nigdy nie mogłem słyszeć tych śpiewów unoszących się w powietrzu, z wysokości *astrico*, żebym się nie zatrzymał i nie uczuł ściśnienia serca, gotowego wybuchnąć radością wewnętrzną lub melancholią niepokonaną.

NOTATKA VI.

Takie też były pozycje, muzyka i głosy na tarassie dachu Andrea. Graziella przegrywała na gitarze, a Bepino przebiegając młodzieńcami palcami małym tamburynie, który służył do usypiania go w kolebce, wtórował siostrze. Chociaż instrumenta były wesole i pozycje wyrażały radość, śpiewy były smutne, nuty powolne

I rzadkie głęboko wzruszały uspięne fibry serca. Toż samo dzieje się z muzyką wszędzie gdzie ona nie jest marną igraszką ucha, ale harmonijnym jakim namiętności, wychodzącym z duszy za pośrednictwem głosu. Wszystkie jego tony są westchnieniami, wszystkie nuty przelewają płacz pospolu z głosem. Nie można nigdy uderzyć w serce człowieka nieco mocniej, żeby wnet nie wydobły się z niego łzy; tyle natura pełna jest w gruncie smutku, a to co ją wzrusza niesie gorycz do ust naszych, a chmury do oczu.

NOTATKA VII.

Nawet kiedy młoda dziewczę, na prośby nasze, wstawiała skromnie żeby tańczyć *tarantellę* przy brzęku tamburyna którym brat jej wybijał, i kiedy unoszona wirem tego tańca narodowego kręciła się w kółko, z rękami wdzięcznie podniesionymi, palcami naśladowując trzask kastanjetów i przyspieszając kroki bosych nóg, jak krople deszczu spadające na taras, tak, wówczas nawet, było w wyrazie twarzy, w ruchach, w samym nawet zapędzie tego szalu, coś poważnego i smutnego, jak gdyby wszystka ta weselość była tylko przemijającym obłąkaniem, i jak gdyby na schwytanie błysku szczęścia, młodość i piękność nawet potrzebowały odurzenia się aż do zawrotu głowy i upojenia się ruchem aż do szaleństwa!

NOTATKA VIII.

Częściej rozmawialiśmy poważnie z naszymi gospodarzami; opowiadali oni nam swoje życie, swoje tradycje lub wspomnienia familijne. Każda rodzina jest historią, a nawet poematem, dla tego, kto w niej czytać umie. Ta miała także swoje szlachectwo, swoje bogactwa, swój urok w oddaleniu.

Dziad Andrea był negocyantem greckim z wyspy Egiiny. Prześladowany za religiję przez paszę Aten, wsadził jedną noc żonę, córki, synów, majątek, na jeden ze statków, które posiadał do handlu. Schronił się na wyspę *Procyda*, gdzie miał korespondentów, i gdzie ludność była grecka równie jak on. Kupił tam wielkie dobra, z których nic innego nie pozostało prócz folwarczku w którym znajdowaliśmy się, tudzież nazwiska wyrytego na kilku grobowcach na cmentarzu miejskim. Córki poumieraly zakonnicami w klasztorze na tej wyspie. Synowie stracili cały majątek śród burz, co zatopily ich okręta. Familija przyszła do nędzy. Zmieniła nawet piękne nazwisko greckie na nieznane imię rybaka z Procydy. „Kiedy dom się zawali, wymiatają nas, wet ostatni kamień, mówił nam Andrea. — „Ze wszystkiego, co mój dziad posiadał na tym świecie, zostały „tylko moje dwa wiosła, łódź którą mi powróciliście, „ta chatka która nie może wyżywić swoich panów, i la-ska Boga.”

NOTATKA IX.

Matka i młoda dziewczyna żądały od nas nawzajem żebyśmy opowiedzieli kto jesteśmy, gdzie nasz kraj, co robi nasza rodzina? Czy mamy ojca, matkę, braci, siostry, dom, drzewa figowe, winnice? Pociągaliśmy opuszczać to wszystko, my tak młodzi, żeby robić wiosłami, czytać, pisać, dumać na słońcu i sypiać na ziemi w odnodze Neapolitańskiej? Naprawdę opowiadaliśmy, nigdy nie mogliśmy dać im pojąć że przyszliśmy przypatrzeć się słońcu i morzu, żeby wznieść duszę naszą ku słońcu, żeby uczuć wrzenie w nas młodości i zebrać wrażenia, uczucia, myśli, które opiszemy może później wierszami, jak te co są napisane w naszych książkach lub te które improwizatorowie Neapolitańscy powtarzają w niedzielę wieczorem, marynarzom, na tamie lub na Margellinie.

— Chcecie żartować ze mnie, mówiła Graziella zanosząc się od śmiechu, wy, poeci! ależ nie macie najeżonych włosów i obłąkanych oczu, jak ci których nazywają tym imieniem na nadbrzeżnych ulicach Mariny! Wy poeci! a nie umiecie nawet zabrząknąć jednej nuty na gitarze. Czemu więc wtórować będziecie swoim piosnkom?

Później kiwała głową, krzywiąc się i niecierpliwiąc, że nie chcemy powiedzieć prawdy.

NOTATKA X.

Niekiedy brzydkie podejrzenie przebiegało jej duszę i wzniewało powątpiewanie i cień obawy w jej wzroku.

Ale to niedługo trwało. Słyszeliśmy jak mówiła pociąg do babki: „Nie, to niepodobna, nie są to wygnañcy, wypędzeni z swojego kraju za złe postęпки. Znanadto „młodzi, znanadto dobrzy, znanadto piękni, żeby znali „złe.“—Bawiliśmy się wtedy opowiadaniem jakiej okropnej zbrodni, której mianowaliśmy się sprawcami. Sprzecznosc naszego białego i czystego czoła, naszych oczu pogodnych, ust usmiechających się i serc naszych otwartych, z fantastycznymi zbrodniami, jakich nibysmy się dopuścili, obudzała glosny jej śmiech, tudzież jej brata, i rozpraszała wkrótce wszelki cień i podobienstwo podejrzenia.

NOTATKA XI.

Graziella często nas pytywała się co też my czytamy cały dzień w naszych książkach. Mniemala że to są modlitwy, bo nigdy nie widziala książek tylko w kościele, w ręku wiernych, co umieli czytać i powtarzali święte słowa kapłana w książkach do nabozeństwa. Uważala nas za bardzo pobożnych, ponieważ cale dni przepędzaliśmy na powtarzaniu słów tajemniczych, dziwila się tylko że nie zostaliśmy księżmi lub pustelnikami w seminaryum w Neapolu, lub w jakim klasztorze na wyspach. Żeby ją wywieść z błędu, probowaliśmy przeczytać dwa lub trzy razy, tłumacząc na gminny język tameczny, wyjątki z Foscolo, i kilka pięknych ulamków z Tacyta.

Myśliliśmy że te westchnienia wygnañca włoskiego

i te wielkie tragedye Rzymu z czasu Cezarów, sprawią mocne wrażenie na prostodusznych słuchaczach naszych. Bo lud ma w instynkcie zamilowanie kraju, heroizmu w uczuciu i dramat w rzucie oka. Nadewszystko wielkie upadki i piękną śmierć zatrzymuje w pamięci. Ale spostrzegliśmy wkrótce że te deklamacye i sceny tak potężnie działające na nas, nie wywarły wpływu na te dusze proste. Uczucie swobody politycznej, ten zbytek umysłowy ludzi mających dosyć czasu wolnego, nie schodzi tak nisko pośród ludu.

Biedni rybacy nie pojmwali dlaczego Ortis rozpacza i zabija się, kiedy mógł kosztować wszelkich prawdziwych rozkoszy życia, przechadzać się nie robiąc, patrzeć na słońce, kochać swoją kochankę i modlić się Bogu na zielonych i pęcznych brzegach Brenty. „Pocóż się tak dreczyć”, — mówili oni — „dla wyobrażeń, które nie dochodzą aż do serca? Cóż go obchodzi że Austriacy lub Francuzi panują w Medyolanie? Trzeba być waryatem żeby się tyle martwić dla podobnych rzeczy.” I nie chcieli słuchać więcej.

NOTATKA XII.

Co się tyczy Tacyty, tego jeszcze mniej rozumieli. Imperyum albo rzeczpospolita, ci ludzie co się zabijali nawzajem, jedni żeby panować, drudzy żeby nie przeżyć niewoli; te zbrodnie dla władzy, te cnoty dla sławy, ta śmierć dla potomności, zinnemi ich znajdowały. Owe burzę historyi podnosiły się zbyt wysoko nad ich glo-

wami żeby obchodzić ich miały. Były to dla nich niby pioruny nie dosiegające nad górami, których huk nas nie straszy, ponieważ spadają tylko na szczyty, i nie wstrząsają ani żagla rybaka ani domku wiejskiego.

Tacyt popularnym jest tylko dla polityków lub dla filozofów; jestto Platon historyi. Czulość jego zbyt wyrażona dla gminu. Żeby go zrozumieć, trzeba żyć wśród burz publicznego placu lub wśród tajemniczych intryg pałacowych. Odbierzmy jego scenom swobodę, dumę i sławę, cóż pozostanie? To są trzy wielcy aktorowie jego dramatów. Te zaś trzy namietności nieznane ludowi, bo są namietnościami umysłu, on zaś ma tylko namietności serca. Spostrzegliśmy to po oziębłości i zdziwieniu, jakie te ułamki wzbudzały koło nas.

Sprobowaliśmy więc jednego wieczora czytać im *Pawła i Wirginię*. Ja tłumaczyłem czytając, bo tak wiele razy czytałem tę książkę, że ją umiałem prawie na pamięć. Ponieważ przez dłuższy pobyt we Włoszech oswoilem się z językiem, z łatwością znajdowałem wyrażenia, spływały z ust moich jak mowa ojczysta. Zaledwie czytać zacząłem, zmieniła się fizyognomija słuchaczy naszych i przybrała wyraz uwagi i zastanowienia się, nieomylny znak wzruszenia serca. Natrafiłszy na nutę, która brzmi jednogłośnie w duszy wszystkich ludzi, wszystkich wieków i wszystkich stanów, nutę czulą, nutę powszechną, obejmującą w jedynym swoim dźwięku wieki i prawdę prawdziwej sztuki: naturę, miłość i Boga.

NOTATKA XIII.

Przeczytałem zaledwie kilka stronnice, a już starzy, młoda dziewczyna, dzieci, wszyscy zmienili postawę. Rybak, oparłszy łokieć na kolanie, a ucho przechyliwszy ku mnie, zapomniał o zaciągnięciu fajki. Stara babka, siedząca naprzeciw mnie, trzymała ręce złożone pod brodą, z gestem ubogich kobiet słuchających słowa Bożego na posadzce kościołów. Beppo spuścił się z muru tarassu, na którym tylko co siedział. Złożył pociechu gitarę na ziemi. Dłonią zakrył szyję gitary, z obawy żeby wiatr nie poruszył strón. Graziella co zwykle trzymała się nieco dalej, nieznacznie przysuwała się ku mnie, jak gdyby opanował ją urok, potęgą atrakcyi ukrytej w książce.

Oparta o mur tarasu, pod którym ja leżałem, przysuwała się coraz bliżej ku mnie, opierając się na lewą rękę spuszczoną ku ziemi, z gestem gladiatora rannego. Patrzyła dużemi oczyma już na książkę, już na moje usta, z których powieść płynęła; już na próżne miejsce między ustami memi a książką, jakby szukała wzrokiem niewidzialnego ducha, co mi ją tłumaczył. Słyszałem jak nierówny jój oddech przerywał się lub się stawał przedszym, stosownie do wzruszeń dramatu, podobnie jak oddech zadyszany człowieka idącego pod górę i odpoczywającego żeby odetchnąć od czasu do czasu. Nim doszedłem do połowy historyi, biedne dziecko zapomniało o trochę dziękuję ostrożności względem mnie. Uczulem ciepło jój oddechu na moich rękach. Włosy jój ocierały się o moje

czoło. Dwie lub trzy łyzy palące, spadłszy z jój jagód, zrosiły stronnice przy samych moich palcach.

NOTATKA XIV.

Oprócz powolnego i jednotonnego mego głosu, do słownie tłumaczącego rybakom morskim ów poemat serca, żadnego nie było słyhać gwaru, prócz głuchego i dalekiego łoskotu fal morskich, objających się o brzeg pod nogami naszymi. Ten łoskot nawet był w harmonii z czytana książką. Było to jakby przeczone rozwiązanie historyi, które wcześniej huczało w powietrzu na początku powieści. Im więcej rozwijała się powieść, tym więcej zdawała się zajmować prostych słuchaczy naszych. Kiedy przypadkiem wahałem się z wynalezieniem trafnego wyrażenia na oddanie słowa francuzkiego, Graziella, co od niejakiego czasu fartuszkami zasłaniała lampę od wiatru, przysuwała ją do samych kart, i prawie paliła książkę w niecierpliwości, jak gdyby wierząc że światło ognia wywoła znaczenie umysłowe w moich oczach, i śpieszniej sprowadzi słowa na moje usta. Z uśmiechem odsuwałem ręką lampę, nieodwracając wzroku ze stronnicy, i czulem ciepło moje palce od jój płaczu.

NOTATKA XV.

Kiedy przyszedłem do tego miejsca gdzie Wirginia, wezwana napowrót do Francyi przez ciotkę, czuje, iż tak

rzekę, rozdarcie swego jestestwa na dwie połowy, i stara się cieszyć Pawła pod drzewami bananowemi, mówiąc mu o powrocie i pokazując morze co ją ma zabrać, zamknęłam książkę i odłożyłam czytanie do jutrzejszego dnia.

Byłto cios w serce tych biednych ludzi. Graziella ukłękła przedemną, potem przed moim przyjacielem, błagając żebyśmy kończyli historję. Ale nadaremno. Chcieliśmy przedłużyć zajęcie dla niej, powab próby dla nas. Wyrwała wówczas książkę z moich rąk. Otworzyła, jak gdyby siłą woli zrozumieć mogła jęj litery. Mówiła do niej, całowała ją. Z uszanowaniem odłożyła mi na kolana, składając ręce i patrząc na mnie w postaci błagającej.

Fizyognomija jęj tak pogodna i tak uśmiechająca się, gdy była spokojną, ale nieco surowa, przybrała nagle w namiętności i rozrzewnieniu sympatyczném tęg powieści ożywienie, nieład i patetyczność dramatu. Możnaaby rzec że gwałtowne wstrząśnienie zmieniło ten piękny marmur w ciało i lzy. Młoda dziewczyna uczuła duszę swą, dotychczas śpiącą, objawiającą się jęj w duszy Wirginii. Zdawało się że dojrzała o lat sześć w ciągu tęg pół-godziny. Burzliwy kolor namiętności odbijał się na jęj czole, w lazurówém oku i na jagodach. Była to niby cicha i osłonięta woda, na której słońce, wiatr i cień nagle walczyć z sobą zaczęły po raz pierwszy. Nie mogliśmy się nasycić patrzeniem na nią w takiej postawie. Ona, co dotąd obudzała w nas tylko we-solość, teraz obudziła prawie szacunek. Ale nadaremno zaklinała żebyśmy czytali dalej; nie chcieliśmy zużyć

potęgi naszég za jednym razem, i zanadto podobalo się nam wyciskać piękne jęj lzy, żebyśmy osuszyć mieli ich źródło w ciągu jednego dnia. Odeszła dając się i z gniewem zgasila lampę.

NOTATKA XVII.

Nazajutrz, kiedy ją spotkałem w winnicy i chciałem mówić do niej, odwróciła się jak ta co ukrywa swoje lzy i nie nie odpowiadała. Znać było po lekkiej czarnej obrączce pod oczyma, po bladeści więcj matowej jagód, i po lekkim i wdzięcznym ściśnieniu końców ust, że nie spała, i że serce jęj obciążone jeszcze było mrojo-nemi cierpieniami czuwania. Cudowna potęga książki działającej z całą siłą rzeczywistości, na serce dziecka żadnej nauki nieznającego, i ciemnej rodziny, której to książki czytanie jest stanowczym wypadkiem w życiu serca!

Bo kiedy ja tłumaczyłem poemat, poemat tłumaczył naturę, a te zdarzenia tak proste, kolébka dwojga dzieci u nóg dwóch biednych matek, niewinna ich miłość, rozstanie się okrutne, powrót zawiedziony przez śmierć, i te dwie mogiły pod drzewami bananowemi, zamykające jedno tylko serce, są to rzeczy które każdy czuje i rozumie, od pałacu aż do chatki rybaka. Poeci szukają geniuszu bardzo daleko, gdy tymczasem on jest w sercu, i kilka nut bardzo prostych, poruszonych pobożnie i trafunkiem na tym instrumencie nastrojonym przez samego Boga, dostatecznemi są do wywołania lez całemu wieko-

wi, i stają się równie popularnemi jak miłość i równie sympatycznemi jak uczucie. Wzniosłość nuży, piękność zwodzi, tylko patetyczność nieomylną jest w sztuce. Ten kto umie rozrzewnić, umie wszystko. Więcej jest geniuszu w jednej liście niżeli we wszystkich muzeach i we wszystkich bibliotekach świata całego. Człowiek jest jak drzewo którem wstrząsamy żeby spadły owoce: skoro wstrząśniemy człowiekiem, zawsze spaść muszą lizy.

NOTATKA XVIII.

Cały dzień dom był smutny, jak gdyby trafiło się jakie nieszczęście w ubogiej rodzinie. Zgromadzili się dla posilku, prawie słowa do siebie nie mówiąc. Rozeszli się. Spotkali się znowu bez uśmiechu. Widać było że Graziella nie myśli o tém czém się zajmuje w ogrodzie lub na dachu. Często poglądała czy słońce zbliża się ku zachodowi, i w tym dniu oczywiście czekała tylko wieczora.

Gdy wieczór nadszedł, gdyśmy wszyscy zajęli zwykłe miejsca nasze na *astrico*, otworzyłem książkę i kończyłem czytać śród płaczu. Ojciec, matka, dzieci, mój przyjaciel, ja sam, wszyscy podzielali ogólne rozrzewnienie. Pośepny i poważny mój głos nagiął się, mimo wiedzy, do smutku przygód i do powagi słów. Przy końcu powieści, zdawało się że słowa przybywają zdaleka i z wysokości padają na duszę z głuchym dźwiękiem próżnej piersi, gdzie już serce nie bije i które sty-

ka się z rzeczami ziemskimi tylko przez smutek, religię i wspomnienia.

NOTATKA XVIII.

Niepodobna nam było odzywać się ze czczeni słowami po tej powieści. Graziella milcząca, bez ruchu, w tej samej postawie kiedy nas słuchała, jak gdyby słuchała jeszcze. Milczenia, owego okłasku wrażeń trwałych i prawdziwych, nikt nie przerywał. Każdy szanował w drugich myśli, jakie czuł sam w sobie. Lampa prawie dopalona zgasła nieznacznie, a żaden z nas nie sięgnął ręki na jej rozniecenie. Familia wstała i wyniosła się ukradkiem. Pozostaliśmy tylko sami, przyjaciel i ja, zmieszani wszechmocnością prawdy, prostoty i uczucia nad wszystkimi ludźmi, wszystkimi wiekami i wszystkimi krajami.

Może też inne uczucie wzruszało już także głębią naszego serca. Zachwycający obraz Grazielli, przemienionej przez lzy i wtajemniczonej w cierpienie przez miłość, unosił się w marzeniach naszych obok anielskiego utworu Wirginii. Te dwa imiona i dwoje tych dzieci, złane w blakających się widzeniach, zachwycały lub zasmucały niespokojny sen nasz aż do rana. Wieczorem tego dnia i dwóch dni następnych, trzeba było podwokroć odczytać młodej dziewczynie tę samą powieść. Gdybyśmy ją czytali sto razy raz po raz, jeszcze by prosiła. Jestto charakterem wyobraźni południowej, dumającej i głębokiej, nie ubiegać się za rozmaitością

w poezyi lub muzyce; muzyka i poezya są, iż tak rzekę, kanwą na której każdy haftuje własne uczucia; karmią się bez przesycenia, jak lud, tąż samą powieścią i tąż samą nutą w ciągu wieków. Sama natura, ta najwyższa muzyka i poezya, cóż ma innego, jeżeli nie dwa lub trzy słowa i dwie lub trzy nuty, zawsze jednostajne, któremi zasmuca lub zachwycą ludzi od pierwszego westchnienia aż do ostatniego?

NOTATKA XIX.

Dziewiątego dnia, o wschodzie słońca, ustał wreszcie wiatr z czasu porównania dnia z nocą, i w ciągu kilku godzin morze się uspokoiło jakby śród lata. Same nawet góry pobraża neapolitańskiego, równie jak wody i niebo, zdawały się nurzać w płynie przezroczystszym i błękitniejszym niżeli w miesiącach wielkich upałów, jak gdyby morze, firmament i góry uczuły już to pierwsze drgnięcie zimy, które krystalizuje powietrze i czyni je lśniącem jak wodę zlodowaciałą na wierzchołkach gór. Żółtkłe liście winnicy i brunatne liście drzew figowych zaczynały spadać i zasłaniać podwórze. Pozbierano już winogrona. Figi wysuszone na *astrico* na słońcu zapakowali w grube kosze z roślin morskich wplecione przez kobiety. Pilno było łodzi spróbować morza, a staremu rybakowi odwiedzić swoją rodzinę do Margelliny. Uprzątnęli dom i dach, zakryli źródło dużym kamieniem, żeby liście zeschnęły i wody zimowe nie uszkodziły jego łóżyska. Wyczerpali oliwę

z małych studzien wykutych w skale. Powlewali oliwę w naczynia; dzieci zniosły je na morze na kijach przewleczonych przez ucha. Pozwiązali powrozami matrace i koldry. Zapalili poraz ostatni lampę pod obrazem opuszczonym u domowego ogniska. Odmówili ostatnią modlitwę przed Matką Boską, polecając jej opiece dom, figarnię, winnicę, które opuszczali teraz na kilka miesięcy. Potem zamknęli drzwi. Schowali klucz w szczelinę skał bluszczem pokrytą, żeby rybak, jeżeli wróci zimą, wiedział gdzie go znaleźć, i mógł odwiedzić swoją strzechę. Udalіśmy się potem na morze, pomagając biednej rodzinie znosić i pakować oliwę, chleb i owoce.

KSIEGA IX.

NOTATKA I.

Powrót nasz do Neapolu, wzdłuż zatoki Bała i krętych spadzistości Pauzylippu, był prawdziwą uroczystością dla młodej dziewczyny, dla dzieci, dla nas, tryumfem dla Andrea. Wróciliśmy do Margelliny pod samą noc śpiwając. Starzy przyjaciele i sąsiedzi rybaka nie mogli dosyć się chwalić nową jego łodzi. Pomagali mu wylądować ją i wyciągnąć na brzeg. Ponieważ zakazaliśmy mu mówić zkąd ją ma, niewiele zwracano na nas uwagi.

Wyciągnąwszy łódź na brzeg i poznośszy kosze z figami i winogronami nad sklep Andrea, blisko progu trzech niskich izb, gdzie mieszkali stara matka, wnuczki

i Graziella, odeszliśmy niepostrzeżeni. Przeszliśmy, nie bez ścisnienia serca, przez hałaśliwy zgłęb ludnych ulic Neapolu, i wróciliśmy do naszych mieszkań.

NOTATKA II.

Mieliśmy zamiar, po kilku dniach wypoczynku w Neapolu, rozpocząć znowu toż samo życie z rybakiem, ilekroć morze pozwoli. Takeśmy się przyzwyczaili do prostoty naszego ubioru i do nagości łodzi, od trzech miesięcy, że łózko, sprzęty naszego mieszkania i nasz ubiór miejski, wydały się nam zbytciem niewygodnym i nudnym. Sądziiliśmy że bierzemy je tylko na niewiele dni. Ale nazajutrz, gdyśmy poszli na pocztę po zaległe listy, przyjaciel znalazł list od matki. Wzywała syna żeby wracał niezwłocznie do Francji na ślub siostry. Szwagier miał jechać po niego aż do Rzymu. Według dat musiał już tam się znajdować. Nie można było odwlekać. Trzeba jechać koniecznie.

Powinienem być jechać razem z nim. Nie wiem co za pęga odosobnienia i awanturnictwa zatrzymywała mnie. Życie marynarza, chatka rybacka, obraz Grazielli, może wpływały na to w części, ale niewyraźnie. Szał swobody, дума że sam sobie wystarczę o trzysta mil od mego kraju, zamiłowanie rzeczy niejasnych i nieznanych, ta nadpowietrzna perspektywa młodych wyobraźni, więcej do tego wpływały.

Rozstaliśmy się z sobą z mężkiem rozrzewnieniem. Obiecał przyjechać do mnie jak tylko uczyni zadość obo-

wiązkom syna i brata. Pożyczył mi pięćdziesiąt ludo-
rów dla zapelnienia próżnego miejsca, jakie te sześć
miesiący zrobiły w mojej sakiewce, i odjechał.

NOTATKA III.

Ten odjazd, nieobecność przyjaciela, który był dla
mnie tem, czém brat starszy dla brata będącego pra-
wie dzieckiem, zostawiły mię w samotności, która
za każdą godziną powiększała się, i w którą czulem
że się pogrążam jakby w przepaści. Wszystkie my-
śli, wszystkie uczucia, wszystkie słowa, które się
ulatniały dawniej w rozmowie z nim, pozostały mi
w duszy, psuły się tam, zamieniały się w smutek
i spadały na serce moje jak ciężar, którego nie mogłem
już udźwignąć. Ten gwar w którym nikt mi nie odpo-
wiedział, ten tłum w którym nikt nie wiedział mego na-
zwiska, ten pokój gdzie żaden wzrok mi się nie świecił,
to życie oberży gdzie się potracamy bez ustanku z nie-
znajomemi, gdzie zasiadamy u milczącego stołu obok
ludzi zawsze nowych i zawsze obojętnych; te książki
któreśmy czytali sto razy, i których nieruchome litery
powtarzają ci zawsze też same słowa w tym samym fra-
zesie i na tém samém miejscu; to wszystko co mi się
wydawało tak rozkoszném w Rzymie i Neapolu, przed
naszemi wycieczkami i życiem włóczęgoskiem i tula-
ckiem podczas lata, wydawało mi się teraz śmiercią po-
wonną. Serce mi się oblewało melancholią.

Włóczyłem kilka dni tę melancholię z ulicy na ulicę
z teatru do teatru, od książki do książki, nie mogąc jej

pozbyć się, potem nareszcie mnie przewyciężyła. Zacho-
rowałem na to co nazywają tęsknotą do kraju. Glo-
wa była ciężka, nie mogłem utrzymać się na nogach.
Byłem błądy i osłabiony. Straciłem apetyt. Mileżenie
smuciło mnie, hałas robił przykrość, przepędzałem nocy
bezsennie, a w dzień leżałem na łóżku, niemając ani
chęci, ani siły do wstania. Stary krewny matki mojej,
jeden człowiek który mógł się mną zajmować, wyjechał
na kilka miesięcy o mil trzydzieści od Neapolu do Ab-
bruzzów, gdzie chciał założyć rękodzielnię. Wezwałem
lekarza; przyszedł, popatrzał na mnie, wziął za puls,
i powiedział że nie jestem chory. Prawda że miałem
chorobę na którą jego medycyna nie miała lekarstwa,
chorobę duszy i wyobraźni. Odszedł. Nie widziałem już
go więcej.

NOTATKA IV.

Tak mi atoli źle było nazajutrz że szukałem pamięcią
od kogo mógłbym się spodziewać jakiej pomocy i poli-
towania, gdybym wstawać nie mógł. Obraz ubogiej ro-
dziny rybaka z Margelliny, pośród której żyłem jeszcze
we wspomnieniu, naturalnie stanął mi w myśli. Posłałem
posługującego mi chłopczyka do Andrea z oznajmieniem
że młodszy z dwóch cudzoziemców chory i życzy z nim
widzieć się.

Kiedy posłaniec tam przyszedł, Andrea znajdował się
na morzu z Beppinem; babka sprzedawała ryby na nad-
brzeżu Chiaja. Graziella tylko była w domu z bracisz-

kami. Natychmiast poruciła je sąsiadce, ubrała się w najnowszy strój Procydanki, i poszła za chłopczykiem który jęj pokazał ulicę, stary klasztor, i poprzedzał ją na wschody.

Usłyszałem lekkie pukanie do moich drzwi. Drzwi się otworzyły jakby popchnięte ręką niewidzialną. Ujrzałem Graziellę. Krzyknęła z politowania spojrzawszy na mnie. Postąpiła kilka kroków biegnąc do mego łóżka, potem się zatrzymała i stała z rękami złożonemi i zwieszonemi na fartuszk, z głową schyloną na lewe ramię w postawie litości: „Jaki blady” — rzekła pocichu, — „i jak „tak mało dni do tego stopnia twarz zmienić mogło! A gdzież drugi?” rzekła obracając się, i szukając oczyma po pokoju zwykłego mego towarzysza. „Wyjechał” — rzekłem, — „i ja jestem sam jeden obcy „w Neapolu”. — „Wyjechał?” — rzekła, — „zostawił „ciebie jednego i tak chorego! A więc cię nie kochał! „Ach! gdybym była na jego miejscu, jabym nie wyjechała, a przecież nie jestem twoim bratem, i znam cię „tylko od dnia owęj burzy.”

NOTATKA V.

Tłumaczyłem jęj że nie byłem chory kiedy przyjaciel wyjechał. „Ale czemuż” — rzekła z żywością i tonem wyrzutu w połowie czulego, w połowie poważnego, — „nie pomyśliłaś że masz innych przyjaciół na Mar-gellinie? Ach! widzę,” — dodała smutno i poglądając na swój rękaw i dół sukni, — „dlatego że jesteśmy

„biędni i że zrobilibyśmy ci wstyd wchodząc do tego „pięknego domu. Mniejsza o to!” — mówiła dalej ocierając sobie oczy, które ciągle miała utkwione w moje czoło i ręce białe i opuszczone, — „gdyby nawet po-gardzono nami, zawszebyśmy przyszli.”

— „Biędna Graziello!” — odpowiedziałem z uśmiechem, — „niech mię Bóg strzeże od takiego dnia, kiedy, dybym się miał wstydić tych co mnie kochają!”

NOTATKA VI.

Usiadła na krześle u mego łóżka i rozmawialiśmy z sobą.

Dźwięk jęj głosu, wesolość oczu, zaniedbanie poufne i spokojne postawy, szczerość fizyognomii, akcent zarazem ucinany i żałośny owych kobiet z wysp, co przypomina jak na Wschodzie ton uległy niewolnicy w drganiach nawet miłości, pamięć wreszcie pięknych dni w chatce przepędzonych z nią razem na słońcu; to słońce Procydy, co zdawało mi się że jeszcze splywa z jęj ciała i z jęj nóg do mojej posępnej izdebki; to wszystko kiedy patrzyłem na nią i słuchałem jęj odrywało mnie tak dalece od mojej słabości i cierpienia, iż czułem że nagle jestem uleczony. Zdawało mi się że jak tylko ona wyjdzie, wstanie i pójdę. Wszelako tak przyjemną mi była jęj obecność że przedłużałem rozmowę ile tylko mogłem, i zatrzymywałem ją pod tysiącznemi pozorami, lękając się żeby nie odeszła zanadto prędko i nie zabrała z sobą błogości jaką uczulem.

Posługiwała mi przez część dnia bez obawy, bez udanej ostrożności, bez fałszywego wstydu, jak siostra co posługuje bratu, niemyśląc że jest mężczyzną. Chodziła kupować dla mnie pomarańcze. Ładnymi ząbkami gryzła skórkę, żeby oczyścić pomarańczę i wycisnąć palcami sok do szklanki. Zdjęła z szyi mały medalik srebrny, zawieszony na czarnej wstążce i schowany w jej piersiach. Przypięła go szpilką do białych firanek mego łóżka. Zapewniała że wkrótce wyzdrowieję mocą świętego obrazu. Gdy już zmierzchać zaczynało, wyszła, ale dwadzieścia razy wracała odedrzwii do łóżka, żeby się zapytać czy jeszcze czego nie potrzebuję, i polecając najgoręcej żebym się modlił bardzo pobożnie przed obrazkiem nim zasnę.

NOTATKA VII.

Bądź moc obrazu i modlitw, które ona sama bez wątpienia zanosila do neigo, bądź łagodzący wpływ tego widma przywiązania i współczucia, jakie mi się pokazało pod postacią Grazielli, bądź że miłe roztargnienie jakie obecność jej i rozmowa sprawiły, poglaskało mnie i uciszyło chorobliwą drażliwość całej mojej istoty; zaledwo wyszła usnąłem snem spokojnym i głębokim.

Nazajutrz, budząc się, spostrzegłszy skórki pomarańczowe rozrzucone na podłodze, krzesło Grazielli obrócone jeszcze do mego łóżka, jak gdyby je zostawiła i usiąść miała znowu; medalik zawieszony na czarnej wstążce u firanek łóżka, i wszystkie ślady tej obecności

i opieki kobiecej, jakich nie doznawałem tak dawno, zdawało mi się, niezupełnie przebudzonemu, że matka albo jedna z siostr przychodziły wieczorem do mego mieszkania. Dopiero otworzywszy oczy zupełnie, i przypominając myśli moje jedną po drugiej, postać Grazielli pokazała mi się taką, jaką ją wczora widziałem.

Słońce było tak jasne, spoczynek tak dobrze pokrzepił moje członki, samotność pomieszkania tak mi ciążyła na sercu; potrzeba słuchania znowu głosu znanego tak mocno mnie nalegała, że wstałem zaraz, jakkolwiek byłem słaby i chwiejący się. Zjadłem resztę pomarańczy, wsiałem w *corricolo*, i bez namysłu kazałem się zawieść na *Margelline*.

NOTATKA VIII.

Przybywszy do niskiego domku Andrea, wszedłem na wschody, prowadzące na platformę nad piwnicą, i na którą wychodziły drzwi pomieszkania. Zastalem na *astrico* Graziellę, babkę, starego rybaka, Beppina i dzieci. Zabierali się wychodzić do mnie, ubrani w najlepszą odzież. Każdy niósł w koszyku, albo w chustce, albo w ręku, podarunek taki, jaki ci biedni ludzie myśleli że będzie najprzyjemniejszy lub najzbawienniejszy dla chorego. Ten flaszkę białego złocistego wina z Ischii, zatknietą, zamiast korka, wiązką rozmarynu i roślin aromatycznych, napelniających naczynię wonnością; ci suche figi, ci niespliki, a małe dzieci pomarańcze. Serce Grazielli przeszło we wszystkich członków rodziny.

NOTATKA IX.

Krzyknęli z zadziwienia, kiedy chociaż blady i słaby, ale z uśmiechem stanąłem przed nimi. Graziella z radości upuściła na ziemię pomarańcze, które miała w fartuszu, i klaszcząc rękami pobiegła do mnie: „A co, czy nie powiedziałam, zawolała, że obrazek uleczy cię, jeżeli choć jedną noc na łóżku twojem poleży? A co, czy skłamałam?” Chciałem oddać jęj medalik, i wyjąłem z zanadrza, gdzie schowałem wychodząc. „Pocałuj go, naprzód!” Pocałowałem medalik, i trochę koniec jęj palców, które po niego wyciągnęła. „Oddam ci jeżeli znowu zachorujesz,” dodała zawieszając go na szyi, i chwając w piersiach; „będzie dla dwóch pomocny.”

Usiedliśmy na tarasie przy słońcu poranném. Cała uboga rodzina tak była wesola, jak gdyby odzyskała brata lub syna za powrotem z długiej podróży. Czas konieczny do zawiązania ścisłej przyjaźni w klassach wyższych, nie jest potrzebny w niższych klassach. Serca otwierają się bez niedowierzania, zgłębiają się zaraz, ponieważ nie ma podejrzenia interesu ukrytego pod uczuciem. Więcej się zawięra związków i pokrewieństwa dusz w ciągu tygodnia między ludźmi natury, niżeli w dziesięciu latach między ludźmi społeczności. Ta rodzina i my byliśmy już krewni.

Wypytywaliśmy się nawzajem co się nam przytrafiło dobrego lub złego od czasu naszego rozstania się. Ubogi dom był na drodze szczęścia. Błogosławieństwo towarzyszyło łodzi. Sieci były szczęśliwe. Polów nigdy tyle nie

przynosił co teraz. Babka wystarczyć nie mogła sprzedaży ryb ludowi przed swemi drzwiami; Beppino, dumny i silny, wart był dwudziestoletniego marynarza, chociaż miał tylko lat dwanaście. Graziella wcześniej uczyła się rzemiosła daleko wyższego nad ubogi stan jęj rodziny. Jęj zarobek, już dość wysoki na pracę młodej dziewczyny, i który się powiększył jeszcze wraz z jęj talentem, wystarczy na ubranie i wyżywienie małych braciszków, i na posag dla niej samęj, kiedy dojdzie do lat i pomyśli o kochaniu.

Tak się wyrażali jęj krewni. Była ona „koraliną”, to jest uczyła się wyrabiać korale. Handel i fabryka koralu składały wówczas główne bogactwo przemysłu miast pobrzeża włoskiego. Jeden z wujów Grazielli, brat nieboszki jęj matki, był nadzorcą w głównej fabryce koralu w Neapolu. Bogaty, na swój stan, i przewodnicząc licznym robotnikom płci obojey, którzy wystarczyć nie mogli potrzebom tego zbytkowego przedmiotu w całej Europie, pomyślił o siostrzenicy, i przed niewielką dniami przyszedł zaciągnąć ją do swoich robotnic. Przyniósł jęj korale, narzędzia, i dał jęj pierwsze lekcye rzemiosła bardzo nietrudnego. Inne robotnice pracowały razem w rękodzielni.

Graziella, przy ciągłej i koniecznej nieobecności babki i rybaka, będąc jedynym stróżem dzieci, wykonywała swoje rzemiosło w domu. Wuj, niemogąc oddać się często, przysyłał od niejakięgo czasu do młodej dziewczyny starszego swego syna, kuzyna Grazielli, młodzieńca dwudziestoletniego, porządnego, skromnego, pilnego, wybornego rzemieślnika, ale prostaczka, rachitycznego i trochę garbatego. Przychodził wieczorem,

po zamknięciu fabryki, obejrzeć robotę kuzynki, doskonalić ją w używaniu narzędzi, i dawać jej także pierwsze początki czytania, pisma i rachunków. „Spodziewajmy się,” rzekła do mnie pociechu stara babka kiedy Graziella odwróciła oczy, „że to wszystko pójdzie na korzyść obojga, i że nauczyciel zostanie sługą swojej narzeczonej.” Widziałem że stara ma plany dumne i ambitne co do swojej córki. Ale Graziella nie domyślała się tego.

NOTATKA X.

Młoda dziewczyna zaprowadziła mnie za rękę do swojej izdebki żeby pokazać drobne swe wyroby z koralu, już wytoczone i wypolerowane. Porządnie były ułożone na wacie w małych pudełkach w nogach jej łóżka. Chciała wyrobić kawalek w mojej przytomności. Ja nogą kręciłem koło małego toczydła naprzeciwko niej, ona zaś kładła czerwoną gałązkę koralu pod okrągłą pilkę, która zgrzytając przecinała korał. Zaokrąglala potem te kawalki, trzymając je w palcach, i ocierając o toczydło.

Czerwony proszek okrywał jej ręce, i dolatując niekiedy aż do twarzy, przypruszał jagody i usta lekką warstwą, od której oczy jej wydawały się jeszcze błękitniejszymi i bardziej błyszczącymi. Potem ocierała się śmiejąc się i otrząsała czarne włosy, z których proszek mnie osypywał. „Nieprawdaż, mówiła, że to piękne, rzemiosło dla córki morza takić jak ja? Wszystko, winni jesteśmy jemu, morzu: od łodzi dziadka mojego

„i chleba który pożywamy, aż do tych paciorek i kolczyków, w które się kiedyś może ustroję, kiedy dużo, ich wypoleruję i wyrobię dla bogatszych i ładniejszych, odemnie.”

Tak upłynął ranek na rozmowie, igraszkach, pracy, a nie pomyślałem nawet o odejściu. W południe, jadłem obiad z niemi. Słońce, świeże powietrze, pogoda umysłu, skromny posiłek, składający się z chleba, trochę ryb smażonych i owoców zachowanych w piwnicy, przywróciły mi apetyt i siły. Po południu pomagałem ojcu naprawiać starą sieć rozciągniętą na *astrico*.

Graziella, której słyszeliśmy nogę obracającą wtakt toczydło, warkot kołowrotka babki i głosy dzieci igrających z pomarańczami w progu domu, wtórowały melodyjnie naszej pracy. Graziella wychodziła od czasu do czasu żeby otrząść swe włosy na balkonie; zamienialiśmy się z sobą spojrzeniem, przyjacielskiem słówkiem, uśmiechem. Czulem się szczęśliwym, niewiedząc z czego, aż do głębi duszy. Chciałbym być jednym z krzewów aloesu rosnących koło parkanu ogrodowego, albo jaszczurką co się grzała na słońcu obok nas na tarasie, i mieszkala z tą ubogą rodziną w szczelinach ściany domu.

NOTATKA XI.

Ale dusza moja i twarz zasnęły się, w miarę jak dzień się kończył. Smutek mnie ogarniał gdy pomyślałem że trzeba wracać do mojej izdebki podróżnej. Graziella

piérwsza to spostrzegła. Szepnęła kilka słów pocichu babce do ucha.

„Po co nas opuszczać? — rzekła stara, jak gdyby mówiła do jednego ze swych dzieci. — „Czyliż nie by-
„ło nam dobrze na Procydzie? Czyliż nie jesteśmy ciż
„sami w Neapolu? Wyglądasz jak ptaszek co stracił
„matkę, i krzycząc podlatuje koło wszystkich gniazdek.
„Zamieszkaj w naszym, jeżeli uważasz je za dość do-
„bre dla takiego pana jak ty. Trzy są izby w domu,
„ale Beppino sypia w łodzi. Izba dzieci dobra będzie
„dla Grazielli, byleby we dnie pracować mogła w tej
„gdzie spać będziesz. Weź jój pokój i czekaj tu po-
„wrotu swego przyjaciela. Bo aż przykro pomyśleć, że-
„by młody człowiek dobry i smutny jak ty, sam jeden
„błąkał się po ulicach Neapolu.”

Rybak, Beppino, nawet dzieci małe które już ko-
chały cudzoziemca, ucieszyli się myślą pocziwój kobię-
ty. Nalegali z żywością i wszyscy razem, żebym przy-
jął ich ofiarę. Graziella nie mówiła, ale czekała,
z widoczną niespokojnością, okrytą udanem roztargnie-
niem, odpowiedzi mojej na nalegania swoich krewnych.
Tupała nogą konwulsyjną i mimowolną porusze-
niem, słuchając wszelkich przyczyn, które dawałem że-
by nie przyjąć ofiary.

Podniosłem wreszcie oczy na nią. Spostrzegłem że
oczy jój były wilgotniejsze i bardziej błyszczały niż zwy-
kle, i że gniotła w palcach jedną po drugiej gałązkę ba-
zyliki w doniczce na balkonie. Zrozumiałem ten gest
lepiej niż gdybym słyszał długie mowy. Zgodziłem się
na spólność życia, którą mi ofiarowano. Graziella kla-

skąła w ręce i skoczyła z radości do swego pokoiku,
nieobracając się, jak gdyby chciała schwytać mnie za
słowo i nie dać mi czasu do wycofania się.

NOTATKA XII.

Garaziella zawołała Beppina. W jednej chwili, brat
i ona wynieśli do izby dziecięcej jój łóżko, ubogie
sprzęty, małe zwierciadło w ramach drewnianych ma-
lowanych, lampę miedzianą, dwa lub trzy obrazki Matki
Boskiej co szpilkami były przybite do ściany, stół
i małe toczydło na którym obrabiała korale. Wzięli wo-
dy ze studni, dłonią rozleli ją na podłogę, starannie
zmieśli proszek od koralu ze ścian i posadzki; postawili
na oknie dwie doniczki najzwyklejsze i najwonnejsze mie-
ty i rezedy, jakie tylko wyszukać mogli na *astrico*. Nie
przygotowali by i nie oczyścili z większą starannością
izby weselnej, gdyby Beppo miał przywieźć wieczorem
narzeczoną swoją do domu ojca. Śmiejąc się pomaga-
łem im w tej pustocie.

Gdy wszystko było gotowe, wziąłem z sobą Beppina
i rybaka żeby kupić i przynieść resztę mebli potrze-
bnych dla mnie. Kupilem małe łóżko żelazne, stół z
drzewa białego, dwa krzesła wyplatane z trzciny, małą
fajerkę miedzianą, w której podczas wieczorów zimo-
wych, żeby się ogrzać, palą pestki oliwków; tłumok,
po który posłałem do mojej celki, obejmował resztę. Nie
chciałem stracić ani jednej nocy z tego życia szczęśliwe-
go, które mi przywracało jakby familię. Wieczorem te-

goż samego dnia spałem już w nowém mojem mieszkaniu. Obudziłem się dopiero na wesoly krzyk jaskółek, które wlatywały do mego pokoiku przez szybę wytłuczoną, i na głos Grazielli, śpiewającej w sąsiedniej izbie, wtórując piosnce wymierzonym obrotem toczydła.

NOTATKA XIII.

Otworzyłem okno, wychodzące na małe ogródki rybaków i praczek osadzone w skałe góry Pausilippo, i na pobrzeże Margelliny.

Kilka dużych kamieni stoczyło się aż do tych ogrodów, bardzo blisko domu. Grube drzewa figowe, na pół przygniecione od kamieni, obejmowały je pokrzywionemii białemi ramionami i osłaniały szerokim nieruchomym liściem. Z téj strony domu, w ogrodach ubożego ludu, widać było tylko kilka studni opatrzonych szerokiem kole, które osieł obracał dla polewania kopru, kapusty i rzepy; kobiety suszące bieliznę, na sznurach przeciągniętych od jednego drzewa cytrynowego do drugiego; małe dzieci w koszulkach bawiące się lub płaczące na tarasie dwóch lub trzech białych domków rozproszonych w ogrodach. Ten widok przedmieścia wielkiego miasta, tak zaciemniony, tak pospolity i tak bezbarwny, wydał mi się rozkosznym w porównaniu fasad wysokich na długich ulicach, i hałaśliwej ciżby cyrkulów które opuściłem. Oddychałem powietrzem roślinnem, zamiast kurzu, ognia, dymu téj atmosfery ludzkiej którą wprzód oddychałem. Słyszałem krzyk osłów, pianie koguta, sze-

lest liści, kolejny jęk morza, zamiast turkotu powozów, ostrych krzyków ludu i owego bezustannego grzmotu wielkich miast, niedającego żadnego wypoczynku dla ucha, i żadnego uciszenia dla myśli.

Nie mogłem oderwać się od łóżka, gdzie rozkosznie napawałem się tém słońcem, tym wiejskim gwarem, lataniem ptaszków, tym zaledwie naruszonym odpoczynkiem myśli; a potem, patrząc na nagość murów, pustość izby, brak mebli, cieszyłem się sam w sobie myśląc że ten ubogi dom kocha mnie przynajmniej, i że nie mam tu ani kobierców, ani obić, ani firanek jedwabnych, któreby warte były jakiego przywiązania. Wszystkie złoto świata nie kupi jednego bicia serca, ani jednego promienia czułości w spojrzeniu u ludzi obojętnych.

Te myśli słodko mnie kołysały w mojem pół-drzemaniu. Czułem że się odradzam w zdrowiu i pokoju. Beppino chodził po razy kilka do mego pokoiku żeby się dowiedzieć czy czego nie potrzebuje. Przyniósł mi na łóżko chleb i winogrona, które jadłem rzucając ziarnka i okruszyny jaskółkom. Było blisko południa. Słońce wchodziło pełnemi promieniami do mego mieszkania z łagodnem swoim ciepłem jesienném, kiedy ja wstawałem. Ułożyłem się z rybakiem i jego żoną co do szczupłej opłaty miesięcznie, za najem mego pokoiku i stół. Było to bardzo mało, a ci poczciwi ludzie uważali że bardzo wiele. Widać było oczywiście że zamiast ciągnąć zyski odemnie, cierpieli w duszy że ubóstwo i zbyt ograniczona skromność ich życia nie pozwala im ofiarować mi gościnności, z której byliby dumniejsi, gdyby mnie ona nic nie kosztowała. Przydali dwie bułeczki

chleba do kupowanych co rano dla rodziny, trochę ryby gotowanej lub smażonej na obiad, nabiału lub owoców suszonych na wieczór, oliwy do lampy mojej, węgla nadni chłodne; o toż wszystko. Kilka *granów* miedzianych, drobnej monety ludu w Neapolu, wystarczały na dzienny mój wydatek. Nigdy nie pojmowałem lepiej ile szczęście jest niezależnem od zbytku, i ile kupujemy go więcej za grosz miedziany, niżeli za kieszę złota, kiedy znaleźć umiemy gdzie je Bóg schował.

NOTATKA XIV

Tak żyłem przez ostatnie miesiące jesieni i pierwsze miesiące zimy. Jasność i pogoda tych miesięcy w Neapolu niedozwalają prawie odróżnić ich od pory letniej. Nic nie klóciło jednotonnej spokojności naszego życia. Stary z wnukiem nie puszczali się już na pełne morze z przyczyny gwałtownych wiatrów, częstych w owej porze. Łowili rybę wzdłuż brzegu, a ta sprzedawana przez babkę, obficie wystarczała na ich życie bez potrzeb.

Graziella doskonaliła się w swojej sztuce; rosła i ładniała w życiu wygodniejszym i więcej siedzącym przy pracy koło koralu. Zapłata, jaką wuj przynosił w niedzielę, pozwalała jej nie tylko lepiej i porządniej odziewać braciszków i posyłać ich do szkoły, ale też dostarczać babce i sobie samej niektóre części ubioru bogatsze i wytworniejsze, właściwe kobietom z ich wyspy: czerwone jedwabne chustki spadające z tyłu głowy długim trój-

kątem na ramiona; pantofelki bez pięty okrywające tylko palce nóg, naszywane srebrnymi blaszkami; spencerki jedwabne w pasy czarne i zielone; kaftaniki galonowane na szwach, otwarte po bokach; dają one widzieć kształtność kibici i szyję okrytą paciorkami; nakoniec szerokie koleżki wyrzynane, gdzie złote nitki mieszają się z prochem perłowym. Najuboższe kobiety wysp greckich noszą takie stroje i ozdoby. Żadna nędza nie zmusiłaby do ich pozbycia się. W klimatach gdzie uczucie piękności żywsze jest niżeli pod naszym niebem, i gdzie życie jest tylko miłością, strój nie jest zbytkiem w oczach kobiety. Jest jej pierwszą i prawie jedyną potrzebą.

NOTATKA XV.

Kiedy w niedzielę albo święto Graziella tak wystrojona wychodziła ze swego pokoiku na taras, zatknawszy z boku w czarne włosy kwiaty czerwonego granatu albo oleandru; kiedy słuchając głosu dzwonów sąsiedniej kaplicy przechadzała się przed moim oknem jak paw co się pyszni przed słońcem na dachu; kiedy suwała powoli nogami uwięzionymi w emaljowane pantofelki poglądając na mnie, a potem podnosiła głowę ze zwykłym poruszeniem szyi żeby chustka jedwabna i włosy powiewały na ramionach; kiedy spostrzegła że patrzę na nią, rumienila się trochę jakby się wstydząc że taka piękna; były chwile że nowy blask jej piękności tak mocno mnie uderzał, iż sądziłem że widzę ją po raz pierwszy, i zwy-

klą moja z nią poufalość zamieniała się w pewny rodzaj lęklowości i zachwycenia.

Ale tak mało starała się zachwycać, i wrodzony jęj instynkt do strojów tak był wolny od wszelkiej pychy i wszelkiego zalotnictwa, że zaraz po skończonych ceremoniach świętych spiesźnie zdejmowała bogaty ubiór i przywdziewała prosty zielony kaftanik z grubego sukna, suknię perkalikową w pasy czerwone i czarne, i wkładała na nogi pantofelki na drewnianych białych obcasach, które stukwały cały dzień na tarasie, jak głośnie pantofle niewolnic na Wschodzie.

Kiedy młode przyjaciółki nie przychodziły po nią, lub gdy kuzyn nie towarzyszył jęj do kościoła, często ją tam ją prowadziłem i czekałem na nią siedząc na wschodach krużganku. Gdy wychodziła, słyszałem z pewnym rodzajem pychy osobistęj, jak gdyby była moją siostrą lub narzeczoną, szmer uwielbienia, który piękność jęj wywoływała między towarzyszkami i młodeimi marynarzami z nadbrzeżnych ulic Margelliny. Ale ona nie słyszała, i mnie tylko widząc śród tłumu, uśmiechała się już z pierwszego stopnia wschodów, żegnała się ostatni raz palcami zmoczonymi w święconej wodzie, i schodziła skromnie, z oczyma spuszczoneimi, na dół gdzie czekałem na nią.

Takim sposobem w dni świąteczne prowadziłem ją rano i wieczór do kościoła: jedyna i pobożna rozrywka, którą ona знаła i lubiła. W te dni starałem się jak można najbardziej zbliżyć mój ubiór do ubioru marynarzy z wyspy, żeby obecność moja nie dziwiła nikogo, i żeby

mnie uważali za brata lub krewnego młodej dziewczyny, której towarzyszyłem.

Innych dni wcale nie wychodziła. Co do mnie, wróciłem powoli do nauk i samotnych nałogów, rozrywanych jedynie miłą przyjaźnią Grazielli i przyjęciem mnie do jęj familii. Czytałem historyków, poetów, we wszystkich językach. Czasami pisałem; probowałem już po włosku, już po francuzku, wylać w prozie lub wierszach to pierwsze wrzenie duszy, które zdaje się ciężać na sercu, dopóki słowo nie przyniesie mu ulgi wyrażając one.

Zdaje się że słowo jest jedynym przeznaczeniem człowieka, i że utworzono zostało dla płodzenia myśli, podobnie jak drzewo dla wydawania owocu. Człowiek dregczy się dopóty aż wyrzuci na zewnątrz to co nim wewnątrz miało! Pisane jego słowo jest niby zwierciadło, którego potrzebuje żeby sam siebie mógł poznać i przekonać się że istnieje. Dopóki nie oglądał siebie w dziełach swoich, nie czuje iżby żył w zupełności. Umysł ma swą dojrzałość podobnie jak ciało.

Byłem w tym wieku kiedy dusza potrzebuje karmić się i rozmnażać się przez słowo. Ale, jak zawsze się trafia, instynkt objawiał się we mnie wpród niżeli siła. Skoro napisałem, niekontent byłem z mego dzieła, i odrzucałem je z niesmakiem. Ileż wiatr i fale morza Neapolitańskiego nie porwały i nie pochłonięły, rano, szmatów moich uczuć i myśli nocnych, poszarpanych we dnie, i ulatujących bez żalu daleko odemnie.

NOTATKA XVI.

Niekiedy Graziella, widząc mnie dłużej zamkniętego i bardziej milczącego niż zwykle, wchodziła ukradkiem do mego pokoiku żeby oderwać mnie od upartego czytania lub prac moich. Stawała pocichu za krzesłem, wspinała się na palce żeby patrzeć przez moje ramiona, co ja czytam lub piszę; potem nagle schwytała książkę lub wrywała pióro z ręki i uciekała. Gonilem za nią na taras, trochę gniewałem się; ona się śmiała. Przebaczałem jej; ale ona strofowała mnie na serio, niby jaka matka.

„Po cóż dziś tak długo leży ta książka przed twemi „oczyma!” — mówiła z niecierpliwością, w połowie żartobliwą. — „Czy te czarne linije na brzydkim śtarym papierze nigdy nie przestaną mówić do ciebie? „Czy niedosyć już umiesz różnych historyj żeby nam je, „opowiadać co niedziela i co wieczór przez cały rok, jak ta „z powodu której tyle naplakałam się na Procydzie? „A do kogo piszesz całą noc te długie listy, które rano „puszczasz z wiatrem morskim? Nie widzisz że sobie „szkodzisz, i że jesteś bardzo błądy i bardzo roztargniony „kiedy pisałeś lub czytałeś tak długo? Wszak przy- „jemniej rozmawiać ze mną, co na ciebie patrzę, niż „rozmawiać przez całe dni z temi słowami lub z temi „cieniami co ciebie nie słyszą? Boże! czemuż ja nie „mam tyle rozumu ile ten papier? Rozmawiałabym „z tobą cały dzień, odpowiedziałabym na wszystko o co- „byś mnie pytał, i nie potrzebowałbyś psuć sobie oczu

„i wypalać wszystkę oliwę w swojej lampie.” Wtedy chowała mi książkę i pióra. Przynosiła mój kaftan i czapkę marynarską. Zmuszała żebym wyszedł rozerwać się.

Byłem posłuszny szemrząc, ale ją kochając.

NOTATKA II.

Od pięciu miesięcy jakem wszedł do téj rodziny, jakem mieszkał pod tym samym dachem, odkąd składałem, iż tak rzekę, częśé jój myśli, Graziella tak dalece przywykła uważać mnie jako nierozdzielonego z jój sercem, że sama może nie postrzegała ile ja w niém miejsca zajmuję.

W postępowaniu ze mną nie okazywała żadnej bojaźni, ostrożności, wstydlivości, jakie mieszają się w stosunki między młodą dziewczyną a młodym człowiekiem, i które częstokroć rozniecają miłość przez same ostrożności używane dla zabezpieczenia się od niéj. Ona nie domyślała się i ja sam zaledwo się domyślałem że niewinne jój wdzięki dziecięce, rozwinięte teraz w całym blasku wczesnej dojrzałości, czyniły z naiwnej jój piękności potęgę dla niéj, uwielbienie dla wszystkich, i niebezpieczeństwo dla mnie. Nie starała się bynajmniej ani ukrywać jój, ani téż przyozdabiać w moich oczach. Niewięcej myślała o tém, jak siostra co nie myśli czy piękna lub brzydka w oczach brata. Nie kładła ani jednym kwiatkiem więcej lub mniej we włosy swoje dla mnie. Nieczęściéj przeto obuwała bosą nogę, kiedy ubierała zrana braciszków na tarasie na słońcu, lub gdy pomagała babce zamiatać liście suche co w nocy na dach spadły. Wchodziła o każdej porze do mego pokoiku, zawsze otwartego, i siedziała na krześle przy mojem łóżku z równą niewinnością jak Beppino.

Ja przepędzałem, w dni dżdżyste, całe godziny sam na sam z nią, w sąsiedniej izbie, gdzie ona sypiała z małemi

dziećmi, i gdzie pracowała koło koralí. Pomagałem jój rozmawiając i bawiąc się, w rzemieśle którego mnie uczyła. Mniej zręczny ale silniejszy, lepiéj od niéj umiałem ociosywać koralé. Wykonywaliśmy zatém podwójną robotę, i w jednym dniu zarabiała ona za dwa.

Wieczorem przeciwnie, kiedy dzieci i familia spać poszli, ona była uczennicą, a ja nauczycielem. Uczyłem ją czytać i pisać, każąc jój syllabizować litery na moich książkach, i prowadząc jój rękę żeby się nauczyła je kręślić. Ponieważ krewny nie mógł co dzień przychodzić, ja wówczas go zastępowałem. Bądź że ten młody człowiek, garbaty i kulawy, nie obudzał w kuzynce dosyć powabu i uszanowania, pomimo swéj łagodności, cierpliwości i powagi w obejściu się; bądź że sama była zbyt roztargniona w czasie jego lekcyi, daleko mniej robiła postęp z nim niżeli ze mną. Połowa lekcyi wieczornych przechodziła na żartach, śmiechach, podrzéznianiu pedagoga. Biedny młody człowiek zanadto był zachwycony swoją uczennicą i zanadto lękliwy przy niéj, żeby ją miał strofować. Wszystko robił co chciała, żeby tylko ładne brwi młodej dziewczyny nie zmarszczyły się, i żeby usta jój nie skrzywiły się na niego. Często godzinę poświęconą czytaniu przepędzać musiał na oczyszczaniu ziarn koralí, na rozmotywaniu jedwabiu dla babki, lub na naprawie sieci dla Beppa. Wszystko było mu dobre, byleby przy odejściu Graziella grzecznie uśmiechnęła się do niego, i powiedziała *addio* tonem co by oznaczał: Do zobaczenia!

NOTATKA III.

Ze mną zaś przeciwnie, lekceya odbywała się na serio. Przedłużała się często dopóty aż sen obciążył nam oczy. Widać było ze schylonej jej głowy, z szyi wyciągnionej, z pilnej uwagi w postawie i fizyognomii, że biędne dziecię wszelkich dokłada usiłowań żeby uczynić postęp. Opierała się łokciem o moje ramię, żeby czytać w książce gdzie palcem pokazywałem słowa i uczyłem jak je wymawiać. Kiedy pisała, trzymałem jej palec w moim ręku żeby w połowie kierować piórem.

Kiedy błąd popełniła, strofowałem ją z miną surową i zagniewaną; nie odpowiadała, i tylko względem siebie samą niecierpliwiła się. Niekiedy bliska była płaczu, wtedy łagodziłem głos i zachęcałem żeby zaczęła na nowo. Przeciwnie, kiedy dobrze czytała i dobrze pisała, widać było że sama starała się o nagrodę w moich oklaskach. Obracała się do mnie rumieniąc się i z dumną radością na czole i w oczach, pyszniejsza przyjemnością mnie sprawioną niżeli małym swoim tryumfem.

W nagrodę czytałem dla niej kilka stronnie *Paula i Virginii* które przekładała nad wszystko, albo kilka pięknych strof z *Tassa*, opisujących wiejskie życie pasterzy, u których mieszkała Herminia, lub opiewających żale albo rozpacz dwojga kochanków. Muzyka tych wierszy pobudzała ją do płaczu i długiego dumania kiedy skończyłem czytać. Poezya nie ma dźwięczniejszego i dłuższego echa jak w sercu młodem, w którym miłość rodzić się zaczyna. Jest niejako przeczuciem wszyst-

kich namiętności. Później jest ona wspomnieniem i żalobą. Wywołuje zatem płacz w dwóch ostatecznych epokach życia. Młodzi leją lzy nadziei, starzy lzy żalu.

NOTATKA IV.

Stodka poufalskość długich i miłych wieczorów przy blasku lampy, przy łagodnym cieple fajerki pod nogami naszymi, nigdy nie sprowadzała nam innych myśli, ani też inną poufalskość, nad poufalskość wieku dzieciennego. Broniły nas, mnie obojętność prawie zimna, ją niewinność i czystość niepokalana. Rozstawaliśmy się równie spokojni jakęśmy się z sobą zeszli, i w chwilę po tych długich rozmowach, spaliśmy pod jednym dachem o kilka kroków od siebie, jak dwoje dzieci co się bawiły z sobą wieczorem i nie marzą o niczem wychodzącem za obręb prostych ich rozrywek. Ta spokojność uczuć, które nie znają siebie i karnią się same przez się, trwałaby całe lata, gdyby nie okoliczność co zmieniła wszystko, i objawiła nam samym naturę przyjaźni, jaka wystarczała nam dla takiego szczęścia.

NOTATKA V.

Cecho, tak się zwał krewny Grazielli, z każdym dniem częściej przychodził przepędzać wieczory zimowe w famillii marynarza. Chociaż młoda dziewczyna nie okazywała mu żadnego pierwszeństwa, i chociaż był

ciągłym przedmiotem jęj żartów, a nawet trochę igraszką kuzynki, tak był łagodny, tak cierpliwy i tak pokorny przy nięj, że niemogła nie wzruszyć się jego nadszkakiwaniem i nie uśmiecnąć się niekiedy do niego z dobrocią. To dla niego było dosyć. Miał naturę serc słabych, ale kochających, które czując się wydziedziczonymi przez naturę z przymiotów wzniecających miłość, poprzestają na kochaniu bez wzajemności, i jak dobrowolni niewolnicy, jeżeli nie poświęcają się szczęściu, to poświęcają się służbie kobięty któręj złożyli w poddaństwo swe serce. Nie są to najszlachetniejsze, ale najtkliwsze rodzaje przywiązania. Uważają się nad niemi, ale je uwielbiają. Kochać żeby być kochanym, jest rzecz ludzka; ale kochać dla samego kochania, jest rzecz prawie anielska.

NOTATKA VI.

Pod formą najniekształtniejszą było coś anielskiego w miłości biędnego *Cecho*. Dlatego też zamiast czuć upokorzenie lub zazdrość z przyczyny poufalości i pierwszeństwa, jakich byłem w oczach jego przedmiotem ze strony *Grazielli*, kochał mnie, ponieważ ona mnie kochała. W przywiązaniu kuzynki nie żądał pierwszego albo jędnego miejsca, ale drugiego albo ostatniego; każde było dla niego dostatecznęm. Żeby jęj podobać się na chwilę, żeby pozyskać uprzejme spojrzenie, gest, mile słówko, samby poszedł szukać mnie w głębi Francyi i sprowadził do tęj co dawała mi pierwszeństwo przed nim. Pewny jestem że nienawidziłby mnie, gdybym przykrósł jaką sprawił jego kuzynce.

Pyszał się nią tyle ile ją kochał. Może też ziemny wewnątrz, rozważny, myślący i metodyczny, taki jakim Bóg i kalectwo go uczyniły, wyrachował z instynktu, że moje panowanie nad skłonnościami kuzynki nie będzie wiecznęm; że okoliczność jakakolwiek bądź, ale nieodzowna, nas rozłączy; że jestem cudzoziemiec, z dalekiego kraju, stanu i majątku oczęwiście nieodpowiedniego stanowi i majątkowi marynarza z *Procydy*; że kiedyś poufalość między jego kuzynką a mną zerwie się tak prędko jak się zawięzała; że ona pozostanie mu wtedy sama jedna, opuszczona, smutna; że ta rozpacz nawet skruszy jęj serce, i odda mu je zgnębione, ale całe. Rola pocieszyciela i przyjaciela była jędną, o którą mógłby się ubiegać. Ale ojciec inne miał względem niego widoki.

NOTATKA VII.

Ojciec, wiedzący o przywiązaniu *Cecho* do jego siostrzenicy, odwiedzał ją kiedy niekiedy. Uderzony jęj pięknoscią, roztropnoscią, zadziwiony szybkim postępem jaki uczyniła w swojej sztuce, w czytaniu i pisaniu, myśląc przytęm że uposłedzenie *Cecho* przez naturę nie pozwoli mu wdychać do innęj miłości prócz familijnęj i odpowiednięj, postanowił ożenić syna z siostrzenicą. Jego majątek, dosć znaczny jak na rzemieślnika, pozwalał mu uważać jego żądanie jako łaskę, któręj *Andrea*, jego żona i młoda dziewczyna nie pomyślał nawet opierać się. Czy mówił o swym projekcie przed *Cecho*, czy też ukry-

próżnia i noc głęboka jaką wyobrażałem zaraz koło siebie, tutaj, nazajutrz gdy ją mąż zaprowadzi do innego domu; ta izba gdzie ona sypiać nie będzie, mój pokój do którego nie wnijdzie; stół, przy którym siedząc widzieć nie będę, taras na którym nie będę słyszał jej stapania bosą nogą lub głosu zrana kiedy się budzę; kościół, dokąd prowadzić już jej nie będę w niedzielę; łódź, gdzie jej miejsce będzie próżne, i gdzie będę rozmawiał tylko z wiatrami i falami; obrazy tłoczące się tych wszystkich słodkich nałogów naszego życia upłynionego, które przychodziły razem do mojej myśli i znikły nagle żeby mnie zostawić jak śród otchłani samotności i nicstwa: to wszystko dało mi czuć po raz pierwszy czém było dla mnie towarzystwo tej młodej dziewczyny i wykazało mi aż nadto, że miłość, czy przyjaźni uczucie co mnie przywiązywało do niej, silniejszym było niżeli myślałem, i że niezna jomym mnie samemu urokiem dzikiego życia mego w Neapolu, nie było ani morze, ani łódź, ani skromna izdebka w tym domu, ani rybak, ani jego żona, ani Beppo, ani dzieci, ale była jedna tylko istota, i że kiedy ta istota zniknie z domu, wszystko zniknie razem. Mniej Graziellą w teraźniejszym mém życiu, a nic już nie będzie. Czulem to: niewyraźne dotychczas uczucie, i z którego nie spowiadałem się nigdy przed sobą, tak silnie uderzyło we mnie, że całe serce moje zadrżało, i doświadczyłem jakiejś nieskończonej miłości przez nieskończony smutek, w którym nagle zatonęło moje serce.

NOTATKA X.

W milczeniu poszedłem do mojej izdebki, nierozbierając się rzuciłem się na łóżko. Probowalem czytać, pisać, myśleć, rozerwać się jaką pracą umysłową ciężką i mogącą przezwyciężyć moje wzruszenie. Wszystko nadaremno: wewnętrzne wzruszenie było tak silne że nie mogłem spojrzeć dwóch myśli, i że przytłoczenie nawet moich sił sprowadzić nie mogło snu. Nigdy obraz Grazielli nie stawiał się przed memi oczyma równie zachwycający i równie uparty. Bawiłem się nim jak rzeczą którą widzimy co dzień, i której słodycz czujemy dopiero przy utracie. Piękność jej nawet niczem była dla mnie do dzisiejszego dnia; wrażenie jakiegom ztąd doświadczał brałem za jedno z przyjaźnią jaką miałem dla niej, i z przyjaźnią jaką jej fizjognomija dla mnie wyrażała. Nie wiedziałem że tyle jest uwielbienia w mojem przywiązaniu; nie podejrzewałem najmniejszej namiętności w jej przywiązaniu.

Nie umiałem zdać sobie sprawy z tego wszystkiego, nawet wśród długich obrotów serca mego w czasie bezsenności tej nocy. Wszystko było niewyraźne w moich cierpieniach równie jak w moich uczuciach. Byłem jak człowiek ogłuszony nagłym pociskiem, który jeszcze nie wie dobrze zkad cierpi, ale cierpi wszędzie.

Wstałem z łóżka wprzód niżeli najmniejszy ruch dał się słyszeć w domu. Nie wiem jaki instykt skłaniał mnie do oddalenia się na czas niejaki, jak gdyby obecność mo-

ja zakłócić miała w podobnej chwili świątynię téj rodziny, której los rozstrzygał się przed oczyma obcego.

Wyszedłem powiedziawszy Beppowi że wrócę dopiero za kilka dni. Poszedłem bez namysłu gdzie mię pierwsze kroki powiodły. Szedłem długimi nadbrzeżnymi ulicami Neapolu, pobrzeżem *Resina*, *Portici*, podnóżem Wezuwiusza. Wziąłem przewodników w *Torre del Greco*; spałem na kamieniu przy bramie pustelniczego klasztoru *San Salvatore*, na krańcu gdzie się natura mieszkalna kończy, a strefa ognia się zaczyna. Ponieważ wulkan od niejakiego czasu wrzał i ciskał co chwila chmury popiołu i kamieni, które słyszeliśmy toczące się w nocy aż do wąwozu lawy będącego u podnóża klasztoru, przewodnicy nie chcieli towarzyszyć mi dalej. Szedłem sam jeden; wdzierałem się z trudnością na ostatni szczyt, grzęznąc nogami i rękami w gęstym i gorącym popiele usuwającym się pod nogami. Wulkan huczał i grzmiał niekiedy, kamienie zwapniałe i jeszcze czerwone spadały tu i ówdzie koło mnie, gasnąc w popiele. Nic mnie nie zatrzymywało. Doszedłem aż do samego skraju krateru. Usiadłem. Widziałem wschodzące słońce nad odnogą, nad okolicami i nad błyszczącym miastem Neapolem. Byłem nieczuły i zimny na widowisko, które tyle podróżnych przybywa podziwiać o tysiąc mil. Szukałem w tym ogromnym oceanie światła, mórz, brzegów i gmachów, oblatanych słońcem, tylko drobnego białego punkciku śród ciemnej zieloności drzew, na krawędzi góry *Pauzylippu*, gdzie mniemałem iż rozróżniam chatkę *Andrea*.

Napróżno człowiek patrzy i ogarnia przestrzeń: cała natura składa się dla niego z dwóch tylko lub trzech

punktów dotykalnych, do których łączy cała jego dusza. Odbierając z życia serce co cię kocha, i cóż zostanie? Toż samo dzieje się z naturą. Zatrzymaj miejsce i dom, których myśli twoje szukają, lub twoje wspomnienia zaludniają je, a zostanie tylko świetna próżnia, w którą wzrok się zagłębia, nieznajdując ani dła, ani odpoczynku. Czyliż dziwić się potem należy że najwznioślejsze rzeczy stworzenia, oglądane są okiem tak odmiennym przez podróżnych? każdy bowiem z sobą nosi swój punkt widzenia. Chmura na duszy zaciemnia i pozbawia barwy ziemię więcęć niżeli chmura na horyzoncie. Widowisko mieści się w widzu. Tego sam doznałem.

NOTATKA XI.

Patrzyłem na wszystko, nic nie widziałem. Nadaremno zeszedłem jak szalony, zatrzymując się o bryły ostyglęj lawy, aż do głębi krateru. Nadaremno przesłukiwałem przez głębokie rozpadliny, z kądem dym i płomień czołgające się dusiły mnie i paliły. Nadaremno przypatrywałem się rozległym błoniom skryształizowanej siarki i soli, podobnym do lodowisk ubarwionych tępem tchnieniem ognia. Byłem zarówno niemy na wspaniałość widowiska jak na niebezpieczeństwo. Dusza moja znajdowała się gdzie indziej, nadaremno chciałem przywołać ją napowrót.

Wieczorem spuściłem się nazad do pustelni. Odprawilem przewodników, wróciłem przez winnice *Pompei*. Cały dzień przechadzałem się po pustych ulicach miasta zagrzebanego. Ten grób, otwarty po dwóch

tysiącach lat i oddający napowrót słońcu swoje ulice, pomniki, sztuki piękne, znalazł mnie równie nieczulym jak Wezuwiusz. Duszę tych popiołów uniósł od tyłu wieków wiatr Boży, iż nie przemawiała już do mego serca. Deptałem stopami memi ten proch ludzi na ulicach miasta co niegdyś było ich mieszkaniem, z równą obojętnością jak kupy próżnych konch wyrzuconych przez morze na brzeg. Czas jest wielkim morzem, przepelnionem, podobnie jak inne morza, naszymi szczątkami. Nie można oplakiwać wszystkich. Każdy człowiek ma swoje cierpienia, każdy wiek swoje litość; dosyć i tego.

Wyszedszy z Pompei, zapuściłem się w lesiste wąwozy gór Castellamare i Sorrento. Przepędziłem tu kilka dni, chodząc od wsi do wsi, i biorąc pasterzy kóz za przewodników na najslawniejsze miejsca w ich górach. Mieli mnie za malarza co się uczy rysować widoki, ponieważ pisałem kiedy niekiedy notatki na małej książce do rysunku, którą mi przyjaciel zostawił. Byłem duszą błędną tulającą się tu i owdzie po polach żeby zabić dzień. Wszystkiego mi brakowało. Sam sobie zabrakłem.

Nie mogłem dłużej wędrować. Kiedy przeszły święta Bożego Narodzenia i także ów pierwszy dzień roku, z którego ludzie zrobili uroczystość znaną żeby znęcić i ubłagać czas wesołością i wieńcami, jak surowego gościa którego rozculić chcemy, spieszyłem z powrotem do Neapolu. Wróciłem w nocy, wahając się, miotany niecierpliwością widzenia Grazielli i strachem usłyszenia że nie ujrzę jej więcej. Zatrzymywałem się razy dwadzieścia; siadałem na boku łodzi zbliżając się do Margelliny.

Spotkałem Bappa o kilka kroków od domu. Krzyknął

z radości ujrzawszy mnie, i skoczył mi na szyję jak brat młodszy. Poprowadził do swej łodzi i opowiedział co zaśzło podczas mojej nieobecności.

Wszystko się w domu zmieniło. Graziella płakała ciągle od czasu jak ja się oddaliłem. Nie siadała już do stołu. Nie pracowała koło koralu. Całe dni przepędzała zamknięta w swojej izdebce, niechęć, odpowiadać kiedy ją wołali, i całe nocy przechadzała się po tarasie. Sąsiedzi mówili że dostała obłąkania, albo że *innamorata*. Ale on wie że to nieprawda.

Wszystko zle ztąd poszło, mówił chłopak, że chcą ją wydać za mąż za Cecho, a ona nie chce. Beppino wszystko widział i słyszał. Ojciec Cecho przychodził co dzień po odpowiedź dziadka i babki. Ci nie przestawali uprzykrzać się Grazielli, żeby się zgodziła nareszcie. Nie chciała ani słyszeć o tém; mówiła że woli uciec do Genewy. U ludu katolickiego w Neapolu wyrażenie to odpowiada temu: „Wolę zostać renegatem.” Jestto pogróżka gorsza od samobójstwa, jestto samobójstwo wieczyste duszy.

Andrea i jego żona, co koehali Graziellę, martwili się zarazem jej oporem i stratą nadziei zapewnienia jej losu. Zaklinali ją na swoje włosy zbiele. Mówili o swojej starości, o swojej nędzy, o przyszłości dwojga dzieci. Wtedy Graziella rozrzewniała się. Przyjmowała trochę łepiej biednego Cecho który przychodził czasami posiedzieć pokornie wieczorem pod drzwiami swojej kuzynki i bawić się z dziećmi. Mówił jej dobry wieczór i żegnał się przed drzwiami, ale rzadko odpowiadała mu choć jedno słowo. Odchodził niekontent i rezygnowany, i wracał nazajutrz zawsze taki sam.

„Siostra moja źle robi, mówił Beppino. Cecho bardzo ją kocha i taki dobry! Byłaby bardzo szczęśliwa! Nareszcie dziś wieczorem, dała się zwyciężyć prośbom dziadka i babki i izom Cecho. Otworzyła trochę drzwi, podała mu rękę, włożył jej obrączkę na palec i przyrzekła że jutro odbędą się zaręczyny. Ale kto wie czy jutro nie przyjdzie nowy kaprys? Ona co, była taka łagodna i taka wesola! Mój Boże! jak się zmieniła! Niepoznasz jej!”

NOTATKA XII.

Beppino położył się spać w łodzi. Zawiadomiony przez niego o tem co zaszło wyszedłem do domu.

Andrea i jego żona sami tylko byli na *astrico*. Powitali mnie po przyjacielsku i czułe wyrzuty mi czynili za długą moją nieobecność. Opowiadali swoje troski i nadzieje względem Grazielli.

„Gdybyś był tutaj, rzekł do mnie Andrea, ty którego ona tak kocha i któremu nigdy nie mówi *nie*, bardzo byś nam dopomógł. Jakże radzi jesteśmy żeś powrócił. Jutro będą zaręczyny; będziesz przy tem; obecność twoja zawsze nam szczęście przynosiła!”

Czułem dreszcz przebiegający po całym ciele na te słowa biednych ludzi. Coś mówiło mi że ja nie szczęścia ich jestem przyczyną. Pałałem żądzą oglądania Grazielli i drżałem. Głośno rozmawiałem z rodzicami, chodziłem tam i nazad koło jej drzwi, jak ten co nie chce wołać, lecz pragnie być słyszany. Ona była

glucha, niema i nie pokazała się. Wszedłem do mego pokoiku, i położyłem się. Niejaka cisza, którą zawsze wprowadza w duszy wzburzonej koniec wątpliwości i pewność o czemkolwiek bądź, nawet o nieszczęściu, ogarnęła nareszcie mój umysł. Padłem na łóżko jak ciężar martwy i bez ruchu. Znużenie myśli i członków pograżyło mnie prędko w marzenia bezładne, potem zaś w nicość snu.

NOTATKA XIII.

Dwa lub trzy razy w nocy przebudzałem się. Była to jedna z nocy zimowych, rzadszych, ale przykrzejszych niż gdzieindziej, w klimacie gorącym i nad brzegiem morza. Błyskawice bez przerwy tryskały przez szpary okiennic, i jak mruganie oka ognistego migaly po moich ścianach. Wiatr wyl jak zgraja psów wygłodniałych. Gluche uderzenia ciężkiego morza o Margellinę, wstrząsały całym brzegiem, jak gdyby nań ciskano bryły skał.

Trzęsły się i stukaly moje drzwi za powiewem wiatru. Dwa lub trzy razy zdawało mi się że się otwierają, że same zamykają się i że słyszę przytłumione krzyki i płacz ludzki w świstaniu i jękach burzy. Zdawało mi się raz nawet że słyszę słowa i nazwisko moje wyrzeczone głosem wołającym o ratunek. Podniosłem się na łóżku; nie już nie usłyszałem; zdawało mi się że burza, gorączka i marzenia ogarnęły mnie swemi iluzjami; wpadłem znowu w drzemanie.

Zrana, burza ustąpiła miejsca najpiękniejszemu słoń-

cu. Obudziły mnie prawdziwe jęki i krzyk rozpaczny biednego rybaka i jego żony, którzy lamentowali na progu izdebki Grazielli. Nieboraczka uciekla w nocy. — Obudziła i ucałowała dzieci, kazawszy im milczeć. Zostawiła na łóżku najpiękniejszą odzież swoją i kołczyki, paciorki, trochę pieniędzy jakie miała.

Ojciec trzymał w ręku kawałek papieru, zmoczony kilką kroplami wody, który szpilką był przypięty do łóżka. Było napisanych pięć czy sześć wierszy, które prosił, w obłakaniu, żebym przeczytał. Wziąłem papier. Obejmował następne słowa napisane drżącą ręką w przystępie gorączki, które z trudnością przeczytałem:,,

„Za wiele przyrzekłam... jakiś głos mówi mi że to jest „silniejsze nademnie... Całuję nogi wasze. Przebaczenie „mi, wolę zostać zakonnicą. Pocieszcie *Cecho* i *Pana*... „Modlić się będę do Boga za niego i dzieci. Oddajcie „im wszystko co mam, zwróćcie obrączkę *Cecho*...!”

Przy czytaniu tych słów cała rodzina zalala się znowu łzami. Dzieci jeszcze nagie, słysząc że siostra odeszła nazawsze, mieszały krzyk swój z jękiem obu starych i biegały po całym domu, wołając *Graziella*!

NOTATKA XIV.

Kartka wypadła mi z rąk. Chcąc ją podnieść, spostrzegłem na ziemi pod moimi drzwiami, kwiat granatu zwiedły, który mi się tak podobał w ostatnią niedzielę we włosach młodej dziewczyny, i medalik święty, który zawsze nosiła na piersiach, i przed czterema miesiącami

przypięła do franek u mego łóżka w czasie mojej choroby. Nie wątpiłem już że drzwi moje istotnie otwierały się i zamykały w nocy; że słowa i płacz stłumiony które zdawało się że słyszałem i brałem za jęk wiatru, były pożegnaniem i płaczem biednego dziecka. Suche miejsce na zewnętrznym progu wniścia do mojej izdebki, pośród śladów deszczu na tarassie, świadczyło że młoda dziewczyna siedziała tutaj podczas burzy, że przepędziła ostatnią godzinę na żalach i placu, leżąc lub klęcząc na tym kamieniu. Podniosłem kwiat granatu i medalik, i schowałem w zanadrze.

Biedni ludzie, pośród swój rozpacz, rozrzewnili się widząc że płaczę jak oni. Robiłem co mogłem żeby ich cieszyć. Postanowili, że jeżeli wynajdą córkę, nie wspomną już ję ani słowa o *Cecho*. Sam biedny *Cecho*, po którego Beppo poszedł, pierwszy poświęcił siebie pokojowi domu i powrotowi kuzynki. Jakkolwiek rozpacz go ogarnęła, znać było że uważał się za szczęśliwego iż jego imię z czułością wspomniane było w biłeciku, i że znajdował pewny rodzaj pociechy w samém pożegnaniu, które go do rozpacz przywodziło.

„Myślała przecież o mnie” mówił, i ocierał łzy sobie. Umówiliśmy się natychmiast między sobą, że nie będziemy mieli ani chwili odpoczynku, wprzód nim znajdziemy ślad zbiegłej.

Ojciec i *Cecho* wyszli śpiesznie wywiadywać się po nieprzeliczonych klasztorach żeńskich w mieście. Beppo i babka pobiegli do wszystkich młodych przyjaciółek *Grazielli*, którym, jak się domyślali, zwierzyć się musiała ze swych myśli i ucieczki. Ja, cudzoziemiec, podjąłem się

zwiedzić ulice nadbrzeżne, porty Neapolu i bramy miasta, i rozpytywać się straży, kapitanów okrętowych, marynarzy, czy który z nich nie widział młodej *Procydanki* wychodzącej z miasta i wsiadającej na statek dziś rano. Ranek upłynął na nadaremnych poszukiwaniach. Wróciliśmy milczący i posepnii do domu opowiadać sobie nawzajem zabiegi nasze i naradzić się znowu. Nikt wyjąwszy dzieci, nie miał siły zanieść kawałka chleba do ust. Andrea i żona jego siedli smutni na progu mieszkania Grazielli. Beppino i Cecho poszli znowu błąkać się bez nadziei po ulicach i kościołach, które otwierają wieczorem w Neapolu na litanije i benedykcje.

NOTATKA XV.

Wyszedłem po nich sam jeden i udałem się smutny i bez celu, drogą wiodącą do groty Pauzylippu. Przeszedłem opokę, dostałem się aż nad brzeg morza oblewającego wysepkę Nisida. Z brzegu morskiego oczy moje zwróciły się na Procydę, którą widać ztąd bielejącą jak skorupa żółwia na błękitie fal. Myśl moja naturalnie zwróciła się ku tej wyspie i ku dniom radośnym, które tam przepędziłem z Graziellą. Natchnienie tu mnie powiodło. Przypomniałem sobie że młoda dziewczyna ma tam przyjaciółkę prawie równego wieku, córkę biednego mieszkańca sąsiedniej chatki; że ta dziewczyna nosi ubiór odmienny od stroju innych towarzyszek. Jednego dnia kiedy pytałem o powodach tej różnicy w ubiorze, odpowiedziała że jest zakonnicą, chociaż mieszka u ro-

dziców, w stanie pośrednim między klasztorem a życiem familijném. Pokazywała mi ona kościół swojego klasztoru. Kilka takich było na wyspie, tudzież na Ischii i po wsiach w okolicach Neapolu.

Przyszło mi na myśl że Graziellą, chcąc poświęcić się Bogu, może udała się zwierzyć się tej przyjaciółce i prosić ją o otwarcie bram jej klasztoru. Niedługo zastanawiałem się i szedłem już spieszny krok do Puzzoli, miasta najbliższego Procydy, gdzie znaleźć można łodzie.

Stałem w Puzzoli mniej niżeli w godzinę. Pobiegłem do portu; zapłaciłem we dwoje dwóm wioślarzom żeby mnie zawieźli na Procydę, bez względu na stan morza. Chwyciłem parę wiosel razem z nimi. Z trudnością opłynęliśmy przylądek Mizeński. We dwie godziny potem do stałem się na wyspę i drapałem się sam jeden, zadyszany i drżący, wśród ciemności i przy wietrze zimowym, po wysokich wschodach prowadzących do chatki Andrea.

NOTATKA XVI.

„Jeżeli Graziella znajduje się na wyspie, rzekłem sam do siebie, pójdzie tam naprzód, przez instynkt naturalny co prowadzi ptaszynę do gniazdka i dziecię do ojcowskiego domu. Jeżeli jej nie ma, ślad jakiś wskaże że tu była. Ten ślad doprowadzi może tam gdzie jest teraz. Jeżeli nieznaję ani śladu, ani jej samęj, wszystko zginęło: drzwi jakiego grobu żywego zamknęły się na wieki nad jej młodością

Miotany tak okropnym powątpiewaniem, stanąłem na

ostatnim stopniu. Wiedziałem w jakiej szczelinie skały, stara, opuszczając wyspę, schowała klucz od domu. Odsunąłem liście bluszczu i zapuściłem rękę. Palce moje omackiem szukały klucza, kurcząc się z bojaźni iż uczują zimno żelaza, które nie zostawiłoby mi żadnej już nadziei.

Nie było klucza. Wydałem przytłumiony krzyk radości i wszedłem pocichu na dziedziniec. Drzwi, okiennice pozamykane; lekkie światelko błyszczące podedrzwiemi i padające na liście drzewa figowego zdradzały lampę palącą się w mieszkaniu. Któżby mógł znaleźć klucz, otworzyć drzwi, zapalić lampę, jeżeli nie dziecko domowe? Nie wątpiłem że Graziella znajduje się o dwa kroki odemnie, i upadłem na kolana na ostatnim stopniu wschodów dziękować aniołowi co mnie zaprowadził do niej.

NOTATKA XVII.

Żaden głos nie wychodził z domu. Przykleiłem ucho do drzwi niedochodzących szczelnie do progu, mniemałem że słyszę słaby oddech i jakby łkanie w głębi drugiej izby. Zlekka poruszyłem drzwi, jak gdyby wiatr trząsnął niemi na zawiasach, żeby powoli zwrócić uwagę Grazielli, i żeby nagły i niespodziany głos ludzki nie zabił jej wołaniem. Oddech się wstrzymał. Zawolałem wówczas Graziellę, półgłosem i tonem najspokojniejszym i najczulszym, jaki znaleźć mogłem w mojem sercu. Słaby krzyk odpowiedział mi z głębi domu.

Zawolałem znowu zaklinając żeby otworzyła przyjacielowi, bratu, który sam jeden przychodzi, w nocy, śród

burzy, prowadzony przez dobrego swego anioła, żeby ją wyszukać, znaleźć, wyrwać rozpacz, przynieść przebaczenie jej rodziny, swoje, i zwrócić ją do powinności, do szczęścia, do biednej babki, do ukochanych dzieci!

— Boże! to on! to moje imię! to jego głos! zawołała głucho.

Zawolałem ją jeszcze czuliej *Graziellina*, pieśczośliwem imieniem jakie dawałem jej niekiedy gdyśmy swolili razem.

— O! to on, — rzekła. — Nie myślę się, mój Boże! to on! Usłyszałem jak podniosła się, na suchych liściach, które szeleściły przy każdym jej poruszeniu, postąpiła krokiem żeby mi otworzyć, potem upadła z osłabienia albo ze wzruszenia niemogąc iść dalej.

NOTATKA XVIII.

Nie wahałem się dłużej; poparłem ramionami ze wszystkich sił moją niecierpliwość i niespokojności stare drzwi; zamek pękł i rozsunał się: rzuciłem się w dom.

Lampka zapalona przed obrazem Madonny przez Graziellę rzucała słaby blask. Pobiegłem do drugiej izby, zkąd słyszałem Grazielli głos, i gdzie jak mniemałem ona omdlała. Nie omdlała. Tylko słabość zdradziła jej wysilenie; odpadła na kupę suchych liści co służyły jej za posłanie, i składała ręce patrząc na mnie. Oczy jej ożywione gorączką, rozwarte zadziwieniem i omdlewające z miłości, iskrzyły się jak dwie

gwiazdy, których blask spada z niebios, i które zdają się patrzeć na nas z głębi wód.

Głowa jęj, którą starała się podnieść, odpadła z osłabienia na liście, przewrócona w tył, i jakby przecięta toporem. Była biała jak konająca, tylko jagody czerwieniał miejscami żywy rumieniec. Piękne jęj ciało przegowały plamy od łez i kurzu co się do nich przykleiło. Czarny ubiór zlewał się z brunatnym kolorem liści rozsypanych na ziemi, na których leżała. Nogi białe, białe jak marmur, całą długością przechodziły kupeliści i spoczywały na kamieniach. Dreszcz przebiegał wszystkie jęj członki, a zęby klekotały jak kastanjety w rękę dziecka. Chustka czerwona, którą zwykle zwieżywała długie czarne splety pięknych włosów, odwiązana, zwieszała się jak pół-zasłony na czoło aż do oczu. Widać że używała jęj na zakrycie twarzy i łez jakby zawczesnym całunem, i że podniosła ją dopiero usłyszawszy mój głos i wstawszy żeby drzwi otworzyć.

NOTATKA XIX.

Padłem na kolana koło rozsypanych liści; ująłem obie zimne jęj ręce w dłonie moje, podniosłem je do ust żeby rozegrać mój technieniem, kilka łez z oczu moich spadło na nie. Po konwulsyjnym ściśnieniu jęj palców poznałem że uczuła ten deszcz serdeczny i dziękowała mi. Zdjąłem moją kapotę rybacką. Zarzuciłem na białe jęj nogi. Owinąłem je starannie.

Pozwalała robić to wszystkomyślnie, patrząc na mnie

z wyrazem szczęśliwego obłąkania, ale niemogąc jeszcze sama dopomóc sobie żadnym ruchem, jak dziecko co się daje spowijać i przewracać w kolébce. Wrzuciłem dwie lub trzy wiązki galezi na komin pierwszej izby żeby trochę ogrzać powietrze. Rozpaliłem je przy lampie, i usiadłem potem na ziemi przy posłaniu z liści.

„Jakże mi dobrze, — rzekła z cicha, tonem łagodnym, równym i jednostajnym, jak gdyby piersi jęj straciły zarazem wszelkie brzmienie i wszelki akcent, i zachowały tylko jedną nutę w głosie. „Nadaremno chciałam to ukryć, wać przed sobą samą, nadaremno chciałam to ukryć na — zawsze przed tobą. Mogę umrzeć, ale nie mogę kochać „innego prócz ciebie. Chcieli mi dać narzeczonego, „ale ty jesteś narzeczoną mojej duszy! Nikomu nie oddam się tu na ziemi, bo tobie oddałam się potajemnie. „Ty na ziemi albo Bóg w niebie! taki ślub uczyniłam pier — wszego dnia, kiedy zrozumiałam że serce moje chore na „ciebie! Wiem dobrze że jestem tylko biedna dziewczyna, „niegodna myślać o nog twoich nawet dotykać; dlatego „też nigdy nie prosiłam żebyś mnie kochał. Nigdy pytać „się nie będę czy mnie kochasz. Ale ja, ja ciebie kocham, kocham, kocham!” I zdawało się że całą duszę swoją zalała w te trzy słowa. „A teraz, pogardzaj „mną, naigrawaj się zemnie, deptaj mnie nogami! Szydź „ze mnie, jeżeli chcesz, jak z obłąkaną co roi sobie że „jest królową będąc w łachmanach. Wystaw mnie na „pośmiewisko całego świata! Tak, ja sama powiem: „Tak, kocham go! I gdybyście byli na mojem miejscu

„zrobilibyście to samo co ja, umarlibyście alboby-
„ście go kochali!”

NOTATKA XX.

Miałem oczy spuszczone, nieśmiejąc podnieść ich na nią, z bojaźni żeby wzrok mój nie powiedział jój zawiele lub za mało na tyle szalu. Na te słowa jednak podniosłem czoło moje przyklejone do jój rąk, i wyjąkałem kilka słów.

Położyła mi palec na ustach.

„Niech wszystko powiem: teraz rada jestem; nie mam już wątpliwości, Bóg oznajmił swój wyrok. Słuchaj:

„Wczoraj, kiedy uciekłam z domu przepędziwszy całą noc na walce z sobą i płaczu u twoich drzwi: kiedy dostałam się tutaj śród burzy, przybyłam tu z przekonaniem że nigdy już ciebie nie obaczę, i jak umarła, co sama idzie do swego grobu. Miałam wstąpić do zakonu jutro, jak tylko dzień. Kiedy przybyłam na wyspę w nocy i zastukałam do bramy klasztoru, było już późno, brama zamknięta. Nie chcieli mi otworzyć. Przyszłam tutaj przepędzić noc i ucałować ściany domu ojca wprzód nim wstąpię w dom Boga i w grób serca mego. Napisałam przez dziecię do przyjaciółki żeby jutro przyszła do mnie. Wzięłam klucz. Zapaliłam lampę przed Madonną. Padłam na kolana i uczyniłam ślub, ostatni ślub, ślub nadziei w saméjże rozpacz. Bo dowiesz się, jeżeli kiedy kochać będziesz, że zawsze zostaje ostatni promyk nadziei w głębi duszy, wtenczas nawet kiedy się zdaje że już wszystko

„zgasło. — Święta opiekunko, rzekłam, zeszlij mi znak powołania mego, żebym się przekonała czy mnie miłość nie omyła i czy prawdziwie oddaję Bogu życie, które do niego jednego tylko należeć powinno! Oto ostatnia moja noc zaczęta pomiędzy żyjącymi. Nikt nie wie gdzie ją przepędzam. Jutro może przyjdą szukać mnie tutaj, kiedy już mnie nie będzie. Jeżeli przyjaciółka po którą posłałam pierwsza nadejdzie, to będzie znak że powinnam spełnić mój zamiar, i pójść za nią nazawsze do klasztoru. „Ale jeżeli on wprzód się pokaże niż ona... kiedy on przyjdzie prowadzony przez mego anioła, wyszukać mnie i zatrzymać nad brzegiem drugiego mego życia!.. O! wówczas, to będzie znak że mnie nie chcesz, i że wrócić z nim powinnam żeby go kochać przez resztę moich dni!..”

„Uczyń żeby to był on! dodałam. Uczyń ten jeszcze cud, jeżeli jest to zamiarem twoim i zamiarem Boga. Żeby to otrzymać, składam ci dar, jedyny jaki zrobić mogę, ja co nic nie mam. Oto włosy moje, biedne, długie włosy moje które on lubi i tak często rozwiązywał śmiejąc się żeby je widzieć unoszące się z wiatrem na moich ramionach. Weź je, oddaję ci, sama je utnę żeby cię przekonać iż nie dla siebie nie chowam, i że głowa moja poddaje się zawczasu nożycom, które ucięłyby je nazajutrz rozłączając mnie ze światem.”

To mówiąc, odsunęła lewą ręką chustkę jedwabną okrywającą jój głowę, i wzięwszy drugą długą warkocz odciętych włosów, leżący koło niej na posłaniu z liści, pokazała mi go rozwijając.

„Madonna uczyniła cud! — rzekła głosem mocniejszym i tonem najgłębszej radości.—, Ona cię przysłała! „pójdę gdzie zechcesz. Włosy moje są dla niej. Życie „moje dla ciebie!”

Rzuciłem się na odcięty warkocz pięknych jój czarnych włosów, które pozostały w moim ręku jak martwa gałąź oderwana od drzewa. Całowałem je w milezeniu, przyciskałem do serca, skrapiałem łzami jak gdyby one były częścią mnie, którą umarłą chowam w ziemię. Potém zwróciwszy wzrok na nią, ujrzałem piękną jej twarz ogołoconą z włosów, ale niby strojną i upiękzoną jój ofiarą, jak jaśniała radością i miłością śród czarnych i nierównych resztek włosów, raczej wyrwanych niżeli odciętych nożycami. Pokazała mi się jak okaleczony posąg młodości, którego nawet kalectwo przez czas zadane podnosi wdzięk i piękność, przydając rozczerzenie do uwielbienia. Ta profanacya samój siebie, to samobójstwo piękności przez miłość ku mnie, zadały mi w serce cios, którego uderzenie wstrząsnęło całą moją istotę i rzuciło mnie na twarz u jój nóg. Przeczynałem co to znaczy kochać, i wziąłem to przeczucie za miłość!

NOTATKA XXI.

Niestety! niebyła to miłość zupełna, był to wemnie tylko jój cień. Ale byłem zanadto dzieckiem i zanadto

prostoduszny żebym się w tém sam nie pomylił. Mniemałem że uwielbiam tak, jak tyle niewinności, piękności i miłości zasługiwało na uwielbienie kochanka. Powiedzialem to jój tonem szczerości jaki daje wzruszenie, i z tą namiętnością hamowaną jaką udziela samotność, noc, rozpacz, lzy. Uwierzyła, ponieważ potrzebowała wierzyć żeby żyć, i ponieważ sama miała dość namiętności w duszy swojej żeby pokryć niedostateczność tysiąca innych serc.

Cała noc tak upłynęła na rozmowie, prostej, ale szczerzej i czystej, dwojga istot wynurzających niewinnie przed sobą swoje przywiązanie i które chciałyby żeby noc i milezenie trwały zawsze, żeby nic im obcego nie wmięszało się między usta i serce. Jej pobożność i moja lekkliwa nieśmiałość, rozrzewnienie nawet dusz naszych oddalało od nas wszelkie niebezpieczeństwo inne. Zastona lez naszych rozciągała się nad nami. Nic tak dalekiem nie jest od lubieżności jak rozrzewnienie. Nadużyć podobnej poufałości, byłoby sprofanować dwie dusze.

Trzymałem obie jój ręce w moich. Czulem że wracają do życia. Poszedłem po świeżą wodę, niosąc ją w mojej dłoni żeby dać jój napić się, lub otrzęć jój ciało i twarz. Roznieciłem ogień przyrzuciwszy kilka gałęzi, potém usiadłem na kamieniu przy kupie liści mirtu na której leżała jój głowa, żeby słuchać i jeszcze słuchać słodkich zwierzeń się jój miłości: jak się ona zrodziła w niej mimo wiedzy, pod pozorem czystej i miliej przyjaźni siostry: jak tém była zrazu strwożona, a potém uspokoiła się; po jakich znakach wreszcie poznała że

mnie kocha; ile tajemnych dowodów pierwszeństwa okazywała mnie mimo wiedzy mojej; kiedy myśliła że się zdradziła; kiedy zdawało się jej że się odpłacam wzajemnością; godziny, gesta, uśmiechy, słówka co się wymknęły lub się zatrzymały, objawienia lub zaćmienia mimowolne twarzy naszych w ciągu tych sześciu miesięcy. Pamięć jej wszystko zachowała; przypominała jej wszystko, jak trawa gór południowych, na którą wiatr zaniósł ogień podczas lata, zachowuje ślad pożaru na wszystkich miejscach kędy płomień przeszedł.

NOTATKA XXII.

Przydawała do tego owe tajemnicze przesady uczucia udzielające znaczenie i wartość najdrobniejszym okolicznościom. Odkrywała, iż tak rzekę, jedną po drugiej wszystkie zasłony duszy swojej przedemną. Pokazywała się jak Bogu, w całej nagości swiej niewinności, swoich lat dziecinnych, swego wylania się. Dusza raz jeden w życiu ma takie chwile kiedy cała przelewa się w drugą duszę z niewyczerpanym szmerem ust, które wystarczyć nie mogą miłośnemu jej wylaniu się, i kończą na belkotaniu niewyraźnych i pomieszanych dźwięków, jak pocałunki zasypiającego dziecięcia.

I mnie też nie sprzykrzyło się słuchać, jęczyć i drżeć naprzemian. Chociaż serce moje, zbyt lekkie i zbyt świeże jeszcze młodością, nie było ani dosyć dojrzałe ani dosyć płodne żeby wydać miało samo z siebie tak palące i tak niebieskie wzruszenia, wzruszenia te spadając

we mnie, wywierały wrażenie tak nowe i tak rozkoszne, że czując jemniemałem iż ich doświadczam. Błąd! ja byłem lodem, a ona ogniem. Odbijając go, mniemałem że sam płonę. Mniéjsza o to; promienistość ta, odbijając się jedna o drugą, zdawała się należeć do nas obojga i o'aczać nas atmosferą tegoż samego uczucia.

NOTATKA XXIII.

Tak upłynęła owa długa noc zimowa. Ta noc miała dla mnie i dla niej trwałość tylko pierwszego westchnienia mówiącego że kochamy. Zdawało nam się, gdy dzień zawitał, że przerwał to słowo tylko co zaczęte

Słońce atoli było już wysoko na horyzoncie, kiedy promienie jego przesunęły się między okiennice zamknięte, i blask lampy blednieć zaczął. W chwili kiedy otwierałem drzwi, ujrzałem całą rodzinę rybaka biegącą na wschody.

Młoda zakonnica z Procydy, przyjaciółka Grazielli, której posłała wczoraj list i zwierzyła się z zamiarem wstąpienia nazajutrz do klasztoru, domyślając się jakiejś rozpaczey serca, wysłała w nocy jednego z braci swoich do Neapolu żeby ostrzedz rodziców o postanowieniu Grazielli. Dowiedziawszy się tym sposobem o dziecięciu odzyskanem, przybyli co spieszniej, uradowani i żalujący, żeby ją zatrzymać na krańcu rozpaczey, przebaczyć i odprowadzić swobodną z sobą razem.

Babka upadła na kolana przy łóżku popychając oburącz dwoje małych dzieci, które przyprowadziła z sobą,

żeby ją rozczulić, i zasłaniając się niemi jak tarczą od wyrzutów wnuczki. Dzieci rzucały się z krzykiem i płaczem w objęcia siostry. Gdy podnosiła się żeby popieścić się z niemi i ucałować babkę, chustka okrywająca głowę Grazielli spadła i odsłoniła jej głowę z włosów огоłoconą. Na widok takiej krzywdy wyrządzonej jej piękności której dobrze zrozumiały znaczenie, zadrżały. Płacz nagle napłynął dom. Zakonnica przyszedłszy uspakajała i cieszyła wszystkich; zebrała obcięte włosy Grazielli, przyłożyła je do obrazka madonny związując w jedwabną chustkę i włożyła w fartuch babki mówiąc:

„Zachowaj je, żeby pokazywać jej kiedy niekiedy,
„w szczęściu lub troskach, i przypominać, kiedy będzie
„należała do tego kogo kocha, że pierwiastki jej serca
„zawsze do Boga należeć powinny, jak pierwiastki jej
„piękności w tym warkoczu do niego należą,,

NOTATKA XXIV.

Wieczorem, wszyscy razem wróciliśmy do Neapolu. Gorliwość jaką okazałem w wyszukiwaniu i ocaleniu Grazielli w tej okoliczności, podwoiła przywiązanie stariej i rybaka ku mnie. Nikt z nich nie podejrzewał natury mego społeczenia dla niej i jej przywiązania dla mnie. Przypisywali jej wstręt tylko ułomności Cecho. Spodziewali się przezwyciężyć ten wstręt za pomocą rozumu i czasu. Przrzekli Grazielli nie naglić ją więc do małżeństwa. Sam Cecho prosił ojca żebyo tém nie wspominał; pokorą,

postawą i wzrokiem błagał przebaczenia kuzynki że dał powód do jej zmartwień. Spokojność wróciła do domu.

NOTATKA XXV.

Nic już nie zasępiło twarzy Grazielli, ani mego szczęścia, tylko myśl że to szczęście prędzej lub później przerwie mój powrót do kraju. Kiedy kto wymienił imię Francyi, biedna dziewczyna bladła jak gdyby ujrzała śmierć. Jednego dnia, wszedłszy do mego pokoiku, znalazłem wszystkę moję odzież miejską poszarpaną i rozrzuconą szmatami po podłodze., Przebacz mi, — rzekła Graziella padając na kolana do nóg moich i podnosząc ku mnie twarz przerażoną. „Ja zrobiłam to *nie-
„szczęście*. O! nie łaj mnie! Wszystko co mi przypo-
„mina że musisz porzucić kiedyś ten ubiór maryna-
„rza, okrutnie mi dolega! Zdaje mi się że porzucisz
„twoje dzisiejsze serce żeby wziąć inne, kiedy przy-
„wdziejesz dawniejsze ubranie.”

Wyjawszy te drobne burze, wynikające z gorącości jej przywiązania, i które uspakajały się pod kilką łez z oczu naszych, trzy miesiące tak upłynęły śród szczęśliwości urojonej, którą najmniejsza rzeczywistość skruszyć miała dotknąwszy się nas. Nasz Eden znajdował się na obloku.

I takim to sposobem poznałem miłość: przez łzę w oku dziecięcia.

NOTATKA XXVI.

O jakże byliśmy szczęśliwi razem, kiedyśmy mogli zapomnieć zupełnie, że inny świat istnieje za nami: inny świat niżeli ten domeczek, na pochyłości Pauzylippt; taras na słońcu; izdebka gdzieśmy pracowali bawiąc się pół dnia; lódz spoczywająca w piaszczystem łożu na brzegu, i to piękne morze, którego świeżość i melodye wód, przynosił nam wiatr wilgotny i dźwięczny!

Ale, niestety! były godziny kiedy nam przychodziło na myśl, że nie tutaj świat się kończy, i że zaświta dzień co nas nie znajdzie już razem pod tym samym promieniem księżyca lub słońca. Niestusnie oskarżam tyle oschłość serca mojego naówczas, porównyując je z tém co później czuło. W istocie zaczynałem kochać Graziellę, tysiąc razy więcej niżeli sam przyznawałem się przed sobą. Gdybym jęj tyle nie kochał, ślad przez nią zostawiony w duszy mojęj na całe życie, nie byłby tak głęboki i tak bolesny, i pamięć jęj nie wieliłaby się we mnie tak rozkosznie i tak smutno; obraz jęj nie byby tyle obecny i tak świetny w swoich wspomnieniach. Chociaż serce moje było z piasku naówczas, ten kwiatek morski wkorzenił się w nie więcej, niżeli na jednę porę roku, jak lilije cudowne nadbrzeża wkorzeniają się w piaski wyspy Ischia.

NOTATKA XXVII.

Jakież oko byłoby tyle pozbawione promieni, jakie serce tyle zgasłe przy urodzeniu, coby jęj nie kochało!

Zdawało się że piękność jęj rozwija się od wieczora do rana razem z jęj miłością. Nie rosła już więcj, ale wydokonała się we wszystkich swych wdziękach; wdziękach, wczoraj dziecięcia, dzisiaj młodej dziewicy rozkwitłj. Wysmukłe jęj kształty widocznie młodość zaokrąglala i przetwarzała w cudniejsze. Piękne nogi bosc, nie z taką lekkością stapały już po ziemi. Chodziła z tém zaniedbaniem i omdleniem, które jakby obciążają całe ciało, pierwszemi miłosnemi myślami kobiety.

Włosy jęj odrastały z jednością silną i bujną roślin morskich, pod ciepłemi falami wiosny. Często lubilem mierzyć ich wzrost, rozpuszczając zwinęte na mym palcu na galonowany jęj kaftanik. Skóra jęj bielila się i kolorowała zarazem temiż samemi odcieniami, któremi proszek różowy koralu przypruszał codzień końce jęj palców. Oczy jej powiększały się i rozszerzały z każdym dniem, jak gdyby dla ogarnięcia horyzontu, co się nagle pokazał przed nią. Było to zadziwienie życia, kiedy Galatea czuje pierwsze bicie serca pod marmurem. Mimo wolnie okazywała przedemną wątpliwość i lęklivość w postawie, spojrzeniu, ruchu, czego dawniej nie miała. Spostrzegłem to, i często sam byłem milezący i drżący przy niej. Można by powiedzieć że byliśmy dwaj winowajcy, a byliśmy tylko dwoje dzieci zbyt szczęśliwych.

A przecież od niejakiego czasu tło smutku ukrywało się lub objawiało pod tém szczęściem. Nie wiedzieliśmy dobrze dlaczego. Ale przeznaczenie o tém wiedziało. Było to uczucie krótkości czasu, jaki razem z sobą mieliśmy przepędzić.

NOTATKA XXVIII.

Często Graziella, zamiast wziąć się wesoło do roboty, po ubraniu i uczesaniu braciszków, siedziała pod murem tarasu, w cieniu gęstych liści drzewa figowego, które podnosiło się z dołu aż ku murowi. Siedziała tutaj nieruchoma, patrząc a niewidząc, przez całe pół dnia. Kiedy babka pytała ją czy nie chora, odpowiadała że nie ją nie boli, lecz że się zmordowała, jeszcze nie pracując. Nie lubiła żeby ją wówczas wypytywać. Odwracała twarz od wszystkich, wyjąwszy mnie. Ale na mnie patrzyła długo nie mówiąc. Niekiedy usta ruszały się jak gdyby mówiła, ale szeptała tylko słowa, których nikt nie słyszał. Widać było lekki dreszcz, już biały, już różowy, przebiegający po jej twarzy, i marszczący ją, jak zwierciadło wody stojącej, dotknięte pierwszym powiewem wiatru porannego. Ale, kiedy siadłem obok niej, kiedy wziąłem ją za rękę, kiedy zlekka polectałem długie rzęsy zamkniętych jej oczu piórem, albo końcem gałązki rozmarynu, wtedy zapomniała o wszystkim, śmiała się i rozmawiała jak dawniej. Tylko zdawała się smutną po śmiechu i swawoli ze mną.

Mówiłem do niej niekiedy:

— Graziello, na co ty patrzysz tam, tam daleko, na końcu morza, po całych godzinach? Czy tam widzisz co takiego czego my nie widzimy?

— Widzę tam Francję, za górami lodowatemi, odpowiadała mi.

— I cóż tak pięknego widzisz we Francji? dodawałem.

— Widzę tam kogoś podobnego do ciebie, — odpowiadała, — kogoś co idzie, idzie, idzie długą białą drogą, która nie ma końca. Idzie nieobracając się, ciągle, ciągle naprzód, i czekam całe godziny, spodziewając się zawsze że się obejrzy i powróci. Ale się nie odwraca!

A potem zakrywała twarz fartuszkciem, i nadaremno wołałem ją najpieszczotliwszymi słowami: już nie podnosiła pięknego swego czoła.

Wracałem wówczas i sam bardzo smutny do méj izdebki. Probowałem czytać dla rozerwania się, ale ciągle widziałem jej twarz między memi oczyma a książką. Zdawało mi się że słowa przybierają głos i wdychają jak serca nasze. Częstość w końcu płakałem sam jeden, ale wstydzilem się mojej melancholii, i nigdy nie mówiłem Grazielli żem płakał. Żle robiłem, jedna moja Iza wieleby jej uczyniła dobrego.

NOTATKA XXIX.

Przypominam sobie scenę, która najmocniej zmartwiła jej serce i z której nigdy zupełnie nie ochłonęła.

Od niejakiego czasu zabrała przyjaźń z dwiema lub trzema młodemi dziewczętami, prawie równego jej wieku. Dziewczęta te mieszkaly w domku w ogrodach. Prasowały one i naprawiały suknie młodych Francuzek będących na pensyi. Król Murat założył tę pensję w Neapolu dla córek swoich ministrów i generałów. Młode Procydanki zajmując się robotą, często rozmawiały zdołu z Graziellą, która patrzyła na nie przez mur tarasu. Po-

kazywały jęj piękne koronki, piękne materye jedwabne, piękne kapelusze, piękne trzewiki, wstążki, szale, które przynosiły lub odnosiły dla młodych uczennic klasztoru. Były tam wykrzykniki zadziwienia i uwielbienia, bez końca. Niekiedy młode robotnice brały z sobą Graziellę namszę, lub nieszpory z muzyką, w malęj kaplicy Pauzylippu. Wychodziłem na ich spotkanie wieczorem, kiedy powtórzony odgłos dzwonu oznajmiał że kapłan udziela błogosławieństwo. Powracaliśm swawoląc, brzegiem morskim, idąc śladem fali kiedy się cofała, i uciekając przed falą kiedy wracała nazad z pianą pod nasze nogi. Boże! jak Graziella była piękna wówczas, kiedy lękając się, żeby nie zamoczyć ładnych pantofelków naszywanych złotem blaszkami, biegła z wyciągniętymi rękami do mnie, jakby chronić się na mojem sercu, od fali pragnącej ją zatrzymać, lub przynajmniej polizać jęj nogi.

NOTATKA XXX.

Widziałem od niejakiego czasu że ukrywa coś ze swoich myśli przedemną. Miewała tajemne rozmowy z młodem przyjaciółkami robotnicami. Było to coś nakształt spisku, do którego mnie nie przypuszczali.

Jednego wieczora czytałem w moim pokoiku, przy świetle malęj lampy z gliny czerwonej. Drzwi moje na taras były otwarte żeby wpuszczać wiatr od morza. Słyszałem szelest, długie szeptanie młodych dziewcząt, przytłumione śmiechy, potem krótkie narzekanie, słowa zle-

go humoru, potem nowe głosy przerywane długiem milczeniem w pokoju Grazielli i dzieci. Z początku niewielką zwracałem uwagę.

Wszelako przesada z jaką starały się stłumić szepty, i pewny rodzaj tajemnicy której one domyślać się kazały między dziewczętami, obudziły moję ciekawość. Położyłem książkę, wziąłem glinianą lampę w lewą rękę, zasłoniłem prawą od wiatru żeby nie zgasła. Cichym krokiem przeszedłem taras, tłumiąc stąpanie po posadzce. Przyłożyłem ucho do drzwi Grazielli. Usłyszałem chodzenie tu i ówdzie po pokoju, szelest materyi składanej i rozkładanej, brzęk napastrków, igieł, nożyczek, przyrządzających wstążki, przypinających chusteczki, i te pogadanki, to brzęczenie świeżych głosów, jakie często słyszałem w domu matki, kiedy siostry moje wybierały się na bal.

Nie było nazajutrz święta w Pauzylippie. Graziella nigdy nie myślała podnieść piękności swojej toalety. Nie było nawet zwierciadła w jęj pokoju. Przeglądała się w konewce wody ze studni tarasu, a raczej przeglądała się tylko w moich oczach.

Ciekawość moja oprzec się nie mogła tęg tajemnicy. Popchnęłem drzwi kolaniem. Otworzyły się. Stałem na progu z lampą w rękę.

Krzyknęły młode robotnice i rozbiegły się jak ptaszki, chowając się pokątach, jak gdyby je przydybano na występku. Trzymały jeszcze w rękę dowody przekonywające; jedna nici, druga nożyczki, ta kwiaty, ta wstążki. Ale Graziella, stojąca w środku pokoju na ławce drewnianej, i jakby skamieniała na niespodziewane moje

ukazante się, umknąć nie mogła. Czerwona zrobiła się jak granat. Spuściła oczy, nie śmiała spojrzeć na mnie, zaledwo oddychała. Wszystkie umilkły w oczekiwaniu tego co powiem. Ja sam nie nie mówiłem. Pograżony byłem w zadziwieniu, i niemém zadumanu na to co widziałem.

Graziella zrzuciła ciężką swoją odzież welnianą, kaftanik z galonami, według mody na wyspie Procyda, roztwarty na piersiach żeby dać wolno odetchnąć młodej dziewczynie, pantofelki naszywane blaszkami złotem z drewnianymi obcasami, w których zwykle igrały boso jej nóżki, długie szpilki z miedzianą głową co przepinały poprzecznie na wierzchu jej głowy kruche włosy, jak reja przepina żagiel na łodzi. Kółeczki szerokie jak bransoletki, rozrzucone były w nieładzie na łóżku, wraz z porannym ubiorem.

W miejsce tego malowniczego kostiumu greckiego, co przypada równie ubogim jak bogatym, w miejsce sukienki spadającej poniżej kolan, co wycięciem gorsetu i krojem mankietek pozostawia swobodę i giętkość wszystkim kształtom ciała kobiety, młode przyjaciółki Grazielli, na jej prośbę, ubrały ją w strój panny francuskiej, prawie równego jej wzrostu i wieku, będącej na pensyi w klasztorze. Miała na sobie suknię jedwabną morową, pasek różowy, chustkę białą, włosy ubrane w sztuczne kwiaty, trzewiki atlasowe błękitne, pończochy jedwabne przezroczyste, z pod których widać było kolor jej ciała na zaokrąglonych kostkach.

W ubiorze tym, w którym ją przydybałem znienacka, tak była zinięszana, jak gdyby ją nagą wypatrzył

wzrok mężczyzny. Ja sam patrzyłem na nią, nlemogąc oderwać oczu, ale ani jeden gest, ani wykrzyknik, ani uśmiech nie mógł objawić jej wrażenia, jakie sprawiało na mnie jej przebranie. Łza podniosła mi się z serca. Odrazu i bardzo dobrze pojąłem myśl biednego dziecka. Wstydząc się różnicy stanu jaka zachodziła między nią a mną, chciała doświadczyć czy zbliżenie się w ubiorze nie zbliży losów naszych. Próbę tę robiła mimo wiedzy mojej, przy pomocy przyjaciółek, spodziewając się że pokaże mi się nagle tym piękniejsza i podobniejsza do mego stanu, niżeli, jak się jej zdawało, w skromnym ubiorze swojej wyspy i swojej klasy. Okropnie się zawiodła. Spostrzegać to zaczęła po moim milczeniu. Twarz jej zaczynała przybierać wyraz rozpacznej niecierpliwości, i prawie płaczu, który mi wyjawiał jej zamiar ukryty, jej występek i jej oszukanie.

Bardzo jednak była piękna i teraz. Myśl jej powinna była dodać jej tysiąc razy więcej piękności w moich oczach. Ale piękność jej podobna była prawie do męczarni. Była to niby twarz owych młodych dziewic Correggia, przykutych do słupa na stosie swego męczeństwa, i kureczących się w swych więzach żeby uniknąć wzroku kalającego ich wstydlivość. Niestety! to było męczeństwem także dla biednej Grazielli. Ale nie było to, jakby kto mógł wnosić widząc ją, męczeństwo próżności. Było to męczeństwo jej miłości.

Suknia młodej pensyonarki francuskiej, z klasztoru, w którą ubrano Graziellę, zrobiona bez wątpienia na szczupłą talję i chude ręce i ramiona klasztorного dziecka od lat trzynastu do czternastu, okazała się nader

ciasną dla figury udatnej, i dla ramion zaokrąglonych i mocno rozwiniętych; téj pięknej córy słońca i morza; suknia pękała wszędzie, na ramionach, na piersiach, w pasku, jak kora drzewa sykomory, co pęka na gałęziach przy mocném krążeniu soków wiosennych. Młode szwaczki nadaremno zapinały szpilkami tu i owdzie suknię i chusteczkę, natura rwała materję za każdym poruszeniem. W wielu miejscach, przez jedwabne rozporoki widać było nagość szyi albo ramion. Koszuła z grubego płótna wyzierała przez szpary sukni i chusteczki, i szorstkością swoją zostawała w sprzeczności z elegancją jedwabiu. Ręce źle trzymane, z powodu rękawów wąskich i krótkich, wydobywały się jak motyl różowy z gąsienicy którą rozdyma i rozpęka. Nogi jęj nawykłe być bez obuwia lub mieścić się w szerokich pantoflach greckich, wykręcały atlas trzewików, co się zdawały więzić ją we wstążkach obwiązanych jak sandały koło jęj kolan. Włosy źle ułożone i źle utrzymywane wieńcem koronek i sztucznych kwiatów, podnosiły jakby same przez się cały ten ubiór głowy i nadawały ładnej twarzy, którą nadaremno zeszpecił chciano tym sposobem, wyraz effronteryi w stroju i skromnego wstydu w fizyognomii, które stanowiły najosobliwszy i najpoważniejszy kontrast.

Kłopot wyrażał się w jęj zachowaniu się równie, jak w twarzy. Nie śmiała poruszyć się z obawy żeby kwiaty nie spadły z głowy, lub żeby nie pognieść ubrania. Nie mogła chodzić, tak obuwiu cisnęło jęj nogi i nadawało powabną niezgrabność jęj chodowi. Można by powiedzieć że to jest Ewa naiwna z owego morza słonecznego, złapana na piérwszem swém zalotnictwie.

NOTATKA XXXI.

Milczenie trwało przez chwilę w pokoju. Nareszcie, więcej zmartwiony niżeli zmieszany takim sprofanowaniem natury, zbliżyłem się ku nięj, robiąc ustami miłą trochę drwiącą, i patrząc na nią z lekkim wyrazem wyrzutu i łagodnego żartu, udając że z trudnością poznaję ją w takiej toalecie. „Jakto, rzekłem, to ty Graziello? Oh! któżby poznał piękną Procydankę w téj lalce paryżkiéj? No, mówiłem dalej trochę cierpko, czyliż nie wstydzisz się tak szpeci tego co Bóg stworzył tak ładnem w naturalnym kostiumie? Nadaremno sililibyś się, zawsze będziesz córą fal, strojną w promienie pięknego twego nieba. Trzeba się poddać temu, i Bogu za to dziękować. Te pióra ptaszka z klatki nigdy nie przypadną jaskółce morskiéj.”

Słowo to serce jęj przeszło. Nie zrozumiała jak namiętnie lubilem i kochałem jaskółkę morską. Sądziła iż jęj zapowiadam że nigdy nie będzie podobna do piękności mojego plemienia i mojego kraju. Myśliła że wszelkie usiłowania żeby być piękniejszą dla mnie, i żeby omylić oczy moje co do niskiego jęj stanu, na nic się nie zdadzą. Rozplakała się nagle, i siadając na łóżku, twarz rękami zasłoniwszy, prosiła dąsającym się tonem młode przyjaciółki żeby ją oswobodziły od tego szkaradnego ubioru.

— Wiedziałam dobrze, — rzekła ze łkaniem, — że jestem tylko biędną Procydanką. Ale myślałam, że zmieniając ubiór, nie zrobię cilyte wstydu kiedyś, gdybym ci

towarzyszyła do twego kraju. Widzę dobrze że zostać trzeba tém czém jestem i umrzeć tam gdzie się rodziłam. Ale nie powinienes być tego mi wyrzucać.

To rzekłszy, z gniewem zerwała kwiaty, strój głowy, chusteczkę, i ciskając daleko od siebie, deptała nogami łając je, podobnie jak babka deski od łodzi po rozbiciu się. Potém, rzuciwszy się ku mnie, zadmuchiła lampę w moim ręku żebym nie widział jój dłużej w ubiorze który mi się nie podobał.

Czułem że mi zawinił żartując z nią zbyt ostro, i że żarty były na serio. Przepraszałem ją. Mówilem że dlatego ją strofowałem, że tysiąc razy więcej jest zachwycająca w ubiorze Procydanki niżeli Francuzki. To była prawda. Ale cios był zadany. Nie słuchała mnie; płakała.

Przyjaciółki ją rozebrały; ujrzałem ją dopiero naza-jutrz. Znowu przywdziała ubiór wyspiarski. Ale oczy miała czerwone od całonocnego płaczu, który ten żart ją kosztował.

NOTATKA XXXII.

Około tegoż czasu zaczęła nie dowierzać listom które odbierałem z Francyi, podejrzewając że w tych listach odwołują mnie napowrót. Nie śmiała ich zatajać przedemną, tyle była pocziwą i niezdolną do oszukiwania nawet gdy szło o jój życie. Ale zatrzymywała je niekiedy dziewięć dni, i przypinała szpilką pozłacaną za obrazkiem Matki Boskiej wiszącym na ścianie przy jój łóżku.

Myslała że Bogarodzica, rozrzewniona mnogimi nowenami na intencję miłości naszej, cudownie zmieni treść listów, i rozkazy o powrót przekształci na wezwanie że bym został przy niej. Żadna z tych pobożnych małych zrad nie ukryła się przedemną, a wszystkie droższą ją czyniły dla mnie. Ale zbliżała się godzina.

NOTATKA XXXIII.

Jednego wieczora ostatnich dni maja mocno zapuka-no do drzwi. Cała familija spała. Poszedłem otworzyć. To był mój przyjaciel V...

„Przychodzę po ciebie, rzekł. Oto list twojej matki.
„Nie opieraj się. Konie zamówione na północ. Teraz
„jedenasta. Jedźmy, albo nigdy nie wyjedziesz. Matka
„twoja umarłaby. Wiesz ile twoja familija czyni ją od-
„powiedzialną za wszelkie twoje błędy. Tyle ona po-
„święcała się dla ciebie, poświęć się chwilę dla niej.
„Przysięgam ci że przyjadę z tobą przepędzić tutaj zi-
„mę i cały długi rok. Ale trzeba pokazać się familii i
„bydź posłusznym rozkazom matki!”

Czułem że jestem zgubiony.

„Czekaj tam na mnie, rzekłem.

Wróciłem do mego pokoiku, naprędce włożyłem odzież moje w tłóмок. Napisałem do Grazielli, powiedziałem jój wszystko cokolwiek czułość wyrazić zdoła sercem dwudziestoletniem, i wszystko cokolwiek rozum nakazać może synowi przywiązanemu do matki. Przysięgałem jój podobnie jak sam sobie przysięgałem że nim czwarty

miesiąc upłynie będę przy niej i prawie już jej nie opuszczę. Niepewność przyszłego losu naszego powierzam Opatrzności i miłości. Zostawiłem jej moję sakiewkę na wsparcie starych jej rodziców podczas mojej nieobecności. Zapieczętowaawszy list, zbliżyłem się pocichu. Ukłąkłem na progu jej izdebki. Całowałem kamienie i drzewo; wsunąłem podedrzwiami list do izdebki. Stłumiłem płacz wewnętrzny co mnie dusił.

Przyjaciel wziął mnie pod rękę, podniósł i poprowadził z sobą. W téj chwili Graziella, którą niezwykle gwar strwożył bez wątpienia, otworzyła drzwi. Księżyc oświecał tarras. Biedne dziecko poznało mego przyjaciela. Spozrzegła mój tłómak, który służący poniósł na plecach. Wyciągnęła ręce, krzyknęła z przestachu, i padła bez czucia.

Rzuciliśmy się ku niej. Odnieśliśmy ją bez przytomności na łóżko. Cała rodzina nadbiegła. Pryskali wodą na jej twarz. Wołali wszelkiemi głosami najmiłszymi dla niej. Wróciła do zmysłów tylko na mój głos.— Widzisz, rzekł przyjaciel, żyje, cios już zadany. Długie pożegnanie sprawiłoby tylko okropniejszą boleść.— Odjął zimne ręce młodej dziewczyny z mojej szyi i wyrwał mnie z domu. W godzinę potem, jechaliśmy w milczeniu i śród nocy drogą do Rzymu.

NOTATKA XXXIV.

Zostawiłem Grazielli kilka adressów w liście. Znalazłem pierwszy list od niej w Medyolanie. Pisała że do-

brze ma się na ciele, ale chora na serce; że wszakże ufa memu słowu i spokojnie czekać mnie będzie na miesiąc Listopad.

Przyjechawszy do Lyonu, znalazłem drugi, jeszcze weselszy i pełniejszy zaufania. W liście znajdowało się kilka listków czerwonego goździka rosnącego w glinianej doniczce na murze podpierającym tarras, blisko mego pokoiku, i z którego kwiatek zatykała w swoje włosy wniedziele. Czy to uczyniła ażeby mi przesłać rzecz której się dotknęła? Czy też była to czuła wymówka ukryta pod symbolem, żeby mi przypomnieć że włosy swoje poświęciła dla mnie?

Pisała że miała gorączkę; że serce ją boli, lecz że z każdym dniem lepiej; że ją wysłali dla odmiany powietrza i zupełnego wyzdrowienia do jednej kuzynki, siostry Cecho, do domu na Vomero, wzgórzu wyniosłem i zdrowem, panującym nad Neapolem.

Potem przez pięć miesięcy nie odebrałem żadnego listu. Codziennie myślałem o Grazielli. Miałem wyjechać do Włoch w początkach przyszłej zimy. Smutny i powabny jej obraz pokazywał mi się jak żal, niekiedy także jak czuły wyrzut. Byłem w tym wieku niewdzięcznym kiedy lekkomyślność i naśladownictwo obudzają fałszywy wstyd w młodym człowieku z najlepszych jego uczuć; wiek okrutny, w którym najpiękniejsze dary Boże, miłość niewinna, przywiązanie szczere, spadają na piasek i w kwiecie swoim przez wiatr światowy są unoszone. Zła i szyderska próżność moich przyjaciół walczyła częstokroć we mnie z przywiązaniem ukrytym i żyjącem w głębi mego serca. Nie umiałbym wyznać bez zarumie-

nienia i bez narażenia się na szyderstwo, jakie jest imię i stan przedmiotu moich żalów i smutku. Graziella nie poszła w niepamięć, ale osłonięta była w moim życiu. Ta miłość, co zachwyciła moje serce, upokarzała moje uczucia światowe. Wspomnienie o niej, które tylko wśród samotności pielęgnowałem w sobie, wśród świata ściałało mnie prawie jak wyrzut. Jakże rumienie się dzisiaj że rumieniłem się podówczas! Jeden z promieni radości albo jedna kropla łez z jej czystych oczu warte były więcej niżeli te wszystkie spojrzenia, te wszystkie umizgi i te wszystkie uśmiechy, którym gotów byłem poświęcić jej obraz! Ach! człowiek zbyt młody niezdolny jest kochać! Niezna wartości niczego! Poznaje szczęście prawdziwe wtedy dopiero gdy je utraci! Więcej jest soków płonnych i cienia przelotnego w młodych krzewach lasu; więcej jest ognia w starém sercu dęba.

Miłość prawdziwa jest dojrzałym owocem życia. — W dwudziestym roku, nie znają jej, tylko wyobrażają sobie. W roślinnej naturze, kiedy owoc przychodzi, liście opadają; może toż samo jest i w naturze ludzkiej. Często myślałem o tém kiedy liczyć zacząłem zbielałe włosy na mojej głowie. Wyrzucałem sobie że nie poznał podówczas ceny owego kwiatka miłości. Byłem tylko próżnością. Próżność jest najgłupszą i najokrutniejszą z wad, bo każe wstydzić się szczęścia!

NOTATKA XXXV.

Jednego wieczora, w pierwszych dniach Listopada, oddano mi za powrotem z balu list i pakiet, które podró-

żny przybywający z Neapolu przyniósł do mnie z poezty zmieniając konie w Mâcon. Nieznajomy podróżny powiódział, że mając do mnie ważne polecenie od swego przyjaciela, dyrektora fabryki koralów w Neapolu, wywiezuje się z tego polecenia mimojazdem; ale że ponieważ wiadomości które mi przywozi są smutne i żalobne, nie życzy widzieć się zemną; prosi tylko żebym przysłał mu do Paryża kwit z otrzymanej przesyłki.

Drżący otworzyłem pakiet. W pierwszej kopercie był ostatni list Grazielli, obejmujący tylko następne słowa:

„Lekarz powiedział że umrę najdalej za trzy dni.
„Chcę pożegnać się z tobą wprzód nim utracę siły. O!
„gdybyś ty był tutaj, żyłabym! Ale taka jest wola Boża!
„Mówić będę wkrótce i zawsze do ciebie z wysokości
„niebios. Kochaj duszę moją! Będzie ona z tobą przez
„całe życie. Zostawiłam ci włosy moje, ucięte jednej
„nocy dla ciebie. Poświęć je Bogu w której kaplicy
„swego kraju, iżby jakaś częśćka moja pozostała blisko
„ciebie!”

NOTATKA XXXVI.

Jak zabity, trzymając list i jej w ręku, przesiadziałem aż dzień zaświął. Wtedy dopiero miałem moc otworzyć drugą kopertę. Piękny jej warkocz znajdował się tutaj, taki, jak kiedy mi go pokazywała w nocy w chatce. Przypomieszały były jeszcze do niego liście z posłania owęj nocy. Wykonałem to co rozkazywała ostatnią wolą swoją. Cień

jęj śmierci rozpostarł się od tego dnia na mojej twarzy i nad moją młodością.

We dwanaście lat potem odwiedziłem Neapol, szukałem jej śladów. Nie było żadnego, ani na Margellinie, ani na wyspie Procida. Domek nad brzegiem morza poszedł w ruinę. Była to tylko kupa gruzów szarych nad składem gdzie pasterze zbierali kozy swoje w czasie deszczu. Czas prędko zaciera na ziemi, ale nigdy nie zaciera śladów pierwszej miłości w sercu, kędy ona przeszła.

Biedna *Graziello*! Wiele dni upłynęło od tego dnia. Kochałem, byłem kochany. Inne promienie piękności i przywiązania rozjaśniły posępną moją drogę. Inne dusze otwierały się dla mnie żeby mi objawić w sercu kobiet najtajemniejsze skarby piękności, świętości, czystości, jakie Bóg ożywił na ziemi, aby dać nam zrozumieć, przeczuć i pożądać Niebo. Ale nic nie zgładziło pierwszego widzenia w moim sercu. Im dłużej żyłem, tym bardziej zbliżałem się myślą do ciebie. Wspomnienie o tobie jest jak ów ogień na łodzi twego ojca, który odległość oczyszcza od wszelkiego dymu, i który tym jaśniej świeci im bardziej się oddala od nas. Nie wiem gdzie spoczywają twoje szczątki śmiertelne, ani też czy ktokolwiek oplakuje cię jeszcze w ziemi twojej; ale prawdziwy twój grób jest w duszy mojej. Tutaj jesteś zebrana i pochowana cała. Imię twoje nigdy mię nie uderza nadaremno. Lubię język którym było mówione. Zawsze w głębi mojego serca jest Iza gorąca, która spływa kropla po kropki, i spada tajemnie na pamięć o tobie, żeby ją odświeżyć i nabalsamować we mnie.

(1829)

NOTATKA XXXVII.

Pewnego dnia roku 1830, wszedłszy do kościoła w Paryżu, wieczorem, ujrzałem trumnę młodej dziewczyny okrytą białym całunem. Trumna ta przypomniła mi Graziellę. Stałem pod cieniem kolumny. Myślałem o Procydzie, i długo płakałem.

Łzy moje oschły. Ale chmura co przebiegła myśl moją podczas tego smutnego pogrzebu, nie rozpierzchnęła się. Milczący wróciłem do domu. Rozwijałem wspomnienia skreślone w tym długim ustępie, i napisałem jednym ciągiem pióra i płacząc wiersze pod tytułem *Pierwszy żal*. Jestto nota pierwszego uczucia na które wytrysnęło pierwsze źródło w moim sercu, osłabiona dwudziestą latami odległości. Ale czuć tu jeszcze można wzruszenie fibry wewnętrznej, co była zraniona i nigdy dobrze się nie zgoi.

Oto są te strofy, balsam na ranę, rosa serca, wół kwiatu pogrzebowego. Brakowało tu tylko imienia Grazielli. Zamieściłbym je w jednym wierszu, gdyby był na ziemi kryształ dość czysty na objęcie tej łzy, tego wspomnienia, tego imienia.

PIERWSZY ŻAL.

Na wdzięcznym pobrzeżu gdzie morze Sorrentu toczy błękitne fale u podnóża drzew pomarańczowych, leży, blisko ścieżki, pod wonnym ogrodzeniem, kamień

mały, wązki, obojętny dla roztargnionych stóp obcego człowieka.

Goździk tutaj zakrywa kwiatem swoim jedyne imię, imię którego żadne echo nie powtórzyło nigdy! Niekiedy wszakże przechodzień zatrzymawszy się odgarnie trawę, a czytając lata i datę, i czując w oczach swoich kilka łez, powie: „Miała lat szesnaście! to zawcześnie umierać!”

Ale pocóż mam się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą. Wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać, nie zaś płakać!

Mówi: „Miała lat szesnaście!”, — Tak, lat szesnaście, i ten wiek nigdy niejaśniał na czole powabniejszém. I nigdy cały blask tego palącego pobraża nie odbił się w oku bardziej kochającém! Ja tylko jeden ją widzę, taką, jaką myśl w duszy gdzie nie umiera, zostawiła ją żyjącą, żyjącą! jak w owę godzinę kiedy mając oczy utkwione we mnie, przedłużając nad morzem pierwsze nasze rozinowy, puściwszy czarne włosy na wiatr co je rozplątywał, i gdy cień zasłony błakał się po jej jagodach, słuchała śpiewu rybaka nocnego, wciągała w siebie świeżość balsamicznego wietrzyka, pokazywała mi na niebie księżyc wypogodzony, jak kwiat nocny którym świt weseli się, i srebrzystą pianę, i mówiła do mnie: „Czemuż wszystko tak jaśnieje w powietrzu i we mnie? Nigdy te pola lazurowe zasiane tyłu płomieniami, nigdy te piaski złociste przy których konają te fale, te góry których szczyty drgają w głębi niebios, te zatoki uwieńczo-

ne milczącym lasem na pobrażu, i te śpiewy na falach, nie wzruszały mych zmysłów rokoszą tak nieokreśloną! Czemu, jak dzisiejszego wieczora, nigdy tak nie marzyłam? Czyliż i w sereu mojem także gwiazda weszła? A ty, synu poranka, powiedz, czy tym nocom tak pięknym, były nocy twego kraju podobne bezemnie? Potem, spojrzawszy na matkę, siedzącą przy nas, kładła na jej kolana czoło swe żeby usnąć.

Ale pocóż mam się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą: Wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać, nie zaś płakać!

Jakże jej oko było czyste, a usta niewinne! Jakże jej oko oblewało mój wzrok jasnością! Śliczne jezioro Nemi, którego żaden powiew nie marszczy, mniej jest przezroczyste i kryształowe! W tej duszy, wprzód nim ona sama, widać było jej myśli; nigdy powieki, na pięknych jej oczach spuszczone, nie zakrywały jej wzroku napelnionego niewinnością; żadna troska nie zostawiła śladu na jej czole; wszystko było wesołym w niej; i młody uśmiech, co później na ustach wraz ze smutkiem zamiera, zawsze przebiegał pół otwarte jej usta, jak czysta tęcza na jasném niebie! Żaden cień nie zasępiał tej zachwycającej twarzy, ten promień żadnej nie przebył chmury! Krok jej niedbały, niepewny, chwiejący się, pływał jak fala swobodna, na której dzień się kołysze. Lub biegła żeby biegać: a srebrzysty jej głos, czyste i słodkie echo dziecięcej jej duszy, muzyka owę duszy gdzie wszystko zdawało się że śpiewa, rozweselał nawet powietrze w którym się podnosił!

Ale pocóż mam się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą; wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać, nie zaś płakać!

Obraz mój pierwszy wyryl się w jęj sercu, jak światełko woku które otwiera się zrana; od chwili gdy poczęła kochać, świat cały był miłością! Zlewała mnie w jedno ze swoim życiem, widziała wszystko w duszy mojej, i ja byłem częścią tego świata zaczarowanego co pływał pod jęj oczyma, szczęścia ziemskiego i nadziei niebieskiej. Nie myślała już o czasie, o odległości; godzina obecna pochłaniała całe jęj istnienie; przedemną to życie było bez wspomnień; jeden wieczór tych pięknych dni był całą przyszłością! Powierzała się miłej naturze co się uśmiechała nad nami, czystej modlitwie co się podnosiła z serca pełnego radości nie zaś leż, do ołtarza, który lubiła zaścielać swemi kwiatami: i ręka jęj ciągnęła mnie do stopni świątyni, i jak pokorne dziecko, szedłem za jęj przykładem, i głos jęj mówił do mnie pocichu: „Módl się zemną! gdyż nieba nawet nie rozumie bez ciebie!”

Ale pocóż mam się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą; wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać, nie zaś płakać!

Spojrzyjcie na wody źródła żywego, zaokrąglające się jak jezioro w ciasnych brzegach, błękitne i jasne, bezpieczne od wiatru co ma przebiec i od palącego promienia co mógłby je wysuszyć! Łabędź białe, pływając po przezroczystym kryształ, zanurzając swą szyję któ-

ra owija fala, upiększa nie przyciemnia to płynne zwierciadło, i kołysze się tutaj pośród gwiazd wieczora; ale kiedy, kierując lot swój ku innym źródłom, uderzy drżącą falę wilgotnemi skrzydłami, niebo zaciera się w łonie wody ciemniejącej, pierze gęsto spadają i przypruszą ją wodę: jak gdyby sęp, wróg jego rodu, nakreślił na falach ślad jego śmierci; a świetny lazur zaczarowanego jeziora już tylko jest ciemną wodą, na którą piasek się podniósł.

Podobnie, kiedym odjechał, wszystko w tej duszy za drżało: zgasł promień, a konający jego płomyk podniósł się ku niebu żeby nie wrócić już więcej. Nie czekała na przyszłość powtórna; nie gasła miotana to wątpliwością, to nadzieją, i nie walczyła o swe życie z cierpieniem; jednym pociągiem wypila kielich boleści; w pierwszej łzie utopila swe serce! I podobna do ptaszka, mniej czystego i mniej pięknego niż ona, który wieczorem, żeby usnąć, chowa główkę pod skrzydło, otuliła się niemą rozpaczą, i usnęła także, ale długo przed wieczorem!

Lecz pocóż się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą; wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać, nie zaś płakać!

Spała ona lat piętnaście na glinianej pościeli, i nikt już nie płacze nad ostatnim jęj przytulkiem, i szybkie zapomnienie, drugi całun umarłych, pokryło ścieżkę wiodącą ku tym brzegom; nikt już nie odwiedza tego zartatego kamienia, nikt o nim nie myśli, i nikt tam się nie modli!... wyjąwszy moją myśl, kiedy wspomnę moje

dni upłynione, i zapytuję serca mego o wszystkich, których już nie ma, i kiedy blakając się oczyma po ukochanych śladach, oplakuje tyle zgasłych gwiazd na mojem niebie! Ona była pierwszą, i łagodny jój blask, po bożnem i czulém Światłem oświeca jeszcze me serce!

Ale pocóż się zwracać ku tym dziejom minionym? Niechaj wiatr jęczy i fale szemrzą; wróćcie, wróćcie, o smutne myśli moje! Chcę dumać nie zaś płakać!

Krzew kolezaty, o bladę zieloności, jedynym jest pomnikiem jaki jój wzniosła natura; potrącany wiatrem morskim, palony od słońca, jak żal grobowy wkorzeniony w serce, żyje w skale niedając jój cienia; kurzawa z drogi bieli jego liście; czołga się blisko ziemi, gdzie pochylone jego gałęzie zęb koźłat ogryza zawsze. Kwiat, na wiosnę, jak gwiazdka śniegu, zabłyśnie tu dzień jeden lub dwa; ale wiatrem uderzany, wprzód traci listki niżeli rozlał woń swoją, jak życie, wprzód niż rozweseliło serce! Ptaszek czulości i melancholii siada tu zanucić na wietkięj gałązce! O kwiatku, tak wczesnie zwarzony przez życie, powiedz, czy jest ziemia gdzie wszystko zakwitnie na nowo?

Wracajcie, wracajcie, do tych godzin upłynionych! Smutne wasze wspomnienia wzdychać mi pomagają! Idźcie gdzie dusza moja idzie! idźcie, o myśli moje! Serce mam przepelnione, chcę płakać!..

Tak pokutowałem temi łzami pisanemi za twardość i niewdzięczność dziewiętnastoletniego mego serca. Nigdy odczytać nie mogę tych wierszy żebym nie uwielbiał

świeżego obrazu, który wiecznie przelewać będą dla mnie przezroczyste i jęczące fale Neapolitańskiej zatoki, i żebym nie nienawdził sam siebie. Ale dusze przebaczą z wysokości. Jój dusza mnie przebaczyła. Przebaczcie także i wy !!! Płakałem.

KSIEGA XII.

NOTATKA I.

W r. 1814-m wstąpiłem do gwardyi przybocznej króla Ludwika XVIII-go, podobnie jak wszyscy młodzi ludzie mojego wieku, których familie przywiązane były wspomnieniami do dawniej monarchii. Należałem do tej gwardyi, która iść miała przeciw Bonapartemu do Nevers, potem do Fontainebleau, potem nareszcie bronić Paryża razem z gwardją narodową i młodzieżą szkolną, zaciągniętymi dobrowolnie i jedynie przez entuzjazm przeciw wtargnięciu żołnierzy z wyspy Elby. Niegodnie wykrzywiają historję od lat piętnastu co do tego jakoby tryumfalnego powrotu Bonapartego do Paryża przy oklaskach Francyi. Jestto kłamstwo powszechnie przyjęte, które niemniej wszakże jest grubym kłamstwem.

Prawdą zaś jest, że Francya, zdumiona i przerażona, zdobytą została przez jedno ze wspomnień sławy, które trwożyły naród, i że bynajmniej nie powstała przez miłość i fanatyzm dla cesarstwa. Taki fanatyzm podówczas istniał jedynie w wojsku, i to w niższych stopniach armii. Francyi sprzykrzyło się walczyć za jednego człowieka; powitała w Ludwiku XVIII, nie króla kontrrewolucyi, ale króla konstytucyi liberalnej. Wszelki bieg przerwany rewolucyi 1789 roku, rozpoczynał się dla nas na nowo od upadku cesarstwa.

Cała Francya, Francya myśląca, nie zaś Francya wrzeszcząca, czuła doskonale, że powrót Bonapartego sprowadzał powrót zarządu wojskowego i tyranii. Przełękła się tego. Dzień 20-ty marca był spiskiem wojskowym, nie zaś narodowem poruszeniem. Pierwszemu uczuciem ludu było powstanie przeciwko zuchwałości tego człowieka, co ciężył nad nim ciężarem bohatera. Gdyby we Francyi nie było wojska organizowanego dla pośpieszenia pod orły swego cesarza, nigdyby cesarz nie doszedł do Paryża. Wojsko porwało naród, zapomniało o swobodzie dla jednego człowieka; oto prawda. Człowiek ten był wielkim wodzem; człowiek ten lat piętnaście był jego naczelnikiem; człowiek ten był w oczach jego sławą i szczęściem; oto jest wymówka dla wojska, jeżeli wymówka przypuszczoną być może. Wtedy pierwszy raz w życiu uczułem w duszy mojej głębokie zniechęcenie ku ludziom. Widziałem w odległości ośmiu dni Francję gotową powstać jak jeden człowiek przeciw Bonapartemu, i drugą Francję czołem bijącą u nóg Bonapartego. Wiedziałem, że poddanie się

nie było dobrowolne i że bicie czołem nie było szczere; zrozumiałem, że największe narody nie zawsze są bohaterskimi, i że ludy także przechodzą pod jarzmo. Od tego dnia zwątpilem o wszechwładztwie opinii, i uwierzyłem *plus quod decet* w potęgę bagnetów. To było pierwsze moje rozumowanie polityczne. Dzień 20-ty marca i zmienność narodu uginającego się przed kilku pulkami, zostały u mnie jako ciężar na sercu. Historia przestroiliła służalstwo w fałszywy entuzjazm. Ale jest historia prawdziwsza od tej, którą piszą żeby pochlebić swemu wiekowi; ta innym przemówi językiem niżeli kadzielnicy wielkiego ludu i wielkiego żołnierza. Cesarstwo czeka na swego Tacyta, i prawda zostanie pomszczona. Tymczasem niech sobie kłamią w pokoju, i ta historia bez sumienia, i ci Tacytowie sztabu i koszar, co trzymają się armii jak się trzymało dworu, co wykrzywiają sąd ludu, usprawiedliwiają zawsze fortunę, uwielbiając zawsze oręż

NOTATKA II.

Opuściliśmy Paryż w nocy poprzedzającej wejście Bonapartego do Paryża. Zostawiliśmy stolicę wzburzoną. Na wszystkich ulicach, na wszystkich bulwarach, na wszystkich przedmieściach, we wszystkich miasteczkach przez które przechodziliśmy, lud cisnął się koło nas, żeby nas okrywać błogosławieństwami i życzeniami. Obywatele wychodzili z domów swoich i podawali nam płacząc chleb i wino. Ściskali ręce nasze: zlorzeczyli

pretoryanom, którzy obalili instytucje i pokój, tylko co odzyskane. Oto co widziałem i słyszałem od placu Ludwika XV, skąd wyszliśmy, aż do granicy belgijskiej.

I nie tylko sami rojaliści, stronnicy domu Burbonów, tak przemawiali, ale nadewszystko liberaliści, przyjaciele rewolucji i swobody.

Śród takich powszechnych zlorzeczeń i lez, przybyliśmy aż do Béthune, warownego miasteczka przy naszej granicy północnej, o dwie mile od Belgii. Marszałek Marmont dowodził nami. Hrabia Artois i książę Berry jego syn, towarzyszyli nam. Król rozstał się z nami w Arras i udał się do Lille. Kilka godzin tylko przepędził w Lille, gdzie usposobienie załogi bezpieczeństwu jego zagrozało. Schronił się do Belgii.

Na tę wiadomość, hrabia Artois, marszałek Marmont i grenadyery konni gwardyi królewskiej, opuścili Béthune, żeby towarzyszyć królowi za granice Francji. Kilka kompanij gwardyi przybocznej, ulanów i muszkietierów, zostało w mieście dla obrony. Wieczorem zgromadzono nas na placu broni; przeczytano proklamacye książąt, którzy dziękowali nam za wierność naszą, żegnali się z nami i oświadczały, że rozwiązani teraz od przysięgi wykonanej dla nich, możemy wracać na łono rodzin naszych, lub towarzyszyć królowi na obcą ziemię.

Ze wszech stron kupiły się grupy przy tém czytaniu. Naradzaliśmy się co nam wypada najchlubniej i najpatriotyczniej przedsięwziąć w podobnym opuszczeniu. Jedni radzili towarzyszyć królowi, drudzy powracać w szeregi narodu i czekać tam sposobności służenia

użytecznie naszej sprawie, którą zdradziła fortuna, ale nie prawo. Najnamiętniejsze i najlichniesze głosy wnosily, żeby zanieść chorągiew naszą do Belgii i przywiązać naszą fortunę do stóp króla, którego bronić przysięgliśmy. Mówili z ogniem i z tęp krasomówstwem wojennym, na które chorągiew się rozpuszcza, i gdzie słowom towarzyszy gest i szcęk palasza. Pierwszy wtedy raz mówiłem publicznie. Lubiony od wielu moich kolegów, i zaszczycony, pomimo bardzo młodego wieku mego, pewną powagą między nimi, stanąłem, na prośbę kilku przyjaciół, na wozie, gdzie była nasza broń, i odpowiedziałem muszkieterowi który silnie i świetnie wzruszył umysły odzywając się na korzyść emigracji.

Byłem równie nieprzyjacielem Bonapartego i równie przywiązany do restauracji liberalnej jak ktokolwiek bądź w naszej armii; ale pochodziłem z rodziny która się nigdy nie odrywała od kraju i wierzyła w prawa ojczyzny, jak przodkowie nasi wierzyli w prawa tronu. Ojciec mój i stryjowie należeli do tego pokolenia szlachty francuskiej, co żyła na prowincyi i w obozach, zdala od dworu, brzydziła się nadużyciami, pogardzała zepsuciem, była przyjaciółmi Mirabeau i pierwszych konstytucjonistów, nieprzyjaciółmi zbrodni rewolucyi, stałymi i umiarkowanymi stronnikami swoich zasad. Żaden z nich nie emigrował. *Coblentz* uważali za niedorzeczność i błąd. Woleli rolę ofiar rewolucyi, niżeli rolę pomocników nieprzyjaciół swego kraju. Wychowany byłem w takich wyobrażeniach; płynęły one w żyłach moich; polityka znajduje się we krwi.

Wyraziłem te zasady ze szczerością i energią. Poparłem je kilku śmiałymi uwagami, mogącemi zrobić wrażenie na umysłach trzymanyh w zawieszeniu.

Mówiłem, że sprawa swobody i sprawa Burbonów szczęśliwie połączone są we Francyi, odkąd Ludwik XVIII nadał Francyi rząd reprezentacyjny; że nasza moc zależy na szczérém sprzymierzeniu się z liberalistami i republikanami; że ta sama nienawiść ożywia nas przeciw Bonapartemu; że przywłaszczyciel wielkich praw ludu nie może odtąd rządzić, nienadawszy cienia ustawy liberalnej narodowi; że ta ustawa koniecznie przypuścić musi wolność mówienia i wolność druku; że jeżeli republikanie i rojaliści zjednoczeni używać będą razem i spólnie tego oręża opinii przeciw Bonapartemu, krótkie będzie jego panowanie i upadek nieodczowny; lecz jeżeli rojaliści będą emigrować i wydadzą republikanów wojsku, wszelki opór tyranii szybko będzie stłumiony, albo we krwi liberalistów, albo w więzieniach stanu; że liberaliści są nieprzyjaciółmi emigracji; że skłonni wejść dzisiaj w przymierze z nami na polu swobód konstytucyjnych i restauracji 1789 roku, odłączają się natychmiast, skoro nas zobaczą na obcej ziemi i pod inną chorągwią, niżeli niepodległości kraju; że zatem powinności nasze względem ojczyzny, powinności względem rodzin naszych, równie jak zdrowa polityka i wierność użyteczna, zabraniają nam towarzyszyć królowi za granicę; że droga, którąśmy odbyli dotąd towarzysząc mu, była drogą karności i wierności, która honorowy tylko zostawi ślad w życiu naszym, lecz jeden krok więcej, wynarodowi nas, i zostawi nam tylko

żał, a może z czasem i zgryzotę sumienia; dlatego więc ja nie przejdę granicy, i nie chcąc ganić przeciwnego sposobu myślenia kolegów moich, wzywam tych co myślą jak ja, żeby stanęli z mojej strony.

Słowa te sprawiły żywe wrażenie i ogół oświadczył się przeciw emigracyi. Ci co trwali w zamiarze tarzyszenia książętom, wsiedli na koń i opuścili miasto. Zamknęliśmy się w Béthune, już opasanym przez wojska które cesarz przysłał z Paryża na obserwacyą odwrotu króla. Zniewoleni, z powodu nieobecności naczelników i braku dowództwa, dowodzić sobą samymi, postawiliśmy nieliczną straż przy głównych bramach i odbywaliśmy patrole we dnie i w nocy na walach. Trzy dni i trzy noce przepędziłem w kordegardzie przy bramie Lillskiej, z zacnym przyjacielem, nazwiskiem Vaugelas, co się odznaczył później w sądownictwie i w polityce. Czwartego dnia kapitulowaliśmy. Rozpuszczeni przez króla, zostaliśmy rozpuszczeni na nowo przez generała bonapartystowskiego, który wszedł do Béthune. Pozwolono nam wracać pojedynczo do rodzin naszych. Zabroniono tylko wstępu do Paryża.

Wszelako wróciłem tam, przebrany po cywilnemu, w kabryolecie, który mi przysłano do Saint-Denis. Przepędziłem w Paryżu kilka dni, żeby wybadać ducha publicznego, i sądzić własnymi oczyma o usposobieniu młodzieży i ludu. Widziałem cesarza odbywającego przegląd na placu Karuzelu. Należało patrzeć przez szkiełko sławy i illuzyi fanatyzmu, żeby widzieć w jego osobie, w owój epoce, ideał piękności umyslowej i królewskości wrodzonej, którym marmur i bronz

pochlebiali później jego obrazowi, żeby nas zniewolić do składania mu holdu. Głowę miał wciśniętą między ramiona. Széroke i śniade policzki zwisały nad wązki kołnierz munduru. Cere żółtą, jak pomarańczą, oblewał znój trosk. Czoło marszczyła trudność obecnego położenia. Oko zapadłe i niespokojne poglądało z niespokojnością na wojsko i lud. Piękne i kształtnie modelowane usta mechanicznie uśmiechały się do tłumu, kiedy myśl jego widocznie była gdzieś indziej. Pewny rodzaj powątpiewania i wahania się zdradzał się we wszelkich jego ruchach. Widać było, że ziemia nie była trwałą pod jego nogami, i że nie dowierzał na tromie swojej fortunie. Nie wiedział dobrze, czy wejście jego do Paryża jest tryumfem, czy też zasadzką jego gwiazdy. Wojsko przeciągając przed nim, krzyczało: *Niech żyje cesarz!* tonem wewnętrznej rozpacz. Lud z przedmieść też same wydawał okrzyki, ale tonem raczej pogroźki niżeli entuzjazmu. Widzowie milczeli i zamieniali się słowami wyrzeczonymi cichym głosem i wzrokiem porozumienia się. Łacno widać było, że nienawiść czatowała i szpiegowała upadek, śród okazałości jego siły i tryumfu. Policja wybadywała wszystkie fizynomije. Okrzyki swobody mieszały się do okrzyków pochlebstwa i służalstwa. Podobniejsze to było do cesarza i sceny z cesarstwa bizantyńskiego, niżeli do bohatera Egiptu i konsulatu. Mścił się dzień 18-ty brumaira.

Opuściłem Paryż, tego wielkiego i bohaterckiego podżegacza rewolucyi, z całą moją energiją i z przeczuciem przyszłych wypadków.

NOTATKA III.

Gdy powróciłem na łono rodziny, dekreta cesarskie o nowych zaciągach do wojska następowały po sobie i zakłóciły spokójność mojego ojca. Trzeba było albo wejść w szeregi młodych żołnierzy powołanych do armii, lub kupić zastępcę za mnie do służby cesarstwa. Nie chciałem ani jednego, ani drugiego. Oświadczyłem ojcu mojemu, że wolę być rozstrzelanym z rozkazu Bonapartego, niżeli oddać kroplę krwi mojej, albo krwi kogo innego, na służbę i utrzymanie tego, co nazywałem tyranią. Czułem, że takie postanowienie, głośno i śmiało ogłoszone przez syna, mogłoby narazić ojca na odpowiedzialność, i przedsięwziąłem oddalić się.

Szwajcarya była neutralną. Wziąłem kilkanaście ludziorów z sakiewki matki, i wyjechałem w nocy, bez pasportu, w góry Alpejskie.

NOTATKA IV.

Dział mój posiadał niegdyś wielkie dobra w Franche-Comté, między Saint-Cloude a granicą krainy Vaud. Dobra te nie należały już do nas, ale pokupowali je oficyaliści naszej familii, którym nazwisko moje obcembym nie było. Dośtałem się, niebędąc przytrzymanym, aż do ich siedziby, u podnóża lasów jodlowych, przytykających do dwóch krajów: Szwajcaryi i Francyi. Przyjęli mnie

jak wnuka dawnego właściciela tych lasów. Przechowali mnie u siebie. Zostawiłem tu mój ubiór miejski. Wziąłem od jednego z synów gospodarza kaftan płocienny, jaki noszą kmiecie w Comté, i ze strzelbą na plecach, przeszedłem do Szwajcaryi przez wedety i celników, którzy wzięli mnie za strzelca z okolie. Stanąwszy na szczycie góry Saint-Cergue, z kądem wzrok ogarnia jezioro Genewskie i otaczające je pasmo gór olbrzymich, z entuzjazmem ucałowałem tę ziemię. Przypomniałem sobie, że przed czterema laty, jadąc z Medolanu do Lausanny, doświadczyłem takiegoż entuzjazmu, gdy przeczytał napis na kamiennym słupie z herbem, przy drodze, między Villeneuve i Vevay.

Starzec z Lausanny, jadący razem ze mną, świadek wrażenia jakie obudził w duszy mojej ten symbol instytucyj republikańskich wśród uciemnienia cesarstwa, prosił, żebym wstąpił do jego domu, i zatrzymał mnie, chociaż nieznajomego, kilka dni na łonie swojej rodziny. Ludzie poznają się po uczuciach, tyle ile po nazwiskach. Wyobrażenia szlachetne są węzłem pokrewieństwa między obcemi.

NOTATKA V.

Nie miałem ani listów, ani kredytu, ani rekomendacyi, ani papierów, któreby otworzyły mi mogły wstęp, chociażby do jednego domu w Szwajcaryi. Policja federalna wziąć mnie mogła za jednego z licznych szpiegów, których cesarz wysyłał do kantonów, dla podbu-

zenia opinii na jego korzyść i zrewolucjonowania kraju przeciw słabym resztkom arystokracji Berneńskiej. Omackiem szukać trzeba było famili, któraby mnie wzięła na swą odpowiedzialność. Wszedłem w Saint-Cergue do domu jednego z przewodników, co górnymi ścieżkami przeprowadzają cudzoziemców z Francyi do Szwajcaryi. Prosiłem go o gościnność na noc. W czasie rozmowy, po wieczery, wypytywałem się tego człowieka, jakie są znaczniejsze familije w krainie Vaud, z którymi miał stosunki, i gdzie najczęściej wodził podróżnych. Wymienił mi panią de Staël, której liczni i dostojni przyjaciele często znajdowali przytułek u niego, idąc i wracając przez granicę. Wiadomo, że Coppet było schronieniem wszystkich przyjaciół swobody, którzy od lat dziesięciu mieli za protektora tylko geniusz kobiety. Wymienił także barona de Vincę, niegdys wyższego oficera szwajcarskiego w służbie francuzkiej. Pokazał mi jego zamek bielejący o kilka mil, u podnóża gór. Wskazał drogę, i postanowiłem tam udać się.

NOTATKA VI.

Nazajutrz, o świcie, poszedłem ku jezioru od strony Nyons. Był to w miesiącu maju; niebo było jasne, wody jeziora błyszczące, i tu i owdzie centkowane kilku żaglami białemi. Cień gór malował się tutaj od strony Meileraie, ze swemi skalami, lasami i śniegiem. Upajałem się temi widokami górzystymi, które tylko przelotem wi-

działem pierwszy raz przed kilku laty. Zatrzymywałem się na każdym zakręcie drogi, siadałem nad każdym źródłem, pod cieniem najpiękniejszych kasztanów, żeby wcielić w siebie, oczyma, iż tak rzekę, tę wspaniałą naturę. Wahałem się przytém mimowolnie z przedstawieniem się w zamku Vincę. Rad byłem opóźnieniu odwiedzin, które mię w kłopot wprawiały.

NOTATKA VII.

Nareszcie stanąłem u kraty zamkowej; było już po południu. Zapytałem z nieśmiałością, którą źle cechowała udana pewność siebie, czy pan baron de Vincę w domu. Odpowiedziano że jest, i wprowadzono mnie. Pomimo mego kaftana kmieciego, twarz moja w takiej sprzeczności była z ubiorem, że pan de Vincę prosił mnie siedzieć i zapytał grzecznie, co mię sprowadza. Powiedziałem mu; słuchał mię z dobrocią, zapytał się potem o kilka szczegółów żeby się przekonać iż nie jestem awanturnikiem, zdawał się być zadowolonym, napisał list do jednego urzędnika w Bern i wręczył mi go. Wyszedłem, czule mu wynurzając moję wdzięczność.

W chwili, kiedy żegnałem się z nim na ganku, dwie kobiety schodziły ze wschodów i pokazały się w przy-sionku.

Jedną z nich była baronowa de Vincę. Kobięta lat czterdziestu, wysoka, postawy majestatycznej, twarzy łagodnej i spokojnej, obleczonęj smutkiem, jak rysy posą-

gów starożytnych Nioby. Drugą była młoda panienka lat piętnastu lub szesnastu, daleko niższa od matki, i której dumająca fizyonomija wykazywała roślinę północną, rosnącą pod cieniem klimatu zimnego, i może także jakiegoś domowego smutku. Dwie damy zatrzymały się, żeby posłuchać, przechodząc, ostatnich słów rozmowy mojej z panem de Vincy. Patrzyły na mnie z uwagą, połączoną z dobrocią, i zatrzymały się czas niejaki na ganku, gdym odchodził. Widać było niepewność i żal w ich postawie.

Oddaliłem się od zamku i byłem już we wsi, kiedy lokaj dogonił mnie i prosił imieniem pani de Vincy żebym się wrócił. Poszedłem za nim. Zastalem familiję składającą się z pana de Vincy, jego żony, i syna dziecięcio-lub dwunasto-letniego, którzy czekali mnie na ganku.—„Żal nas ogarnął,—rzekła do mnie głosem czułym i zupełnie macierzyńskim pani de Vincy;—lękaliśmy się żebyś obcy w naszych górach i zużony długą drogą pieszo, nie znalazł we wsi oberży, gdziebyś mógł posilić się i wypocząć. Prosimy, żebyś odetchnął w domu naszym, i chciał zjeść obiad z nami. Siadajmy do stołu. Będziesz miał dość jeszcze czasu stanąć w Roll wieczorem.“ Wymawiałem się czas niejaki ubiorem moim, nieodpowiednim do zabrania miejsca u stołu. Nalegali, usłuchałem.

Podczas obiadu skromnego i prostego, w sali, gdzie wszystko świadczyło o zgasłym przepychu podupadłego domu, pan i pani de Vincy rozmawiali ze mną w taki sposób, żeby się przekonać, iż rzeczywiście jestem tym kim mówiłem. Nazwisko mojego domu nie było im

znane; ale w Paryżu widywałem się z wielu osobami im znajomemi. Szczegóły, jakie o tych osobach udzieliłem w ciągu rozmowy, przekonać mogły, że w dobrém żyłem towarzystwie. Instynktowa moja nienawiść ku Bonapartemu także przemawiała na moją korzyść. Przy końcu obiadu, widziałem, że nie pozostało żadne względem mnie uprzedzenie. Szczerość mojego wzroku, otwartość mego czoła, prostota mych odpowiedzi, pomagały zapewne do przekonania. Po obiedzie, podziękowałem pani de Vincy, wziąłem kij i chciałem odejść. Damy oświadczyły się że chcą mnie przeprowadzić spacerem aż na drogę do Roll. Przeszły razem ze mną koło pół mili przez winnice i las. Zmierzchać zaczynało, pożegnaliśmy się.

Lecz zaledwo kilka zrobiłem kroków znowu mnie zawołano. Wróciłem: „No, rzekła pani de Vincy, nie „trzeba już dłużej wystawiać cię na próbę i nam mar- „twić się, narażając cię tym sposobem na przypadki, „samego jednego i w kraju obcym Interesujesz nas; zda- „je się że nie przykro ci z nami; nie rozstawajmy się „z sobą. Myślą zabieram miejsce twojej matki. Ja sa- „ma mam syna twojego wieku który walczy obecnie „w szeregach armii hollenderskiej, i może teraz ranio- „ny, wzięty w niewolę, tuła się jak ty; zdaje mi się „że dając ci przytułek, tym sposobem gotuję przytułek „w innym domu dla niego samego. Wracaj z nami. „Jesteśmy podupadli i stół nasz skromny, ale się nie ru- „mieniny z tego. Jeden gość więcej nie przynosi nie- „szczęścia ubogiemu domowi. Poprzestaniesz na tém,

„i zatrzymasz się u nas, dopóki wypadki w Europie nie rozwiną się, i nie rozjaśni się za naszymi górami.“

Głęboko się rozrzewniłem taką dobrocią. Wróciłem do zamku, jak gdybym należał do rodziny. Dano mi pokój na górze, z kądem był widok na jezioro; dano mi też książki dla zajęcia mego czasu. Po kilku dniach pani i panna de Vincy nie zwracały uwagi na mnie. Byłem jak syn jednej, jak brat drugiej. Towarzyszyłem im co wieczór na długie przechadzki pieszo po górach, lub czółnem po jeziorze. Posłałem do Genewy kupić odzież i trochę bielizny. Zaznajomili mnie z kilku przyjaciółmi domu w sąsiedztwie. Ponieważ widziały mnie często piszącego piórem lub ołówkiem, prosiły żebym się zwierzył im ze swoich dumań. Przeczytałem im ode do wolności Europy i kilka strof o Alpach, które zdawały się im wyższymi nad wyobrażenie, jakie bezwątplenie powzięły o talentach tak młodego gościa. Prosiły żebym odczytał je panu de Vincy, który uściślał mnie z rozrzewnieniem na wyrażenia o niepodległości jego ojczyzny, i złorzeczenia przeciw tyranii cesarstwa. Nie chciał wierzyć, żeby to były moje wiersze. Żeby go przekonać, musiałem napisać kilka strof więcej w jego oczach, i podług myśli przez niego podanej.

Od tego dnia pomnożyło się jeszcze bardziej pobożanie tej szlachetnej rodziny, ale nie jej dobroć. Przyjęła mnie ona dla mnie, lecz nie dla słabych moich talentów. Żyłem kochany i szczęśliwy w tym domu patryarchalnym, gdzie pobożność, życie ubogie i miłość moich gospodarzy przypominały mi dom matki mojej. Przepędzaliśmy wieczory na długim i szerokim tarasie, rozciągającym

się u stóp zamku, z którego widać jezioro; rozmawialiśmy o wypadkach owoczesnych, i przypatrywaliśmy się cichym i okazałym scenom, kiedy księżyc rzuca swój blask na wody i śniegi.

NOTATKA VIII.

Widać stąd było wierzchołki drzew parku i dachy pawilonów zamku Coppet, w którym gościł naówczas pod postacią kobiety, geniusz, co najwięcej młodość moją zachwycił.—„Ponieważ tak się zajmujesz kształceniem swego umysłu, rzekła mi jednego wieczora pani de Vincy, musisz być wielbicielem sąsiadki naszej, pani de Stael.“—Wyznałem z ogniem namiętność moją dla autorki *Korynny*. Spostrzegłem, że wzruszenie mojej duszy i entuzjazm mego uwielbienia wywołały pogardliwe skrzywienie się ust pana de Vincy i były trochę przykre dla jego żony.—„Chciałabym zaprowadzić cię do twojej heroiny, rzekła; znam dobrze panią de Stael. Lubię jej charakter. Oddaję sprawiedliwość jej dobroci i dobroczynności. Ale nie widzimy się z nią. Rozdzielają nas opinie nasze. Ona jest córką rewolucji jako córka pana Neckera. My się trzymamy wyznania przeszłości. Nie możemy zgodzić się więcej z sobą, jak demokracja z arystokracją. Chociaż obecnie jednoczy nas spólna nienawiść przeciw Bonapartemu, nie powinniśmy widywać się z sobą, bo ta nienawiść nie ma jednostajnej zasady. Brzydzimy się w nim rewolucją co nas straciła z naszego stopnia

„i z naszej władzy w Bern. Ona brzydzi się w nim „kontr-rewolucją. Nie zgadzamy się z sobą. Co do „ciebie, inna rzecz. Pani de Stael jest głową neutral- „ną, jaśniejącą nad wszelkimi stronnictwami, i która „urok rzuca na serca dwódziestoletnie. Musisz pragnąć „ją widzieć. Wszelako byłoby nam dosyć przykro, gdy- „byś u niej bywał kiedy jesteś u nas. Przyjaciele nasi „nie zrozumieliby tych pośrednich stosunków między „dwoma zamkami, zamieszkałymi przez dwa odmienne „duchy.“

NOTATKA IX.

Zrozumiałem te pobudki, nie usiłowałem bynajmniej ich zbijać; moja nadzwyczajna lekliwość, przytem w obecności kobiety i w obecności geniuszu, nie pozwalała mi patrzeć bez strachu na przedstawienie się pani de Stael. Widzieć i uwielbiać zdaleka blask sławy pod jej postacią, tego dosyć było dla mnie. Doświadczyłem tego szczęścia.

Dowiedziałem się, w kilka dni po tej rozmowie, że pani de Stael, w towarzystwie pani Récamier, goszczącej naówczas w Coppet, często przejeżdża się wieczorem w koczku, drogą do Lausanny. Wypytałem się o której godzinie zazwyczaj przejeżdżka ta ma miejsce. Zmieniała się stosownie do okoliczności. Postanowiłem zatem przepędzić cały dzień przy drodze, lękając się, żebym nie opuścił zreczności. Wziąłem za pozor wycieczkę w góry Jura. Wyszedłem zrana, wzięwszy

z sobą kawałek chleba i tom *Korynny*, i zacząłem się pod krzakiem, usiadłszy na murawie, z nogami w rów spuszczone, przy głównej drodze.

Upływały godziny. Setne powozy przeciągały główną drogą, a w żadnym z nich nie było kobiet, na których twarzy mógłbym napisać imiona pani de Stael i pani Récamier. Miałem już odejść smutny i zmartwiony, kiedy kłęby kurzawy podniosły się z prawej strony na drodze z Coppet. Były to dwa koczki odkryte, zaprzężone pięknymi końmi, które pędziły ku Lausannie. Panie de Stael i Récamier przeleciały koło mnie szybkością błyskawicy. Zaledwo miałem czas dojrzeć śród kurzawy kobietę z czarnymi oczyma, mówiącą, gestykulującą do drugiej kobiety, której twarz służyć mogła za typ prawdziwej piękności, piękności co się podoba i co zachwyca. Cztery inne kobiety młode i piękne także, jechały w drugim powozie. Żadna nie zwróciła uwagi na mnie. Długo przeprowadzałem oczyma uciekający ślad powozów. Chciałbym wstrzymać bieg koni, ale pani de Stael wcale nie domyślała się żeby najnamiętniejsze uwielbienie podnosiło się ku niej z zakurzonego brzegu rowu. Z osoby jej pozostał mi tylko niewyraźny i niedokładny obraz który nie utkwiał w mojem uwielbieniu.

Prześliczna twarz pani Récamier więcej w niem utkwiała. Wrażenie geniuszu idzie w niepamięć; wrażenie powabu nie ginie. Piękność posiada piorun co uderza. Jest dagerrotypem serca. Piękność pani Récamier dlatego była tak potężną i tak doskonałą, ponieważ służyła za powłokę modelowaną jej umysłu i duszy. Nietylko twarz jej była piękną, ale sama była piękna. Piękność

ta co była wówczas romansem, zamieni się kiedyś w historię. Równie jaśniejąca jak Apsazy, ale Aspazy nieskazitelna i chrześcijańska, była przedmiotem czci większego gieniuszu niżeli Perykles. Nigdy nie miałem znajomości z panią de Stael, ale później poznałem ją w jej córce, księżnej de Broglie. Może też tym sposobem trzeba było ją poznać, żeby się jej przypatrzeć pod najwznioślejszym jej wcieleniem się.

W księżnej de Broglie cała namiętność matki przemieniła się w piękność; cały ogień, w gorącość serca; cały gieniusz, w enotę. Umrzeć, zostawiając podobny ślad po sobie na świecie, było dla pani de Stael żyjącą apoteozą, jaką niebo winno było jej sławie. Dopiero w roku 1819 widziałem po raz pierwszy księżnę de Broglie. Zaszczycała mnie ona, aż do śmierci, względami, których pamięć zawsze będzie święta dla mnie. Poświęciłem jej czcigodnej pamięci niektóre z ostatnich moich wierszy. Poezya, w pewnej epoce życia, jest tylko naczyniem pogrzebowym, służącym do spalenia wonności dla nabalsamowania świętych wspomnień. Wspomnienie księżnej de Broglie tego nie potrzebowało. Ma ono właściwą sobie wonność. Balsamuje je własna cnota.

NOTATKA X.

Zaczynałem atoli doświadczać pewnego wstydu, goszcząc tak długo kosztem domu, gdzie byłem obcy i niezwany. Lękałem się żeby zbyt długa obecność moja nie była niegrzecznością i nie przykrzyła się nawet pani

i panu de Viney. Mienie téj zaenėj familii nie zdawało się odpowiadać wówczas wspaniałości jej serca. Spostrzegłem to, pomimo szlachetności jej postępów. Nie chciałem przysparzać, wydatkiem na siebie, kłopotów pieniężnych i nieprzyjemności życia, których symptomata zanadto znałem w mojej rodzinie, żebym ich nie umiał rozpoznać u drugih. Były to serca królewskie, walczące z potrzebami ubóstwa. Niebo winno ich obdaryć było majątkiem za ich wielkie serca.

NOTATKA XL

Wziąłem za pozór podróż w południowe góry Szwajcarii. Opuściłem zamek, nie bez smutku w oczach moich gospodarzy i w moich własnych. Często się obracałem żeby ich żałować i błogosławić wzrokiem. Sam jeden, pieszo, w ubiorze wędrującego rzemieślnika, przebiegłem najpiękniejsze i najdziksze miejsca Helwecyi. Po trzech tygodniach tułackiego życia wróciłem na brzeg jeziora Genewskiego, i zatrzymałem się na brzegu, naprzeciw krainy Vaud, który Jan Jakób Rousseau słusznie przekładał nad inne brzegi. Nająłem sobie stół i mieszkanie za kilka sous na dzień, w osobnym, bliskim wsi domu. Rzemiosłem mojego gospodarza było przewozić raz lub dwa razy w tygodniu kniotków z jednego brzegu na drugi, łowić rybę w jeziorze i uprawiać kawalek gruntu. Całą jego familię składała dwódziesięcioletnia córka, zajmująca się gospodarką, i dająca jeść rybakom i podróżnym. O trzysta kroków od domu,

gdzie mieszkali ten poczciwy człowiek i jego córka, był drugi ich dom pusty, w którym kiedy niekiedy gościli podróżni, albo celnicy na czatach.

W tym domu była tylko jedna izba nad piwnicą. Nająłem ją. Leżał na równinie, pod dużym gajem kasztanów, nad samém jeziorem, którego wody obijały się o mur. Meble mego mieszkania składały: łóżko bez materaca, na którym rozesłano siano i słomę, prześcieradło, koldra, krzesło i ławka. Parapet u okna służył mi za stół do pisania. Rozgościłem się tutaj.

Dwa razy w dzień, rano i wieczorem, chodziłem do przewoźnika we wsi, jeść obiad i wieszczę z nim razem. Chléb żytni, jaja, ryby smażone, kwaśne i cierpkie wino krajowe, składały nasz posiłek. Poczciwy był przewoźnik, córka grzeczna i uprzejma. Po kilku dniach życia spólnego, zaprzyjaźniliśmy się z sobą. Przewoźnika posyłałem raz w tydzień po książki i nowości do czytelnicy w Lausannie lub w Nyons. Miałem atrament, ołówki, papier. Dni dżdżyste przepędzałem na czytaniu i pisaniu w mojej izbie, dni pogodne na przechadzkę wzdłuż krętych brzegów jeziora, lub po nieznanym ścieżkach w gaju kasztanów. Wieczorem, długo po wieszczy trawiłem godziny ciemności w domu przewoźnika, na rozmowie z nim, z córką jego, niekiedy z nauczycielem i proboszczem wiejskim, co się zabawiali z nami. Wróciwszy do siebie, nim zasnąłem, spotykałem usypiający szelest jeziora, które toczyło i odbierało napowrót muszle za każdą falą.

Mieszkanie moje tak bliskie było wody, że podczas burzy, fale, rozbijając się, ciskały pianę aż pod moje

okno. Nigdy tyle nie zbadałem szelestu, jęków, gniewu, męczarni, żalów i kołysania się wód, jak podczas owych nocy i dni spędzonych tym sposobem samotnie, w jednotonnym towarzystwie jeziora. Napisałbym poemat wód, nieopuszczając najmniejszej nuty. Nigdy też więcej nie użyłem samotności, dobrowolnego całunu człowieka, którym się otula, żeby rokosznie umrzeć dla ziemi. Widziałem zrana błyszczący zdaleka na słońcu, o siedm mil odemnie, na przeciwnym brzegu, szeroki i biały zamek de Vincyl: mógłbym tam powrócić, gdybym jeszcze dłużej chciał nadużywać gościnności jego panów. Napisałem tylko list z podziękowaniem moim gospodarzom, i donosząc im o nowym moim mieszkaniu.

NOTATKA XII.

Wszelkie komunikacye z Francją zamknęły się z powodu wojny. Nie wiedziałem czy wrócę kiedykolwiek do mego kraju. Mocne zrobiłem postanowienie nigdy nie wracać, żebym miał znosić ucisk myśli i duszenie polityczne, któremi mię gniotło brutalstwo cesarstwa. Żyłem prawie niczém. Wszelako podróż po Szwajcaryi ulżyła nieco ciężaru w trzosie skórzanym, który mieścił w sobie 25 ludorów przy wyjściu moim z Francyi. Seryo myślałem jak mam użyć młodości i wiadomości moich, gdybym się wyrzekł swego kraju. Zamierzałem wejść na czas niejaki jako nauczyciel języka lub jako guwerner do domu rossyjskiego, dostać się tym sposo-

hem do Krymu, do Czerkassyi, ztamtąd do Persyi, szukać tam klimatu Wschodu, jego poezyi, jego walk, przygód i nadzwyczajnych zdarzeń, które dwódziestoletnia wyobraźnia zawsze upatruje w tajemnicy i w oddaleniu. Pod wpływem takich wrażeń napisałem pieśń która nigdy zamieszczona nie była w moich dziełach :

JASKÓŁKA.

Do panny de Vincy.

Poco uciekasz ode mnie, przelotna jaskółko? Niech twoje skrzydło spocznie koło mnie. Poco uciekasz ode mnie? Serce ciebie wzywa: czyż nie jestem wędrownikiem podobnie jak ty?

Śród tej pustyni los nas łączy. Pójdź, nie lękaj się uciec
gniazdka obok mnie. Jeżeli tęsknisz, będziemy razem tęsknili;
czyliż nie jestem samotny jak ty?

Może, niestety! z dachu gdzieś się zrodziła, okropny los ciebie wygania podobnie jak mnie; schroń się na murze okna mojego. Czyliż nie jestem wygnańcem jak ty?

Czy ci potrzeba welny na posłanie dla twoich piskląt drżących obok mnie? Rozgrzeję ich puszek ustami memi. Czyliżem nie miał matki równie jak ty?

Czy widzisz tam, na brzegu Francji, ten próg ukochany,
co się otworzył dla mnie? Leć, zanieś tam gałązkę nadziei.
Czyliż nie jestem jej ptakiem jak ty?

Nie lituj się nademną! Ach! jeżeli tyranja w kraju moim
zamyka próg dla mnie: żeby odzyskać swobodę wygnaną, czy-
liż nie mamy nieba naszego jak ty?

Posłałem ten romans przez przewoźnika pannie de Vincy. Było to pożegnanie z moimi gospodarzami.

Szlachetna i gościnna rodzina! Pamięć jej względów
nigdy mnie nie opuściła. Zawszem żałował, że nie mo-

głem oddać, w osobie którego z jej członków, tego co od niej odebrałem przysług, wylania się sereą i braterstwa! Ojciec i matka pomarli wprzód, nim fortuna wróciła, aby pocieszyć i podźwignąć ich dom. Teraz, jak mówią, znowu jest bogaty i w dobrym stanie. Niechaj Bóg błogosławi w dzieciach pamięć matki i ojca! Nigdy nie przechodziłem drogą z Genewy do Lausanny nie podniosłszy oczu na zamek Vincý i nie zapuściwszy myśli mojej na wspomnienie i żal. Był on przez kilka tygodni dla mnie jak dom rodzicielski. Coś z uczucia jakie mamy dla strzechy rodzinnej przywiewuje się tam do mojego serca. Ze wszystkich roślin któremi ustroją wprzyszłości ogrody i próg tego zamku, najpełniejszą życia i najtrwalszą, jest wdzięczność poety za gościnność.

NOTATKA XIII.

Wróciłem w tej epoce do Paryża rozpocząć nanowo
wojskową służbę w gwardyi królewskiej. Wówczas
spotkałem się z przyjacielem moich lat dziecińczych, któ-
ry także wszedł do gwardyi przybocznej. Nazywał się
hrabia Aymon de Virieu. Widzieliście go już we Włoszech
zemną. On był pierwszym i najlepszym z moich przyjaciół.
powiem raczej że oklepiane imię przyjaźni niedoskonale
określa naturę uczucia co nas łączyło od dzieciństwa,
Było to coś nakształt węzłów krwi, lub pokrewieństwa

duszy. Ja byłem jego bratem, on moim. Tracąc go, straciłem połowę życia własnego. Myśl moja niemniej odbijała się w nim, jak we mnie samym. W dzień jego śmierci wielkie nastąpiło milczenie koło mnie. Zdawało mi się, że echo żyjące wszelkiego bicia mego serca umarło pospół z nim. Czuję siebie jeszcze, ale już siebie nie słyszę.

NOTATKA XIV.

Aymon de Virieu, był synem hrabiego de Virieu, jednego ze znakomitych mężów stronnictwa konstytucyjnego w zgromadzeniu konstytuującym, przyjaciel *Mounier'a*, *Tollenda'a*, *Clermont-Tonnerre*, i wszystkich tych ludzi poczciwych, ale dotkniętych illuzją, co pragnęli reformować monarchję bez wstrząśnienia jęj. To reformujemy nad czém panujemy. Kiedy oni oddali tron w ręce zgromadzenia, nie mogli go z nich wydrzeć aż pogruchotany w kawalki. Dlatego też żał nie omieszczał ich ogarnąć, i obrócili się wprzód, niżeli się skończyła, przeciw rewolucyi którą sami zrobili. Jedni emigrowali, drudzy nazwali się monarchistami i probowali zawiązać te stronnictwa pośrednie, które zgniecione bywają między dwoma obozami. Najśmielsi zrozumieli i korzystali z anarchii, żeby podburzyć prowincye przeciw konwencyi.

Do liczby ostatnich należał hrabia de Virieu. Porzućwszy mownicę, wziął oręż. Lyon powstał przeciw tyranii. W tém powstaniu całkiem municypalném, upartywał jakąś nadzieję wciągnięcia tego miasta i Fran-

cji południowej w mimowolne poruszenie rojalizmu i restauracyi monarchicznęj. Nadbiegł tam. Dali mu dowództwo jazdy lyońskięj podczas oblężenia tego miasta przez wojska republikańskie. W nocy poprzedzającęj poddanie się miasta, na czele jazdy probował przebieć się przez wojska konwencyi. Powiodło mu się: ale ratując część swoich towarzyszków ucieczki, sam zginął o kilka mil od Lyonu. Ciała jego znaleźć nie można było. Pozostało po nim tylko jego imię, wyryte w rocznikach naszych, pomiędzy założycielami naszej rewolucyi.

NOTATKA XV.

Po jego śmierci, wdowa, zostawszy w Lyonie z synem jednakiem, ucieczką tylko uniknęła rúsztowania. Przebrana za żebraczkę, tułała się w górach Delfinatu. Powierzyła tam dziećcie swoje wieśniaczcze przywiązanej i wiernęj, która wychowała syna proskrypcyonisty między swoimi. Pani de Virieu udała się za granicę i żyła z pracy rąk w Niemczech, spodziewając się ciągle powrotu męża, o którego śmierci nie wiedziała. Była to kobięta charakteru bohaterkiego, a pobożność jęj nadzwyczajna naklaniała się ku religijnemu mistycyzmowi najczulszemu i najognistszemu. Miłość ku pamięci małżonka dochodziła aż do widzenia extatycznego. Długie jęj życie, od dnia kiedy męża straciła, aż do śmierci, było tylko łzą, nadzieją i modlitwą.

Wróciwszy do Francji, wyszukawszy syna i córki, zebrawszy tu i owdzie szczątki znakomitego majątku, zamknęła się w dobrach w Delfinacie, i prowadziła życie zupełnie klasztorne, ożywione jedynie dobrymi uczynkami i miłością ku dzieciom. Jezuiti, pod nazwiskiem Ojców Wiary (*Pères de la Foi*), założyli kolegium na granicy Francji i Sabaudyi, w Belley. Kolegium to rosło w sławę śród wszystkich szczątków instytucji naukowych, rozproszonych przez rewolucyę. W szczęśliwej też było sprzeczności z edukacyą pod bębniem w liceach cesarskich, gdzie Bonaparte cesarz chciał myśl całej Francji przyodziąć w mundur i utworzyć lud żołnierzy, zamiast ludu obywateli. Familje szlacheckie, nieprzyjazne cesarstwu, familje religijnych mieszczan, wysyłały z Francji, Sabaudyi, Niemiec i Włoch, synów swoich do tego nowego zakładu. Trzechset młodzieży ze wszystkich krajów odbierało tam wychowanie zarazem pobożne i liberalne. Nie jestem stronnikiem wychowania światowego przez duchowieństwo; brzydzę się teokracyą, formą najohydniejszą ze wszystkich tyrani, ponieważ domaga się jej w imieniu Boga, i uświęca ją uświęcając. Lękam się dla umysłu ludzkiego wpływu duchowieństwa na rządy; ale żaden z tych względów nie przeszkodzi mi uznawać i głosić prawdę, lub nie zniewoli mnie do zaprzeczania dobrego tam gdzie ono jest.

Dopóki duch wieku nie stanie się wiarą religijną, co z kolei trawi dusze, zakłady świeckie nierówną będą prowadzić walkę z zakładami duchownymi. Rząd powinien także być religią. Jeżeli tylko jest administracyą

martwą, będzie zwyciężony. Nie masz budżetu któryby wart był ziarnka wiary na kupienie dusz.

Pani de Virieu umieściła syna swego w tym zakładzie. Matka moja tam mnie zawiozła. Spotkaliśmy się z sobą. Charaktery nasze na pozór niebardzo były do siebie podobne. On był wesoly, ja smutny; on swawolny, ja spokojny; on żartobliwy, ja poważny; on sceptyk, ja pobożny. Ale miał serce bardzo czule pod pozorą szorstkością, i umysł wyższy, który wsiąkał w siebie, iż tak rzekę, z wysokości każdą rzecz, nie patrząc nawet na nią. Nie ubiegałem się o znajomość z nim; on długo ubiegał się o moje, niezrażając się małym moim upodobaniem w dowiecipnem jego trzpiotostwie i nieskwapliwością moją w odpowiedzi na jego przyjaźń.

W miarę atoli jakieśiny rośli i umysł nasz podniósł się nieco nad tłum kolegów naszych, zażyłość nasza wzrastała coraz więcej. Zawiązał się między nim a mną pewny rodzaj poufalości umysłowej, nad głowami społeczników a nawet nauczycieli naszych. Ja tylko zrozumieć go mogłem. To odosobnienie się od gminu, zbliżyło nas jeszcze bardziej ku sobie. Rozumieć się dobrze nawzajem, to znaczy prawie kochać się. Przyjaźń nasza trochę zimna, była długi czas przyjaźnią umysłu wprzód niżeli serca. Dopiero wyszedłszy ze szkół i spotkawszy się później z sobą w wieku namiętności i czułości, pokochaliśmy się zupełnem i tkiwem przywiązaniem.

W owę epokę, Virieu, starszy odemnie kilką laty, wchodził już w wiek młodzieńczy. Głowę miał jasnowłosą i kędzierzawą człowieka Północy, z czołem wydatnem

i z dużemi wypukłościami, jakby ręką Michała Anioła wytłoczonymi. Czytać na niém było można więcej potęgi rozna-
itęj niżeli regularności i harmonii w tych licznych wla-
dzach. Oczy błękitne, ale równie żywe jak czarne. Tu się
odbijał cały wdzięk i promienistość jego duszy. W reszcie
twarzy malowała się siła połączona z trochę ostrości.
Wzrok drgał jak światło w wodzie. Nos jak u Sokra-
tesa, zadarty i rozdęty w nozdrzach muszkulami ironii.
Usta, zbyt otwarte, były raczej ustami mowcy ciskające-
go słowa, niżeli filozofa rozmyślającego nad niemi.

W postawie, w ruchach, w mówieniu miał pewną po-
gardę dla gminu i wewnętrzne uczucie wyższości pocho-
dzenia i dumy rodu, przypominające nalóg pańskich ro-
dzin, gdzie patrzą z góry na dół. Umysł jego tak był
rozległy, tak pełny, tak skory, że doznawał w sobie, iż
tak rzekę, przepelnienia i zakłopotania z powodu zbyt
wielkiej liczby zdolności swoich, i stawał się nieplodnym
przez zbytek płodności, jak ci ludzie, którym zbyt czyn-
na wyobraźnia dostarcza zawiele słów razem na usta,
i którzy, przez zbytek słów, kończą na belkotaniu.

Belkotał w rzeczy samęj i jękał się będąc dzieckiem.
Mowa jego stała się spokojną i jasną dopiero wówczas
kiedy się uciszyło wrzenie młodości. Chociaż prawie
zawsze był ostatnim we wszystkich klaskach, jego to-
warzysze i nauczyciele za zobopólną zgodą uważali go
jako pierwszego. Rozumieli że byłby nim gdyby chciał,
ale umysł jego rzadko tam był gdzie go prowadzić chcie-
li; był przy matematyce kiedyśmy byli przy języku la-
cińskim, przy historii kiedyśmy objaśniali poetów, przy
poetach kiedy rzecz szła o filozofów. Wybaczali mu to

wszystko. Przychodził do celu inaczej, ale przychodził
zawsze, tylko nie przychodził w porę. Umysł jego nie
znał cugli; Virieu nie mógł iść niezłym śladem, kreślił
sobie własny podług kaprysu swego, zrodzony był dla
samotności umysłu.

NOTATKA XVI.

Jeżeli uczył się mniej od nas, myślał daleko wię-
cej. Przewodnikiem jego był *Montaigne*, od którego
matka jego pochodziła. Ten duch „żartobliwy“ i „po-
wątpiewający“ przeszedł poczęści razem z krwią w tego
młodego człowieka. Książka Montaign'a była jego kate-
chizmem. W dwónastym już roku umiał na pamięć pra-
wie wszystkie rozdziały tej encyklopedyi sceptycyzmu.
Powtarzał mi je bez ustanku. Walczyłem wszystkiemi
siłami przeciw tak wyłącznemu upodobaniu. Powątpie-
wanie znajdujące rozkosz w powątpiewaniu wydawało
mi się piekielném. Człowiek stworzony na to żeby wierzył
albo umierał. Montaigne sprowadza tylko bezpłodność
w umyśle, który smakuje w nim. W nic nie wierzyć,
znaczy nic nie robić.

Cynizm także wyrażen Montaign'a obrażał i dotykał
delikatność mojej czułości. Nieczystość słów jest skała-
niem duszy. Słowo plugawe robiło na moim umyśle toż-
samo wrażenie co zapach cuchnący na moim węchu.
Lubiłem w Montaignu tylko tę nagość powabną stylu
która odkrywa ładne kształty umysłu i daje widzieć na-
wet bicie serca pod skórą człowieka. Ale litowałem się

nad jego filozofiją. Nie jest to filozofija wieprza, bo on myślił. Nie jest to filozofija człowieka, gdyż żadnego nie wyprowadza wniosku. Ale jest to filozofija dziecka, które igra z każdą rzeczą.

Świat zaś ten nie jest dzieciństwem. Dzieło Boże warte tego żeby się niém zaprzątać poważnie, a natura ludzka dość szlachetna jest i dość nieszczęśliwa, żeby, jeżeli nie mieć dla niej szacunku, przynajmniej mieć litość. Żarty w podobnym przedmiocie są nie tylko okrutne, ale bezbożne.

NOTATKA XVII.

Oto co mówiłem podówczas Virieu'emu, i co później sam sobie mówił jeszcze lepiej niżeli ja, kiedy poważne tony namiętności i nieszczęścia zabrzmiały nareszcie w jego duszy. Zbyt głęboko kopał myśl żeby nie miał przyjszć do jęj dna, to jest do Boga.

W kilka lat po skończeniu nauk naszych spotkaliśmy się z sobą w Chambéry: zatrzymałem się tam dzień czy dwa żeby się widzieć z nim kiedyś jechał po raz pierwszy do Włoch. Przyjaźń nasza odnowiła się z większą znajomością nas samych i z wzajemną skłonnością umysłu wyraźniejszą niż kiedykolwiek. Trzy lata rozłąki nauczyły nas tęsknić po sobie nawzajem. Zaprzysięgliśmy sobie braterstwo trwałe i niezmiennie. Dotrzymaliśmy słowa. Od owego dnia nie rozstawaliśmy się już z sobą sercem i umysłem.

NOTATKA XVIII.

Żyliśmy we dwojgu. Zjechał się ze mną w Rzymie w sześć miesięcy później. Długi czas podróżowaliśmy razem; kończyliśmy jeden drugiemu edukacją naszą; co brakowało jednemu, drugi mu udzielał. W tej codzienniej zamianie władz naszych, on przynosił idee, ja uczucie; on krytykę, ja natchnienie; on naukę, ja wyobraźnię. On nie nigdy nie pisał; był naksztalt owych delikatnych umysłów, co nigdy zadowolone nie są ze swojego dzieła, i wołał chować je wiecznie w stanie poczęcia w łonie swojem, niżeli wydawać niedoskonałe i kłać swój ideał wypuszczając go na jaw. Są to największe umysły. Nie mają one nadziei nigdy dosięgnąć słowem, sztuką i czynem wielkości swoich myśli. Żyją nieplodne; ale nie przez niedoleżność, tylko przez zbytek siły i przez chorobliwą namiętność dla doskonałości. Ci ludzie zachowują dziewictwo umysłowe. Zaślubiają tylko swój ideał i umiérają nie po sobie na ziemi nie zostawiwszy. Tak też umarł Virieu uniosłszy z sobą geniusz nieznaną.

NOTATKA XIX.

Za powrotem do Francji, prawieśmy się nie rozstawali z sobą. W Paryżu mieszkaliśmy razem. Latem całe miesiące przepędzałem na łonie jego rodziny, w samotném jęj ustroniu w Delfinacie, między jego matką

zupełnie poświęconą Bogu, i młodszą jego siostrą, zupełnie poświęconą matce i jemu. Ta siostra (panna Stefania de Virieu) chociaż młoda, bogata i piękna, wtedy już wyrzekła się świata i małżeństwa, żeby się poświęcić wyłącznie swojej rodzinie i malarstwu, którego posiadła geniusz. Jest ona Greuze kobięcy.

Przepędzaliśmy długie dni jesienne na czytaniu jej książek, kiedy ona malowała, lub na wynajdowaniu dla niej przedmiotów do obrazów, którym szybka improvisacya jej ołówka dawała natychmiast formę i życie. Ubóstwiała brata i z powodu jego była życzliwą dla mnie. Pani de Virieu siedząc w wielkim krześle, przy kominku, milcząc i skupiona w smutku i modlitwie wewnętrznej, przewodniczyła tym pracowitym wieczorom familijnym; kiedy niekiedy rzucała czule spojrzenie i uśmiech roztargniony w naszą stronę, jakby chciała powiedzieć nam: „Przez was tylko biorę udział w uciechach tego świata.“

Spokojne i niewinne życie tego światłego domu orzeźwiała mnie i dawało wypoczynek sercu prawie zawsze miotanemu lub nużonemu namiętnościami. Było to skupienie ducha w młodych moich latach.

W chwili upadku cesarstwa, którym Virieu i wszyscy młodzi ludzie owocześni niemniej brzydzili się jak ja, weszliśmy razem do gwardyi przybocznej królewskiej. Wyszliśmy razem, kiedy rozwiązano tę gwardyę. Wstąpiliśmy razem w zawód dyplomatyczny. On towarzyszył księciu Richelieu do Niemiec. Znajdował się przy poselstwie księcia Luxemburg w Brezylji. Towarzyszył panu Laferronaye na kongress Weroński. Był sekre-

tarzem legacyi w Turynie i Monachium. Tajemne troski znękały jego zdrowie. Porzucił dyplomacyę i wrócił na łono familii. Nieobecność, którąśmy zapelniali codzienną korespondencyą, nie osłabiła w niczem węzłów przyjaźni naszej. Słyszeliśmy siebie zdaleka, to cała różnica. Worek nasz był spólny równie jak nasze myśli. Ileż razy nie nadstarczył swoim majątkiem niedostateczności lub klęskom mojego? Nie wiedział czy mu się uiszcze, nigdy się o to nie troszczył. Wydałby duszę swoją dla mnie, niewchodząc w rachubę z życiem własnym; jakżeby miał wchodzić w rachubę ze swym majątkiem?

Ja też go nie obrażałem wdzięcznością. Wdzięczność moja była nie rachować się i niczego nie rozdzielać pomiędzy nami. Ileż nie ma jego rzeczy w tém co dzisiaj należy do mnie? Umysł, dusza, serce, majątek, Bóg tylko mógłby powiedzieć: „To jest jednego, to drugiego.“ Ludzie tak ściśle z sobą zjednoczeni powinni by mózdz zlewać swoje pamięć w jedno, podobnie jak zleli swoje życie, i nazywać się tém samém nazwiskiem w potomości jak istota zbiorowa. To byłoby zarazem prawdziwsze i miłsze. Po cóż dwa nazwiska, kiedy rzeczywiście był tylko jeden człowiek?

NOTATKA XX.

W kilka lat później zaślubił młodą osobę, której wdzięk skromny, cnota i namiętne przywiązanie zagrzebały na zawsze życie jego w zaciszu domowego szczęścia. Tyle wyższy umysł jego nie osłabł, ale spuścił się z oblo-

ków na ziemię. Dusza jego, niegdyś ciekawa i sceptyczna, znalazła prawdę w szczęściu, i odpoczynek w wierze matki swojej. Zamknął się w miłości swojej żony i dzieci. Ograniczył swe życie i nie przekraczał już granicy. Serce jego nie wychodziło z tej zagrody familijnej tylko przez przyjaźń dla mnie, która dochowała się w nim w zupełności. Z brzegu na którym usiadł, patrzył jak ja szedłem, jak podnosiłem się w górę lub spadałem. Więcej wierzył w przeszłość niżeli w przyszłość, jak wszyscy ludzie których czas zużył. Mało się zaprzątał obecnymi wstrząśnieniami świata politycznego. Patrzył na nie tylko z boku. Kochał zawsze wolność, ale spodziewał się jej tylko od Boga, podobnie jak trwałość widział tylko w wierze. Mistycyzm matki rzucał pocieszający urok na jego pobożność.

Pisywał do mnie często o wypadkach społecznych. Listy jego były smutne i poważne, jak głos człowieka przemawiającego z głębi świątyni do będących na placu publicznym. Raz, przez dwa tygodnie nie odebrałem listu od niego. Przyszedł list od siostry z doniesieniem że umarł. Skonał w objęciach żony, błogosławiąc synów i mnie wymieniając między tymi których żałował iż porzuca na ziemi i pragnie znaleźć ich gdzieindziej. Religia unieśmiertelniała zawczasu ostatnie jego westchnienie. Sceptyk w początkach drogi, w miarę jak się zapuszczał w głęb życia, widział coraz jaśniej. Na końcu drogi już nie powątpiewał. Zbliżał się do Boga.

Straciłem w nim żywego świadka całej pierwszej połowy życia mojego. Czułem że śmierć rozdziera naj-

droższą kartę mojej historii; pogrzebana ona pospolu z nim.

NOTATKA XXI.

W Delfinacie, na zwaliskach starego zamku jego familii, zwanego *Pupetières*, pisałem dla niego dumanie poetyczne pod tytułem: „Dolina“ (*le Vallon*). Te wiersze przypominają położenie i uczucia, jakie ta samotność, ten las i te wody lekkim szmerem w nas obudzały. Gdyby można napisać szmer lasów i wód, byłoby coś lepszego niżeli słabe te strofy. Dusza poety jest wodą bieżącą co pisze swój szmer i opiewa go; ale my piszemy go nótami człowieka, a natura nótami Boga.

Porzuciwszy zupełnie służbę, wróciłem do rodzicielskiego domu i znowu przedsięwziąłem podróż. Często wabiły mnie one ku Alpom. Tutaj miejsce powiedzieć o człowieku, który mnie najwięcej tam nęcił. Tym człowiekiem był baron *Ludwik de Vignet*. Umarł przed kilku laty posłem sardyńskim w Neapolu. Grób jego zamyka jedną z najdroższych relikwii życia mojego serca. Cóż może człowiek dać człowiekowi którego już nie ma? Nic, prócz ziemnego nagrobku. Kamień dłuższą ma pamięć niżeli serce; dlatego też ryją nazwisko i słowa na grobowcu. Lecz kiedy pokolenie wygaśnie, ludzie przechodzący nie rozumieją już ani słów, ani nazwiska. Trzeba więc im je wytłumaczyć.

Ludwik de Vignet, z którym poznałem się w szkołach, był synem senatora w Chambéry, i siostrzanem hrabiego Józefa de Maistre, filozofa, i hrabiego Xawerego de

Maistre, Sterna swego wieku, ale Sterna czulszego i naturalniejszego niżeli pisarz angielski.

Ludwik de Vignet i ja byliśmy w szkole Jezuitów dwoma młodemi spółzawodnikami, co się ubiegali o wszystkie palmy, jakie nieroztropna pycha mistrzów lubiła przedstawiać emulacyi swych uczniów. Starszy ode mnie kilku laty, dojrzalszych myśli, silniejszej woli w pracy, często brał pierwszeństwo przedemną. Nie byłem wcale zazdrośny; natura zawistnym mnie nie uczyniła. Co do niego, zdawało się że niebardzo radował się ze zwycięstwa, a upokorzony był przegraną. Były to zapasy Włocha z Francuzem. Dwojaka natura nasza przedstawiała wtwarzy i w charakterze sprzeczność tych dwóch typów narodowych. Vignet był młodzieniec wysoki, chudy, trochę zgarbiony, schylał ku piersiom czoło okryte czarnemi włosami. Cere miał bladą i trochę śniadą; wklęsłe oko kryło się pod długimi rzęsami; orli i ostry nos przedziwnego był kształtu. Wąskie usta rzadko się otwierały. Zwykły wyraz goryczy i pogardy lekko ścisnął mu końce warg. Brodę miał długą i wyciętą pod kąt prosty, jak głowa konia arabskiego. Owal jego twarzy podłużny, kształtny i przyjemny. Mówił mało. Przechadzał się sam jeden. Czuł że wiekiem i energiją charakteru wyższym jest od nas. Nie lubili go koledzy. Nauczyciele obawiali się go. Było coś nieprzyjemnego w jego milczeniu, a spiskowego w jego samotności.

Nie tał swojej wzdardy ku ćwiczeniom religijnym, do których nas zmuszano. Pysnił się ze swego niedowiarstwa i prawie ateizmu. Czułem uwielbienie dla jego

talentu, litość dla jego odosobnienia, ale niewiele skłonności dla osoby. W spojrzeniu jego było coś z niemieckiego *Fausta*, co czarowało myśl jakby zagadką, zmuszało do uwielbienia, ale odpychało poufałość.

Żaden z ludzi których znałem nie odebrał od natury tak potężnych zdolności. Umysł jego był jak narzędzie wyostrzone i mocne, którego wola jego używała w rozmaitym kierunku, a nie mu oprzeć się nie mogło. Posiadał wrodzony dar stylu, jak gdyby pióro jego kopijowało największych pisarzy. Z naturalnego natchnienia był starożytnym w mowie, harmonijnym i czułym poetą w wierszach, filozofem śmiałym i rozkazującym przed wiekiem rozwinięcia myśli. Bledliśmy wszyscy przed nim w naszych kompozycjach. Grzeszył tylko zbytkiem przypominień i trochę nadętości. Naturalność i improwizacya prawdziwsza dawały mi niekiedy przewagę. Wyprzedzałem go jedynie brakiem niektórych wad, ale daleki byłem od chępliwości z tych zwycięstw, i więcej niż ktokolwiek czułem jego wyższość pod względem wieku, pracy i talentu.

NOTATKA XXII.

Skończył szkoły na trzy lata przedemną. Zostawił imię pomiędzy nami podobne do śladu, który zostawiał człowiek wyższy przeciskając się przez tłum, i który nieprędko się zaciera. Mówiliśmy o nim z wielkiem uwielbieniem, do którego łączyło się trochę strachu. Sądziliśmy że go czeka wysokie ale fatalne powołanie. Spodziewaliśmy się po nim nie wiem czegoś wielkiego. Było to

jakby przecucie jego losu. Dowiedzieliśmy się że uczy się prawa w Grenoble; że tam jak wszędzie jest podziwiany ale mało lubiony; że żyje w dumnej pogardzie dla gminu; że nie wpada w żadną z niedorzecznych próżności młodzieży tych szkół; że nawet ma sobie za stoicką chlubę swoje ubóstwo, jak Machiawel gdy był dzieckiem, i że często spotykają go na ulicy we dnie jak sam nosi dziurawe trzewiki dla naprawy do szewca, lub dumnie zjada kawałek chleba z książką pod pachą. Ta posunięta aż do pychy wstrzemięźliwość i niepodległość mężka, lekceważyła pogardę kolegów i znamionowała duszę silniejszą nad ich szyderstwa. Ale nie sztydził z niego; szanowali go, a okazane przezeń przy sposobności dowody talentu jako prawnik i mówca, bardzo wysoko już go kładły w opinii miasta.

Od sześciu lat rozstaliśmy się z sobą, kiedy trafił nas w Chambéry, gdzie przepędziłem kilka dni powracając z wycieczki w Alpy. Byłem naówczas w całym wrzeniu moich najjędrniejszych i najdrażliwszych lat. Nie było dosyć ani powietrza w niebie, ani dosyć ognia w słońcu, ani dosyć przestrzeni na ziemi dla potrzeby oddychania, ruchu i gorzenia, jaka mię pożerała. Byłem gorączką żyjącą; miałem jej szal i niespokojność we wszystkich członkach. Porządne zwyczaje lat mojej nauki i słodka pobożność naszych matek i nauczycieli, zdala były odemnie. Przyjaźń moja kalala się na oślep podobnie jak uczucia moje. Zabrałem stosunki z tém co było najlekkomyślniejszego, najburzliwszego i najzepsutszego, pod powabnymi kształtami, w młodzieży mojego kraju i mojej epoki. Pędziłem w nieład wszel-

kiemi drogami, a jednak miałem wstręt do nieładu. Błędy moje wynikały z naśladowania, ale nie z natury. Gdy byłem sam jeden, samotność mnie oczyszczała.

W takim usposobieniu spotkałem się z Vignetem. Zaledwom go poznał. Nigdy tak mała liczba lat nie zdziałała tak zupełnej zmiany w fizyognomii. Ujrzałem młodego człowieka skromnej postawy; chód jego był powolny i zadumany, głos dźwięczny i ujmujący, twarz pogodna i harmonijna, osłonięta tylko cieniem melancholii. Spotkał mnie raczej jak ojciec syna, niżeli jak młody człowiek swego kolegi. Uściskał mnie z rozrzwieniem. Obwinił siebie o niedorzeczną zazdrość, jaką spółbieganie się nasze w naukach niegdyś w nim obudzało; mówił mi, że w duszy jego pozostał z tego tylko wstyd, żal i gorąca żądza wejścia ze mną w przyjaźń niezmienną na całe życie. Rysy jego twarzy, gesta, jasność spojrzenia słowom jego odpowiadały. Moje serce otworzyło się na przyjęcie wylania się jego serca. Uczulem że ten człowiek poważny, surowy i czuły, zahartowany na ustroniu w głębi gór, posiadający siłę do usunięcia się od prądu głupstw i lekkomyślności jaki nas porywał, oryginalny w dobrem postępowaniu kiedy my sililiśmy się być nędznymi naśladowcami w złém, więcćj wart niżeli moi przyjaciele uciech.

NOTATKA XXIII.

Słodkie namaszczenie z ust mu spływało. Zmianę swego umysłu opowiadał mi gdyśmy szli rano o wschodzie

kamieniem matki na cmentarzu wsi Servolex. Zdrowie nadwątlili samotność i smutek. Popękały nerwy, wyteżone zbyt młodo przez myśli i cierpienie. Melancholia pogodna, ale głęboka i nieuleczona, zasępiała cały horyzont dla niego. Ludzie, i ich myśli blahe jak oni, litość w nim obudzały. Nie nie warte było niczego.

Stanowczo rzekł się wszelkiego zawodu. Postanowił żyć sam jeden z siostrą, młodą osobą godną jego, w ubogim ustroniu Servolex. Posiadał około trzydziestu tysięcy franków w winnicach, lasach i gruntach około domu, z czego dochód wystarczał mu na życie skromne i żądze ograniczone. Książki, modlitwa, prace literackie zapelniały jego dni. Może w głębi duszy kochał młodą osobę ze swojej rodziny, sierotę i ubogą jak on, i która częsta była towarzyszką jego siostry. Ale, jeżeli ta miłość i miała miejsce, nigdy się nie zdradzała, chyba stałością milczącego uwielbienia. Zbyt mało wierzył w swoje szczęście, żeby miał z niem skojarzyć biedną dziewczynę. Brakło sercu jego tylko przyjaciela. Ofiarował się być moim przyjacielem.

Bardzo często, od sześciu lat, myślał o mnie, jako o jedynym sercu do którego chciał przywiązać swoje. Nie odważał się pisać do mnie. Wiedział że jego charakter, cierpki dawniej i odludny, zostawił w towarzyszach niechęć ku niemu. Wiedział także że ja, z przyjaciółmi trafunkowemi, zanurzyłem się w głąb wszelkich lekkomyślności życia światowego. Żałował mnie z tego powodu. Nie byłem z takiego ciała, z którego świat robi swoje cacka albo bożyszcza. Miałem duszę co się unosiła nad tą kłoką próżności i błędów. Dusza ta powinna była

zwracać się w górę, nie zaś na dół. Matka moja była równie pobożną jak jego matka. Cierpieć musiała z powodu zepsutego powietrza w którym żyłem. Starszy odemnie latami, ale nadewszystko nieszczęściem, które dni liczy na lata, ofiarował mi przywiązanie świętsze i prawdziwsze niżeli młodych towarzyszków mojej rozpusty. Poświęcał się dla mnie jak brat.

NOTATKA XXVII.

Czułem prawdę, a nadewszystko szczerłość jego słów, i byłem wzruszony. Tak rozmawiając weszliśmy do opuszczonego domu w Charmettes, który otworzyła nam uboga kobieta, jak gdyby panowie, nieobecni od wczoraj, wieczorem powrócić mieli. Powabny obraz pani Warrens i młodego Jana Jakóba Rousseau zaludniał dla nas trzy małe pokoiki dolnego piętra. Szukaliśmy miejsca gdzie oni siadali. Przebiegliśmy wązki ogródek, usiedliśmy w końcu alei, w małej altance caprifolium i winnych latorośli, gdzie nastąpiło pierwsze wyznanie czystej miłości, później tak sprofanowanej. Vignet, lubo chrześcijanin z dobrej woli, chował w swym sercu takiż sam entuzjazm co ja dla Jana Jakóba Rousseau, jedynego pisarza XVIII-go wieku, którego geniusz miał duszę. Przepędziliśmy część dnia w tym ogrodzie zalany wonnościami i słońcem, jak gdyby rośliny i drzewa rozweseliły się przyjęciem gości godnych kochania dawnych ich panów. Wyszliśmy dopiero o zachodzie słońca.

Czułem ile ten młody człowiek, zrodzony blisko kołebki Roussa, natchniony jak on, ubogi i nieszczęśliwy jak on, ale więcej niepokalany i religijniejszy od niego, wyższym był od tych których nazywałem moimi przyjaciółmi, i że winien jestem ustronięciu Charmettes wcale co innego niżeli marne wspomnienie wielkiego męża, że mu winien przyjaźń pocziwego człowieka. Serce moje uwielbiać tylko pragnęło.

NOTATKA XXVIII.

Vignet zaprowadził mnie do swego domu w Servolex, i przedstawił swojej rodzinie. Dwaj jego wujowie mieszkali wtedy w Chambéry albo w okolicach Servolex. Byli braćmi hrabiów Józefa i Xawerego de Maistre, którzy znajdowali się w Rosyi. Jeden był dymisyonowanym półkownikiem, drugi kanonikiem, a wkrótce biskupem Aosty, w Sabaudyi. Ci dwaj mężowie godnemi byli pięknego imienia, jakie rozmaity geniusz ich braci zjednał późniój ich domowi. Posiadali nadto geniusz dobroci. Rozmowa ich iskrzyła się tym blaskiem wesołości łagodnej której uśmiech nie nie kosztuje uprzejmości. Natura udzieliła tej rodzinie dar wdzięku. Był to dowcip włoski pod prostodusznością górala Sabaudzkiego. Zasady ich były surowe; ale ich pobbazanie dla innych nie miało granic. Długi czas miotani wypadkami rewolucyi, emigranci, ciskani z jednego brzegu na drugi, byli jak twarde kamienie ich gór, które lawiny stoczyły w potok, potok ogladził je i wypolerował w ciągu wieków,

stały się błyszczącemi i gładkiemi na dotknięcie, ale niemniej są kamiennemi pod powierzchnią która się ogladziła.

NOTATKA XXIX.

Mając liczne stosunki z wypadkami i ludźmi rozmaitemi, znali cały wiek na pamięć. Strona zabawna i ironiczna rzeczy uderzała ich przedewszystkiém. Brali na serio tylko honor i Boga. Reszta dla nich była tylko komedią ludzką. Żartowali ze sztuki, ale mieli litość dla aktorów.

Kanonik nadewszystko był najexcentryczniejszy oryginal jakiego kiedy znałem. Pisał rano kazania, z których wyjątki czytał nam wieczorem, i zbierał wszelkie anegdoty światowe, ale skromne, jakie tylko mógł złowić w ciągu dnia: pewny rodzaj słownika wesołości albo encyklopedyi śmiechu dla użytku familii i sąsiadów. Ale był to śmiech anioła i świętego. Nie obrażał wstydu, nie kosztował łez ofiarom. Była to śmieszna strona natury, ale bynajmniej nie zła strona. W bliskich był stosunkach z panią de Stael, której nie lubił zasad, żartował z jej entuzjazmu, ale uwielbiał jej dobroć. Korrespondencye ich były częste i dziwaczne. Była to powabna zalotność dowcipu i geniuszu. Była to religija wdzięczna i tolerująca, co rzuca trochę pyłu na skrzydła filozofii, ale niechcąc ich plamić. Była to grzeczna swawola poezyi i prozy. Jaśniały nawzajem walcząc z sobą. Rozkoszne dni przepędziłem w tej poufaleści familijnej.

W innéj epoce poznałem hrabiego Józefa de Maistre, najstarszego z tych wszystkich braci, *Levi* tego pokolenia. Słyszałem z ust jego czytane „Wieczory Petersburgskie“ (*les Soirées de Saint-Petersbourg*) przed ich wydrukowaniem. Przyjaciele i nieprzyjaciele jego filozofii zarówno mało znają człowieka pod postacią pisarza.

Hrabia de Maistre był mężczyzną wysokiego wzrostu, pięknej i męskiej twarzy wojskowej, czoła wysokiego i otwartego, na które splaywało, jak szczątki korony, trochę pięknych włosów srebrzystych. Oko miał żywe, jasne, szczére. Na ustach zwykle wyraz dowcipnej żartobliwości, jaka charakteryzowała całą rodzinę. W postawie zachowywał godność swojego stopnia, swojej myśli, swego wieku. Niepodobna było go widzieć niezatrzymując się i niepomysławszy że przechodzimy koło czegoś wielkiego.

Wyszedłszy zamlodu ze swych gór, mieszkał naprzód w Turynie, wstrząśnienia przerzuciły go potem do Sardynii, potem do Rossyi, bez odwiedzenia Francyi, ani Anglii, ani Niemiec. Moralnie był osamotniony od saméj młodości. Wszystko umiał tylko z książek, a czytał bardzo mało. Ząd pochodzi jego cudowna excentryczność myśli i stylu. Była to dusza nieokrzesana, ale wielka dusza; umysł mało wypolerowany, ale rozległy umysł; styl szorstki, ale styl mocny. Gdy tak pozostawiony był samemu sobie, cała jego filozofija była tylko teorią jego instynktów religijnych. Święte namiętności jego umysłu przeszły w nim w stan wiary. Potworzył sobie dogmata ze swych uprzedzeń. W tém był cały filozof. Pisarz był w nim

daleko wyższy od myśliciela, ale człowiek jeszcze daleko wyższy od myśliciela i od pisarza. Wiara jego, której bardzo często dawał odzież sofizmu i postawę paradoksu wyzywającego rozsadek, była szczéra, wzniosła, płodna w jego życiu. Była to cnota starożytna, albo cnota twarda i w wielkich rozmiarach Starego Testamentu, jak ów Mojżesz Michała-Aniela, którego formy noszą jeszcze na sobie ślady dłota co go wykuło. Pod człowiekiem, czujemy jeszcze skalę. Geniusz ten był tylko okrzesany zgrubsza, ale był wielkich rozmiarów. Owoż dla czego pan de Maistre jest popularnym. Więcéj harmonijny i doskonalszy, mniejby się podobał gminowi, który nigdy nie przypatruje się zbliska. Jestto Bosuet dziki i Tertullian nieuczony.

w nadziei, dusze w rozkwitanu. Przyjęty byłem jak syn lub brat od wszystkich członków tej zadziwiającej i miłej rodziny.

Czas, śmierć, różna ojczyzna, opinie i filozofie sprzeczne, rozłączyły nas później. Lecz gdybym żył wiek cały, nigdybym nie zapomniał owych dni, godnych stanąć obok rozmów Bokkacyusza na wsi, podczas mrowego powietrza, we Florencyi, jakie przepędzaliśmy całe lato w domu w Bissy, u pułkownika de Maistre, lub w zamku Servolex, u przyjaciela mego Ludwika de Vignet

Zbieraliśmy się na otwartem powietrzu. Służył nam za salon już las młodych sosen na zielonym grzbiecie góry du Chat, z kądem widać prawdziwie arkadyjską dolinę Chambéry i jezioro na lewo; już aleja wysokiej grabiny w ogrodzie Servolex, aleja piętrząca się nad doliną zaslaną liśćmi i wysoką latoroślą winną, splatającą się z włoskimi orzechami. Słońce w milczeniu przerzyślało przestrzeń nieba lazurowego między górą du Chat a pierwszymi Alpami Nivoley. Cień zwężał się lub rozszerzał u podnóża drzew. Hrabia de Maistre, głowa Platona galijskiego, dumając rysował figury na piasku, końcem kija uciętego na Kaukazie. Opowiadał długie swoje wygnania i rozmaite koleje losu braciom słuchającym go z uwagą i uszanowaniem. Starsza jego córka, zamysłona, milcząca i dumająca, grała nieopodal na fortepianie melancholiczne śpiewy Scytyi. Otwarte okna salonu pozwalały dochodzić do nas nutom, które wiatr przerywał. Kanonik de Maistre, postać sokratyczna, zlagodzona i uświęcona przez ducha chrześcijańskiego, czytał brewiarz w ustronie alei ogrodu. Od czasu do czasu mimowolnie rzucił

KSIEGA XII.

NOTATKA I.

Towarzystwo to było dla mnie bardzo użyteczne. Odstrychnęło umysł mój od owęj filozofii kordegardowéj i literatury zniewieściałéj, jaką oddychano podówczas we Francyi. Pokazało mi prawdziwych ludzi natury w miejscu wypłowiałych i wytartych kopij, jakie wtedy składały myślący świat w Paryżu. Przenosiło mnie w świat oryginalny, excentryczny, nowy, którego typ dotąd nieznanym był dla mnie. Było to nie tylko towarzystwo alpejskiego ducha w dolinie Sabaudyi, lecz było także towarzystwo młodości, wdzięku i piękności. Bo koło tych odwiecznych szczepów rodu de Maistre i de Vignet, znajdowały się odrośle pełne życia, geniusze

na nas spojrzenie roztargnione i tęskne. Widać było iż się spieszy z ukończeniem psalmu, żeby należeć do rozmowy która się toczyła bez niego.

NOTATKA II.

Najmłodsza córka hrabiego de Maistre, mająca wówczas siedemnaście lub ośmnaście lat, nosiła na swym czole, w oczach, na ustach, promienie geniuszu ojca swego. Była to córka góry Synai, jaśniejąca blaskiem gorejącego krzaku świętego, natchniona teokratycznymi zasadami swojej rodziny. Przepisywała dzieła ojca. Sama pisała, powiadając, stronnice, którym tylko skromność jej przeszkodziła zająć talentem naturalnym jej domowi. Była to *Korynna* chrześcijańska o mil kilka nad brzegiem innego jeziora od *Korynny* filozofki i rewolucjonistki z Coppet (pani de Stael). Nie czytałem żadnych pism tej młodej dziewczyny, ale wymowa jej była mężka, jedrna i dobitna jak jej głos. Natchnienie religijne lub polityczne, ogarnąwszy ją mimowolnie, podnosiło ją niekiedy z murawy na której siedziała przy nas. Chodziła rozmawiając i niepostrzegając się że chodzi. Zdawało się że stopy jej nie dotykają ziemi, jak owych widm albo sybill, co wychodzą z ziemi zaczarowanej. Stronnice słów jej wiatr unosił, a byłyby one godne pierwszych myślicieli i pierwszych pisarzy wieku. Błędliśmy słuchając jej. Imię ojca zajaśniało później nad nią. Niespodziewany majątek przyszedł ją szukać w skromnym ustroniu. Nie wiem co zrobiła ze swym geniuszem, bronią dla mężczyzny,

ciężarem dla kobiety. Sądzę że zamieniła go w cnoty jak swe bogactwa zamieniła w dobrodziejstwa.

NOTATKA III.

Ludwik de Vignet, jego siostra równie dowcipna jak on, i ja, podziwialiśmy w młodości te wybuchy wdzięku, ognia i wiary. Teokracja opowiadana pod tak pięknym niebem, przez tak piękne usta, w tak pięknym języku, przez młodą dziewczę podobną do cór jakiego proroka, miała wtedy wielki urok dla mojej wyobraźni. Jakżeby to było pięknie, gdyby królestwo Boże nie miało ludzi za ministrów! Później, musiałem uznać że królestwo Boże jest tylko wiekuistym objawieniem, którego kodex Słowo stanowi, a wieki są jego ministrami. Prędko wróciłem do swobody, która pozwala myśleć i mówić wszystkim słowom we wszystkich ludziach.

NOTATKA IV.

Ludwik de Vignet powtarzał nam wiersze mile i melancholiczne, uszczknione po jednym wśród zarośli swoich gór, których nie ogłosił nigdy, lekając się pozbawić ich tej świeżości, którą otwarte powietrze odbiera duszy jak brzoskwiniom i winnym gronom jego szpalerów. Ja także zacząłem podówczas belkotać niektóre wiersze. Powtarzałem je rumieniąc się przed hrabią de Maistre i jego córkami.

„Ten młody Francuz,“ mówił pan de Maistre do swego siostrzana, „ma piękną mowę za narzędzie swych „pomysłów. Zobaczymy co z tē m zrobi kiedy wiek po „mysłów nadejdzie. Jak ci Francuzi są szczęśliwi! do „dawał z niecierpliwością. Ach! gdybym się urodził „w Paryżu! Ale ja nigdy nie widziałem Paryża. Jezy- „kiem moim jest tylko szwargotanie naszj Sabaudy!“

Nie wiedział jeszcze że człowiek jest językiem, i że to szwargotanie będzie wielkiem krasomówstwem; że im bardziej języki są okrzesywane, tym więcj się zaciera- ją; i że język francuzki nowego kształtu nabierze w Ser- volex od jego geniuszu, podobnie jak nabrał hartu w Charmettes od niewiadomości Jana Jakóba Rousseau.

W późniejszym czasie, siostrzan hrabiego de Maistre zaślubił jedną z najpowabniejszych moich siostr. Krótkie miała dni macierzyństwa swego w Servolex, gdzieśmy marzyli podówczas razem, i niedługo potēm grób tu swój znalazła.

NOTATKA V.

Tutaj brakuje notatek blisko z dwóch lat, w ciągu których nic nie pisałem, gdyż miałbym do opisania tylko nierząd, błędy i nieszczęścia. Gra była głównem mojem zatrudnieniem. Wygrywałem i przegrywałem naprzemian znaczne summy, w Medyolanie, w Paryżu, w Neapolu. Wróciłem na głos matki mojej, która przyjechała po mnie, do rodzicielskiego domu prawie zruinowanego także przez nieprzewidziane nieszczęścia

NOTATKA VI.

.....Żyłem wówczas, (jeżeli to życiem nazwać mo- żna) jakby w otchłani, na pół ciemnej, na pół światłej, która rzuciła na duszę moję, moje uczucia i myśli, tyl- ko zimną i smutną półjasność jak zmierzch zimowy. Jeszcze nie żyłem, a zmordowany byłem życiem. Cofną-łem się, iż tak rzekę, z bytu do rozczarowanej spokoj- ności, i do tēj samotności serca którą człowiek sam so- bie niekiedy tworzy, zrywając wszelkie stosunki ze świa- tem i unikając wszelkiego udziału w ruchu który nim iniota: pewnyto rodzaj starości zawczesnej i dobrowolnej, do której się uciekamy przed upływem lat, ale starości fałszywej i udanej, która pod pozornem swem zimnem, pielęgnuje młodość ognistszą i burzliwszą niżeli ta któ- rąśmy już przebyli.

Cała rodzina była nieobecna; ojciec u jednego z mō- ich stryjów, na polowaniu w lasach Burgundzkich; matka w podróży; siostry rozproszone albo w klasztorze. Prze- pędziłem całe długie lato zupełnie sam jeden, zamknięty w domu ojca w Milly, ze starą służącą, z moim koniem i psem. Wieś ta zbudowana z szarego kamienia, u pod- nóża góry porosłej bukszpanem, z dzwonnica kształtu piramidy której podmurowanie przepalone od słońca, ze swemi ścieżkami wązkiemi, kamienistemi, które obrze- żają rudera i gnój, z domami pokrytymi lawą zczernia-łą od dśszczu, gdzie rosną suche mchy zwęglone jak sadze, przypomina zupełnie wieś Kalabrii albo Hiszpanii.

Ta nagość, to ubóstwo, to zwapnienie, ten brak wody, cienia, życia roślinnego, podobały mi się. Zdawało mi się że taka natura lepiej przypada dla mojej duszy. Ja sam byłem latoroślą tego wzgórza, koźlęciem tej skały, bukszpanem bez kwiatów tych krzaków. To niezwykle milczenie rodzicielskiego domu, ta samotność ogrodu, te puste pokoje przypominały mi mogiłę. Myśli o grobie nie była przykrą dla mojej wyobraźni. Czulem albo chciałem czuć żem umarł. Lubilem ten całun z kamienia którym dobrowolnie sam się owinąłem. Jedyny gwar życia co dochodził do domu, był daleki i jednotonny jak gwar pól. Pozostał później w moich uszach.

Zdaje mi się że słyszę jeszcze wymierzony stuk cepów młocących zboże, na słomie, na glinianym twarzym toku w dziedzińcu; beczenie kóz na górach; głosy dzieci igrających na drodze wśród dnia; stuk drewnianych trzewików winobrańca powracającego wieczorem z roboty; warkot kołowrotka ubogich prądek siedzących na progu swoich chat; albo ostre i przenikliwe chrząszczenie konika polnego, podobne do krzyku wydartego oparzeniem promieni słońca południowego, we mgle ognistej podnoszącej się z kwater ogrodu.

Miesiące upływały na czytaniu, dumaniu, niedbałym tulaniu się przez cały dzień z górnego mego pokoju do salonu pustego; z salonu pustego do stajni, gdzie kładłem się z psim na świeżej podścielce, jaką sam przygotowywałem dla mego próżnującego konia; ze stajni do ogrodu, gdzie polewałem kilka grzęd salaty albo groszku; z ogrodu na górę lysą panującą nad nim, gdzie się chował między krzaki bukszpanu, jedyną roślinę

która goryczą swą opiera się zębom kóz. Ztąd patrzyłem daleko na śnieżyste wyszczerbione wierzchołki Alp, które zdawały mi się i jeszcze się zdają zasłaną ziemią zbyt okazałą dla ludzi. Z rozkoszą spokojności i smutku słuchałem melancholijnego brzęku dzwonek trzód, które za całe szczęście żądają od ziemi tylko odrobiny trawy do uskubania na jej bokach.

Tomy bym napisał gdybym notował niewyczerpane wrażenia, drżenia serca, myśli, radość wewnętrzną lub melancholię, które przenikały moje zmysły lub moją duszę w czasie tego długiego lata na pustyni. Nie nie pisałem; wszystkim tym wrażeniom i tym wszystkim przejściom z tonu do tonu we mnie samym pozwalałem mijać, jak przemija wiatr kołyszący trawy na górach, nie troszcząc się o ciche westchnienia jakie one wydają, ani o zapach jaki im zabiera przelatując.

Westchnienia lub wonność młodzieńczego mego serca nie zdawały mi się zasługiwać na zachowanie. Doszedłem nawet do takiego stopnia upadku na duchu i oschłości, że z pewną goryczą napawałem się wrażeniem iż żyję, myślę, czuję nadaremno; jak owe kwiaty w niedostępnych ustroniach Alp, co rosną tak, iż niczyje oko nie widzi ich kwitnących, i zdają się oskarżać naturę że nie ma ani planu, ani litości w swoich utworach.

NOTATKA VII.

Pewna okoliczność utwierdzała mnie jeszcze bardziej w tym upadku serca i we wzgardzie dla świata. Było to

towarzystwo i rozmowy z drugim pustelnikiem równie czułym, starszym i nieszczęśliwszym odemnie. Towarzystwo to było jedyną rozrywką jakiejś niekiedy doświadczalem w mojej samotności. W początkach będące prostym spotkaniem, później przywykniem, obcowanie to z każdym dniem coraz więcej zamieniało się w przyjaźń. Traf zbliżył dwóch ludzi różnego wieku i stanu, ale podobnych do siebie przez czułość, przez charakter i przez zgodność smutku, płynącego z samotności duszy i utraty nadziei szczęścia. Jednym z tych ludzi byłem ja, drugim biedny proboszcz wsi Bussière, parafii do której Milly należało.

W opowiadaniu pierwszych wrażeń moich lat dziecińczych wspominałem o młodym wikarym, co uczył katechizmu i łaciny dzieci wiejskie u starego proboszcza w Bussière, i który mając wstręt z natury i wieku swego do tej pedagogii dziecięcej na jaką był skazany, porzucał z obrzydzeniem książkę i dyscyplinę, i wiały psy na smycz i strzelbę na plecy, wymykał się z probostwa wprzód nim zegar wskazał koniec lekcji, i szedł przepędzić resztę dnia w polu i w lasach naszych gór. Powiedziałem że się nazywał ksiądz Dumont; że probostwo zdawało się raczej być dla niego domem rodzicielskim niżeli wiejskim wikaryatem; że jego matka, osoba podeszłego wieku, ale jeszcze piękna i przyjemna, rządziła probostwem od niepamiętnych czasów; że było jakieś pokrewieństwo niedosyć jasne między starym proboszczem a młodym wikarym; że to dalekie pokrewieństwo nadawało ostatniemu podobieństwo raczej syna niżeli domownika.

Nareszcie opowiedziałem jak biskup w Macon, człowiek obyczajów łatwych i wykwintnych, oraz literat i uczony, wziął do swego palacu młodego człowieka, i wychował we wszelkich nałogach, we wszelkiej swobodzie i we wszelkiej elegancji towarzystwa bardzo światowego, którego pałac jego biskupi był ogniskiem przed rewolucją. Rewolucya rozproszyła to towarzystwo, skonfiskowała pałac, uwięziła biskupa, i wyprawiła młodego sekretarza z łona zbytku i rozkoszy do ubogiego probostwa w Bussière. Stary proboszcz umarł. Młody człowiek został kapłanem; probostwo przeszło jak spadek na młodego księdza.

Ksiądz Dumont miał teraz lat trzydzieści ośm. Wzrostu był wysokiego, składów zgrabnych, postawy wojskowej, chodził w ubiorze świeckim, lekkim, starannym, jak gdyby chciał, nieuchybając zupełnie przyzwoitości, zbliżyć się atoli ile można do ubioru światowego, żeby drudzy i on sam zapomnieli o stanie, który mu późno narzucono.

Twarz jego nosiła wyraz energii, dumy, mękości, złagodzonej tylko odcieniem smutku cichego, zwykle malującego się w jego fizyognomii. Czuć w nim było naturę silną, skrepowaną pod duchowną odzieżą jakimiś tajemnymi więzami, które nie pozwalały jej ruszać się i objawiać. Bładość na twarzy rozlana, była jakby namignięcie hamowana; usta kształtne i delikatne, nos prosty, modelowany z nadzwyczajną czystością linii, rozdęty i drgający przy nozdrzach, równy, wązki i muskularny ku górze, gdzie się łączył z czołem i przegradzał oczy. Oczy niebieskie z odcieniem szarém, jak fala w cieniu; spojrzenie

głębokie i trochę zagadkowe, niby zwierzenie się niedokończone; spojrzenie to wychodziło z pod wydatnej arkady czoła prostego, wyniosłego, szerokiego, wygładzonego myśłą. Czarne włosy, nieco już przerzedzone końcem młodości, zaczesane na skronie, były gładkie, błyszczące, przylegające do skóry, której podnosiły białosć. Żadnego śladu nie było można dostrzedz tonsury. Ich delikatność, tudzież zwykła wilgoć skóry, nadawały im na wierzchołku czoła i koło skroni zaledwo dostrzeżone zagięcie jakby akantu około kapitelu marmurowego.

Taka była powierzchowność człowieka, z którym mimo różnicy lat, samotność, sąsiedztwo, zgodność natur, wzajemny pociąg, nareszcie sam smutek dwojga naszych istnień, połączyły mnie nieznacznie węzłem prawdziwej i trwałej przyjaźni.

Przyjaźń ta wzmocniła się później z upływem lat; trwała aż do jego śmierci, i teraz, kiedy od czasu do czasu jadę przez wioskę Bussiére, mój koń, nawykły do tego zboczenia, porzuca główną drogę koło małego krzyża, idzie kamienistą ścieżką za kościołem, pod oknami starego probostwa, i sam się zatrzymuje na chwilę koło muru ementarzowego. Przez mur widać nagrobek, który położyłem nad zwłokami mego przyjaciela. Kazałem wyryć, za cały napis, jego nazwisko obok mojego. Poświęcam mu przez chwilę w milczeniu to wszystko co tylko żyjący dać mogą umarłym, myśl..., modlitwę..., nadzieję spotkania się gdzieindziej.

NOTATKA VIII.

Weszliśmy z sobą w zażyłość naturalnie i bez namysłu. Ze mną tylko jednym mógł rozmawiać w tej pustynie ludzkiej, o wyobrażeniach, o książkach, o rzeczach duszy któremi zaprzątał się z zamięłowaniem w młodości swojej i w pałacu biskupim w Macon. Zajmował się nimi i teraz samotnie w zakątku do którego był skazany. Ja także przed nim tylko jednym wywnętrzyć mogłem duszę moje przepełnioną wrażeniami i melancholiją.

Częstośmy się z sobą spotykali: co niedziela w kościele; w inne dni, po ścieżkach wiejskich, wśród bukszpanu lub janowca rosnącego po górach. Z okna mego slyszalem granie jego psów.

Tak spotykając się z sobą o każdej godzinie, staliśmy się nareszcie potrzebni jeden drugiemu. On zrozumiał że jest w duszy młodego człowieka ziarno, na którego wzrost i rozwijanie się z ciekawością patrzeć warto. Ja zrozumiałem że w tym człowieku dojrzałym i znużonym życiem, kryje się los cierpki i zawiedziony, podobnie jak był mój w ową chwilę; dusza chora ale silna, przy której dusza moja pomści się za własne nieszczęścia przywiązując się przynajmniej do drugiego nieszczęśliwego.

Pożyczałem mu książki. Co tydzień brałem je z czytelnictwa w Macon, i przywoziłem do Milly w tomoczku na koniu. On mi pożyczał stare tomy historyi kościelnej i literatury świętej, jakie znalazł w bibliotece biskupa w Macon. Ten mu zapisał je testamentem. Rozmawialiśmy o tém cośmy czytali. Poznaliśmy tym sposobem, przez

zgodność zwykłą wrażeń naszych o tych samych dziełach, zgodność naszych umysłów i naszych serc. Każdy dzień, każda książka, każda rozmowa sprowadzały odkrycie i mimowolną coraz większą zażyłość pomiędzy nami. Przywiązujemy nas to wszystko co podobnego do siebie odkrywamy w człowieku nad którym się zastanawiamy. Przyjaźń i miłość są w gruncie tylko obrazem istoty wzajemnie dostrzeżonej i powtórzonej w sercu drugiej istoty. Kiedy te dwa obrazy tak dalece zleją się z sobą, że dwa stanowią już jeden, wówczas przyjaźń lub miłość są zupełne. Przyjaźń nasza uzupełniała się tym sposobem codziennie.

NOTATKA IX.

Wkrótce nie poprzestaliśmy już na przypadkowych spotkaniach się po drogach dwóch wiosek. On przychodził do mnie, ja do niego. Między jego domem a domem mojego ojca wznosiła się tylko niewielka góra. U podnóża tej góry, porosłej winnemi latoroślami, było źródło pod cieniem wierzb i ścieżka śród plotów przerywająca łąki.

Na końcu łąk, małe drzwi zamknięte na rygiel prowadziły do ogrodu warzywnego opasanego murem, osłoniętym szpalerami. W głębi ogrodu dom niski i długi z galerią zewnętrzną, której dach opierał się na słupach drewnianych. Szczupły dziedziniec otaczały: szopa, piekarnia i drzewo opałowe. Na podmurowaniu galerii dwa piękne psy leżały i szczekały, kiedy kto drzwi otwierał. Kika doniczek rezedy i rzadkich kwiatów na ganku.

Kilka kur na dziedzińcu, kilka gołębi na dachu. Oto probostwo.

Z przeciwnej strony ogrodu, dom wychodził na cmentarz, zielony jak łąka niedobrze zrównana koło kościoła. Przez cmentarz wzrok padał na boki gór nieuprawnych, poprzecinane wysokimi kasztanami. Oko ześlizgało się później ukośnie na ponurą i czarną dolinę, która niknęła latem w gorącej parze od słońca, w zimie zaś we mgle lub wodzie. Odgłos dzwonu, co dawał się słyszeć trzy razy na dzień, przy chrzcie lub pogrzebie, stąpanie wieśniaków powracających z roboty, kwilenie dzieci płaczących o południu i wieczorem, żeby przywołać matki opóźnione do drzwi chat: takie tylko głosy dochodziły zewnątrz do tego domu. Wewnątrz słychać było tylko mały gwar matki proboszcza i młodej jej synowicy, przygotowujących jarzynę do zupy lub wieszających bieliznę na galerii.

NOTATKA X.

Wkrótce ja byłem jednym gościem więcej w tym skromnym domu, jednym biesiadnikiem więcej u tego ubożego stołu. Chodziłem tam prawie co wieczór o zachodzie słońca. Kiedym opuścił cień dwóch lub trzech grabi w ogrodzie Milly, pod którymi chroniłem się od upałów sierpniowych; kiedy zamknąłem książki moje, poglaskałem i opatrzyłem troskliwie konia mojego i pod błyszczące jego kopyta położyłem świeżą podścielkę na

noc, szedłem powoli na górę, ześlizgałem się jak cień wieczorny między ostatnie cienie, jakie wierzby rzucały na łąki. Otwierałem furtkę od ogrodu probostwa Busiere. Psy, co mnie znały, już nieszczekały. Zdawało się że czekają na mnie w progu na oznaczoną godzinę. Wachały mnie bijąc ogonem, wzruszając sierścią i skacząc z radości. Biegły przedemną jakby chciały oznajmić domowi o przybyciu młodego przyjaciela. Uśmiech życzliwy stariej matki proboszcza, rumieniec uprzejmy jej synowicy, spostrzegałem na pocziwych twarzach gospodarzy, co jest najlepszym przywitaniem i najlepszą grzecznością gościnności.

NOTATKA XI.

Zwykle zastawałem księdza Dumont zajętego obcinaniem winnych latorośli, pieleniem salaty lub oczyszczaniem drzew z gąsiennic. Brałem z rąk matki konew do podlewania, pomagałem synowicy ciągnąć długi sznur w studni. Pracowaliśmy we czworgu w ogrodzie dopóki pokazywało się światelko dzienne na niebie. Potem wracaliśmy do mieszkania proboszcza. Ściany były nagie i pobielone tylko wapnem, co poopadało w miejscach gdzie były wbite goździki, na których wisiały fuzye, kerdelasy i inne przybory, tudzież kilka rycin w sosnowych ramach wyobrażających niewolę Ludwika XVI i jego rodziny w Temple. Bo ksiądz Dumont, jakem już powiedział, przez sprzeczność bardzo częstą w ludziach owe-

go czasu, był rojalistą, chociaż demokratą, i kontrrewolucjonistą z uczucia, chociaż nienawidził dawny rząd i podzielał wszelkie zasady i wszelkie pożądanja rewolucyi.

Zresztą nie widać było na ścianach albo na kominku żadnego godła jego powołania. Ani brewiarza, ani krucyfiksu, ani obrazów świętych, ani ubiorów kościelnych. To wszystko powierzył w zakrystyi opiece dzwonnika. Chciał żeby nie kościelnego nie towarzyszyło mu w domu i nieprzypominało jego służebności i węzłów. Nie nieprzywodziło na pamięć że jest proboszczem, chyba stolik kulawy w kącie pokoju, na którym leżały metryki chrztu i akta zejścia, i pudełka z cukierkami przewiązane wstążką niebieską albo różową, które przy chrzcie lub ślubie, ofiarują ministrowi tych świętych obrzędów.

Gdy już było ciemno, zapalał świecę łojową albo resztki żółtej woskowej świecy wyrzucone z lichtarzy kościelnych. Po krótkim czytaniu lub rozmowie, synowica nakrywała stół, z którego zdjęto atrament, książki i papiery. Przynoszono wieczerzę.

Zazwyczaj składały ją: chleb żytni pomieszany z płetwami; jaja na oście od kur domowych; salata albo szparagi z ogrodu; ślimaki zebrane podczas rosy na liściach w winnicy i wyduszone w radełku pod popiołem; dynia przyskwarzona w piecu w glinianym naczyniu w dni kiedy chleb pieczono, i kiedy niekiedy owe kury stare, chude i żółte, które biedne młode góralki przynoszą

w podarunku proboszczom, pierwszy raz po połogu przychodząc do kościoła, na pamiątkę gołębi, które kobiety w Judei przynosiły do świątyni w podobnej okoliczności; nareszcie zając lub kuropatwy, owoc rannego polowania. Rzadko zastawiano inne potrawy. Ubóstwo nie pozwalało matce chodzić na targ. Skromną tę ucztę skrapiało wino krajowe czerwone lub białe; właściciele winnic dają je zakrystyanowi, który podczas winobrania chodzi po kweście od winnicy do winnicy. Ucztę kończyły owoce z ogrodu, stosownie do pory roku, i małe serki kozie, białe, świeże, osypane szarą solą, obudzające pragnienie, i polepszające smak wina dla wstrzemięźliwych kmiotków naszych dolin.

Ksiądz Dumont, chociaż nie miał najmniejszego upodobania w zbytkach stołowych, jednak żeby ulgę zrobić stariej matce i przyuczyć synowicę, sam niekiedy chodził doglądać pieca gdy chleb pieczono, pieczystego na rożnie, jaj lub jarzyn na ogniu, i przyprawiał własną ręką potrawy proste lub szczególne, które pożywialiśmy razem, śmiejąc się ze sztuki kuchmistrza. Tym sposobem nauczyłem się przyrządzać własnymi rękami te codzienne potrawy biednego mieszkańca wsi, i znajdować przyjemność i pewną godność kmięcą w domowej pracy koło kuchni, co oswobadza człowieka od służebności potrzeb, i przyzwyczajają do mniejszego lękania się ubóstwa albo niedostatku.

NOTATKA XII.

Po wieczery rozmawialiśmy, podparłszy się łokciami o stół, albo przy świetle księżyca na galerii, o owych przedmiotach, co się wiecznie wracają, jakby traf nieuchronny w rozmowie dwóch samotników, nie mających innego interessu prócz swoich myśli, a temi są: przeznaczenie człowieka na ziemi, próżność jego dumy, niesprawiedliwość losu dla talentu i cnoty, niestałość i niepewność opinii ludzkich, religija, filozofija, literatura rozmaitych wieków i rozmaitych ludów, pierwszeństwo tego wielkiego męża nad drugim, wyższość tego mówcy lub tego pisarza nad mówcami i pisarzami jego spółzawodnikami, wielkość umysłu ludzkiego w pewnych ludziach, nikczemność w innych; potem czytanie wyjątków tego lub owego pisarza na usprawiedliwienie zdań naszych lub udowodnienie przyznanego pierwszeństwa; ułamki Platona, Cycerona, Seneki, Felonona, Bossueta, Woltera, Roussa, książki rozkładane kolejno na stole, otwierane, zamykane, znowu otwierane, porównywane, roztrząsane, chwalone lub odrzucane, jak karty w wielkiej grze duszy, którą geniusz człowieka odegrzywa z zagadką natury od początku do końca wieków.

NOTATKA XIII.

Niekiedy, ale rzadko, piękne wiersze starożytnych poetów deklamowałem w ich języku, pod tym samym

dachem, gdzie się nauczył sylabizować pierwsze słowa greckie i łacińskie. Ale wiersze mało zajmowały miejsca w naszych cytacjach i rozmowach. Książd Dumont, równie jak wielu mężów znakomitych, których najlepiej znałem i kochałem w mém życiu, nie smakował w poezyi. Ze słów pisanych oceniał tylko znaczenie, a bardzo mało muzykę. Nie był obdarzony tym rodzajem materjalności umysłowej, która łączy w poecie wrażenie harmonijne z myślą albo uczuciem, i nadaje mu podwójny wpływ na człowieka przez ucho i przez umysł.

Zdawało mu się, i często mnie samemu zdawało się później, że istotnie jest pewny rodzaj upokarzającego dzieciństwa dla rozumu w tym wyuczonym spadku dźwięków i w tym mechanicznym układzie rymów, które wdzierają się tylko do ucha człowieka i kojarzą roskosz prawdziwie zmysłową z wielkością moralną myśli lub męską energiją uczucia. Wiersze zdawały mu się językiem niemowlęstwa ludów, proza językiem ich dojrzałości. Wierzę teraz że sąd jego był sprawiedliwy. Poezja nie jest w téj marnéj dźwięczności rymów; jest ona w myśli, w uczuciu i w obrazie, téj *trójcy* mowy, która ją zamienia w *słowo* człowieka. Wierszopisowie powiedzą że bluźnię, prawdziwi poeci uczują że mam słuszość. Zamienić mowę w muzykę, nie jest to ją wydoskonalić, ale zmateryalizować. Słowo proste, trafne i mocne na wyrażenie myśli niepokalanéj lub uczucia nagego, niemyśląc o dźwięku równie jak o materjalnym kształcie wyrazu, oto jest styl, oto wyrażenie, oto słowo. Reszta jest rokoszą, ale dzieciństwem: *nugae*

cantores. Jeżeli wątpicie o tém, złąćcie myślą Platona z Rossinim w jednym człowieku. Cóżbyście uczynili? Wywyższylibyście Rossiniego bezwątpienia, ale znizylibyście Platona.

NOTATKA XIV.

Nie zbijałem wówczas ani też pochwalałem instynktowego wstępu niektórych ludzi męzkiego myślenia ku pojętom dźwięcznym myśli w wiersze ułożonéj. Lubilem wiersze bez teorii, jak lubimy kolor, dźwięki, wonność w naturze. Wiele ich czytałem, ale nie pisałem.

Od tych przedmiotów literackich, przechodziliśmy zawsze, przez naturalne zboczenie, do najwyższych kwestyj, politycznych, filozoficznych i religijnych. Wykarmieni oba szpikiem starożytności greckiej i rzymskiej, wielbiliśmy swobodę jako słowo dźwięczne, wprzód niżeliśmy ją wielbić zaczęli, jako rzecz świętą i jako własność moralną w człowieku.

Brzydzyliśmy się Imperium i tém małpowaniem rządu monarchicznego, oplakiwaliśmy że taki bohater jak Bonaparte nie był zarazem zupełnie wielkim mężem, i użył materjalnych sił rewolucyj co ze znużenia przeszły w jego ręce, tylko na odnowienie dawnych kajdan despotyzmu, fałszywéj arystokracji i przesądów jakie rewolucya skruszyła. Książd Dumont, chociaż nienawidził jakobinizm, zachował z rzeczypospolitéj pewną czerstwość ostrą, ale smakowitą na ustach i w sercu. Udzie-

jał mi jęj niemyśląc o tém. Dusza moja młoda, wolna od nikczemnej ambicji, niepodległa jak samotność, rozdrażniona uciskiem losu, który zdawało się że się uwziął zamykać świat przedemną, usposobioną była do tój surowości opinii, która pociesza w niesprawiedliwościach fortuny pogardą jęj w tych komu ona sprzyja, i która wzdycha do panowania samęj cnoty. Restauracya, co nas obu nadziejami upoiła, zaczynała je zawodzić. Przynajmniej pozwalała myśleć, czytać, pisać, dysputować. Miała gwar wewnętrzny rządów reprezentacyjnych i burze opinii. Ale roszczenia szlachty co wróciła z emigracyi, wicherząca przewaga duchowieństwa, zarozumiała niezdolność dworu, zabobonna cześć dla przeszłości, poddmuchiwana przez dworaków niedowiarków, ludowi co postarzał o dwa wieki w ciągu lat dwudziestu pięciu, wyprowadzały nas z omamienia. Nie szemraliśmy, z obawy żeby nienależać do liczby stronników cesarstwa; ale utyskiwaliśmy pocichu i przebiegaliśmy w górę lub na dół wieki, wyszukując rządy godne ludzkości.

Co się tyczy religii, fanatyzm jaki usiłovali naówczas wskrzesić pod nazwiskiem religii przez pobożne obrzędy, processye, kazania, kongregacye mniej religijne niżeli dynastyczne, wydawał się nam nędzną maskaradą stronnictwa politycznego, chcącego uświęcić się w oczach ludu przez udaną wiarę, której tylko strój przywdziewało. Łatwo było widzieć że ksiądz Dumont był filozofem jak wiek w którym się urodził. Prawdziwą jego ewangeliją było wyznanie wiary *Wikarego Sabaudzkiego*. Językiem świątyni przemawiał o Bogu do ludu. Ale wró-

ciwszy do domu, mówił o nim językiem Platona, Cicerona i Roussa.

NOTATKA XV.

Wszelako, chociaż umysł jego był niedowiareczy, dusza niedolą zmięczona, była pobożna. Najwyższem jego szczęściem byłoby żeby mógł nadać tój nieokreślonej pobożności formę i rzeczywistość prawdziwej wiary. Siłił się nagiąć swój rozum pod prawo katolicyzmu i pod dogmata swego stanu. Czytał uporeczywie: „Duch wiary chrześcijańskiej“ (*Génie du Christianisme*) Chateaubriand'a, pisma Bonalda, księdza de Lamennais, księdza Frayssinous, kardynała de Beausset: wszystkie te wyrocznie więcej lub mniej krasomowne, co podniosły się nagle, w owęj epoce, ze zwalisk chrystyanizmu, jak gdyby chciały protestować z głębi grobu przeciwko jego śmierci. Ale umysł jego, nieposłuszny logice tych pisarzy, raczej uwielbiał ich geniusz niżeli przyjmował ich dogmata. Rozczulał się, zapalał się, modlił się ich stylem, ale nie wierzył ich wiara. Ci apos tołowie byli w oczach jego pobożnemi grzebalnikami co stroją umarłego, ale go wskrzesić nie zdołają.

Co do mnie, młodszy, czulszy i więcej miękkich lat niżeli on, bardziej ulegałem wpływowi tych ponęt religii dziecięcego mego wieku i matki mojęj. Pobożność moja wróciła w samotności; zawsze mnie lepszym czyniła ona, jak gdyby myśl człowieka odłączonego od świata najlepszym była jego poradnikiem. Nie wierzyłem rozu-

mem, ale chciałem wierzyć sercem. Próżnia jaką w duszy mojej wykopała wiara dziecięcia, ulotniwszy się wśród roztargnień owych lat wstydu i smutku, rozkosznie zapelniała się teraz uczuciem miłości boskiej, które się rozgrzewało pod popiołem pierwszego mego nierządu i oczyszczało mnie przynosząc mi pociechę. Poezya i czułość religijna były dla mnie jak owe dwie święte niewiasty siedzące u grobu Zbawiciela ludzi, którym aniołowie nadaremno mówili: „Nie masz go tutaj.“

NOTATKA XVI.

Z uporem starałem się odzyskać wiarę mojej młodości, w której miałem wiarę moich lat dziecinnych. Lubiłem ciszę i cień małych kościołów wiejskich, gdzie lud się zgromadza i kłęka, szukając pociechy u stóp Boga z ciała i krwi jak on. Niezmierzona przestrzeń pomiędzy człowiekiem a Bogiem bez postaci, bez nazwiska i bez cienia, zdawała mi się być zapelnioną przez tajemnicę wcielenia. Jeżeli nie przypuszczałem jęj całkiem jako prawdę, uwielbiałem jako precudny poemat duszy, stroilem ją we wszelki urok mojej wyobraźni. Oblewałem wonią wszelkich moich żądź. Barwiłem wszelkimi kolorami mojej myśli i mego entuzjazmu. Naginałem krnąbrny rozum pod tę gorącą wolę wierzenia, żebym mógł kochać i modlić się. Gwałtownie odpychałem cienie, powątpiewanie, odrzę umysłu. Udało mi się utworzyć do połowy illuzye, których pragnąłem, i żeby wy-

razić należycie stan duszy mojej w owęj epoce, jeżeli nie czeił jeszcze Boga matki mojej jak mego Boga, przynajmniej nosilem go na sercu mojem jako bóstwo.

NOTATKA XVII.

Kiedy słowa zaczynały gasnąć na ustach naszych i kiedy sen ogarniać nas zaczynał, brałem strzelbę, gwiznałem na mego psa; ksiądz Dumont przeprowadzał mnie aż na koniec łąk zamykających dolinę Bussiére; uściskaliśmy się za ręce. Szedłem w milczeniu na kamienistą górę, już przy świetle pięknego księżyca letniego, już wśród wilgotnej mgły nocnej, bardziej jeszcze zgęszczonej wyziewami początku jesieni.

Znajdowałem starą służącą, co czekając na mnie, przedła przy blasku miedzianej lampy wiszącej w kuchni. Szedłem na spoczynek. Zasypiałem, i budziłem się nazajutrz, przy latających jaskółkach, które wolny wstęp miały do mego mieszkania przez szyby potłuczone, żeby zacząć dzień takiż sam jak wczora.

Co mię coraz więcej przywiązywało do biednego proboszcza w Bussiére, to cień melancholii niedosyć rezygnowanej, rozlewający smutek na jego fizygnomii. Cień ten gasił w jego oku ostatnie ognie młodości, nadawał jego słowom i głosowi pewną niemoc zniechęcenia, zgadzającą się z własnem mojem osłabieniem umysłu. Czuć było bolesną i hamowaną tajemnicę pod jego wywnętrzaniem się. Widać było że nie wszystko

mówił i że ostatnia tajemnica zatrzymywała się na jego ustach.

Tajemnicy tej nie starałem się mu wydrzeć, sam zaś nigdyby nie zwierzył się z nią przedemną. Między wyznaniem takiej natury i najściślejszą przyjaźnią z młodym człowiekiem mojego wieku, znajdowała się święta przyzwoitość jego kapłańskiego charakteru. Ale szepty kobiet wiejskich zaczęły mi objawiać niewyraźnie, a później poznałem tę tajemnicę smutku ze wszelkimi szczegółami. Oto jest:

W epoce kiedy biskup Macon wygnany został ze swego pałacu prześladowaniem duchowieństwa i uwięziony, ksiądz Dumont był tylko młodym i przystojnym sekretarzem; wrócił do starego proboszcza w Bussiére, który wykonał przysięgę na konstytucję. Pozabierał wiele znajomości, wpływem swojej postaci, odwagi i rozumu brał udział w rozmaitych poruszeniach opinii miotających młodzież w Macon i Lyonie przy upadku monarchii, i w początkach rzeczypospolitej odznaczył się nadewszystko antypatją i śmiałością przeciw jakóbinom. Prześladowany jako rojalista za czasu terroryzmu, zaciągnął się wreszcie do owych tajemnych band młodzieży rojalistowskiej, które się rozgaleziły i podawały sobie ręce od gór Cevennes do okolic Lyonu.

Nieustraszony i przedsiębiorczy, zaprzyjaźnił się, przez zgodność opinii i przez traf stosunków, potyczek i niebezpieczeństw wojny domowej, z synem starego szlachcica w Forez. Zamek tej rodziny leżał wśród dzikiej doliny na przepaścistym wzgórzu. Tu było ognisko spisków i główna kwatera młodzieży rojalistowskiej owych okolic.

Stary szlachcic stracił żonę w początkach rewolucyi. Umierając zostawił cztery córki, zaledwo wyszłe z lat pierwszej młodości. Wychowane bez matki i bez guwerantki, w zamku starego myśliwego, żołnierza, dziwaka, nieukształconego i bez nauki, te dziewczęta posiadały z płci swojej tylko rzadką piękność, naiwność i wdzięk, przy całej żywości wrażeń i nieroztropności wieku.

Ojciec, od pierwszej ich młodości, przyzwyczajał je dotrzymywać mu kompanii u stołu, wśród gości wszelkiego rodzaju, jeździć konno, nosić strzelbę, towarzyszyć mu na polowanie, które stanowiło główną czynność jego życia. Łatwo zrozumieć że tak powabny dwór ciągle na łowach, festynach, biesiadach lub na wojnie, około takiego ojca, naturalnie znucać musiał młodość, śmiałość i miłość do zamku ***.

Ksiądz Dumont, w ubiorze wojskowym i myśl wym, młody, piękny, zwinny, zręczny, wymowny, miły ojcu, przyjaciel brata, przyjemny młodym córkom wytwornością obejścia się i dowcipu, stał się najpilniejszym gościem w zamku. Należał on, iż tak rzekę, do rodziny, i był dla młodych panien niby jednym bratem więcej. Miał mieszkanie w wieżycze baszty górującej nad okolicą, z kądem widać było zdaleka długą przestrzeń jedynej drogi wiodącej do zamku. Mając obowiązek oznajmić o zbliżaniu się żandarmów lub patrolów gwardyi narodowej, czuwał nad bezpieczeństwem bram i trzymał w porządku arsenał opatrzonego w strzelby i pistolety nabite, a nawet dwie śmigownice na lawetach, z których hrabia postanowił gromić republikanów, jeśliby odważyli się posunąć aż do tych wąwozów.

Czas upływał na przyjmowaniu i wyprawianiu posłańców przebranych, którzy łączyli ducha zabobonnego i kontr-rewolucyjnego owych górali z emigrantami Sabaudyi i spiskowymi Lyonu; na przebieganiu lasów konno lub pieszo w czasie bezustannego polowania: na ćwiczeniu się w robieniu bronią; na wyzywaniu zdaleka jakobinów miast sąsiednich, którzy ciągle zaskarżali tę *jaskinię* arystokratów, ale rozproszyć ich nie śmieli; na czuwaniu, zabawach i tańcach z młodzieżą sąsiednich zamków, zwabioną podwójnym urokiem opinii, awantur i rozkoszy.

Chociaż młode osoby mieszały się do całego tego zgiełku i pozostawione były własnej tylko roztropności, zachodziły pomiędzy niemi a ich gośćmi upodobania, pierwszeństwa, wzajemny pociąg, ale nie było żadnej nieprzyzwoitości i żadnej rozwiązłości obyczajów. Pamięć o matce i własne niebezpieczeństwo, zdawały się lepiej je strzedz niżeli dozór najsurowszy. Były prędkoduszne, ale niewinne; podobne w tém do młodych córek kmiotków, ich wassalów, bez podejrzliwości, bez fałszywej skromności, ale nie bez czuwania nad samemi sobą i nie bez godności płci i instynktów.

Dwie starsze córki przywiązały się i zaręczone były dwóm młodym szlachcicom z Francyi Południowej; trzecia czekała niecierpliwie aż się otworzą znowu klasztory, żeby zupełnie poświęcić się Bogu, który jedynie myśl jej zaprzętał. Spokojna pośród tej wrzawy, zimna w tém ognisku miłości i entuzjazmu, rządziła domem ojca jak matrona dwódziestoletnia. Czwarta liczyła zaledwie rok szesnasty. Była faworytką ojca i siostr.

Uwielbienie co mieli dla niej jako młodej panienki, łączyło się z tą względnością krotofilną, którą miewamy dla dzieciniego wieku. Piękność jej, więcej pociągająca niżeli oślepiająca, była rozkwitnieniem duszy kochającej, która pozwala patrzeć i przenikać aż do głębi przez fizyognomję, przez oczy i przez uśmiech. Im więcej się kto w nią wgłębiał, tym więcej odkrywał czułości, niewinności i dobroci. Przez wrażenie jakie uczyniła na mnie, gdym ją ujrzał w niemało lat później i kiedy kurz życia i lzy jej zerwały bezwątpienia z tej twarzy świeżość i puch pierwszej młodości, można było ułożyć to zachwycające wspomnienie lat szesnastu.

Nie była to ani omdlałość bladłej córki Północy, ani paląca promienistość córki Południa, ani melancholia Angielki, ani okazałość Włoszki, rysy jej więcej powabne niż czyste, usta przyjemne; nos zadarty, oczy kasztanowe jak jej włosy, przypominały raczej dziewięć wiejską nieco opaloną od słońca i od wzroku młodzieży, kiedy przywdziała suknię weselną i wchodząc do kościoła, obudzała drżenie, co się podoba, lecz nie zastrasza.

Przywiązała się ona, niemyśląc nawet o tém, do młodego awanturnika, przyjaciela jej brata, bliższego do niej latami niżeli inni goście uczęszczający do zamku. Tytuł rojalisty, dawał podówczas tym co walczyli i cierpieli za tę samą opinię, pewną poufalość bez podejrzliwości w domach szlacheckich, gdzie ich przyjmowano jako towarzyszy broni.

Młody człowiek posiadał naukę. Z tego powodu ojciec poruczył mu dawać młodej córce lekcye czytania, pisanja, religii. Uważała go jak drugiego brata trochę star-

szego od niej w życiu. On brał na siebie odpowiedzialność za nią w niebezpiecznych wycieczkach jakie odbywała z ojcem i siostrami na polowanie na dziki w owych górach; on to układał trenzle, ścisnął popręgi jęj konia, nabijał jęj strzelbę, niósł ją przewieszoną przez plecy, pomagał przeskakiwać rowy i strumienie, przynosił jęj z gestwiny zwierzynę którą ubiła, otulał ją swoim płaszczem od deszczu lub śniegu. Tak częsta i tak ścisła zażyłość pomiędzy młodym człowiekiem ognistym i czułym, a młodą dziewczyną, której wiek dziecinny rozwijał się z każdym dniem, chociaż nieznacznie, w młodość i we wdzięki, nie mogła się nie zamienić, mimo ich wiedzy, w pierwsze i mimowolne przywiązanie. Nie masz niebezpieczniejszej zasadzki dla dwojga serc nieskazitelnych, jak ta, którą zastawia przyzwyczajenie, a zasłania niewinność. Wpadli w nią już oboje, wprzód niżeli domyślać się tego mogli. Czas i okoliczności nie omieszkaly im tego odkryć niedługo.

Komitet rewolucyjny miasta *** zawiadomiony był o knowaniach układanych bezkarnie w zamku ***. Ten komitet oburzał się na tchórzostwo lub spółnictwo sąsiednich municypalności, które nie śmiały lub nie mogły rozproszyć gniazda spiskowych. Postanowił zagasić to ognisko kontr-rewolucyi, które zagrażało pożarem krajowi. Urządził tajemnie ruchomą kolumnę z żandar mów, lekkiej piechoty i gwardyi narodowej. Szła ona całą noc żeby stanąć przed świtem pod murami i przydybać znięcałką mieszkańców.

Zamek, otoczony ze wszech stron w czasie snu rodziny, nie nastęrczał już żadnych środków do ucieczki.

Dowódzca wezwał hrabiego *** o otwarcie bramy. Musiał być posłusznym. Przygotowane już były zawczasu rozkazy o uwiezieniu hrabiego i wszystkich pełnoletnich członków jego rodziny, nawet kobiet. Trzeba było uledeć. Stary hrabia, jego brat, syn, goście, służący i trzy starsze córki, wrzuceni byli na fury i odprawieni do więzień Lyonskich. Herby, broń i dwa działa owinięte gałkami dębowemi, prowadzono jako trofea za wozem więźniów. Z całego tego domu, swobodnego i spokojnego wezora, brakło w niewoli tylko zwykłego gościa i najmłodszej córki pana zamku.

Przebudzony w swęj wieży szczękiem oręża i tententem koni na pierwszym dziedzińcu, młody człowiek śpiesznie się ubrał, uzbroił się i szedł do sali fechtowania żeby drogo okupić swe życie, broniąc życia gospodarzy i przyjaciół. Było już zapóźno. Wszystkie drzwi zamku zajmowała gwardya narodowa. Dowódzca kolumny był już z żandarmami w pokoju hrabiego, i pieczętował jego papiery. Młody człowiek spotkał na wschodach hrabianki zaledwo odziane idące do ojca dla dzielenia z nim losu.

— Ratuj siostrę naszą, rzekły do niego śpiesznie trzy starsze; my chcemy towarzyszyć ojcu wszędzie, do więzienia lub na śmierć; ale ona, dziecko jeszcze, nie ma prawa rozrządzać swém życiem; skryj ją przed zbrodniarzami pilnującemi drzwi. Masz złoto! Znajdziesz ją w naszym pokoju, gdzie ją przebrałyśmy za chłopca. Znasz przejścia tajemne. Bóg czuwać będzie nad tobą. Zaprowadzisz ją w góry Cevennes, do naszej staręj

ciotki, jedynéj krewnéj jaka jéj pozostała na ziemi; przyjmie ją jak drugą matkę. Bądź zdrow!

Młody człowiek wykonał co rozkazano, szczęśliwy że powierzono mu podobny skarb i dano instrukcye tak zgodne z własnymi jego skłonnościami.

NOTATKA XVIII.

Był w zamku ***, podobnie jak prawie we wszystkich warowniach wieków średnich, podziemny przechód, który wychodząc z piwnic pod główną basztą, przerzynał taras i przeniknąwszy do podziemnej galeryi, spuszczał się po czterech lub pięciuset stopniach wschodów ciemnych aż do podnóża góry, na której zamek był zbudowany. Tutaj, krata żelazna, podobna do okien więzienia otwierała się w rozpadlinie skały na obszerne łąki, lasem otoczone, które składały kotłinę rzeki i doliny.

O tém wyjściu, którego nigdy nie otwierano, nie wiedzieli republikanie. Sami tylko mieszkańcy zamku wiedzieli gdzie klucz schowany, na przypadek okoliczności nadzwyczajnych. Młody człowiek wziął klucz, pobiegł do pokoju najmłodszej hrabianki, i Izami żalaną poprowadził przez ciemny loch, otworzył kratę, i prześlizgając się niepostrzeżony od wierzby do wierzby w łożysku strumienia, dostał się do lasu z powierzonym sobie skarbem.

Dostawszy się już na ścieżki dobrze znanych lasów, uzbrojony w dwie strzelby, swoje i towarzyszki swojej,

mając złoto i amunicyę, nieczego już się nie lękał od ludzi. Przywiązany jak niewolnik, troskliwy jak ojciec, doprowadził w ciągu kilku dni przez pola, z lasu do lasu i z drogi na drogę, hrabiankę, pod nazwiskiem młodszego swego brata, aż w okolice miasteczka, gdzie mieszkała ciotka panny ***.

Ubiór myśliwego zasłaniał go od tłumaczenia się dla czego unika dróg i wiosek. Zresztą, przychylnosc rojalistowskich i religijnych kmotków w tych górach, przyzwyczaiła ich do szanowania tajemnicy częstych ucieczek i przebrań w ich stronach.

Wszelako przed wejściem do miasteczka ***, gdzie czujność musiała być większą, uważał za rzecz potrzebną uprzedzić ciotkę panny de *** o przybyciu młodéj jéj krewnéj, i zapytać, pod jakim nazwiskiem, w jakiej postaci, i o której godzinie przyprowadzić ma ją do jéj domu.

Posłał do miasteczka chłopaka z biletem do wspomnianej damy. Po kilkogodzinném oczekiwaniu, w ciągu którego młoda towarzyszka płakała, na myśl o tak bliskim rozstaniu się, wrócił chłopak z biletem. Ciotka sama była uwięziona, i zaprowadzona przez żandarmów do Nîmes. Dom opieczętowany; ten ostatni przytułek dla biednego dziecka zamykał się u kresu podróży przed nim. Cios ten raczej uderzył niżeli zasmucił w głębi duszy dwojga zbiegów. Myśl o bliskim rozstaniu się na zawsze przerażała ich więcej, niżeli wyznać sami przed sobą odważali się. Fatalność znowu ich z sobą złączyła. Obwiniając ją, nie mogli wstrzymać się od jéj uwielbienia.

NOTATKA XIX.

Zastanawiali się przez chwilę co przedsięwziąć mają. Wybrali naturalnie, bez porozumienia się, środek taki coby ich jak najpóźniej rozłączył. Młody wygnaniec nie mógł pokazać się w domu proboszcza w Bussière bez narażenia się na niezwłoczne aresztowanie i na zgubę swego dobroczyńcy; hrabianka nie miała ani jednego przytulku u krewnych ojca swego w Forez, którego by nie zamknął przestרח i którego by mieszkańcy sami nie byli prześladowani. Postanowili więc zbliżyć się do zamku ***, i prosić o przytułek w sąsiednich górach w chatkach gościnnych kmiotków, przywiązanych do dawnego swego pana.

Wracali powoli nazad. Zapukali w nocy do drzwi biednej kobiety, wdowy po rzemieślniku robiącym trzewiki drewniane, która była mamką hrabianki, i której czułość, wdzięczność i przywiązanie, były rękojmią jej wierności. Chatka, odosobniona, na samym wierzchołku najwyższych gór, wśród lasu bukowego, niedostępna była dla żadnych odwiedzin, chyba tylko dla drwalów i myśliwych z wiosek sąsiednich. Szczupła, niska, w zakącie wąwozu, pokryta słomą, zazieleniona mchem, który spuszczał się prawie aż ku ziemi i której kolor, zlewał się z kolorem pustyni, zaledwie dostrzedz ją można było z dołu szarych skał, do których biedny robotnik ją przyczepił. Tylko wązki słup dymu błękitnawego, co się podnosił rano i wieczorem z pomiędzy białych pniów drzewa bukowego, wskazywał mieszkanie ludzkie, albo ogień gałęzi pod tułackim szalasem węglarza.

NOTATKA XX.

Ta chałupa obejmowała w murach swoich, pobrudzonych od dżdżu i zbudowanych z kamieni ciemnego granitu i łupka czarnego, tylko jedną izbę, gdzie sypiała biedna kobieta i jej dzieci. Gałęzie janowca dymły się na szerokim prostym kamieniu. Obok, stajnia trochę dłuższa od izby, przegrodzona od dachu podłogą przezroczystą z powiązanych gałęzi, gdzie chowano trawę i słomę zimową. Oślica, dwie kozy i kilka owiec wracały tutaj wieczorem z paszy, pod strażą małych dzieci.

Mamka, wiedząc od dawna o katastrofie zamkowej, o uwięzieniu hrabiego i zniknięciu młodej panienki, którą tyle kochała, zalała się łzami poznawszy ją w ubiorze myśliwego. Ustąpiła jej swego łóżka w jedyniej izbie, przygotowała dla siebie posłanie z janowca u nóg pani, przeniosła łóżka dzieci małych do stajni ogrzanej oddechem trzody, a młodemu człowiekowi dała trochę wełny nieprzedzanej żeby się zabezpieczył od zimna w składzie siana i słomy.

Tak urządziwszy się, wyszła przed świtem kupić w miasteczku najbardziej oddalonem od góry, chleba białego, wina, sera i kur na stół dla swoich gości. Przez ostrożność kupowała te zapasy w różnych miejscach, lękając się obudzić podejrzenie przez wydatek nieodpowiedni jej sposobowi życia i ubóstwu. Przed południem, wdrapała się znowu na swoją górę, położyła sakwy na ziemi, i zastawiła na obrusie posiłek dla gości.

NOTATKA XXI.

Mamka zabroniła dzieciom oddalać się na pewnią odległość chałupy i mówić przed pasterzami o dwóch myślowych, którzy przynieśli dostatek, radość i błogosławieństwo Boże dla tego domu. Dzieci pyszne że wiedzą i chowają tajemnicę, wiernie były posłuszne matce. Nikt się nie domyślał w okolicach że uboga chałupa, zagrzebana latem wśród liści, zimą we mgle i śniegu, mieści w sobie świat wewnętrzny szczęścia, miłości i wierności. Jeżeli tak opisuję tę chałupę, to dla tego że ją widziałem, w innej epoce mego życia, w czasie podróży po Francji Południowej.

Nikt nie potrafił wiedzieć, odkryć lub opisać tego co się działo w sercu młodej dziewczyny i młodego człowieka, tak zbliżonych z sobą przez samotność, przez konieczność i pociąg wzajemny w ciągu całego długiego roku trwogi zewnątrz, roku zbyt krótkiego może, rozmów, zwierzeń się i wzajemnego przywiązania wewnątrz. Nic ztąd nie wychodziło dalej za obręb murów ciasnej chałupy, bzy ogródka, łożysko strumyka, drzewa bukowe lasu. Życie dwojga młodych pustelników nigdy nie wydostawało się za ten obręb. Wychodzili razem tylko w nocy, z nabitą strzelbą pod pachą, żeby, zawsze unikając ścieżek utworzonych, wyprostować znużone odpoczynkiem członki w długich wycieczkach nocnych, odetchnąć świeżym powietrzem przesiąkniętym wonnością jasnawca, zebrać kwiaty alpejskie przy blasku księżyca letniego, lub siedzieć jedno obok drugiego na mehem

porosłych stopniach wklęsłej skały, z kąd wzrok zapuszczał się w dolinę ***, w zamek pusty, gdzie już nie było widać ani światła, ani dymu, i w rozległy horyzont błękitny, podobny do morza, co się rozciąga ztąd przez łożysko Rodanu aż do brzegów Alp Włoskich.

NOTATKA XXII.

Któż ich obwiniać może nieobwiniając raczej ich przeznaczenia? Któż powiedzieć zdoła na jak niewyraźnej granicy pomiędzy szacunkiem a uwielbieniem, między zaufaniem a wylaniem się zupełnym, między pociągami a słabością, między cnotą a miłością zatrzymało się, w tym odosobnieniu przymuszonym, uczucie tych dwojga dzieci jedno ku drugiemu? Trzebaby na to oka samego Boga. Wzrok ludzki miesza się, olśniewa i wilgotnieje przed tajemnicą takiego położenia! Jeżeli była w tym wina, widzieć jej nie może tylko przez lzy, i potępiając obmywa ją i odpuszcza jej. Świat zamknięty, niebo otwarte, ucisk prześladowania ciężący nad ich sercami i popychający mimo woli jedno ku drugiemu, wiek równy, ubiór podobny, wrażenia wspólne, jednostajna niewinność lub niewiedomość niebezpieczeństwa; różnica stanów zapomniana lub zatarta w tym całkowitem odaleniu się od świata; niepewność czy społeczeństwo ze swoją przyzwoitością i stopniami otworzy się kiedykolwiek dla nich; pospiech w kosztowaniu swobody, zagrożonej w każdej godzinie, której używali jako ukradkowego szczęścia; krótkość życia w owym czasie kiedy nikt

jutra nie był pewny; ciemność nocna, co we wszystkim większą poufalskość obudza; blask księżyca i gwiazd, co wzrok upaja, a serce uwodzi; ciasna ich niewola w domu matki, co niedopuszczała żadnej różnorodności ich myślom, żadnej przerwy w ich rozmowach; nareszcie ta góra wysoka, ciasna i jakby niedostępna dla przestrzeni, co się stała dla nich światem całym, i zdawała się wyspą nadpowietrzną zawieszoną po nad tą ziemią, którą widzieli zdaleka pod swymi stopami, pod tym niebem, które widzieli tak bliskim swych głów: wszystko to przykładało się do popełnienia ich, do skrepowania w moralnym uścisku wszelkimi węzłami ich duszy; do szukania wyłącznie w sercu jedno drugiego tego życia, które się zaciemiło i prawie znikło koło nich: życia podwójonego tym sposobem w chwili kiedy zagrożeni byli jego utratą, które samotność tylko miało za scenę, a tylko kontemplację za żywioł.

NOTATKA XXIII.

Czy byli dosyć ostrożni żeby przewidzieć mogli, tak młodzi, niebezpieczeństwa wiecznych ponęt ich samotności? Czy byli dość silni do oparcia się gdyby ich doświadczali? Czy się kochali jak brat i siostra? Czy sobie obiecywali słodsze imiona? Któż powiedzieć zdoła? Znałem oboje bardzo blisko. Ani jedna, ani drugi nigdy nie nie wyznali o tym roku awanturniczym. Tylko, gdy się spotkali z sobą, w wiele lat potem, unikali spojrzenia na siebie w obecności świadków. Nagła posępność,

połączona z rumieńcem i bledością, rozlewała się na ich twarzy, jakby widmo czasu, niewidzialne dla nas, przesunęło się przed nimi, ciskając na nich swój odbłask czarodziejski. Czyli to była czułość źle zagaszona? czy namiętność tchem rozdmuchana pod popiołem? czy niepokojna obojętność wspomnienia? czy żal lub zgryzota? Któż wyczytać zdoła, w dwóch sercach zamkniętych, litery zatarte potokami łez i które odżywają jedynie przed okiem Boga?

NOTATKA XXIV.

Więcej niżeli rok upłynął tym sposobem. Potem zlągodził się terroryzm w okolicach tamiecznych. Pootwierały się więzienia. Stary hrabia wrócił do opustoszałego zamku z trzema córkami. Mamka przyprowadziła najmłodszą w objęcia ojca. Młody człowiek ostatni opuścił te góry.

Powrócił smutny, i starszy o lat dwadzieścia w ciągu kilku miesięcy, do probostwa w Bussiére. Coraz bardziej prowadził życie myśliwskie z ojcem moim i szlachtą sąsiednią. Tylko, niekiedy oddalał się na dni kilkanaście w dalekie strony, a niewiedzano o celu tych wycieczek. Za powrotem, powiadał, że psy go pociągnęły tropem sarni, i że musiał iść za nimi żeby je odprowadzić. Nie także, jak powiadają, nie zmieniło się w zamku ***, w inną prowincję, tylko że gość co zniknął, już tam się więcej nie pokazywał jak dawniej. Prowadzili tam

jak przedtęm toż samo życie polowania, biesiad i oklepnej gościnności, jak podczas rewolucyi.

NOTATKA XXV.

Co się tycze ubogiej mamki, ciągle mieszkała w samotnej chatce na górze. Wychowywała sierotę z własnymi dziećmi. Dziecię to nosiło bieliznę trochę cieńszą od konopnego płótna owych gór. W ręku miewało zabawki kupione, jak się zdawało, w mieście. Kiedy zapytywano biedną kobietę czemu taka różnica i do kogo należy sierota, odpowiadała że je znalazła jednego ranka pod drzewem bukowem, u źródła, dokąd poszła po wodę, i że handlarz obnoszący towary po górach, przynosił mu od czasu do czasu bieliznę delikatniejszą i zabawki z kości słoniowej i koralu. Ta hojność z bogaciła ją. Znałem sierotę. Dziecię prześladowania, nosiło jego smutek w duszy i w rysach twarzy.

W pięć lub sześć lat później, ostatnia córka hrabiego poszła za męża za starca, najłagodniejszego, najpowszechniejszego z ojców dla młodej dziewczyny. Poświęciła się podeszłym jego latom. Wywiózł ją na zawsze do małego miasta Francyi Południowej, gdzie mieszkał. Młodyj towarzysz wygnania, co się wahał dotąd między światem a kościołem, uczuł nagle że się skończyło jego wahanie, gdy się dowiedział o wyjściu za mąż hrabianki. Nie widział nic już w życiu czego by miał żałować. Wyzeł się go też bez trudności. Wstąpił do seminarium nieoglądając się po za siebie. Potęm zamknął się na

kilka tygodni u biskupa w Macon, dawnego swego protektora, który wyszedł teraz z więzienia, i kończył ubogie i dolegliwe życie w domu jednego z wiernych sług, o kilkanaście kroków od swego niegdyś pałacu biskupiego. Biskup wyświęcił go na kapłana. Wrócił on pełnić skromne obowiązki wikarego w Bussière. Pełnił je, jakęm powiedział, aż do śmierci starego proboszcza, po którym nastąpił.

NOTATKA XXVI.

Takie było ukryte tło życia tego człowieka, którego zdawało się że trafia umieścić obok własnego mego życia, jako jednobrzmiennosc smutną i czułą wczesnemu rozczarowaniu mojej młodości: uśmiech gorzki i rezygnowany nad przepaścią cierpiącej czułości, doskwierające wspomnienia, błędy ukochane, miłość źle przygazona i lzy hamowane. Przezroczyść tych wszystkich rzeczy w jego postawie, w jego fizyonomii, w milczeniu i głosie, przywijały mię bez wątpienia tak naturalnie do niego. Gdyby był szczęśliwy i rozsądny, niepokochałbym go tyle. Jest politowanie w przyjaźniach naszych. Nieszczęście jest powabem dla niektórych dusz. Łzy skleją serca nasze i prawie wszystkie nasze głębokie przywiązania początek biorą z rozrzewnienia.

NOTATKA XXVII.

Tak upłynęło dla mnie owo lato samotności i oschłości duszy. Ucisk moralnego życia wśród tej jalości i odosobnienia, siła mojej myśli nurtującej bezustanku we mnie cześć mego istnienia, bicie gorejącego serca bez rzeczywistego żywiołu i oburzającego się na przykry brak powietrza, światła i miłości, do których byłem spragniony, skończyły się na pokaleczeniu mnie i trawieniu aż do samego ciała, i sprowadziły na mnie słabość, spazmy, upadek ducha, niesmak do życia, żądę śmierci, co brałem za choroby ciała, a które były jedynie chorobą duszy.

Lekarz domowy, co niekiedy zatrzymywał konia swego u drzwi moich, objeżdżając wsi, strwożył się tem. Był dobry, czuły, rozsądny; nazywał się Pascal. Kochał mnie jak roślinę, którą pielęgnował w pięknym jej niemożliwym. Kazał mi jechać do wód w Aix w Sabaudyi, chociaż pora kąpieli już przeminęła, i miesiąc październik roznosił pierwszą mgłę nad dolinami, a w powietrzu pierwsze dreszcze. Ale z przepisu chciał dla mnie nie tyle kąpieli ile roztargnienia, wstrząśnienia moralnego, zmiany miejsca. Niestety! zanadto był natchniony i zanadto usłuchany!

Pożyczyłem dwadzieścia pięć luidorów od starego przyjaciela mego ojca, ubogiego i miłego staruszka nazwiskiem Blondel, który kochał młodość, ponieważ sam posiadał dobroć, ten wieczny sok, tę niewyczerpaną młodość serca. Puściłem konia mego na wolność razem

z wołami, których tuczą na łąkach Saint-Point, i odjechałem. Wyjechałem bez żadnej wyraźnej skwapliwości, pożądania, radości, jakich doświadczałem wybierając się na inne wycieczki, ale ponury, milczący, zabierając z sobą dobrowolną moją samotność, i jakby z przeżuciem że będę musiał zostawić część siebie w tej podróży, i że za powrotem nie przywiozę z sobą serca mego.

Oto ustęp napisany w owej epoce, i wynaleziony na marginesie *Tacyta*:

NOTATKA XXVIII.

(Napisana w drodze pod drzewem, w dolinie des Echelles, w Chambéry).

Zaczynam dzisiaj rok dwudziesty pierwszy mego życia, i tak jestem znużony jak gdybym żył lat sto. Nie sądziłem żeby żyć była rzecz tak trudna. No! dla czegoż tak trudna? Kęs chleba, odrobina wody z tego źródła, wystarczą. Organa moje zdrowe. Członki rzeskie. Oddycham swobodnie powietrzem przesiąkniętym wonią życia roślinnego. Mam niebo zachwycające nad głową, dekorację naturalną, wspaniałą, przed oczyma. Strumień ten, pieniący się z radości że płynie po lewej mej stronie, ta kaskada pyszna że zrzuca tęcze w swoim spadaniu, te skały co kąpią swoje mchy i kwiaty w zbawiennej wilgoci wód, jak owe bukiety co nie więdną w naczyniu; tam wysoko, te chatki zawieszane na gzemie góry jak gniazda jaskółek u dachu niebieskiego, te

trzody pasące się na tłustej trawie która im sięga aż po golenie, ci pasterze co siedząc na zakrętach doliny przypatrują się nieporuszeni jak strumień i dzień upływają; ci wieśniacy i te dziewczyny co idą drogą w świątecznym ubiorze, i na odgłos dalekiego dzwonu przyspieszają trochę kroku żeby stanąć w porę u drzwi domu modlitwy: czyliż to wszystko nie jest obrazem zadowolenia i życia? Czyliż te fizyognomije mają zmarszczkę zadumania i skupienie myśli jakie znajdują się na mojem czole? Nie. Rzucają one światło bez cienia na ich rysy. Widać aż do dna i widać tylko dusze przezroczyste. Gdybym spojrzał na dno siebie samego, potrzebowalbym całych godzin na rozpoznanie tego wszystkiego co się burzy we mnie...

A przecież nie mam już żadnej namiętności tu na ziemi; ale serce nigdy nie jest tak ciężkiem jak kiedy próżne. Dla czego? Bo się napelnia nudami. Oh! tak, mam jedną namiętność, najokropniejszą, najwięcej ciążącą, najwięcej gryzącą ze wszystkich.... nudy!

Byłem bezrozumny. Spotkałem szczęście i nie poznałem go; a raczej, poznałem je dopiero wówczas, kiedy już go osiągnąć nie mogłem! Nie chciałem go! Wzgardziłem niemi. Śmierć wzięła je dla siebie. O Graziello! Graziello!... pocóżem cię opuścić?... Jedyne dni rokoszne w mém życiu, są te które przeżyłem obok ciebie w ubogim domku twojego ojca, z twoim młodym bratem i starą babką, jak dziecię należące do rodziny! Czemużem tam nie został? Czemużem nie zrozumiał że mnie kochałaś? A kiedy zrozumiałem, czemużem ciebie sam nie dosyć kochał, żeby dać ci poznać pierwszeństwo nad

wszystkiemi, żeby się nie wstydzić ciebie, żeby zostać rybakiem razem z twoim ojcem, i zapomnieć w tém życiu prostém i w objęciach twoich, o mém nazwisku, o moim kraju, o mém wychowaniu, i o całej odzieży kajdan, w którą przystrojono duszę moję i która staje jej na przeszkodzie przy każdym kroku, kiedy chce ona wrócić na łono natury?...

Teraz za późno!.. Ty nie mi już dać nie możesz prócz zgryzoty wiecznej żem cię opuścił!... a ja nie tobie dać prócz łez, które mi w oczach stoją kiedy pomyślę o tobie, łez których ukrywam źródło i przedmiot, z obawy żeby nie powiedzieli: „Oplakuje córkę biednego rybaka, która nie codziennie nawet trzewiki nosiła, suszyła figi ze swojej wyspy na wiciach łozy, na słońcu, bez żadnego ubrania głowy prócz włosów, i zarabiała na chleb tocząc korale po dwie paciórki dziennie!... Co za kochanka! Dla młodego człowieka co tłumaczył Tybulla i czytał Dorata i Parny!..“

Próżność! próżność! ty gubisz serca, ty przewracasz naturę. Nie masz dość bluźnierstw w moich ustach przeciwko tobie!...

Moje szczęście, jednak, moja miłość tam była. Oh! gdyby westchnienie smutniejsze jeszcze niżeli jęk wód w tej przepaści, ognistsze niżeli ten promień odbity o skalę ognistą czerwoności ku niebu, mógł cię wskrzesić!... Poszedłbym, obmyłbym śliczne twe bosc nogi łzami mojemi... Tybyś mi przebaczyła... Pyszniłbym się z mojego poniżenia w oczach świata, dla ciebie!...

Widzę cię, jak gdyby cztery lata zapomnienia i grubość trumny i murawy na twój mogile nie przedzielały

nas!... Ty jesteś tam! szara, gruba, welniana z twar-
 dym kozim włosom suknia, ścisła twoje kibić dzie-
 cięcą spada w ciężkich faldach po kostki zaokrąglone
 nóg bez obuwia. Spina ją koło twych piersi prosty czar-
 ny sznurek. Włosy twoje związane z tyłu głowy zdobią
 dwa lub trzy gwoździki, czerwone kwiatki zwiedle od
 wczora. Siedzisz na terrasie na brzegu morskim, gdzie
 się suszy bielizna, gdzie kury siedzą na jajach, gdzie
 się czolga jaszczurka, między dwiema lub trzema do-
 nieczkami rezedy i rozmarynu. Proch czerwony od ko-
 rali które polerowałaś wczora przypruszył próg twoich
 drzwi obok moich. Kulawy stolik przed tobą. Ja z tyłu
 stoję. Trzymam ci rękę żeby kierować twemi palcami na
 papierze i uczyć cię pisania liter. Ty pracujesz z natę-
 żeniem umysłu i powabną niezgrabnością, tak że twarz
 prawie kładziesz na stoliku. Nagle zaczynasz płakać z nie-
 cierpliwości i wstydu, widząc że list któryś przepisała
 bardzo daleki od wzoru. Ja cię strofuję, zachęcam; bie-
 rziesz znowu pióro. Tą razą idzie lepiej. Obracasz
 twarz twoją czerwoną z radości ku mnie, jakby szuka-
 jąc nagrody w spojrzeniu zadowolonym twego nauczy-
 ciela. Ja zwiżam niedbale kędziór twych włosów czar-
 nych na mój palec, jakby pierscionek żyjący! bluszcz
 co się trzyma jeszcze gałązki!... Mówisz do mnie: „Czy
 kontent jesteś? Czy prędko będę mogła napisać twoje
 imię?“ I po skończonej lekcji, znowu się bierzesz
 do roboty, na swym warsztaciku w cieniu. Ja czytam
 książkę u nóg twoich. A wieczory zimowe, kiedy żywy
 i różowy blask pestek z oliwków rozpalonych w fajerce,
 które ty rozdmuchiwalaś, odbijał się o twoje szyję i twarz

czynił cię podobną do *Fornarina*! I w piękne dni na
 Procydzie, kiedyś bosą nogą wchodziła wśród piany mor-
 skię zbierać frutti di mare! I kiedyś dumala, podparwszy
 się ręką, patrząc na mnie, i kiedy sądziłem że myślisz
 o śmierci twojej matki, tak wielki bowiem smutek rozle-
 wał się na twój twarz!... A w nocy, kiedy cię porzuci-
 lem martwą i białą na twym łożu jak statwę marmurową,
 i kiedy zrozumiałem wreszcie że cię jedna myśl zabiła...
 i że tą myślą byłem ja!... Ach! nie chcę mieć innego
 obrazu przed oczyma aż do śmierci: jest grób w mojej
 przeszłości, jest krzyżyk w moim sercu. Nie pozwolę
 go nigdy wydrzeć, ale owinę najczystsze kwiatami
 wspomnienia!

.....
 Notatka na tém się przerywa. Resztę książki zajmu-
 ją próby wierszy i rachunki oberżystów na drodze do
 Chambéry.

NOTATKA XXIX.

W chwili kiedy pisałem ten smutny ustęp, na kolanie
 przy drodze, kocz pocztowy przejechał cwałem koło
 mnie przybywający z Francji. Siedzieli w nim trzech
 młodych ludzi i młoda kobieta. Patrzyli na mnie z za-
 dziwieniem i ironją.

— Oh! patrzcie no, zawołała młoda kobieta uśmie-
 chając się; otóż bez wątpienia poeta téj natury. Oh!
 piękny poeta, gdyby nie był tak zakurzony!

Obrzydliś świecie! wszędzie więc mnie ścigać będziesz
 płochami twemi widzeniami? Poszedłem w inne miejsce

żeby się nie nasuwać na oczy. Usiadłem dalej od drogi, pod drzewem bukszpanowem z kądem nie widziałem już kaskady, ale słyszałem ją, i pisałem dalej.

Czuje trochę rosy w sercu wtenczas dopiero, kiedy jestem sam na sam z naturą. Wszystko cokolwiek tylko przejdzie tę samotność klóci lub przerywa milczącą rozmowę między duchem samotności, którym jest Bóg, a mną. Język jakim natura przemawia do duszy mojej jest cichym językiem. Najmniejszy szmer usłyszeć go nie pozwala. W tej świątnicy w której skupiamy swe myśli, żeby marzyć, dumać, modlić się, nie lubimy słyszeć za sobą chodu obcego. Znajdowałem się w jednej z owych godzin melancholii częstych podówczas, dzisiaj rzadkich, w których słyszałem bicie mego własnego serca, kiedy przykładam ucho do ziemi żeby słyszeć pod nią, w lasach, w wodach, w liściach, w biegu obłoków, w dalekim obrocie gwiazd, szmer stworzenia, sprężyny dzieła niemającego końca, i, iż tak rzekę, szelest Boga.

NOTATKA XXX.

Chroniłem się więc, z pewnym gniewem wewnętrznym, od owych śmiechów natrętnych, niesfornych, co mnie wyrwały z mego dumania. Schowałem się za grubą skałę oderwaną od góry, i blisko ogromnej ryny, po której strumień prostopadle spadał na dolinę. Ogłuszał mnie jednotonny jego loskot; wilgotny jego kurz, rozpryskując się, tworzył na mojej murawie mgłę przerznaną słońcem, która się ciągle ruszała jak franka gazo-

wa zwijana i rozwijana przez wiatr. Wróciłem do rozmowy wewnętrznej. Pogrzeżyłem się w mój smutek. Zastanawiałem się nad wszelkimi krokami krótkiego życia mego. Zapytywałem czy warto było żyć, i czy nie lepiej byłoby być jedną z świetlnych kropeł tego wilgotnego kurzu, ulatniającego się w ciągu sekundy ku słońcu, i ginącą bez czucia w eterze, niżeli duszą człowieka żeby żyć, tęsknić, cierpieć i umierać przez lata i lata, a nakoniec ulotnić się także nie wiem w jaki ocean istnienia, który bydl musi pełen jęków, jeżeli zbiera wszystkie boleści ziemskie i wszystkie cierpienia istoty czującej.

Uczyniłem tylko kilka kroków, mówiłem do siebie, i już mi dosyć! Czynność mego umysłu pożera samą siebie dla braku pożywienia. Czuje w sobie dość siły do podniesienia tych gór, a los mój nie daje mi nawet słomki do podniesienia! Pracaby mię rozerwała, a nie mam do roboty! Wszystkie bramy życia zamykają się przedemną. Zdaje się że mój los jest być wygnańcem z życia czynnego, żyjącym na cudzej ziemi, i nigdzie niebędącym u siebie, tylko na pustyni i w rozmyślaniu!

W braku użycia moich sił umysłowych na coś użytecznego i chwalebego w mém życiu, chciałbym przynajmniej użyć potęgi przywiązania i miłości, która ścisła mi serce aż do przyduszenia go, bo nie mogę przycisnąć innej istoty do tego serca. Tego nawet jestem pozbawiony. Sam jeden jestem, w świecie uczuć równie jak w świecie intelligencji i działania. Kiedym spotkał Graziellę, było zawczeźnie, serce moje było zbyt młode do kochania. Później serca kobiet które widziałem były

to naczynia kwiatów, z których wonność naturalna uleciała i napelniały je tylko próżność, lekkomyślność albo lubieżność, fałszywe miłości światowej, te męty duszy, do których prędko wstąpiłem. Teraz nikt mnie nie kocha, i ja nie kocham nikogo; jestem na ziemi jak gdybym nie był na niej; gdyby ta skała zwała się na mnie, gdyby ta piorunująca smuga wody porwała mnie z sobą i starła na miazgę w tej przepaści nikt, oprócz matki mojej, nie spostrzegłby że braknie jednej istoty jęj sercu. I cóż! mówilem do siebie wewnętrznie, czyliż nie ma na ziemi drugiego Grazielli, w jakimkolwiek stanieby się urodziła? Czyliż nie ma duszy młodej, niepokalaną, kochającą, z którąby zlała się moja dusza, a ona zatopiłaby się w mojej, i uzupełniła we mnie, jakbym ja uzupełnił w niej, tę istotę niedoskonałą, tulającą się i tęskniącą dopóki jest sama jedna, zaspokojoną, pocieszoną, szczęśliwą, skoro się zamieniła próżnem swoim sercem na drugie serce?

I tak boleśnie czulem nudę podobnej samotności duszy, pustynię obojętności, oschłość życia, że chciałbym umrzeć natychmiast żeby wynaleźć cień Grazielli, ponieważ znaleźć nie mogłem podobieństwa do niej w żadnej z kobiet roztrzęsionych, lekkomyślnych, płochych, które spotykałem w dni mego oblężania.

NOTATKA XXXI.

Kiedy, podpierając czoło rękami, zanurzałem się w labirynt własnej czułości bez przedmiotu, zostałem prze-

budzony z zadumania harmonijnym skrzypem strón jednego z instrumentów wiejskich, jakie młodzi Sabaudzcy robią podczas zimowych wieczorów w swoich górach i zabierają z sobą na długie wygnanie we Francji i Piemencie, żeby sobie przypomnieć przez kilka piosenek wiejskich, przez kilka *ranz de vaches*, obrazy biednej ojczyzny. Nazywają te instrumenta *vielles*, ponieważ gwarzą więcej niżeli grają, i że nóty przedłużają się słabnąc, wychodząc z tonu, i drgają jak głos starych kobiet podczas wieczorów wiejskich.

Obróciłem się w stronę z kąd wychodziły te dźwięki bardzo bliskie. Ujrzałem, niemogąc być widzianym, o kilka kroków odemnie, grupę która nigdy nie wyszła mi z pamięci, której powtórzyłem później część w poemacie *Jocelyn*, i którą pędzel Greuza wzięłby za przedmiot jednego z najnajwinniejszych i najtkliwszych obrazów.

NOTATKA XXXII.

Na trawniku przyległym do drogi i kaskady, między dwiema skalami na których rosły dwie lub trzy olchy, chłopiec dwónasto lub trzynastoletni, młody człowiek dwódziesiętletni, młoda dziewczyna ośmnastoletnia, siedzieli na słońcu. Chłopiec bawił się z piaskiem białym, z długą sierścią, uszyna stojącymi trójkątnymi, gatunku psów górnych które wygrzebuja świszczów w śniegach alpejskich. Wkładał mu na szyję i zdejmował znowu obrożę skórzanną, której dzwoneczkami brząkał podno-

Tom II.

sząc ją jedną ręką w górę, a piesek stawał na tylnych lapkach żeby odebrać swoją ozdobę.

Młody człowiek ubrany był w długi nowy kaftan z grubego białego o długim włosie sukna. Takież same miał kamasze, które mu zachodziły aż za kolana i rysowały muszkuły jego gołeni. Trzewiki także nowe podbite były na podeszwie dużemi błyszczącemi ówieczkami z szlifowaną głową, której kątów chód jeszcze nie wygładził. Długi kij okuty żelazem spoczywał między kolanami; trzymał go w rękach i opierał brodę na gałce kija, która była z kości słoniowej albo rogu. Torba z podwójnym rzemieniem białym dla wkładania przez plecy, leżała na ziemi o kilka kroków od niego. Twarz jego piękna, myśląca, spokojna, jak te piękne fizyognomije wolów przeżuujących, które leżą na tłustej paszy w górach Jura, koło chat miejskich. Długie włosy jasno-żółtawe, obcięte w kwadrat, spadały mu po obu stronach twarzy. Patrzył na okucie swego kija, i zdawał się być pogrążony w niemęj myśli.

NOTATKA XXXIII.

Młoda dziewczyna była wysoka, szczupła, wysmukła, budowy mniej krzepkiej niżeli u kobiet tego wieku między wieśniaczkami płaszczyzn. W jej szyi, w trymaniu głowy, w kształcie ramion, w lekkiej wydatności piersi na których łono ledwie się rysowało, i bardzo nisko, jak w greckich torsach kobiet Spartańskich, widać było coś rzeskiego, dumnego, dzikiego, co przypo-

minało elastyczność i giętkość szyi i głowy wielbłąda. Gruba wełniana zielona suknia, oszyta czarną taśmą, dochodziła tylko do połowy gołeni. Pończochy miała niebieskie. Trzewiki zakrywały ledwie końce palców. Zdobiła je szeroka sprzączka stalowa. Chusteczka czerwona spadała trójkątnie między ramionami i krzyżowała się na piersiach; łańcuch złoty na szyi; stroik czarny na głowie oszyty szeroką koronką, która spadała jak zwiedłe liście na czoło i obrzeżała twarz. Oczy najpiękniejszego błękitu wód kaskady. Rysy nie nader wydatne, ale miłe, dumne, pociągające; cera tak biała i tak różowa jak u kobiet wychowywanych w cieniu salonów naszych miast lub w serajach Azji. Wieczny chłód w tych górach, sąsiedztwo śniegów, wilgoć wód, odbijanie się łąk zachowują córę Alp od ogorzeliżny, która bronzem powleka cerę córek Południa.

Siedziała ona, podparwszy się na lewą rękę, między chłopcem, który wnosząc z podobieństwa był jej bratem, a młodym człowiekiem, którego wziąć można było za jej narzeczonego lub kochanka. Prawą ręką przyciągnęła do siebie instrument do połowy jeszcze schoowany w skórzannym futerale. Bawiła się wyprowadzaniem z niego kilku dźwięków końcem palca poruszając korbę i zdawało się że ich nie słyszała, tylko czyniła to dla rozzerwania swych myśli. Fizyognomija jej wyrażała niefrasobliwą odwagę i głębokie dumanie, które podnosiło się od serca jak cień na twarz, jak wilgoć do pięknych jej oczu. Widać było że niemy dramat odbywał się między temi dwiema postaciami, które nie śmiały spojrzeć na siebie z obawy żeby się nie rozplakały,

ale które widziały i słyszały siebie udając że gdzieindziej patrzą i słuchają.

Niestety! był to wiekuisty dramat życia: ręka co przyciąga i ręka co odpycha! miłość i przeszkoda, szczęście i rozłąka!... Zrozumiałem za pierwszym rzutem oka że jest to wypoczynek, jaki młode dziewice gór odbywają z kochankami, wybierającemi się w daleką drogę, przeprowadziwszy ich same na pół dnia drogi od swojej wioski.

NOTATKA XXXIV.

Ten skrzyp wiejskiego instrumentu zwrócił moje oko i uwagę.

Widziałem tę grupę, niemogąc być widzianym od niej, ukryty gałęzmi bukszpanu i rogiem skały, o którą byłem oparty. Podniosłszy oczy trochę wyżej, spostrzegłem starą kobietę zgarbioną pod ciężarem lat, i której białe włosy wiatr od kaskady rozwiewał po szyi. Matka bez wątpienia jednego z dwojga młodych podróżnych, stała bez przesady w pewnej odległości, jakby chcąc nieprzeszkadzać ostatniej rozmowie. Niby szukała w roztertgnięciu, od krzaku do krzaku czerwo-

nych jagód berberysu, które brała w usta i zbierała do fartucha.

Dziewczyna wkrótce odepchnęła nogą instrument muzyczny, i położywszy obie ręce na trawie, z twarzą obróconą ku młodemu człowiekowi, rozmawiali z sobą półgłosem, smutno poglądając na siebie, przez kwadrans. Nie mogłem dosłyszeć słów; ale po wyrazie ust i oczu, domyślałem się że serca ich rozplywały się i że lzy były na krawędzi ich myśli. Zdawało się że się żegnają, dając sobie przestrogi i przysięgi; nie spostrzegali że dzień ma się ku schyłkowi.

Nagle chłopiec, co zaczął tańczyć o kilka kroków ztąd z pieskiem na małym pagórku, zbiegł skacząc, i przerywając ich rozmowę, rzekł:

— Bracie, powiedziałeś żebym ożnał, kiedy słońce pokaże się na górze; patrz jakie czerwone między wierchołkami sosen.

Na te słowa, młody człowiek i młoda dziewczyna wstali nie nieodpowiadawszy; zawołali staruszkę; zbliżyła się; chłopiec włożył obrożę pieskowi, który stanął przy nogach swego pana. Grupa złączyła się i uściśkała się; młody człowiek uściśkał naprzód matkę, potem chłopca; nakoniec młodą dziewczynę; długo się trzymali w objęciach w mocnym uścisku; rozłączali się, zbliżali się, uściśkali się znowu, potem, nareszcie oddalili się nie śmiejąc obejrzeć się, jak gdyby się lekali iż nie potrafili się oprzeć pociągowi, któryby zwracał ich nazad bez ustanku. Chłopiec tylko został z młodym podróżnym i towarzyszył mu przez pewną odległość, na drodze do Francyi.

Patrzę na tę milczącą scenę, zapomniałem wszystkich czarnych moich myśli. Pożegnanie było smutne, ale przypuszczało powrót; miłość była w głębi tego zmartwienia. Miłość wystarcza na pociechę we wszystkim; w głębi mojego zmartwienia była tylko nuda, co sama czuje siebie, nicosć co cierpi, przepaść co się rozszerza wszelkimi uczuciami jakie jęj nie zapelniały.

NOTATKA XXXV.

Zerwałem się nagle. Wziąłem moje książkę, torbę kij, leżące koło mnie na ziemi. Ciekawosć machinalna powiodła mnie na drogę w tém miejscu i w tej właśnie chwili, kiedy chłopiec powracając miał dognać dwie kobiety. Szły one w milczeniu, przed nami. Zacząłem rozmowę z chłopcem, idąc w też samą stronę i miarkując krok mój z jego krokami. Po krótkiej rozmowie, dowiedziałem się że podróżny jest starszym bratem chłopca; że narzeczony pięknej dziewczyny, która ma imię Małgorzata; że staruszka jest matką Małgorzaty; że obie kobiety mieszkają w pierwszej wsi w Maurienne, równie jak jego brat i on; że chciały przeprowadzić podróżnego aż do połowy dnia drogi do Francji; że bratu imię Józef; że skałczył się spadłszy z wierzchołka drzewa orzechowego, na którym zbierał włoskie orzechy dla matki Małgorzaty, na rok przed dojściem do wieku popisowego; że to nieszczęście było dla niego szczęściem, ponieważ go oswobodziło od zaciągu

wojskowego, i że matka pięknej Małgorzaty, o którą ubiegali się najbogatsi z sąsiednich wiosek, przyrzekła mu córkę w nagrodę przypadku, jakiego doświadczył dla nięj; że Małgorzata i Józef kochają się jak gdyby byli brat i siostra; że się pobiorą z sobą, kiedy Józef zbierze dosyć pieniędzy na kupno małego ogródka, za domem jego ojca; że w tym celu nauczył się dwóch professyj odpowiednich jego kalectwu, które mu nie pozwalało zajmować się ciężką pracą ręczną, to jest nauczyciela dzieci wiejskich, i skrzypka na zabawach i weselach; że tym sposobem wychodził co jesień wykonywać obie te professye przez zimę w górach, za Lyonem; ale że pewni są iż to będzie ostatnia jego podróż, bo już trzy razy przynosił pełny skórzany woreczek, i przy jego odejściu tak bardzo płakała Małgorzata, i tak była smutna w czasie jego nieobecności, że trzeba będzie żeby jęj matka zgodziła się wziąć do siebie Józefa na zawsze, na przyszłą wiosnę.

NOTATKA XXXVI.

Tak rozmawiając zbliżyliśmy się do dwóch kobiet. Szedłem już prawie po cieniu Małgorzaty, który słońce zachodzące daleko przedłużało na drodze, aż do moich nóg. Podziwiałem w milczeniu zgrabną kibić i krok wymierzony tej zachwycającej córy gór, którą natura nacechowała daleko większą szlachetnością i wielkością niżeli sztuka nadać ich może postawie wytuczonych ko-

biet naszych teatrów lub salonów. Zdjęła wszakże pończochy i szła boso, trzymając piękne trzewiki ze sprzączkami po jednym w każdym ręku. Słyszała jakem rozmawiał z chłopcem, i obracała się od czasu do czasu żeby go zawołać. Twarz jej była poważna, ale wypogodzona i bez łez. Widać było nadzieję w jej zmartwieńniu. Przyspieszała kroku, bez wątpienia żeby dojść do wsi przed nocą.

Nagle, na wierzchołku niewielkiej góry przez którą idzie droga, o kwadrans od kaskady, słaby i daleki skrzyp góralskiego instrumentu dał się słyszeć i przedłużał się w melancholicznych tonach przez liście osiczy i janowców, ocieniających lewy brzeg strumienia Coux.

Wszyscy czterej obróciliśmy się, patrzyliśmy w stronę z którą dochodziły dźwięki; ujrzelśmy daleko, na szczycie poręczy idących koło drogi na górę des Echelles, biednego Józefa opartego o skałę przy drodze, i pieska jak punkcik biały przy nim. Obrócony był ku Sabaudyi, i zdjawszy z ramion kobzę, zagrał ostatnie pożegnanie skalom rodzinnym i sercu ukochanej swojej Małgorzaty. Biedna dziewczyna upuściła trzewiki z rąk; zakryła twarz fartuszkem, i płakała przy drodze słuchając tych nót ulotnych, które z każdym powiewem wiatru przynosiły jej wspomnienia wieczorów przepędzonych w oborze, i nadziei tak dalekiej na przyszłą wiosnę.

Nikt z nas nie przerwał próżnym słowem pociechy tej nadpowietrznej rozmowy między dwiema duszami, którym kawałek drzewa i strona mosiężna za tłumacza słu-

żyły, i które żegnały się z sobą po raz ostatni przez czas i przestrzeń, jakie już je dzieliły.

Kiedy skończyła się piosnka i przeciągnęła swoje dźwięki umierające w ostatniem drganiu wieczornego powietrza, Małgorzata słuchała jeszcze przez chwilę, patrzyła na Józefa, widziała jak znikał powoli spuszczać się na dół, i poszła dalej, z rękami założonemi na fartuszk. W roztargnieniu, zapomniała o trzewikach na drodze. Podniosłem je, zbliżyłem się ku niemu, i podałem nie rzekłszy ani słowa. Podziękowała mi lekkim uśmiechem, i usłyszałem w chwilę potem jak rzekła do matki:

— Ten młody człowiek jest *ludzki*; patrz, taki smutny jak i my.

Szliśmy w milczeniu wszyscy czterej razem przez pewną przestrzeń drogi. Gdyśmy stanęli w miejscu gdzie się rozdziela droga na dwie, jedną wiodącą do Chambéry, drugą zawracającą się na prawo i idącą pod górami, ku pęsnęj dolinie Maurienne, pożegnałem się z chłopcem. Kobiety ukłoniły mi się, i każdy poszedł w swoją stronę, one rozmawiając, ja dumając.

Scena ta uderzyła mnie, jak widzenie szczęścia i miłości, wśród oschłości i samotności mego serca. Małgorzata przypominała mi Graziellę. Graziella była już tylko snem znikłym, ale ten sen czynił mi rzeczywistość mojej samotności serca tém nieznośniejszą. Oddalbym tysiąc razy moje nazwisko i moje wychowanie za to żeby być Józefem. Czulem że się zbliżam do wielkiego przesilenia w mém życiu, że ono tak dłużej trwać nie może, i że trzeba mi albo zakochać się albo umrzeć. Przy

nadchodzącej nocy, szedłem pogrążony w takich myślach i obrazach, po długim i ponurym przedmieściu Chambéry.

Później opowiem jakim trafem spotkałem się niedługo potem z Małgorzatą, jak ona z kolei usłużyła była dla mnie, i jakim sposobem wpłatała była przypadkowo do jednego z najboleśniejszych cierpień życia serca mojego (1).

(1) Zobacz *Raphael*.

Koniec.



257241

P3077

I 18.

20+1+2+-

51.

61 - 62 - 63 - 64 - 65 - 66 - 67 - 68 - 69 - 70 - 71 - 72 - 73 - 74 - 75 - 76 - 77 - 78 - 79 - 80 - 81 - 82 - 83 - 84 - 85 - 86 - 87 - 88 - 89 - 90 - 91 - 92 - 93 - 94 - 95 - 96 - 97 - 98 - 99 - 100

69. 71. 78.

II 16. 24. 62. 73. 74. 78.

92. 95. 102. 3. 4. 110. 11. 12. 15.

28. 142. 150. 161. 169. 173. 6.

78-9 80+1-2-3 85-6-8

90-1-3-4 203 10. 11. 12.

17. 18. 21+22. 23. 39. 40. 41.

42. 93. 46+ +-